



Carol Shields

Kronika ryta w kamieniu

*nic co czyniła czy mówiła
nie było całkiem tym co chciała
mimo to jej żywot
można nazwać monumentem
ukształtowanym przez kąt padania światła
ożywionym rytmem użyczonej muzyki*

(Z Cyklu dla babci Judith Downing w „Converse Quarterly”, jesień)

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Narodziny 1905

Moja matka nazywała się Mercy Stone Goodwill. Miała zaledwie trzydzieści lat, gdy pewnego skwar- nego letniego dnia, przygotowując ojcu na kolację pudding malvern, poczuła się źle. Stała nad rozłożoną na stole książką kucharską. „Weź kilka suchych kawałków chleba - mówił przepis - pół kwarty porzeczek, ćwierć kwarty malin, cztery łyżki cukru, w miarę możliwości trochę śmietanki”. Oczywiście podzieliła ilości na połowę, bo było ich przecież tylko dwoje, przy tym porzeczkami nie obrodziły tego roku, a Cuyler (mój ojciec) jadł zawsze tak wstrzemięźliwie. Niejadek, mówiła o nim, może równie dobrze zjeść kolację, jak jej nie zjeść.

Wstyd, żeby mężczyzna jadł tak mało. Miesza łyżką w talerzu, podniesie może wzrok raz czy dwa, żeby jej posłać przez stół jedno z tych swoich nieśmiałych, pełnych uwielbienia spojrzeń, ale nigdy nie poprosi o dokładkę, zawsze zostawia wszystko dla niej, przesunie tylko w powietrzu dłoń tym sennym gestem, zachęca- jącym ją do jedzenia. I cały czas na jego twarzy maluje się ten niemądry, dobrotliwy uśmiezek. Czy jedzenie w ogóle miało znaczenie dla tego tak ciężko pracującego mężczyzny? Było zawracaniem głowy, stratą czasu, może swego rodzaju ceną, którą trzeba płacić, żeby móc się poruszać i oddychać.

Zupełnie inaczej rzecz się miała z nią, moją matką. Jedzenie było dla niej jedynym przedsmakiem nieba, jakiego kiedykolwiek zaznała. (W naszych czasach mamy nazwę dla namiętności tak dalece odbiegającej od normy jak w jej przypadku). A niemal równie niebiańskie jak jedzenie było dla niej przygotowywanie jedzenia - jakąż ją napawało rozkoszą! Najmarniejszy śmiertelnik ma na tej ziemi swoje wyobrażenie raj. Jej wyobra- żeniem było stanie z czystą drewnianą łyżką w dłoni w morderczym żarze kuchni, wpatrywanie się zmrużony- mi oczami w drobny druk książki kucharskiej, odmierzanie i mieszanie.

Trzeba było widzieć to skupienie na jej rozpalonej, zaaferowanej twarzy, jej podniecenie na widok wy- łaniającego się deseru, kiedy wlewała duszone owoce do staroświeckiej formy, zanurzała łyżką w ich soku gru- be kawałki chleba i widziała, jak miękną, jak po trochu zabarwiają się na malinowo. Pudding malvern - sama ta nazwa sprawiała jej niewymowną przyjemność, zdawała się roztopiać w ustach jak cukrowy wafel, język robił się od niej wafłowo słodki. Matka stawiała się artystką - po latach jej artyzm jest dla mnie absolutnie oczywisty

- kiedy tak mieszała i warzyła, z przygryzioną w zadumie dolną wargą. Cóż to będzie za deser! Ciepły miąższ chlebny nasiąkający barwą. (Najbliższa sąsiadka, pani Flett, pozwoliła jej zerwać ze swego krzaka trochę porzeczek; malin nabierała sama w przydrożnym rowie na południe od miasteczka, chociaż ją, kobietę tej tuszy wędrującą w żarze południa, o mało nie przyprawiło to o apopleksję).

Posypuje deser dodatkowo cukrem, jedna łyżeczka, druga, potem wkłada łyżeczkę cukru do ust, szorstkie kryształki, które jej dodają energii. Jest trzecia, gorące lipcowe popołudnie w sercu Manitoby, w sercu dominium Kanady. Zegar w salonie (lśniąca brylantowo oprawa, pozłacane nóżki, prezent ślubny od rodziny jej męża, Goodwillów ze Stonewall) właśnie wybił godzinę. Cuyler wróci z kamieniołomu punktualnie o piątej, obmyje się szybko w kuchennej miednicy i o wpół do szóstej zasiądą do stołu, tego samego stołu, tyle że nakrytego czystym obrusem, co drugi dzień świeżym, czystym obrusem. Kolacja będzie po większej części upływała w milczeniu, bo oboje moi rodzice są z natury nieśmiali i oboje zostali wychowani w przeświadczeniu, że posilanie się i rozmowa nie idą w parze, przynależą do odmiennych kolein czasowych. Dary boże, które będą dzisiaj spożywali, to peklowana wołowina przyprawiona odrobiną domowych pikli, kraszone kartofle, no, i ten wyśmienity pudding do filiżanki słodzonej herbaty. Jemu zabłysną oczy, bo mój ojciec, Cuyler Goodwill, lat dwadzieścia osiem, od dwóch lat żonaty, nie miał nigdy w ustach puddingu malvern. (Tego przynajmniej oczekuje matka - wyrazu lekkiej konsternacji na jego twarzy, czułych, wdzięcznych męskich ust rozchylających się w zdziwieniu. To jedno, co w jej mocy - zaskoczyć go czymś takim). Przykrywa pudding talerzem w kwiatowy wzór i przyciska go kamieniem.

Chłodne miejsce, mówi przepis: „Umieść formę w chłodnym miejscu”. (Książka kucharska jest stara, drukowana w Anglii przeszło trzydzieści lat temu, jej kartki zwiotczały, lecz głos autorki pozostał autorytatywny, nie znoszący sprzeciwu). Ale gdzie w taki dzień Mercy Goodwill ma szukać chłodnego miejsca? Nawet ciemna kamienna podłoga pod schodami do piwnicy, gdzie przechowują mleko, masło i słoninę, zdążyła się nagrzać w ciągu ostatnich dwóch tygodni i dochodzi stamtąd dziwny kwaśny zapach. Sąsiedzi Flettowie kupili ostatnio skrzynię chłodniczą labrador, wyłożoną blachą cynkową, i pani Flett niedawno opowiadała Mercy nabożnie o tym nabytku, wyliczając jego zalety, otwory wentylacyjne, błyszczące blaszane półki na produkty, i podkreślając fakt, że jeden blok lodu utrzymuje się wewnątrz przez dwa ciepłe dni albo nawet dłużej.

W tym momencie jakaś niespokojna myśl, troska, jak ochłodzić pudding, czy może zazdrość o nowo nabytą skrzynię chłodniczą Flettów, sprowadza pierwszy skurcz bólu. Matka wydaje cichy okrzyk. Oczy mrużą jej się w kącikach, jakby ktoś ujął ją za włosy i szarpnął, aż skóra jęknęła. Świadek - gdyby w tej chwili w kuchni na tyłach domu znajdował się jakiś świadek - przeraziłby się pewnie, że matka zaraz zemdleje, chociaż nigdy nie wykazywała skłonności do omdleń. To, co w tej chwili czuje, to jakby poruszenie w dole piersi, najpierw podskok, a potem nagły spadek, coś na kształt ściśnięcia obróconego pionowo akordeonu.

Matka spogląda w dół i ze zdziwieniem stwierdza, że niebieskie i białe pasy jej fartucha rozplývają się w kolorowe cętki. Jej dłonie wysuwają się do przodu w odruchu protestu przeciw miażdżącemu uciskowi i matka, dla utrzymania równowagi, spręża ramiona, opiera się dłońmi płasko o stół. Pochylona wydaje ciche, przeciągłe kwilenie. Dźwięk wydobywający się z jej ust jest bezkształtną, bezwładną, falującą nutą zdumienia. (Później te właśnie słowa bardziej niż jakiegokolwiek inne będą mi się kojarzyły z obrazem matki - bezwład, zdumienie). Jak na kobietę jej tuszy matka mało się poci nawet u szczytu lata i w cichości ducha czerpie niejaką

dumę z suchości swego ciała - teraz jednak czuje, jak wilgoć rozlewa jej się szerokim strumieniem pod fartuchem i spływa strużką po rowku pleców. Oddycha szybko i mruga oczami z bólu, który ścisza raz po raz jej brzuch żelazną obręczą. Wewnątrz siebie, pod luźnymi fałdami ciała, czuje obcą siłę. Ruch tektoniczny. Gwałtowny przypływ.

Od wiosny cierpi na niestrawność. Często rano, a także w nocy, kiedy zaśnie jej młody mąż, wstaje z łóżka i popija cytrynian magnezowy Bishopa. Pijąc mleko, osłodzoną herbatę czy lemoniadę z cukrem, łyka łapczywie, natomiast chłodny kredowy preparat Bishopa wlewa do porcelanowej filiżanki i sączy z godnością, w głębokim, niespiesznym skupieniu. Nie wie, co myśleć. Jednego dnia jest święcie przekonana, że to wątroba, drugiego, że nerki - ma dopiero trzydzieści lat, ale nerki potrafią dawać o sobie znać wcześniej w życiu, szczególnie w życiu osoby o nienaturalnej tuszy mojej matki. A może przyczyną dolegliwości są zaparcia. Podsunęła jej tę możliwość sąsiadka, pani Flett, zalecając tabletki rzewienia. Albo też, mówiąc między nami, jakaś choroba kobieca. Nadmierne krwawienia, pouczała, są przyczyną kłopotów wielu młodych kobiet. Czy Mercy radziła się doktora Spearsa? Doktor Spears jest znany z wrażliwości na cierpienia kobiet; ma ten swój zwyczaj przymykania oczu, gdy przeprowadza dyskretny wywiad z pacjentką, i niemal poetycznego mówienia o funkcjach i cyklach ciała, o przypływach płodności i zbawiennym działaniu soli owocowych.

Nie, Mercy nie zwracała się do doktora Spearsa, za nic nie potrafiłaby rozmawiać o takich sprawach z doktorem Spensem, nie potrafiłaby rozmawiać z żadnym mężczyzną, nawet z własnym mężem, szczególnie z mężem. Krwawienie miesięczne miała tylko dwa razy w życiu, krwawienie z miękkiej podściółki swoich miejsc intymnych, które zaplamiło jej bieliznę skandaliczną czerwienią, naigrawając się z jej poczucia przyzwoitości i tych wszystkich drobnych obowiązków stanowiących rację jej bytu - prowadzenia domu, sztuki szycia, prania i prasowania, robienia przetworów i marynat, pedantycznego czyszczenia co rano kloszów do lamp.

Dawki cytrynianu magnezowego niewiele pomagają, sole owocowe jedynie wzmagają jej dolegliwości. Przez całą wiosnę kurcze i wzdęcia napinają ścianki jej żołądka tak, że czasami zastanawia się, czy nie popełniają wewnętrzne błony. Żółć podchodzi jej często do gardła, swędzi skóra na całym ciele. Doświadcza palącego rozpierania przez gazy, szczególnie kiedy leży w nocy u boku mego ojca, który z miłości, z delikatności udaje głęboki sen - matka poznaje to po sposobie, w jaki leży trwożnie skulony po swojej stronie łóżka.

Jedynie chleb zdaje się uśmierzać jej cierpienia, chleb z masłem, ogromne kromki, pajdy, jak mówią ludzie w tym miasteczku. Je chleb świeżo z pieca, kawał za kawałem, czasami nie zadając sobie nawet trudu sięgnięcia po nóż, tylko rwąc chleb pełnymi garściami. Któregoś dnia, sama w kuchni, zjadła cały bochen między południem a kolacją. (Jeden bochenek się spalił, wyjaśniła mężowi, pragnąc usprawiedliwić jego brak - tak jakby mężczyzna o marzycielskim usposobieniu mego ojca zauważał takie rzeczy, jakby je zauważał jakikolwiek mężczyzna). Często posmarowany chleb posypuje dodatkowo cukrem. Kromka mieni się wówczas migotliwym blaskiem, kryształki cukru trzeszczą jej w zębach, dodają siły. Oczami wyobraźni widzi, jak chlebny miąższ spływa do torby żołądka, moszcząc gorzki, rozdęty organ puszystym ciepłem, które pochłania i neutralizuje jady jej ciała.

Zatruwa ją jej niezdolność do odczuwania miłości, przetykana wraz ze spływającym do żołądka cukrem, mąką, smalcem i drożdżami - matka nie ma co do tego wątpliwości. Stara się, udaje rozkosz, jak zaleca się kobietom, ale ceną za wszystkie jej starania jest głód, który ją dopada, gdy tylko zostanie sama, tak jak

owego skwarne go dnia lipcowego, zagubiona w tym zapyłonym kontynentalnym miasteczku Manitoby (pół tuzina nie brukowanych ulic, jeden sklep, hotel, kościół metodystów, stacja kolei Canadian Pacific i pensjonat dla nieżonatych mężczyzn na rogu Bishop Road). Zdaje się wiecznie oczekiwać, że coś się zdarzy, ale to coś tonie w mroku jej ignorancji i spęcznienia jej ciała. Nocą, w łóżku, wstydl iwie owija się koszulą. Zdmuchując lampę, nigdy nie wie, czego oczekiwać i jak rozumieć jęki męża, szczęśliwie tłumione przez drewniane ściany należącego do kamieniołomu domku, w którym mieszka z moim ojcem. Dwie izby na dole, dwie na górze, ustęp za domem. Wie tylko, że żyje poza wszelką spójną logiką historii, odcięta od pociechy zwykłych więzów krwi, tłamszona od dwu lat dzień po dniu przez niezgłębioną, nienasyconą namiętność Cuylera Goodwilla. Kiedy mąż wspina się na nią co wieczór, przychodzi jej na myśl Niagara w swojej całej potędze, rozpetany żywioł wdzierający się w sekretne fałdy jej ciała.

W takich chwilach czuje się najbardziej zagubiona, jak gdyby ona, Mercy Goodwill, nie była niczym więcej jak pulsowaniem krwi w krypcie swojej cielesnej powłoki, od szerokiej twarzy, przez gruby mięsisty kark, wielkie obwisłe piersi, po twardy głaz brzucha.

Gdy tak teraz stoi oparta o stół w skwarnej kuchni, uda mojej matki, ze swoim miękkim białym mięsem (na myśl przychodzi cielęcina, tłusta wieprzowina lub pierś kurczęcia), ocierają się o siebie przez bawełniane majtki, które są całe mokre - uświadamia sobie - przesiąknięte na wskroś. Na kostkach rąk i nóg ma podwójne, potrójne fałdy tłuszczu, a jej zaparte sztywno kończyny ociekają potem. Wielkie opuchnięte palce wciskają się w deski stołu, lewa dłoń z wrośniętą w miękkie ciało obrączką pulsuje jadem. Przed oczyma zdaje się rozwijać jak wachlarz słabe zielonkawe światełko. Jest gorzej, gorzej niż kiedykolwiek dotąd. Matka ma wrażenie, że jej ciało lada chwila się rozpęknie, kości wystąpią spod skóry, krew tryśnie na podłogę i ściany. Krew, która zdaje się żółta, nie czerwona, która jest gęstą miodową mazią, paraliżującą jej ruchy, dławiącą w gardle krzyk o pomoc do sąsiadki, pani Flett.

*

Zrządzeniem losu pani Flett znajduje się w zasięgu głosu - przypina do sznura szorstkie prześcieradła i poszewki w odległości nie większej niż piętnaście metrów. Przybiegłaby w te pędy, gdyby wiedziała o przypadku Mercy Goodwill; przybiegłaby i jęła uspokajać pocziwą, kochaną biedaczkę, układać ją na kuchennej kanapce, wycierać wilgotną szmatką jej szeroką, zlaną potem, apatyczną twarz, rozpinać na niej ubranie, ścigać z niej ciasno zasznurowane buciki i grube pończochy. Pani Flett kocha Mercy, kocha jej sposób bycia, jej poważne skupienie, chociaż (trzeba to przyznać) jej miłość jest po trosze ulepiona z fascynacji, no i z litości, politowania nad tym wielkim, miękkim, wolno przelewającym się ciałem, nad rozlanymi rysami młodej twarzy, nad przebłyskami niegdysiejszej urody dostrzegalnymi w pewnym świetle, w zakrzywieniu górnej wargi czy w serdecznym popłochu piwnych oczu. Patrząc w cielece oczy Mercy, pani Flett nie myśli „dziecinna”, myśli „dziecko”. Biedaczka, biedna zagubiona dusza. Nigdy nie miała matki, a teraz, jak wszystko wskazuje - chociaż kto może przesądzić takie sprawy, kto może przewidzieć przyszłość? - nigdy nie będzie miała własnego maleństwa do karmienia i kołysania.

Pani Flett - na imię jej Clarentine - ma trzech dorosłych synów, Simona, Andrew i Barkera, ale nie ma córki. Najstarszy, Barker, pojechał do Winnipegu studiować w college'u, a dwaj młodszy pracują w kamieniołomie wraz z jej mężem Magnusem, mistrzem kamieniarskim, zimnym, żylastym mężczyzną, który w wieku

dziewiętnastu lat imigrował do Kanady z Orkadów i po dziś dzień zachował swoje orkadyjskie upodobania. Zamiłowanie do rzeczy prostych. Skromnie urządzonego domu. Starannie uprawionego ogrodu. Niewymyślnych potraw, kaszy, wędzonej ryby albo nawet chleba z masłem popijanego herbatą na kolację. Widok puddingu malvern, wyłożonego z formy na szklany półmisek i polanego śmietanką, sprawiłby go w osłupienie, szczególnie w dniu, który jest w końcu zwykłym poniedziałkiem u szczytu lata roku 1905 (roku moich narodzin, dnia moich narodzin).

Pani Flett, Clarentine, kobieta o zgrabnej figurze i cerze koloru grzybów, w której pamięci gorycz zatarła wspomnienie dzieciństwa jej synów, miałaby ochotę ująć dużą, suchą dłoń Mercy i powiedzieć: „Życie kobiety niewarte jest funta kłaków, jeśli nie czuła ona pod sercem poruszeń nowego życia. Karmienie malca pierśią, przyglądanie się, jak wyrasta na mężczyznę, to jest miłość. Mówimy, że kochamy swoich mężów, ślubujemy w kościele, że będziemy ich kochały na dobre i na złe, dopóki śmierć nas nie rozdzieli, ale tak naprawdę kochamy tylko krew z naszej krwi, kość z naszej kości”.

Clarentine lubi obdarowywać Mercy. Nie dawniej jak minionej wiosny, robiąc w domu porządki, znalazła starą blaszaną formę do deserów, naczynie, którym Mercy posłużyła się dzisiaj dla nadania kształtu puddingowi malvern. Często daje jej kwiaty ze swego ogródka - groszek pachnący, nikotianę, goździki, lwie paszcze, ubiorki. W sezonie przynosi sałatę, młode rzodkiewki, marchewkę, bób. Także słoiki dżemu owocowego, marynowany rabarbar. Kiedyś dała Mercy komplet serwetek do herbaty z haftem w rogach, innym razem aplikowaną kapę z koronkowym środkiem. To także ona ofiarowała jej książkę kucharską, której dziewczyna używa z takim upodobaniem, że niemal ją zaczytała. Na gwiazdkę dała jej mydélko heliotropowe w firmowym opakowaniu, a raz, ni z tego, ni z owego, przewiązany wstążeczką słoik na szpilki do włosów. Przedmioty te, przechodząc z jej rąk w ręce Mercy, zdają się przez chwilę opromienione radością Clarentine, jednakże słowa, jakie towarzyszą obdarowywaniu, obliczone są na bagatelizowanie jej szczodropliwości. „Och, nie wiedziałabym, co z tym robić”. Albo: „Mam tego tyle, że mogłabym nakarmić całą armię”. Albo: „To dla nas za wymyślne, ale tobie będzie pasowało”. Albo: „Pan Flett nie lubi, jak coś tak słodko pachnie, a szkoda by mi było wyrzucać rzecz, która jest całkiem dobra i zdatna do użytku”.

Niezbyt lotna wdzięczność Mercy, jej powolny uśmiech podszyty zdziwieniem, jej zachowanie osoby nie rozpieszczanej przez życie - wszystko to sprawia, że pani Flett miałaby ochotę wziąć ją w ramiona. Wyobraża sobie, jak pełne ciało dziewczyny przywiera do schludnego gorsu jej własnej sukni, wezbrane wzruszeniem i uległością. „Kochana” - chciałaby wyszeptać wtulona w masywną, bladą szyję Mercy, w jej miękkie ramiona i kasztanowe sploty jej włosów.

Ta chwila należy jeszcze do przyszłości, ale nadejdzie. Oto co pani Flett myśli, kiedy tak stoi w palącym słońcu, rozpinając na sznurze pranie - najpierw bieliznę pościelową i stołową, potem fartuchy i bluzki, na koniec letnie drelichy męskie. Prawie nie ma wiatru, więc bielizna będzie sztywna i twarda, kiedy wyschnie. W tym żarze będzie sucha za dwie godziny. Zmitrężyła dzisiaj z tym praniem, a tu jeszcze trzeba wypielić grządki, nazrywać groszku na kolację. Zawsze się zapóźni i potem w uszach byczy jej ten zrzędny głos - kuchnia nie wyczyszczona, bielizna do cerowania, firanki do krochmalenia. Karcący głos jest jej własnym głosem, taki natrętny i naglący, mimo to niezdolny ją pogonić. Mężczyźni, mąż i synowie, wychodzą punkt o siódmej do kamieniołomu i wracają o piątej. Czy się zastanawiają, co ona robi przez cały dzień? Dreszcz ją przejmuje na

myśl, że żadne oczy nie są w stanie przebić ścian i sufitu, śledzić, jak sennie się snuje minuta po minucie, zmagając się z kusicielką gnuśnością.

Oczywiście widzi ją Bóg. Musi widzieć. Przygląda jej się, gdy stoi w oknie wpatrzona w cienie listków karagany tańczące po ścieżce albo siedzi na którymś z krzeseł kuchennych zdjeta paralizem, gapiąc się na muchę chodzącą po stole. Tykanie zegara odmierza minuty, minuty urastają w godzinę, niekiedy dwie. Te odcinki czasu nie mają się nijak do pozostałych odcinków, kiedy jest świadoma upływu czasu. Zdarza jej się to coraz częściej, owe zagubione godziny, niemal co dzień, odkąd nastąpiło lato. Budzi się wprawdzie względnie świeża, ale w miarę jak posuwają się wskazówki zegara, czuje obezwładniającą siłę, uwodzicielski urok potajemnego lenistwa, i nim się opamięta, ulega pokusie. Spowija ją coś, co jest samą błogością. Unosi się wokół niej jak obłok woni. Nie ma oblicza ani głosu, jest tylko delikatnym, równym, przenikliwym aromatem, rodzajem obezwładniającej fali, która podchodzi jej do gardła, po czym spływa po ciele, powodując tężenie miękkich ud i intymnych części kobiecych. Cisza jest wspaniała, ale jest zarazem udręką, gdyż zawsze nęka ją ta natrętna, drobna myśl - że Boga nie obchodzą jej słabostki. Nie przemówił do niej w żaden sposób, nie dał jej żadnego znaku, nie pofatygował się nawet, żeby ją zdemaskować, chociaż postawiła Mu wyzwanie makatką wiszącą nad kuchnią, z wyhaftowanymi słowami:

Bóg jest głową tego domu, niewidzialnym gościem przy każdym posiłku, milczącym słuchaczem każdej rozmowy.

Przerażająca, a zarazem podniecająca jest ta jej zdolność do oszukiwania całego otoczenia; czymś zupełnie nowym są te jej tracone godziny, barwne rojenia, strzępy rozmów, tak jakby dane jej były dwa życia zamiast jednego, to drugie spowite tajemnicą.

A może to ona oszukuje samą siebie? Doktor Spears, gdy spotkała go kiedyś przypadkiem na drodze do kamieniołomu, ujął ją za przegub i przemówił do niej w zaskakująco szczery sposób.

- Kobieta potrzebuje towarzystwa innych kobiet - rzucił nieoczekiwanie po zdawkowej wymianie kilku zdań o pogodzie. - Odrobina śmiechu przynosi wielką ulgę, tak samo trochę niewinnych ploteczek. Kółko Róbótek Ręcznych, Stowarzyszenie Matek... A, przecież była pani kiedyś członkinią Klubu Rytmiki i Gimnastyki Pań... Czyż popołudnie w wesołym towarzystwie nie sprawiało pani przyjemności? Żona opowiadała mi, że ostatni odczyt o misjach w Chinach był nader interesujący, no i budujący.

- Mam mnóstwo zajęć w domu - odrzekła doktorowi Spearowi Clarentine Flett.

- Oczywiście, oczywiście - przytaknął spiesźnie. - A może pomyślałaby pani o parodniowym wypadzie do Winnipeg? Spędza pani tam, zdaje się, co roku parę dni u swego syna, Barkera. On tam jeszcze przebywa, prawda, studiuje? Pole jego zainteresowań, o ile pamiętam, to botanika?

- Tak - powiedziała. - Rośliny. Kwiaty.

- Przynosi pani chlubę. Obiecujący młody człowiek. Pewnie pani pamięta, że byłem jedną z osób, które wysunęły go do stypendium Epswortha.

- Pamiętam, naturalnie pamiętam...

- Więc czemu nie miałyby mu pani zrobić niespodzianki? Każdy potrzebuje od czasu do czasu nowych wrażeń, szczególnie po takiej długiej, ciężkiej zimie. Mógłbym napomknąć o tym pani mężowi, gdyby pani chciała, oczywiście mimochodem. Powiedzieć coś o zbawiennym wpływie krótkiego urlopu...

- Ależ, panie doktorze - zaprotestowała. Myślała o kręgu ciszy, w który się z powrotem zanurzy, gdy tylko pożegna doktora Spearsa, o gładkim perłowym blasku ciszy. - Nie widzę potrzeby. Sama mogę z nim pomówić.

Stowarzyszenie Matek. Parodniowy wypad do Winnipegu. Jeszcze kilka miesięcy temu taka perspektywa byłaby swego rodzaju atrakcją. Mogłaby faktycznie pomówić ze swoim mężem, Magnusem, o spędzeniu tygodnia w mieście. Słowa przyszyby jej same w trakcie jakichś zwykłych czynności - wycierania naczyń po kolacji czy obrywania zeschniętych listków fuksji wiszącej przy oknie. Jej mąż nie jest człowiekiem, który by grzeszył wymownością, ale w ciągu tych wspólnych lat wypracowali sobie sposób małżeńskiego porozumiewania się, niezbędny do wychowywania trzech synów, uzgadniania potrzebnych zakupów, dyskusowania o pogodzie i chorobach, o tym, jakie warzywa posadzić w ogrodzie. I uważała - chociaż skąd miałyby taką rzecz naprawdę wiedzieć, kto mógłby jej to z całą pewnością wyjaśnić? - uważała, że jej mąż nie jest bardziej bezceremonialny niż inni mężczyźni. „Jeśli pozwolisz, mamusku” - mówi w mroku małżeńskiej sypialni, wsuwając jej rękę pod koszulę. Tysiąc razy, pięć tysięcy razy: „Jeśli pozwolisz, mamusku”. Te słowa wyłobily w jej świadomości koleinę, Clarentine ledwo je słyszy. A po wszystkim zalega cisza, jak spadanie w czarną dziurę, albo co najwyżej dobiegnie ją chrząknięcie, które ma zapewne wyrażać zadowolenie.

- Więc pobierzemy się, co?

To były słowa, jakimi jej się oświadczył dwadzieścia pięć lat temu. Jego głos wzniósł się w sposób, który wydał jej się rozbijający. Przebywał wówczas niespełna rok w Kanadzie, od ośmiu miesięcy pracował w starej kopalni granitu w Lac du Bonnet, niedaleko miejsca, gdzie jej ojciec miał farmę. Jego orkadzki akcent był bardzo wyraźny, gardłowy, jednakże zdawało jej się, że przebija spod niego coś miększego. Odprowadzał ją do domu po godzinie modlitwy w Milner's Crossing. Był ciepły wieczór kwietniowy, niebo gęsto usiane gwiazdami.

Miała wrażenie, że chłodne powietrze, które wdycha, jest rodzajem pokarmu. Magnus odprowadzał ją trzeci raz, więc wiedziała - oboje wiedzieli - że ma prawo poprosić ją o całusa. Zgodziła się z ciekawości. Jego górna warga szybko, za szybko, otarła się o jej usta i policzek. I wtedy powiedział:

- Więc pobierzemy się, co?

Rozbroiła ją ta jego pewność siebie, było w niej coś dziecinnego. Miała ochotę się roześmiać, podrożyć z nim - umiała w tamtych czasach być dowcipna - ale jego twarz znajdowała się zbyt blisko.

- I co na to powiesz? - przynaglił ją.

Mrok zacierał jego rysy, ale czuła na szyi jego ciepły oddech, odbierało jej to siły. Oczekiwała jakiegoś tkliwego słówka.

- Zarabiam dobrze - powiedział. - Mam stałą pracę.

Była to prawda, nie mogła temu zaprzeczyć. Nigdy, po dziś dzień, nie nauczyła mu się sprzeciwiać, cokolwiek by powiedział. Miał ten swój sposób stawiania sprawy, który wykluczał sprzeciw. Jak z tą skrzynią chłodniczą. Napisał o nią, wysłał w sekrecie zamówienie do Domu Sprzedaży Wysyłkowej Eatona i oto skrzynia stoi w kącie kuchni. Pojawiła się ni z tego, ni z owego. Parę miesięcy wcześniej, z oszczędności, odmówił zasięgnięcia porady u doktora Spearsa w sprawie guzka, który mu się zrobił za uchem, a tu nagle wyrzuca jedenaście dolarów na skrzynię chłodniczą, jedenaście dolarów plus koszty transportu. Schludna metalowa tablicz-

ka przytwierdzona do drzwiczek głosiła: „Nowa ulepszona skrzynia chłodnicza, model Labrador”. Nigdy go o coś takiego nie prosiła. Przyglądając mu się tego pierwszego dnia, jak wodzi palcami po gładkim drewnie i polerowanych zawiasach, mimo woli myślała: „To te same palce, które dotykały mnie, mojego nagiego ciała”.

Takie myśli nachodzą ją ostatnio coraz częściej. Jej mózg pracuje w ostatnich miesiącach jak szalony. Jest kobietą, której pragnienia spoczęły na popękany dnie dzbana. Tam czekają.

Nawet w tej chwili, wieszając bieliznę, więdnie z tęsknoty, tylko do czego? „Obejmij mnie - szepcze do skapujących prześcieradeł i poszewek - przytul”. Ale szepcze to głucho, bez nadziei. Cebrzyk do prania jest już pusty, stary drewniany cebrzyk, ustawiony na wystającym z ziemi głazie. Niebo wisi w górze wielkie i niebieskie, kręci jej się w głowie, ilekroć w nie spojrzy. Czuje świerzbiecie w nosie, sięga do kieszeni fartucha po chusteczkę. Uderza ją zapach sody do prania, zbiera jej się na kichnięcie. „Właśnie że nie pozwolę - mówi w myśli. - Nie pozwolę nigdy więcej”.

Dochodzi chyba trzecia, ocenia. Zrezygnuje już dzisiaj z tego pielienia. Jeżeli ktoś o to zapyta, mąż czy któryś z synów, zwali wszystko na upał. Miałyby się narażać na udar przy takim słońcu? Schroni się zamiast tego w chłodzie pokoju od frontu, posiedzi w gobelinowym fotelu w ciemnym kącie. Robiła to już poprzednio, niezdolna udźwignąć smutku. Jej ukochana gwiazda betlejemska zakorzeniła się w porcelanowej doniczce - Clarentine lubi wypatrywać sekrety w jej szarozielonych listkach. Również tapeta przykuwa jej uwagę swoimi rządkami kwiatów, z przepłatającymi się i powracającymi brązami i różowości. Małe fazowane lustro w dębowej ramie odbija jej podobiznę, gładko przyczesane włosy, a w czaszce oczy palące jak rozgrzane kamienie.

- Kocham cię - posłyszała kiedyś młodego Cuylera Goodwilla mówiącego do swojej wielkiej, nalanej żony, Mercy. - Och, kocham cię, kocham z całego serca.

Usłyszała to wyznanie wczesnym wieczorem, też w poniedziałek, tak jak dzisiaj. Stała przy drzwiach kuchennych Goodwillów, z koszykiem wczesnego bzu w rękach, sąsiedzkim podarunkiem. (Prawdę mówiąc, nie potrafi się trzymać z dala od domów młodych małżonków, wydają jej się jakby zaczarowane, powietrze jest w nich pełne tkliwości, głosy cieplejsze niż w innych domach, improwizowane firanki i tanie dywaniki jaskrawe i śmiałe w swojej usługowości). Okno Goodwillów było szeroko otwarte na chłodne powiewy wiosny. Siedzieli oboje przy stole (widziała ich wyraźnie) - Mercy po jednej stronie, Cuyler po drugiej, nad białym obrusem i naczyniami nie sprząniętymi jeszcze po kolacji.

Światło padało na szeroką twarz mojej matki, nadając jej połyskliwy wygląd. Ojciec siedział pochylony ku niej, rękę trzymał na jej dłoniach. Mogliby stanowić temat salonowego obrazka, pomyślała pani Flett, akwareli malowanej w szaroniebieskiej tonacji.

Moja matka, jak już mówiłam, była wyjątkowo otyłą osobą i ze swymi nalanyymi rysami, obawiam się, wyglądała dosyć pospolicie. Prawda, sąsiadka, pani Flett, dopatruje się śladów urody pod jej wpadniętymi w głąb oczami i wiszącymi podbródkami, ale jedyna jej podobizna, jaka mi pozostała, fotografia ślubna, mówi coś innego. Matka była potężnej budowy i rozlanego ciała. W przeciwieństwie do niej ojciec był niskiego wzrostu, drobnokościsty i kształtny, wyraz lekkiego niedowierzania błąkał się po jego twarzy. Można przypuszczać, że nieokrzesani mężczyźni, wśród których się obracał, nie żalowali sobie niewybrednych dowcipów jego kosztem.

„Z całego serca” - pani Flett słyszała, jak mówił to do matki. Jakby wyczerpany tym wyznaniem, odchylił się w tył na krześle. Z całego serca. Było to zdanie, jakie wygłaszają kochankowie w książkach. Język miłości, język zakochanych. Poezja uniesienia. Clarentine Flett czytywała niekiedy tanie powieści - ukrywała je przed mężem, który by to uznał za stratę czasu - w których ludzie przemawiają do siebie tkliwymi słowami, ale nigdy nie przypuszczała, że podobne wypowiedzi mogą padać w domach prostych kamieniarzy w miasteczku takim jak Tyndall w Manitobie. Nie wyobrażała sobie również nabrzmiałego uczuciem głosu czy tonu, jakim może być uczynione takie wyznanie. „Och, jak ja ciebie kocham!” - powiedział do swojej żony, Mercy, Cuyler Goodwill. Wydyszał to z błagalnym napięciem, którego Clarentine Flett nie potrafi wymazać z pamięci. Chodziło to za nią przez całą wiosnę, zraszając suchą kanwę jej codziennej krzątania. Towarzyszy jej także teraz, kiedy tak stoi przy sznurze do bielizny, pociągając nosem i mrugając oczami w blasku słońca, walcząc z pokusą schronienia się w domu na resztę popołudnia.

I w tym momencie przychodzi jej do głowy pomysł. Zagotuje wody i zaprosi Mercy na herbatę.

Tak, nie ma to jak filiżanka dobrej herbaty, orzeka Clarentine Flett. Wyjmie najlepsze filiżanki w róże, z porcelany Royal Albert, które należały do jej matki, a skoro już to robi, poda także talerz biskwitów z dżemem. Kobieta potrzebuje towarzystwa innych kobiet - czyż nie z tego powodu zaczął się tak nad nią rozczulać doktor Spears? Może właśnie to jej dolega, jedynie samotność, nie życie bez szczęścia w ogóle, tylko okresowy atak samotności. A Mercy Goodwill, biedna, kochana, młoda duszyczka, jest równie samotna - pani Flett nagle to wie. Pojmuje to ponad wszelką wątpliwość. Nie ma znaczenia sekretny skarbczyk czułości, jakie zgromadziła Mercy, nie mają znaczenia słodkie słówka, jakie jej szepcze do ucha młody mąż, wszystko to nie ma znaczenia. Mercy, tak jak ona, jest sama na tym świecie, dwie samotne dusze żyjące obok siebie w dwu sąsiednich domach, uwięzione w tym samym kręgu dojmującego niedosytu. Dlaczego nie dostrzegła tego wcześniej? Oto co ją przykuwa do domu przez te ostatnie tygodnie, odpycha od Stowarzyszenia Matek, od Kółka Robótek Ręcznych, powstrzymuje od wypadu na parę dni do Winnipegu. Nie jest w stanie wyrwać się z kręgu niemożności osaczającej ją podobnie jak Mercy Goodwill - dwie siostry w Chrystusie niepowtarzalnie złączone.

Coś musi w końcu zrobić. I zrobi to. Zaraz, teraz zapuka do drzwi Mercy i zaprosi ją na herbatę. Zaparzy ją lekką i słodką, jak to Mercy lubi. A po filiżance czy dwóch, może - przed oczyma staje jej popołudniowa herbatka, jaką żona doktora Spearsa urządza dla pani Hopspein, żony nadzorcy kamieniołomu - może zaproponuje Mercy, żeby jej mówiła po imieniu. „Mogłabyś mi mówić Clarentine - powie. - Nie miałabym nic przeciwko temu, chętnie bym to nawet widziała. Jesteśmy w końcu od dwóch lat sąsiadkami. Prawdę mówiąc, jesteś mi jak córka, żywię dla ciebie uczucie jak dla córki, więc jeśliś była w stanie...”

Lecz w tym momencie jej rojenia zostają przerwane. Słyszy wysoki, piskliwy męski głos i podniósłszy głowę, widzi sunącego ku niej chwiejnie przez ogródek starego Żyda.

*

Niełatwo jest dzisiaj mówić o starym Żydzie. Sprawa jest delikatna. Trzeba przestawić myśl wstecz, do czasu gdy słowa „stary Żyd” można było wypowiedzieć po prostu - idzie stary Żyd.

Oto sunie w swojej niechlujnej czarnej kapocie, trzepoczącej w skwarze, ze swoją niesamowicie nastroszoną czupryną.

Na głowie ma jakieś nakrycie wytarte i brudne, zsunięte na tył czaszki. Jego policzki, podchodzące wysoko pod oczy, są brązowe i pomarszczone jak orzechy włoskie. Długie żłobione bruzdy na twarzy podszyte brudem, jeśli to jest brud, nie zaś cudaczne egzotyczne zabarwienie skóry.

Przy drodze stoi jego koń, biedna szkapą przywiązana do małej koślawej osiki przy drzwiach Mercy Goodwill. Można być pewnym, że stary Żyd przywiąże konia do byle czego, chociaż mógłby go równie dobrze przywiązać do płotu. A ten jego wóz, jeśli to można nazwać wozem, utyłany i rozklekotany, podskakując na wybojach, trzeszczy i skrzypi tak, że przestraszone wrony podrywają się z pola.

Pojawienie się Żyda wprawia wszystkich w popłoch, bo niemal z reguły prosi o coś do picia, filiżankę kawy albo łyk zimnej wody, i potem trzeba po nim wyparzać naczynia. Podróżując zimą po odległych okolicach Arborg, gdzie się osiedlili Islandczycy, ma często czelność prosić o nocleg. Trzeba wówczas wyciągać gościnną pościel, a potem gotować ją następnego dnia i trzymać przez cały dzień otwarte okna, żeby się wywietrzyło. Wnosi do tych czystych, ascetycznych domów odór czosnku, cebuli, stęchlizny i nie mytego ciała. Guziki, sznurowadła i igły, które sprzedaje, chociaż tak trudno o nie, stanowią wątpliwą rekompensatę za groźbę przywleczenia pluskiew i nieznanych paskudnych chorób. Język ma spuchnięty i kwaśny, oczy rozbiegane. Przymila się. Do każdej kobiety w okolicy mówi „pszepani”, do każdego mężczyzny „pszepana”. Młodym mężczyznom w domach noclegowych sprzedaje zberezeństwa. Może mieć równie dobrze czterdzieści lat, jak sześćdziesiąt. Wozi baterię pigulek i maści, scyzoryków i drobnych zabawek, tytoniu i landrynek, a wszystko to zaraza. Nikomu nie patrzy w oczy. Wieść niesie, że podkrada jajka z kurników i pomidory z ogródków, że chowa pod kapotę łyżeczki i wynosi z domów. Wyciąga czarną rękę i ku zgroznie matek i ojców głaszcze po główkach dzieci, które nie zdołają w porę uciec.

Widuje go się, jak na bocznych drogach okłada batem tę swoją biedną szkapinę. Szurając nogami, podchodzi do drzwi i stuka w sposób, który jest zarazem uniżony i natarczywy.

Słyszając to pukanie, wie się od razu, kto to. Chód ma kulejący, powolne, nierówne powłóczenie nogą, które przywodzi na myśl kataklizmy starego świata. I oto pojawia się tego lipcowego popołudnia, kuszytka w stronę pani Clarentine Flett, która stoi koło sznura do bielizny, tego swojego sztandaru z prześcieradeł i ścierek, jak figura wypalona w drewnianym kasetonie.

Łapie najpierw za rękaw jej sukni. Pani Flett cofa się instynktownie, zachłystując się w proteście, ale on, oczywiście, sięga ponownie, tym razem ściskając ją obcesowo za przegub. Twarz ma wykrzywioną przestraciem i jęczy, kwili „pszepani, pszepani”, przysuwając się tak blisko, że pani Flett czuje odór jego oddechu i ciała.

- Pszepani, chodź, pszepani!

Jego głos jest podszyty szaleństwem, załamuje się z przerażenia, brzmi zbyt wysoko jak na mężczyznę, a słowa są niezrozumiałym bełkotem. W ustach stary Żyd ma nie więcej niż trzy zęby, zauważa pani Flett z fascynacją. Górną wargę szpeci mu opryszczka. Clarentine Flett, odsuwając się od niego, bliska mdłości z obrzydzenia, nie może oderwać oczu od zaschłego strupa, do którego ma niewytłumaczalną ochotę sięgnąć, dotknąć go.

A Żyd jej nie puszcza.

- Chodź, pszepani!

Mdli ją od szorstkiego dotyku jego dłoni na przegubie, ale zastanawia widok białego przedramienia, które wygląda z przykrótkiego, przetartego rękawa.

Jest to normalne męskie przedramię, zauważyła pani Flett, tylko odrobinę groteskowe i wcale nie różniące się tak bardzo od ramienia jej męża, Magnusa, kiedy wysuwa się ono ze swego okrycia w sobotę wieczorem, żeby się zanurzyć w wodzie z mydlinami - obnażone, spęczniałe od pracy fizycznej, porysowane bliznami, z nabrzmiałymi żyłami, a mimo to, zaskakująco, wzruszająco, podobne do kobiecego.

I zastanawia się pani Flett - wszystkie te obrazy przelatują jej przed oczami w parę krótkich sekund - zastanawia się, czy to możliwe, że stary Żyd ma w okolicy jakąś rodzinę, dach nad głową, ciepły piec, własne łóżko, do którego wraca. A jeśli tak, to może ma również obok siebie pod kołdrą jakieś kobiece ciało, a między nogami, jak każdy mężczyzna oczywiście zwisający siny, flaczasty ochłap mięsa. Myśli te są odrażające, pani Flett pragnie obrócić wzrok na coś ładnego, budującego. I oczywiście nazwisko, musi mieć nazwisko, nie można wjechać do tego kraju bez nazwiska. Nazwisko i imię albo dwa imiona. Nie do wymówienia. Nie do zapisania. Ktoś musiał mu nadać te imiona, ale kto?

Pytania te kłębią jej się w głowie, zapierają dech w piersiach. Jednocześnie, nakładając się na nie jak strumień świeżej wody, nachodzi ją myśl o cieniowym pokoju od frontu, o fotelu z chłodną piłśniową poduszką o zielonym gobelinowym obiciu wytartym w jednym rogu, który stara się zawsze odwracać tak, żeby się nie rzucił w oczy.

Tymczasem stary Żyd trzyma ją ciągle jedną ręką, a drugą wymachuje gwałtownie w kierunku drzwi kuchennych Mercy Goodwill.

- Pszepani chora - udaje mu się wykrztusić - chora, chora. I Clarentine Flett wreszcie pojmuje.

Teren między dwoma domami jest nierówny, pełen kamieni, korzeni i kęp trawy. Biegną oboje ku otwartym drzwiom, niezdarnie, objając się o siebie, dłoń starego Żyda nie puszcza na moment przegubu kobiety.

Pierwszym odruchem jest podbiec do krwawego tłumoczka rozpychającego uda mojej matki i ułożyć moją dłoń na moim własnym bijącym sercu, unieść moją spłaszczoną główkę i niemowlęce ramionka z kałuży błyszczącej mazi. Moja matka, Mercy Stone Goodwill, leży, oddychając ciężko, na kuchennej kozetce przykrytej tanią, schludną kwiecistą narzutą. Leży na boku, jakby ktoś ją przewrócił, z podciągniętymi potężnymi, miękkimi słupami kolan i odsłoniętymi organami kobiecymi. Wygląda to jak muszle morskie albo jakiś wyciśnięty owoc.

Jej zakrwawione majtki poniewierają się, gdzie je rzuciła, pewnie na podłodze, w mało widocznym miejscu.

Nie ma w tej scenie nic brzydkiego, cokolwiek byście przypuszczali, to znaczy nic nienaturalnego, więc dlaczego nie potrafię spojrzeć na to spokojnie? Dlatego, że pragnę nadać symetrię różnym kłócącym się ze sobą elementom, chociaż wiem od początku, że moje wysiłki okażą się pobożnym życzeniem. Krew i ignorancja - co można wykrzesać z krwi i ignorancji? I z pulsującej, bezmyślnej, moczającej się galarety mojego dopiero co wyklutego ciała, które czuję się w obowiązku przeobrazić w coś czystego i foremnego, z wypisanym pod tym jakimś wersetem z Pisma albo łacińskim mottem?

Nie należy również zapominać o moim ojcu, który właśnie nadchodzi. Kroczy drogą prowadzącą z kamieniołomu, pogwizdując, oganiając się od moskitów i wzbijając tumany kurzu roboczymi buciorami. Jest zmordowany. Któż nie byłby zmordowany po dziewięciu godzinach kucia w kamiennej ścianie, po czternaście centów za godzinę, to jest mniej, niż jego żona, Mercy, zapłaciła za funt rodzynek Vestizza, które zużyła do bożonarodzeniowego puddingu minionej zimy? Mimo to ojciec pogwizduje jakąś wesołą melodię, może „Bawelnianą Dolly” albo „Zizzy Zum, Zum”. Przy drodze Pike'a, która wiedzie do cementarza, przystaje, żeby opróżnić pęcherz.

Z Garson do Tyndall jest dwie mile. Inni robotnicy, po dniu spędzonym przy wapiennikach albo na kuciu kilofami skały, wracają do Tyndall wozami towarzystwa, dyndając przewieszonymi przez bok nogami. Wiozą ich do domu zaprzęgi tegich perszeronów, tych pięknych, silnie umięśnionych, godnych arki Noego zwierząt, których się dziś prawie nie widuje. Ale nie mój ojciec. On woli maszerować. Cudak z niego, mówi się o nim w okolicy. Samotnik. Sprawia wrażenie lekko stukniętego. Chadza własnymi drogami. Kurdupel, ale szybki w robocie, mucha nie siada. Zna się na maszynach. Ma smykałkę. Spokojny, trzeźwy, pochodzi ze Stonewall, tak jak i jego żona. Co do tej żony (to wymawiane z mrugnięciem, ze szturchnięciem łokcia), starczyłoby kobity, żeby dwóch albo trzech chłopą miało uciechę przez całą noc.

Ojciec lubi rozprostować nogi po dniu spędzonym na pochylaniu się nad skałą wapienną albo na ślepieniu we wnętrzości starego, zrzędnego bora parowego. Kamieniołom ma wszystkiego kilka lat, został odkryty w 1896 przez farmera głębiącego studnię za domem i sprzedany cztery lata później (istny rabunek, rozbój na prostej drodze, twierdzą niektórzy) niejakiemu Williamowi Garsonowi, obecnemu właścicielowi i pryncypałowi. Wydobyto i wywieziono z niego już sto tysięcy ton kamienia, zmieniając całkowicie krajobraz. Teren schodzi teraz w dół terasami, tworząc pod gołym niebem coś na kształt areny o stopniach wysokości od trzydziestu centymetrów do metra. Co do tego, ile kamienia kryje się jeszcze w ziemi, zdania są podzielone. Niektórzy twierdzą, że przy obecnym tempie eksploatacji kamieniołom wyczerpie się za pięć, dziesięć lat; inni, bardziej optymistyczni czy lepiej zorientowani, oceniają, że pokład ma pół mili szerokości i ciągnie się do Winnipegu i dalej.

Sam kamień, wapień dolomityczny, jest ładniejszy i łatwiejszy w obróbce od tego, z którym ojciec miał do czynienia, dorastając w Stonewall, w Manitobie. Naturalne procesy chemiczne nadały mu unikalny koronkowy wygląd. Występuje w dwóch odmianach - żółtawej, przetykanej brązem, i (mojej ulubionej) jasnoszarej, z ciemniejszymi szarymi cętkami. Niektórzy nazywają go kamieniem gobelinowym i cenią sobie szczególnie zdarzające się w nim przypadkowe skamieliny: gastropodów, brachiopodów, trylobitów, koralu i ślimaków. W miarę jak rozkładało się ciało tych niegdyś żywych stworów, kawerny wypełniała wapnista maź, która z czasem nabierała twardości kamienia. Mój ojciec ma mizerne wykształcenie, ale, obdarzony ciekawością przyrodnika, wykuł niedawno kilka co ciekawszych skamielin i przyniósł je do domu, żeby pokazać żonie Mercy. (Kamień, którego użyła jako przycisku na formę z puddingiem malvern w dniu mojego urodzenia, zawierał trzy zrosnięte skamieliny tak rzadkiego rodzaju, że nigdy właściwie nie zostały sklasyfikowane).

Co sprawia, że Cuyler Goodwill wraca piechotą do domu pod koniec dnia, gdy nad głową wisi jeszcze gorące żółte słońce? Co sprawia, że pogwizduje, idąc? Powiedziałam już, że po długich godzinach znoju lubi rozprężyć obolałe mięśnie, przypuszczam jednak - jest to moje ukochane wyobrażenie - że w ogóle lubi wycią-

gać członki, czuć, że staje się wyższy, masywniejszy, silniejszy, w miarę jak zbliża się do domu, do momentu, gdy będzie znów mężczyzną. Mężem. Kochankiem. Jest oczekiwany. Być oczekiwanym to niespodziewany uśmiech szczęścia. Ma dach na głowę (wynajęty, prawda, ale zawsze dach), stół nakryty do kolacji, żonę, którą ubóstwia. Ubóstwia duszą i ciałem.

Nic w jego życiu nie zapowiadało, że zazna kiedykolwiek szczęścia. Jakieś wczesne poczucie upośledzenia - ojciec o ostrych jak nóż rysach, matka rozczochrana wiedźma, brak rodzeństwa - wpoilo mu przeświadczenie, że pozostanie zawsze dzieckiem o niewygórowanych pragnieniach dziecka.

Rodzina Goodwillów zdawała się reliktem surowego, niechlujnego minionego stulecia, które ich wydało. Wszyscy troje - ojciec, matka i syn - karłowatego ducha i mizernego ciała, parowali atmosferą niemocy. Mieszkali w domu, którego front wychodził prosto na wapienniki Stonewall. Stał on na końcu brudnej uliczki, miał zapadający się ganek. Okna, upstrzone żółtym pyłem z wapienników, były niemyte latami, dach przeciekał, przeciekał od zawsze. W deszczowe dni dymił kominek. Chleb, z rzadka pieczony w domu, był ciężki, zakalcowaty. Pobory, które mogłyby pójść na reperacje albo drobne luksusy, składało się w starym słoju po dżemie; banknoty dolarowe nawarstwiały się w nim jak pokruszone liście, utyłane i pachnące stęchlizną. Latem mężczyźni z miasteczka zbierali się na rogu Jackson i Maria, żeby pograć w podkowy, ale rzadko do gry zapraszano Goodwillów, ojca i syna. Powody pomijania ich są niejasne. Może uważano, że nie bawią ich tego rodzaju rozrywki albo że brak im podstawowych umiejętności, albo że gotowi zarazić innych swoją skwaszoną abnegacją. Wprawdzie przenikliwocka pani Goodwill z jakiegoś zastarzałego chrześcijańskiego przyzwyczajenia co niedziela rano przypinała do włosów pilśniowy kapelusik i szła na mszę do kościoła prezbiteriańskiego, nikt jednak nigdy nie zasugerował, żeby Cuyler jej towarzyszył.

Prawdę mówiąc, nikt nigdy nie zapytał o jego zdrowie duchowe czy fizyczne. Nikt nigdy nie interesował się jego zdaniem w jakiegokolwiek sprawie. Rzadko zauważano jego rosnące umiejętności w pracy kamieniarskiej. Nikt nigdy nie pamiętał o jego urodzinach (dwudziestego szóstego listopada) - nie było prezentów, tortu ze świeczkami, odświętnej krzątaniny. Dopiero kiedy skończył czternaście lat, ojciec podniósł przy kolacji wzrok znad talerza smażonej wieprzowiny z ziemniakami i mruknął, że czas, by Cuyler rzucił szkołę i poszedł, jak on, do pracy w kamieniołomie. Od tej pory również zarobki Cuylera wędrowały do słoja po dżemie. Trwało to dwanaście lat.

Nigdy nie przychodziło mi łatwo pojąć zacieranie się czasu, godzić się, jak to zdają się czynić inni, z pęcznieniem i późniejszym kurczeniem się pór roku, przyjmować do wiadomości, że dobiegł końca jeden rok, a zaczyna się drugi. Jest w tym coś świadczącego o naszej przyrodzonej bezzadności, o tym, że wyższa istota nas jest więźniem marnotrawstwa i nieokreśloności. Już same człony zdania: „Minęło dwanaście lat” chromają, skoro urąga ono logice biografii. Jak może tak długi szmat czasu znaczyć tak mało, jak może nam zostać odebrany? Zmarnowane miesiące, tygodnie, dni, godziny, i to w najcenniejszym okresie życia, gdy nasze jestestwo jest u szczytu swoich sił, otwarte, jak nigdy nie będzie później, na nawał doznań. Przez dwanaście lat, od czternastego do dwudziestego szóstego roku życia, mój ojciec, Cuyler Goodwill, wstawał skoro świt, zjadał miskę owsianki i przechodził na drugą stronę uliczki do kamieniołomu, gdzie harował przez dziewięć i pół godziny, by potem wracać do chłodu i mizerności rodzinnego domu i szykować się do wczesnego spoczynku.

Odtwarzanie czyjegoś życia jest oczywiście zwodnicze, przyznaję to. Nawet nasza własna historia jest haniebnie zniekształcona, czasami aż dziw, że dotrzymujemy w ogóle wiary cielesnej powłoce naszej egzystencji. Przez te dwanaście lat owsianka mego ojca była prawdopodobnie raz rzadsza, raz gęściejsza. Prawdopodobnie ocierał się również o epizody pożądania, chwytnie z zasłyszanych rozmów kolegów w pracy czy wpływające z imperatywów wieku dojrzewania, wzbudzone przez słowa popularnych piosenek czy rzadko kosztowane mocniejsze napoje. Faktem jest, że uczestniczył w dorocznym Balu Kawalerów, a raz wymienił uścisk dłoni z lordem Stanleyem*, kiedy pociąg starszego pana przystanął w Stonewall podczas objazdu w 1899 roku. Mój ojciec nie był ślepy mimo pasywności swoich lat młodzieńczych, nie był również głupi. Niewątpliwie rozglądał się od czasu do czasu i musiał zauważać, że nawet w martwej skorupie jego domu rodzinnego zdarzają się drobne wahania nastroju, zmienne fluktuacje uczuć. Niemniej jednak minęło dwanaście lat od dnia, gdy rzucił szkołę, do dnia, gdy poznał Mercy Stone, zakochał się w niej i jego życie uległo całkowitej odmianie. Cudownej odmianie.

* Frederick Arthur lord Stanley of Preston (1841-1908) był w latach 1888-1893 gubernatorem generalnym dominium Kanady. (Wszystkie przypisy tłumacza).

Stonewall było w owych czasach małym miasteczkiem, skromne dwa tysiące dusz, ale wskutek szczególnego obrotu rzeczy czy też niedopatrzenia losu tych dwoje nigdy wcześniej się nie spotkało, czy Cuylera jako chłopca, a potem dorosłego mężczyzny nigdy nie spoczęły na Mercy, w uszy nigdy nie wpadło mu jej imię. Dorastała ona, odgradzona od świata jak mniszka, w sierocińcu miasta Stonewall, w surowym, choć nie pozbawionym serca zakładzie na wschodnim skraju miasta. W sierocińcu, z potrzeby ładu czy może dla zachowania demokratycznej równości, wszyscy wychowankowie nie posiadający nazwisk rodowych, a więc niemowlęta oddane zakładowi przez niezamężne matki, otrzymywali nazwisko Stone - tak więc na liście widnieli w alfabetycznym porządku Berta Stone, Caroline Stone, Gareth Stone, Hiram Stone, Lamartine Stone i tak dalej, aż do mojej matki, Mercy, której pochodzenie, jak pochodzenie innych, było całkowicie nieznanne, jakkolwiek karnacja jej skóry, delikatne włosy i piwne oczy zdawały się wskazywać na pochodzenie ukraińskie, a może islandzkie. Została podrzucona jako parodniowe niemowlę, owinięta we flanelowy kocyk - czerwcowe noce bywały chłodne - umieszczona w starej becze na mąkę, stojącej przy tylnym wejściu sierocińca. Owe dzieci z beczi, jak je zaczęto nazywać, brało w opiekę miasto, dawało im podstawowe wykształcenie, uczyło jakiegoś rzemiosła i gdy kończyły czternaście, piętnaście lat, posyłało do pracy. Nie posłano jedynie mojej matki, którą umiejętności gospodarskie uczyniły zbyt cenną dla zakładu, żeby się z nią rozstawać. W wieku szesnastu lat została stałą pomocnicą starej gospodyni, a cztery lata później, kiedy ta ostatnia umarła, przejęła pełne prowadzenie gospodarstwa.

Figura mojej matki była wynikiem diety złożonej z chleba i kaszy, lecz mimo swojej tuszy - gdy miała dziesięć lat, mówiono, że jest „ciężka”, mając dwadzieścia, stała się słońcą - mimo tuszy nie ociągała się z polerowaniem na czworakach podłogi do nienagannego połysku. Czasami, gdy się pochylała, żeby wyjąć z gorącego pieca tacę placuszków, duma uderzała jej do głowy - chrupkie złote ciasto, słodkie owocowe nadzienie, perfekcja barwy i konsystencji. Nie zwracała większej uwagi na kilkanaścioro chłopców i dziewcząt wychowu-

jących się w sierocińcu - „Mercy Stone waży pięć ton”, śpiewały małe znajdy w rytm wywijanych skakanek - lubiła natomiast nakrywać do stołu, doprawiać sosy, przyszywać urwane rękawy, krochmalic, prasować i układać w równiutkie stopy wypraną bieliznę. Miała wiele talentów. I jej talenty były właściwie wykorzystywane. Można sobie bez trudu wyobrazić gorsze życie. Kiedy wchodziła do pokoju, na przykład do sypialni dziewcząt, omiatała wszystko wzrokiem, wypatrując, co jest nie na miejscu, podarte czy prosi się o wyczyszczenie, po czym zakasywała rękawy i brała się do roboty.

Pewnego wiosennego dnia w dwudziestym ósmym roku jej życia, dniu pełnym promiennego słońca i chłodnych podmuchów, stwierdziła, że przesunął się kamienny próg w głównym wejściu do sierocińca, niewątpliwie pod wpływem silnych mrozów, tak że drzwi otwierają się z trudem, wydając paskudne skrzywienie. Wezwano kamieniarza, żeby z powrotem osadził próg jak należy. Los chciał, że tym kamieniarzem był mój ojciec, Cuyler Goodwill.

Z miejsca zachwyła go delikatność mojej matki, szlachetność jej twarzy, sposób, w jaki mimowiednie poruszają się jej dłonie, jedna obraca się kuliście w drugiej, kiedy tak stoi koło niego, kierowana pewnie niejasnym poczuciem obowiązku towarzyskiego - sama jednak jej fizyczna obecność obudziła w nim doznania, o jakich istnieniu nie miał pojęcia. Do głębi poruszyła go falująca obfitość jej ciała, czysty, mączny wygląd jej gołych rąk, kiedy mu wskazywała wypaczenia framugi. Poruszył go jej pełny, krągły kok, pełnia jej twarzy, pełnia szyi i ramion, pod którą się kryła niewinność wołająca o opiekę. Zapragnął wcisnąć usta w cień wewnętrznego zagięcia jej łokcia, dotknąć koniuszkami palców półkul jedwabistej skóry pod jej oczami, ich doskonałych wypukłości.

Stojąc tuż obok, gdy pracował, dotrzymując mu towarzystwa, rozprawiała, zacinając się, o srogości zimy, najgorszej od lat, o lodowatych wiatrach i siarczystych mrozach, no, i o tym, że jak słyhać, rzeka zaczyna teraz zalewać pola na południe od Tyndall.

Tak, odparł ojciec, podnosząc na nią wzrok, wpatrując się w jej solenne usta, doszły go słuchy o wylewie, sytuacja jest ponoć bardzo groźna, ale cóż - tu uniósł swoje drobne ramiona - powódź zdarza się często o tej porze roku.

Zauważył, że tusza w znacznej mierze zatarła pierwotne rysy jej twarzy, oszczędzając jednak czyste, miękko ocienione oczy.

Odmówił zapłaty za reperację, oświadczając, że osadzenie progu zajęło mu niespełna godzinę, zresztą ta robota sprawiła mu przyjemność, stanowiła miłą odmianę po monotonii pracy w kamieniołomie, a w ogóle - tu uczynił nieokreślony gest w stronę drzwi, dachu, fasady zakładu oraz gromadki dzieci bawiących się przy drodze - w ogóle, powiedział, czuje się zaszczycony, że mógł choć tyle zaofiarować. Wobec tego matka zaprosiła go do cieplej kuchni i poczęstowała filiżanką kawy z kawałkiem placka lukrowanego brązowym cukrem, prosto z pieca. Jej placki były cudem słodczy i chrupkości, z równymi, foremnymi warstwami ciasta i rozpluwającym się w ustach nadzieniem.

Ojciec trzymał filiżankę i spodeczek na kolanach. Pamiętał później, jak wpatrywał się w swoje palce z ciemnymi obwódkami brudu za paznokciami. Ręce mu drżały, zdołał jednak wykrztusić:

- Czy mogę jeszcze kiedyś przyjść?

Matka mierzyła go przez chwilę wzrokiem, wyobrażając sobie jego kościstą klatkę piersiową pod koszulą, po czym odsunęła się od niego i zabrała do chowania naczyń. Nie rozumiała tego przymilającego się mężczyzny. Słowa wypływały z jego ust, roztopiały się w ciepłe kuchni. Rozbroiło ją jednak nieco drżenie jego rąk i lekko cebulowy zapach jego potu. Mimo woli obróciła się i posłała mu wymuszony uśmiech.

- Moglibyśmy pójść na spacer - zaproponował.

- Ja nie przepadam za spacerami - odparła bezradnie, zwrócona ku niemu, i uczyniła drobny gest.

- Proszę - powiedział, zdumiony własną odwagą. - Moglibyśmy posiedzieć i porozmawiać, jeśli pani woli.

Posłała mu suche, nieśmiałe spojrzenie, które zinterpretował jako formę przyzwolenia.

Przed sobą, jak odwracające się karty ciężkiej księgi, widział trudy wszystkiego, czego będzie się musiał nauczyć - konkurów, potem samego małżeństwa, jego inicjacji, nowego sposobu wyrażania się. Myśl o tak wielkim wysiłku prowadziła go na skraj rezygnacji, ale coś go popychało, żeby brnąć dalej, nauczyć się, czego trzeba, spróbować swoich sił. W ciągu miesiąca wymógł na niej zgodę. Zostanie jego żoną. Przeniosą się o trzydzieści mil dalej, do miasteczka Tyndall, gdzie otrzymał ofertę pracy w nowym kamieniołomie. Powiadomił o swoich zamiarach rodziców, którzy zaniemówili ze zdumienia, po czym wyznaczono datę ślubu.

Ludzie uśmiechali się na widok tej pary - lęklivego, zadurzonego młodego człowieka o chłopięcym wyglądzie, pochylającego się z atencją ku potężnej kobiecie, trzymającego jej dużą, ciężką dłoń na kolanach, głaszczącego ją delikatnie. Zauważano, że jest o ładne parę centymetrów od Mercy niższy. Przystając na progu sierocińca, żeby jej powiedzieć dobranoc, kładł koniuszki palców na jej pełnym policzku i wiódł nimi po krągłej powierzchni nieskażonej różowej skóry.

Od początku wiedział, że zapał Mercy Stone jest pośledniejszego gatunku niż jego własny, całkiem odmiennej próby, prawdę mówiąc, ale uważał to za stan naturalny, usprawiedliwiony. Mercy przyjmowała z niejaką konsternacją siłę i zachłanność pasji miłosnej, jaka go ogarnęła w dwudziestym szóstym roku życia. Nie żeby była wobec niego chłodna, co to, to nie, ale przyjmowała jego pierwsze żarliwe, acz nieśmiałe uściski z westchnieniem rezygnacji. Zdawała się nieciekawa przyszłego wspólnego życia, niemal obojętna wobec niego, chociaż fakt, że otrzymają do zamieszkania skromny domek należący do kamieniołomu, poruszył w niej jakąś strunę. Będzie miała własny dom, będzie go mogła urządzić i prowadzić, jak zechce. To jej się podoba, wyznała nieśmiało Cuylerowi. Nigdy się nie spodziewała, że coś takiego przypadnie jej w udziale. Była kobietą umiejącą docenić, żeby tak powiedzieć, wartość darowanej jej przez los połówki bochna.

Biorąc w 1903 roku za żonę Mercy Stone, mój ojciec nie wiedział nic o kobietach ani o wzgórkach i dolinach ich ciała, ani o inklinacjach ich umysłu. Nie miał także pojęcia, jak urządzić dom, od czego zacząć ani co powinno się w nim znaleźć. Nie mógł oczywiście brać przykładu ze swoich milkliwych rodziców, chociaż ci wzniesli się na wysokość zadania, biorąc udział w skromnej ceremonii ślubnej i ofiarowując młodej parze w prezencie ślubnym lśniący brylantowo zegar, który wybijał odtąd godziny, przypominając ojcu o szczęśliwym wyzwoleniu się z dotychczasowych uciążliwych układów i zastąpieniu ich pasmem nie przeczuwanych radości. Dawna obskurna sceneria jego życia odeszła w przeszłość, jej miejsce zajęły ład i jasność.

Był odmieniony. Wezbrana fala porywów seksualnych przepelniała go bez reszty, tak że przeobrażona zdawała się sama substancja jego ciała. Czuł, że w umyśle nosi jakieś subtelne pasmo starodawnych wspo-

nień, świetlistą wizję dokonań i możliwości, ocean i kontynent osiągalnego szczęścia. Nie miał wykształcenia, wiedział niewiele o historii i literaturze, nikt mu nigdy nie powiedział, że w wiekach średnich mężczyźni nie wstawali z łóżka tknięci chorobą tęsknoty miłosnej, która była niczym innym jak metafizyczną zapaścią, zbyt osobliwą i przemożną, by mdłe ciało mogło się z nią uporać.

Przez cały dzień, harując w kamieniołomie, wdychając tumany mineralnego pyłu, mój ojciec myśli o swojej Mercy, o sekretnych fałdach jej ciała, o jego miękkich wypukłościach i zapadlinach, o jej włosach i jej woniach, o sposobie, w jaki się do niego obraca, w jaki się ofiarowuje, początkowo wstydliwie, potem z rosnącą swobodą poruszeń. Wzdycha, gdy ich ciała się zespalają - fakt, nie da się zaprzeczyć - ale ojciec kocha nawet to jej westchnienie, to jej znużone poddanie się. Leżąc z nim w płytkim łóżku, jest zaambarasowana zabiegami jego dłoni, chociaż raz i drugi, przypadkiem, przesunęła palcami po jego intymnych miejscach, dotknęła wilgotnych włosków otaczających jego członek, dając mu poznać przedsmak nieba. Ojca nie odstręcza drgająca obfitość jej ramion, ud i piersi, nie odstręcza w najmniejszym stopniu; pragnąłby się cały zatopić w ich porywającej szczodrobliwości, tak jakby, pozbawiony przez całe życie drugiego ciała, nie miał go nigdy dosyć. Wie, że bez dobrodziejstwa hojnych kształtów tej kobiety nie nauczyłyby się nigdy odczuwać realności świata, pojmować arkanów uczucia i myśli, które inni traktują jako dane przyrodzonym prawem.

Z obawy, że zakłóci terażniejszość, nie ma odwagi zastanawiać się nad przyszłością, chociaż czasami nachodzi go myśl o satysfakcjach jeszcze większych niż obecne, o domu obszerniejszym, oświetlonym wieczorem jaśniejszymi lampami, a może nawet - czemużby nie? - o dzieciach śpiących w pokoju na górze. We wczesnych dniach małżeństwa Cuylerowi Goodwillowi kręciły się nieraz w oczach łzy na widok zagospodarowania półek kuchennych żony, równych stosików talerzy i posegregowanych sztućców, schludnie ustawionych zapasów - ryżu, mąki, cukru. Choć stanowią one wyraz wzruszającej, zapobiegliwej myśli o przyszłości, prawdę mówiąc, dla niego liczy się tylko terażniejszość.

Wystarczającym cudem jest stwierdzenie, że miłość znajduje się w jego zasięgu, że może o niej głośno mówić, że on, taki niepewny siebie, taki nierychliwy, taki upośledzony przez niedostatki swojej młodości, jest w stanie wyrazić w słowach gorączkę serca, a zarazem zaofiarować czułość, jakiej potrzebuje kobieta. Uświadomienie sobie tego zdumiewało go z początku, fakt, że zdania wylewają się z niego jak wezbrany strumień; lecz gdy słowa wydobyły się raz z jego gardła, poczuł się, jakby odnalazł swój prawdziwy język. Cofając się myślą wstecz, nie może teraz pojąć, dlaczego uważał się kiedykolwiek za niezdolnego do namiętej wypowiedzi.

Takie myśli przebiegają mu przez głowę, kiedy tak kroczy drogą z kamieniołomu - jak w ciągu dwóch krótkich lat został przeniesiony w nowy świat. (Czubkiem buta, niby sztubak, kopie przed sobą luźny kamyk, w płuca wciąga suchą woń pyłu wiszącego nad polami. Nic nie wyda mu się już nigdy tak doskonałe jak powietrze na tej drodze w lipcu 1905 roku). W ciele czuje miłe zmęczenie, ale wszystkie przelotne bóle w mięśniach i kościach osładza mu świadomość, że dzień, nawet taki zwykły poniedziałek jak dzisiaj, zostanie uwieczony błogością. Po powrocie do domu umyje się do czysta, zje dobrą kolację, popije ją herbatą, po czym, nim słońce zapadnie za horyzont, wkroczy w tę inną rzeczywistość, rozleglejszą i bogatszą, jakiej, mogłoby się wydawać, nie pomieści żadne łóżko - przyływ czułości, wzbierająca krew i ciemne zapadanie się w ekstazę. A potem - to wydaje mu się szczególnie cenne - cudowna nagroda wspólnego snu, z ukochaną u boku, z jej oddechem rozta-

piającym się w jego oddechu. Luźne pasmo jej włosów zabłąka się na wspólnej poduszce, będzie mógł całować ich koniuszki, nie budząc jej.

Jakiż dystans przebył! Patrząc teraz w twarze innych mężczyzn, nawet w twarz swego nierozgarniętego ojca, myśli: „Oto co świat ofiarowuje nam w zamian za nasze starania - tę bezcenną iskrę radości!”

Zrywa się wietrzyk. Ojciec przyśpiesza kroku. Droga z kamieniołomu wiedzie przez płaskie, zapadłe pola, nieurodzajne, słabo porośnięte, miejscami bagniste, pod przytłaczająco niskim niebem, pokładającym się na dachach topornych stodół i domostw. Osiedliła się ostatnio w tej okolicy pewna liczba rodzin galicyjskich, budując przysadziste chałupy bez okien, które kobiety ogacają słomą pomieszaną z błotem. Kiedyś, patrząc na takie siedziby, ojciec byłby pewien, że nie mieszka w nich nic prócz niedoli. Teraz wie lepiej. Ujrzał przebłysk rajy i widzi go wszędzie.

Życie jest nie kończącym się powoływaniem świadków. Trzeba, byśmy byli oglądani w naszych ekstrawaganckich i wstydliwych pozach, byśmy zwracali na siebie uwagę. Nasza własna pamięć jest zbyt pokrępowana, to najlaskawsze, co mogę o niej powiedzieć. Potrzebne są inne relacje, inne perspektywy. Nie darmo nawet najważniejsze ceremonie naszego życia - narodziny, miłość i śmierć - upamiętniane są przez osoby, które znajdują się akurat na miejscu. Przypadkiem, kaprysem losu!

Świadkiem moich narodzin jest Clarentine Flett, kobieta doprowadzona bez mała do szaleństwa przez klimakterium i samotność, oplakująca swoje nie spełnione życie, która w dwa miesiące później wsiądzie w pociąg do Winnipegu i porzuci na zawsze męża, nie dlatego żeby ją bił czy zdradzał, tylko dlatego, że jej odmówił pieniędzy (dwóch i pół dolara), których potrzebowała na poradę u doktora Spearsa w sprawie ropiejącego zęba.

Drugim świadkiem, załamującym rozpaczliwie ręce i głośno lamentującym, jest Abram Gozhde Skutari, lat trzydzieści cztery, znany w okolicy jako stary Żyd, wędrowny handlarz błyskotek, urodzony w albańskim mieście Prizren jako syn sefardyjskiego wytwórcy i handlarza gwoździ, wnuk zawodowego skryby, prawnuk rabina, praprawnuk... - genealogia (odtworzona przez kanadyjskiego wnuka Skutariego i opublikowana w 1969 roku przez McGill University Press) sięga piętnastego wieku - zrodzony z kobiety słynącej w okolicy z tego, że urodziła dwadzieścia ósmioro dzieci, które wszystkie dożyły sędziwego wieku i które, oddawszy jej należną cześć, gdy zmarła, pokłóciły się wściekle o pozostawione przez nią garnki i pościel.

Obecny przy moich narodzinach jest również doktor Horton Spears, lat pięćdziesiąt pięć, sprowadzony pośpiesznie przez starego Żyda, oderwany od popołudniowej sjęsty nad filiżanką kawy, w towarzystwie żony Rozamundy, która niedawno wróciła rozentuzjasmowana z lasów na północ od miasteczka, skąd przyniosła nowy okaz motyla do swej kolekcji, i która właśnie się biedziła, w okularach zsuwających się z jej długiego, wąskiego, niewydarzonego nosa, pochylonego nad księgami zaścielającymi stół w jadalni, żeby ustalić nazwę i właściwą klasyfikację okazu.

I wreszcie jest mój ojciec, Cuyler Goodwill, młody, ze śmiało wysuniętą szczęką, tryskający zdrowiem i wdzięcznością za to, czego życie tak nieoczekiwanie mu użyczyło, z apetytem na czekającą kolację, zgłodniały czułości, jakie ma przynieść wieczór. Jego drobna, smągła twarz i żyłasta postać pojawiają się nagle w kuchennych drzwiach i melodia, którą pogwizdywał, zamiera mu na wargach, skoro tylko jego wzrok pada na tę scenę chaosu, nieoczekiwane i nieznośne nagromadzenie ludzi w jego domu, obcy, ostry zapach buchający w nozdrza i wysokie rytmiczne zawodzenie - skąd ono się dobywa, skąd? - ta przerażająca zbitka głosek, jiiii-jjeeee, wzno-

sząca się w górę i opadająca w tę kotłowaną bielizny i powietrza, w której centrum, na zakrwawionej kuchennej kozetce z podwiniętą kretonową narzutą, leży jego żona, moja matka, ze znieruchomiłym słoniowatym ciałem, z zamkniętymi oczyma.

- Eklampsja* - stwierdza glucho doktor Spears, zakrywając jej twarz prześcieradłem, nie, nie prześcieradłem, obrusem, i mierząc surowym wzrokiem mego ojca. - Prawie na pewno eklampsja.

* Eklampsja - rzucawka porodowa; rodzaj zatrucia ciążowego.

Na podłodze kładą się cienie z otwartych drzwi. A na kuchennym stole leżą ja, wydobyta wilgotna z mego macicznego świata, zakutana, ślepa, z biciem serca zależnym od serii zastawek naczyniowych kruchych jak płatki niezupełnie rozkwitłego kwiatu. A gdzie się podział, zapytacie, pudding malvern obciążony prawnym kamieniem? Został odstawiony wraz z książką kucharską mojej matki. Ani jedno, ani drugie nie pojawi się już w tej opowieści. A ja jestem zakutana w co? W ścierkę kuchenną? A może w coś ściągniętego ze sznura na bieliznę Clarentine Flett, w poszewkę wysuszoną do sztywności w słońcu Manitoby. Moje usta się otwierają, krągła pomarszczona fałdka, już szukająca, domagająca się i może już w jakiejś nieświadomej warstwie wiedząca, że to życiodajne włókno, do uchwycenia którego rwiemy się od urodzenia, będzie mi odmówione.

Wszyscy stłoczeni w tej małej, gorącej, cuchnącej kuchni - pani Flett, stary Żyd, doktor Spears i Cuyler Goodwill - zostali powołani do uczestnictwa w historycznej chwili.

Historycznej, akurat! Jakby ten szczupły odcinek czasu zasługiwał na taką nazwę. Przypadek, nie historia, zgromadził nas tu wszystkich. I jakąż stanowimy zbieraninę! Cóż to za pomieszanie, cóż za dysonans między nieporadnością i fatum. Żałobnicy potrafią nasycić aurę potępieniem, ale to jeszcze nie żałobnicy. Wiąże ich ze sobą paroksyzm bezradności. Albo raczej odpycha ich od siebie.

Brylantowo błyszczący zegar wybija godzinę szóstą i na ten dźwięk świadkowie obracają się i spoglądają po sobie, a potem na mnie, nieproszonego gościa. Sekrety, tajniki i kłamstwa ich osobnych jestestw tańczą jak atomy w polu magnetycznym, tak że ta izba, prosta, nisko sklepiona kuchnia wiejska, wibruje takim ładunkiem, jaki poprzedza cyklon. Jestem niemal pewna, że ta izba nie podsuwa zgromadzonym żadnej sugestii, co powinno teraz nastąpić, jakie należałoby wypowiedzieć słowa, w czym szukać pociechy: w herbacie, w whisky czy też w zająkliwej retoryce wspólnej pobożności. Te pocziwe dusze, bo są to pocziwe dusze, stąpające po odwiecznych pokładach wapienia biało połyskującego parę centymetrów pod deskami podłogi, w tej chwili czują się nie zakotwiczone, kołaczą się w świecie zawieszonym pomiędzy sztychem śmierci a kłopotliwą niefrasobliwością narodzin.

Zakłopotani, a może zawstydzeni, rzucają ostatnie spojrzenie na wielki biały kształt Mercy Stone Goodwill, która leży przed nimi milcząca i nieruchoma jak łódź na lądzie, obca dla świata przez całe życie, oddawszy dziecku swoje ostatnie tchnienie.

Skrzydeł tego tchnienia czepiam się ja. Już w tej chwili anektuję to tchnienie na swoją wyłączną własność. Zapisuję wiernie jego moc i fakturę, bo jakkolwiek bym się starała, nie mogę być pewna niczego w

świecie, niczego prócz tego jej ostatniego tchnienia, jego zwiewnego śladu, pokutującego w izbie niby śnieg czy blask słońca, palącego, mrożącego moje zapieczętowane powieki, krzyczącego: „Otwórz, otwórz je!”

ROZDZIAŁ DRUGI

Dzieciństwo

1916

W wieku trzydziestu trzech lat Barker Flett ma przygarbione ramiona i smutną twarz, ale na jego widok kobiety myślą: „Oto mężczyzna, którego łatwo byłoby uszczęśliwić”.

Miałyby ochotę wziąć zwilżoną szmatę i przeprasować tę jego tanią marynarkę z czesanej wełny w której wykłada studentom o wegetacji cyklamenu czy krokusa preryjnego. Koszule mógłby mieć także świeższe i kołnierzyki do nich należycie przypięte, a te jego zdarte sznurowane trzewiki aż się proszą o szczotkę i pastę. I tak dalej, i tak dalej. Krótko mówiąc, czego profesorowi Flettowi potrzeba, to odrobiny kobiecej dbałości. Serdecznej dbałości, ma się rozumieć. Nie śmiejcie się z niego; współczujcie mu, kochajcie go.

Zjawia się w college'u nieprzytomny, spóźniony na wykład pięć, dziesięć minut, z wyrazem szklatego osłupienia w oczach, kiedy toczy nimi po twarzach oczekujących studentów, zanim zacznie grzebać w teczce w poszukiwaniu notatek. Są, znalazł je. Rozkłada je na pulpicie, zaaferowany, ze zmarszczonym czołem. Okulary, zapomniał okularów. Nie, są w kieszeni na piersi. Wyciąga je, zakłada druty za kształtne uszy, najpierw lewy, potem prawy, przyciska środkowym palcem mostek do nasady nosa, żeby równo ustawić szkła. Mruga dwa razy. Odchrząkuje. I zaczyna.

Głos ma piękny, o fakturze miękkiej wełnianej tkaniny. Gdyby ten głos miał barwę, byłaby ona ciepło-kasztanowa. W tonie, w płynności, w dźwięczności jest akurat taki, jaki powinien być głos mężczyzny, z leciutkim nalotem szkockiej gardłowości, cieńszym niż warstewka werniksu na dębowym pulpicie, ale nadającym mu właściwą twardość. Wspina się na szczyty zdań. Pauzy między nimi są wyczuwalnymi furtkami, bez których słuchacze popadliby w trans.

Tak jak się sprawy mają, nie odrywają jedynie oczu od profesora, wpatrzeni głównie w jego ładne, za-troskane, uczone usta. Opuszczają głowy, tylko kiedy trzeba zapisać słowa, którymi sypie jak z rękawa - nazwami części tego czy owego kwiatu: słupek, znamię, szyjka słupka, załącznia, pręcik, pylnik, nitka pyłkowa, płatek, działka kielicha, dno kwiatu. Często korzysta z tablicy, ale dzisiaj zapomniał przynieść kredę, więc kreśli tylko figury w powietrzu. Jego długie palce otwierają się i zamykają wokół nie istniejących kształtów. Wstyd tylko, że jego mankiety są w takim oplakany stanie i zdaje się na lewym rękawie, tak, na lewym rękawie wyraźnie brakuje guzika. On jednak jest nieświadomy tego braku, i to właśnie czyni profesora Barkera T. Fletta takim ujmującym w oczach studentek, ten doskonale męski dar samozatrącania się.

Dzieje się to jesienią 1916 roku, więc dwanaście spośród czternastu osób zapisanych na kurs „Wprowadzenie do botaniki” to młode kobiety. Mężczyźni studiujący w Wesley College przywdziali uniformy dominium Kanady i poszli na wojnę, wszyscy z wyjątkiem dwóch - epileptyka Edwarda Wooda i karłowatego kaleki

Clarence'a Redfielda, metr dwadzieścia wzrostu i jedna stopa wykręcona na zewnątrz. A dlaczego sam profesor Flett nie walczy na froncie?

Kraży na ten temat mnóstwo plotek. Mówi się, że być może jest on pacyfistą, chociaż nie zadeklarował się dotąd jako pacyfista. Albo że ma słabe serce, na co by wskazywała niemal przezroczyista karnacja jego skóry. Albo też że został odrzucony przez komisję z powodu słabego wzroku - trudno oczekiwać, żeby do walki z kajzerem stawał człowiek noszący okulary. Jest też ta jego wierzbowa laska, którą może nosi dla fasonu, a może z konieczności. Niewykluczone również, że za istotne dla wysiłku wojennego uznano jego badania nad nowymi odmianami pszenicy. (Jeszcze w 1905 roku, pracując nad magisterium, Barker Flett przyczynił się do ulepszenia hybrydy marquis, odpornej czerwonej jarej pszenicy, którą próbuje teraz skrzyżować z rewelacyjną odmianą Garneta, dającą plon o pełne dziesięć dni wcześniej, co zmniejsza ryzyko szkód powodowanych wiosennymi przymrozkami). Albo też został zwolniony od służby czynnej jako jedyny żywiciel starej matki i młodej bratanicy, dziewczynki jedenastoletniej. (To ostatnie tłumaczenie jest najczęstsze, a co więcej, prawdziwe. No, niemal prawdziwe).

Jak to się dzieje, że studenci wiedzą o jego starej matce i młodej bratanicy? Bo oczywiście sam profesor Flett nigdy o nich nie wspomina. Ano dlatego, że jedna ze studentek, żywa jasnowłosa Bessie Perfect, mieszka na stacji przy Downing Street, o dwie bliskie przecznice od Simcoe Street, przy której rezyduje rodzina Flettów. Inna studentka, Jessie Saltmeyer, uczęszcza do Pierwszego Kościoła Metodystycznego, dokąd rodzina Flettów chodzi co niedziela na mszę. Dalej, wśród studentek jest niejaka panna Lena Ballentyne, której ojciec, dentysta, zna starą panią Flett, gdyż robił jej dwukrotnie mostki. I co jeszcze? Aha, mała Clarence Redfield podczas niedzielnego spaceru spotkała kiedyś rodzinę Flettów na brzegu Rzeki Czerwonej. Szli z koszykiem piknikowym i zwiniętym kawałkiem dywanu do rozłożenia na trawie. Ta nieporadność małych rodzin! Ale i rekompensujący atut ich samowystarczalności.

Takimi oto strzępami informacji dzielą się studentki w salach wykładowych Wesley College, składają je w jedną całość. Panna Saltmeyer dorzuca niemal mimochodem, że matka profesora Fletta nie jest znowu taka stara, że wiosną i latem hoduje na pustej parceli koło domu przy Simcoe Street sporo kwiatów, które dostarcza kwiaciarniom w różnych częściach miasta. Ktoś inny przynosi wiadomość, że owa „bratanica” nie jest naprawdę żadną krewną, tylko córką przyjaciela rodziny, którego żona zmarła w połogu. Słuchaczki „Wprowadzenia do botaniki” pasjonują się tymi rewelacjami, najbardziej jednak ekscytuje je fakt, że Barker Flett jest nieżonaty. Ta dziwna, cudowna anomalia napawa je osobistą nadzieją na przyszłość przystojny trzydziestotrzyletni mężczyzna, który nie znalazł jeszcze towarzyszki życia.

Nie mogą się oczywiście powstrzymać od rozważań, czy w jego przeszłości nie kryją się jakieś tragicznie zerwane zaręczyny, możliwość dyskutowana tak długo przez kolejne roczniki studentek, że w końcu nabrała solidnego blasku autentyczności. Funkcjonuje w kilku różnych wersjach - ukochana zabrana z tego świata przez suchoty, narzeczony uznany za nie nadającego się na męża ze względu na sympatie ku obrządkowi katolickiemu, na naganny charakter, na historię dziedzicznego szaleństwa w rodzinie, na fakt, że pensja profesorska w Wesley College nie wystarczy na utrzymanie żony.

Naprawdę w przeszłości Barkera Fletta nie kryją się zerwane zaręczyny, nie kryją się żadne stargane więzy ducha ani ciała. Profesor Flett, doskonale świadom krążących wokół niego legend, uśmiecha się na tę

myśl. Jego uśmiech jest równie piękny jak jego głos, jest to jednak uśmiech wykluty z frustracji ascetyzmu i z podejrzania, że miłość to nic innego jak eufemiczna nazwa samookaleczenia. Najbardziej lubi swoje własne towarzystwo. Cichy, ciepły pokój zimą, fotel, książka pod jasnym snopem światła, wygodna wstrzemięźliwość. Albo samotna włóczęga latem po łąkach, całodzienne zbieranie roślin, z kozikiem, torbą na okazy i sandwiczem czy dwoma za całe towarzystwo. Prawda, trzykrotnie w ciągu dorosłego życia odwiedził pokoje prostytutek na Higgins Avenue, ale traktuje to jako epizody edukacyjne, które nie poruszyły w nim żadnej czulszej struny. Być może należy do mężczyzn, których cechuje jednocześnie subtelna wrażliwość i głęboka wrogość w stosunku do kobiet. Ale na pewno nie trwa w żałobie po utraconej miłości, jak chcą wierzyć jego studentki. Jeżeli czegoś żałuje, to prostoty życia, którą się krótko cieszył, a którą utracił.

Nigdy nie był tak bliski szczęścia jak latem roku 1905, w dwudziestym drugim roku życia, kiedy mieszkał w dwóch pokojach na poddaszu od podwórza w pensjonacie na Simcoe Street i kiedy, schylony nad małym studenckim biurkiem, kończył dysertację o zachodniej odmianie sabotka *Cypripedium*.

Był rozkochany w tym kwiecie. (Sabotek to oczywiście pantofelek Wenery). Potrafiłby narysować jego zmysłowy kształt nawet przez sen. Grzbietowa działka kielicha, prętosłup, boczna działka, otoczka, przylistek, oczko, korzeń. Roślina pospolita, owszem, należy jednak do egzotycznej rodziny storczykowatych. Ten delikatny, postrzępiony kwiat stanowił jego wyłączną własność. Pracował nad nim przez wiele miesięcy, aż poznał wszystkie jego splecione jedwabiste części i zgłębił czysty klasyczny mechanizm rozrodczości, który go wynosi z pośledniej śródkontynentalnej gleby i rozwija pełnię jego piękna dla oka człowieka, dla oka jego, Barkera Fletta. (Wierzył w to bez odrobiny próżności).

Intensywne wpatrywanie się w jeden i ten sam żywy twór budziło w nim inne, bardziej złożone tęsknoty. Czuł na nowo potrzebę dania upustu porywom ciała - te kobiety na Higgins Street - i zatarcia w pamięci wszystkiego, co było brutalne w jego dotychczasowym życiu, poczynając od tępego, tłumionego gniewu rodziców i braci, rodziny pozbawionej zaplecza nauki, kultury, nawet języka. Pragnął się odgrodzić od nędznych, niebrukowanych ulic Tyndall w Manitobie, gdzie dorastał, i od ślepego szamotania się w poszukiwaniu zbawienia i seksu, które dostrzegał wszędzie dokoła. Ocalenie kryło się w strukturze tego skromnego kwiatka, którą próbował odtworzyć akwarelami na arkuszu brystolu, tego wielopłatkowego tworu, skończonego w sobie, posłusznego tylko swoim własnym prawom i rytmom, żadnym innym. Wiele lat później, spoglądając wstecz, pamięta, z jakim wzruszeniem trzymał w palcach pędzelek, jak przez okno padało na jego nadgarstek słońce i jak się załamywało na krawędzi szklanki z wodą, napelniając światłem całą egzystencję.

Jego euforia nie trwała długo. Przełożony college'u, Macintosh, zażądał od niego przestawienia się na badania nad wyhodowaniem odporniejszych odmian zbóż, przypominając mu, że metodyzm jest religią głoszącą zarówno wartości duchowe, jak społeczne, zabiegającą o poprawę warunków życia ludzkiego - starszy pan z ogniem wybił te słowa - warunków życia człowieka na tej ziemi. Dla oświecenia młodego, wrażliwego Barkera Fletta zacytował słowa Jonathana Swifta: „Kto zdoła wyhodować dwa kłosa zboża na skrawku ziemi, gdzie pierwaj rósł tylko jeden, lepiej się przysłuży rodzajowi ludzkiemu i więcej przysporzy dobra ojczyźnie swojej niżli cały gatunek polityków razem wzięty”.

Tak więc młody Flett musiał porzucić zabawę z sabotkami i skupić się na hodowli nowych odmian zbóż. Co więcej, jakby nie dość było tego wyrzeczenia, obarczono go nauczaniem, obok botaniki, także pod-

staw fizyki i chemii, a rok później, kiedy usunięto biednego Blasera (wyszło na jaw, że „nadużywa alkoholu”), również podstaw zoologii. Z dnia na dzień, zdawało się Flettowi, zniweczono jego życiową pasję.

Co gorsza, wróciwszy któregoś wieczoru w końcu września do swoich dwu pokoiów na Simcoe Street, zastał rozlokowaną w nich matkę. Na jej kolanach leżało niemowlę, machało rączkami, kopało nóżkami, wypinało brzuszki i wyęzając płuca, protestowało głośno przeciw niesprawiedliwości świata.

*

Czy już mówiłam, że w 1905 roku Clarentine Flett uciekła od męża Magnusa? I czy wspomniałam, że zabrała ze sobą niemowlę, którym się opiekowała, małą córeczkę Mercy Goodwill, sąsiadki, która umarła w połogu?

Pani Flett opuściła dom we wrześniu, gdy seria nocnych przymrozków sprowadziła już falę chłodnego powietrza, tak więc dziecko - dziewczynka pogodnego usposobienia - w dodatku do nansukowej koszulki i prostej flanelowej sukieneczki było okutane w zapinany kaftanik z delikatnej białej wełny, a te wszystkie warstwy spowijał bezpiecznie zawiązany obszerny dziany szal.

Był roziskrzony ranek, na zegarze godzina 9:07, kiedy pani Flett wsiadła na stacji w Tyndall do pociągu Imperial Limited, przekonana, że jej życie jest skończone, trzymając jednak całym wysiłkiem woli głowę do góry i stwarzając pozory ożywienia i zaabsorbowania. Nikt z tych, którzy ją widzieli kupującą bilet do Winnipegu - zapłaciła banknotem dolarowym wyciągniętym w nocy z męzowskiego pudełka na kołnierzyki - nie zauważył, że wzięła bilet na przejazd tylko w jedną stronę. Potencjalni świadkowie, gdyby stali dostatecznie blisko, mogliby poczuć od niej przenikliwy, choć wcale przyjemny zapach, wydobywający się z wacika, który nasączyła olejkami goździkowym i którym szczelnie owinęła pulsujący ząb trzonowy. Jej kapelusik, ozdobiony lichym merceryzowanym atłasem i japońską wstążką, choć niewart drugiego spojrzenia, przypięty był pod kokietyjnym kątem, przydając jej drobnej, surowej twarzy żywości znacznie młodszej kobiety; naprawdę miała czterdzieści pięć lat. Wielka naręcz jesiennych kwiatów, którą ścisnęła, zostałaby zapewne uznana przez przygodnych obserwatorów za kobiecą fanaberię, a gdyby ktoś zajrzał do jej niewielkiej walizki, znalazłby tam jedynie jej złożony wełniany paltot oraz tuzin pieluszek z delikatnej kantońskiej flaneli i butelkę z trzema czarnymi gumowymi smoczkami dla dziecka. Był to bez dwóch zdań niezbyt poręczny bagaż - walizka, bukiet i okutane niemowlę - pani Flett jednak usadowiła się pewnie na miejscu przy oknie.

Podróż była krótka, wszystkiego pięćdziesiąt trzy minuty jazdy przez pola równinnych rzysk i kilka zalanych słońcem miasteczek - Garson, East Selkirk, Gonor, Birds Hill, Whittier Junction - i przez cały ten czas, siedząc z dzieckiem uśpionym na piersi, pani Flett rozważała sposoby utrzymania się na powierzchni. Owsianka, którą zjadła na śniadanie, leżała jej ciężko na żołądku, lecz jej wyobraźnia bujała wysoko w obłokach. Wiedziała, że dotychczasowe życie pozostało za nią, odcięte równiutko jak nożem (ta kartka do męża, wetknięta pod prasę do chusteczek, jedno naskrobane słowo: „Żegnaj!"). Przed nią otwierały się nowe szanse, nowe możliwości, po które musi sama sięgnąć. Wsiadłszy z pociągu, stanie na ruchliwej ulicy przed stacją kolei Canadian Pacific w Winnipegu i zaoferuje przechodniom przywiezione kwiaty. Ludzie miastowi szaleją za świeżymi kwiatami, nawet tak pospolitymi jak te, rosnącymi dziko na każdym skrawku nieużytków, chociaż trzeba wiedzieć, gdzie najlepiej szukać. Astry, zwane często michałkami, podzieli na cztery osobne wiązanki, doda do każdej parę gałązek o soczystych listkach, przewiąże ładnie wstążeczką, którą ze sobą wzięła, i sprzeda po

dziesięć centów za bukiet. Wystarczy tego na dorożkę, która zawiezie ją z dzieckiem do pensjonatu na Simcoe Street, gdzie mieszka jej syn Barker. Znalazłszy się na miejscu, wdrapie się po dwu tuzinach drewnianych schodów, zapuka do drzwi, zostanie wpuszczona. Odtąd będzie czekała, otwarta i uważna, na to, co jej przyniesie los.

*

Szanowny Panie Goodwill! - pisała Clarentine Flett wielkimi, okrągłymi, niewprawnymi literami. - Dziękuję za wiadomości i odpisuję od razu, żeby Pana zapewnić, że Daisy, jak przywykłam ją nazywać, znajduje się pod dobrą opieką i w doskonałym zdrowiu. Jestem rada, że zgadza się Pan ze mną, iż takie małe dziecko będzie się lepiej rozwijało pod kobiecym okiem, przynajmniej przez jakiś czas. Przepraszam tylko, że w swoim wzburzonym stanie umysłu nie pomyślałam, wyjeżdżając w miniony wtorek, o zostawieniu Panu liściku z wyjaśnieniem. Może się Pan jednak nie martwić o swoje drogie dziecko, gdyż warunki w domu mego syna są bardzo wygodne i higieniczne. Pańska tragiczna strata przejmuję mnie do głębi, gdyż jak Pan wie, kochałam z całego serca Pańską drogą żonę, Mercy. Przesyłam w liście loczek włosów Pańskiej córeczki, który, mam nadzieję, przyniesie Panu nieco pociechy, jest to niestety bardzo mały loczek, prawdę mówiąc, może pół tuzina włosków, gdyż mała ma ich jeszcze niewiele na zbyciu.

*

Barker Flett, ów wysoki, chudy, źle ubrany entuzjasta botaniki, siedział zgarbiony nad swoim zawalonym szpargałami biurkiem, w pozycji świadczącej o przygnębieniu. Westchnąwszy ze strapienia, ujął obsadkę ze stalówką, zanurzył ją w kałamarzu i jął skrobać: *Kochany Ojczy! Dziękuję za Twój list, chociaż napelnia mnie bólem Twoja odmowa napisania bezpośrednio do Mamy, ciągle bowiem wierzę, że Twój apel, gdyby był szczery i ogłędnie sformułowany, mógłby ją przywieść do opamiętania i skłonić do powrotu do domu. (Tu zatrzymał się na chwilę, wpatrzył w krople deszczu bębniące o szybę). Tymczasem błagam, żebyś znalazł w sercu miłosierdzie i wyznaczył jej jakąś skromną pensyjkę, może dolara, dwa tygodniowo. Jak wiesz, musiałem wynająć dla niej i dla dziecka dodatkowy pokój, a moje pobory w college'u nie starczą na pokrycie tych nowych, całkowicie nie przewidzianych wydatków. Doszły do tego rachunki lekarskie, gdyż Mama miała ostre zakażenie po usunięciu zęba, a dziecko cierpi dzień i noc na coś, co doktor Sterling nazywa ciężarem na piersiach. Wiadome Ci już jest może, że nasz sąsiad, pan Goodwill, zgodził się łożyć osiem dolarów miesięcznie na utrzymanie dziecka. Jakkolwiek hojne, jest to niewystarczające. Przesyłam Tobie, jak również moim kochanym braciom, serdeczne pozdrowienia.*

Barker Flett

*

Wielce Szanowny Panie Goodwill!

Pański comiesięczny list jest zawsze mile widziany, a szczególnie gorąco dziękuję Panu za przekaz, który w pełni doceniamy. Z przyjemnością donoszę, że Daisy jest nadal okrągłutka i szczęśliwa, a jej nóżki robią się coraz silniejsze. Oboje z synem uważamy, że zacznie chodzić przed końcem miesiąca. W załączeniu przesyłam fotografię, o którą Pan prosił. (I ponownie dziękuję za przekazanie potrzebnych pieniędzy). Jak Pan sam zobaczy, fotografowi udało się uchwycić niezwykłą kędzierzawość jej włosków, które są bardzo pięknego koloru, jak ktoś to określił, kasztanowego. Śpieszę Pana zapewnić, że wbrew temu, co Pan może słyszał, powietrze

w Winnipegu jest świeże i zdrowe. Ponadto jesteśmy w tym szczęśliwym położeniu, że obok domu mamy śliczny duży ogród, gdzie Daisy będzie mogła biegać, kiedy nadejdzie lato.

Z serdecznymi pozdrowieniami,
Clarentine Flett

*

Kochany Ojczy!

Rozmawiałem z Mamą, tak jak prosiłeś, ale niestety trwa ona przy swojej odmowie powrotu do Tyndall mimo Twojej wspaniałomyślnej gotowości przyjęcia jej z powrotem i puszczenia w niepamięć jej nagłego wyjazdu i długiej nieobecności w domu.

Co do Twojego drugiego pytania, muszę z żalem odpowiedzieć odmownie, sądzę bowiem, że Twój przyjazd tutaj odbiłby się niekorzystnie na jej nerwach. W chwili obecnej stan jej umysłu jest względnie spokojny, absorbuje ją bardzo praca w ogrodzie i bieganie za Daisy. Nie powinniśmy jednak tracić nadziei na Wasze przyszłe pogodzenie.

Z goryczą przyjąłem również Twoją decyzję w kwestii pieniędzy, które stały się dla mnie przyczyną nieustającego strapienia.

Twój syn Barker

*

Wielce Szanowny Panie Goodwill!

Z trudem uwierzy Pan, że za krótkie dziesięć dni Daisy rozpoczyna naukę we wstępnej klasie. Zna już na pamięć abecadło, jak również Modlitwę Pańską, Psalm Dwudziesty Trzeci i kilka prostszych hymnów. Potrafi ponadto wyrecytować potoczne nazwy wszystkich gatunków kwiatów w naszym ogrodzie, a jest ich jakieś dwadzieścia pięć. Z radością też donoszę, że ostatnie dwa miesiące pięknej pogody, w połączeniu z regularnym stosowaniem na noc kataplazmów z dziewanny, znacznie poprawiły stan jej niedomagań piersiowych. Co do mnie, czuję się bardzo dobrze.

Oddana Panu

Clarentine Flett

*

Szanowny Panie Goodwill!

Dziękuję za Pański list z 28. i zapewniam Pana, że Daisy cieszy się doskonałym zdrowiem. Swoją szkolną deklamację „Lamentu żeglarza” wykonała z ogromnym uczuciem i zapalem.

Z wielkim zainteresowaniem przeczytaliśmy w zeszłotygodniowej „Tribune” o Panu i Pańskiej głośnej wieży. Ponieważ jej podobizna w gazecie była dosyć niewyraźna, mój syn, profesor Flett, bardzo chciałby ją zobaczyć w naturze, ale jak

Pan wie, przestał jeździć do Tyndall, odkąd jego bracia przenieśli się na Zachód. Wielce Panu oddana

Clarentine Flett

*

Kochany Ojcze!

Sprawia mi wielką przykrość, że muszę się do Ciebie zwrócić ponownie o pieniądze. Apeluję do Twego sumienia, żebyś wziął pod rozwagę te wszystkie lata, przez które żyliście z Mamą w harmonii i przez które służyła Ci z miłością i oddaniem, nigdy nie myśląc o żadnej rekompensacie. Nasza codzienna egzystencja tutaj stała się obecnie wyjątkowo niepewna, gdyż jak się obawiam, moja decyzja kupna na Simcoe Street domu wraz z przylegającą parcelą była pochopna, szczególnie że miasto zaczyna się rozrastać ku południowi, a w dodatku mówi się o wojnie. Zapewniam Cię, że mój krok płynął z chęci zapewnienia Daisy, która wyrasta na śliczną panienkę, godnego jej domu, którego nie musiałaby się nigdy wstydzić. Wprawdzie Mama zarabia trochę na sprzedaży kwiatów i ziół, ale też i budowa oranżerii sporo kosztowała. Prawdą jest również, jak piszesz, że moje własne zarobki wzrosły po opatentowaniu odmiany pszenicy marquis, ale pełne dwie trzecie tantiem z tego idą na rzecz college'u. Oczekuję z nadzieją Twojej pozytywnej odpowiedzi.

Może Cię zainteresuje, że mówi się tu ostatnio wiele o wieży Goodwilla, jak to nazywają w naszym mieście, a słyszę także, że przyciąga ona ciekawych z całej prowincji i nawet ze Stanów.

Twój syn Barker

*

Szanowny Panie Goodwill!

Chciałabym, aby ten liścik upewnił Pana, że Daisy powróciła już całkowicie do zdrowia po przebytej odrze. Był to bardzo ciężki okres, a zamknięcie przez tyle tygodni w ciemnym pokoju ogromnie ją zmęczyło, tym bardziej że jest z natury zdrową, ruchliwą dziewczynką. Natomiast podniosła ją nadzwyczaj na duchu fotografia Pana na tle Pańskiej wieży, zamieszczona na lamach zeszłotygodniowego numeru „Family Herald”. „To naprawdę mój tatuś?” - zapytała mnie, a ja ją zapewniłam, że naprawdę. Nabila sobie głowę, że musi Pana koniecznie odwiedzić, i o niczym innym nie mówi, my jednak, profesor Flett w równej mierze co ja, uważamy, że taka wizyta byłaby zbyt emocjonująca dla dziewczynki, która dopiero co wyzdrowiała po ciężkiej chorobie.

Pozostajemy zawsze wdzięczni za Pańskie comiesięczne wsparcie dla naszego domu. Jakoś wiążemy koniec z końcem przy ograniczonych funduszach, w znacznej mierze dzięki temu, że moje skromne przedsięwzięcie ogrodnicze coraz lepiej się rozwija. Zdawałoby się, że świat nagle odkrył radość, jaką w szarą wojenną egzystencję mogą wnieść zwykłe kwiatki.

Pańska Clarentine Flett

*

Szanowny Panie Goodwill'.

Dziękuję Panu serdecznie za Pańskie modlitwy i za Pańskie słowa pocieszenia. Z całym przekonaniem mogę Pana zapewnić, że moja ukochana Matka nie cierpiała w swoich ostatnich dniach, ponieważ od chwili tego strasznego wypadku popadła w stan nieświadomości. Przyjaciółki i znajome, które czuwały przy jej łóżku, znajdowały w jej spokoju źródło siły i natchnienia. Została złożona na wieczny spoczynek w asyście przyjaciół i rodziny, gdyż obaj moi bracia zdążyli przyjechać z Zachodu w porę, by oddać jej ostatnią posługę. Ojciec nasz, jak Pan wie, zachował do końca zatwardziałość serca, tak że on jest teraz tym, w którego stronę winny się kie-

rować nasze modły. Co do tego młodego rowerzysty, który wpadł na moją Matkę, to został on skazany na grzywnę dwudziestu pięciu dolarów, a słyszę, że jest chory z wyrzutów sumienia.

Zastanawiałem się w ostatnich dniach wiele nad sprawą Daisy, którą moja Matka kochała jak własną córkę, świata poza nią nie widziała, prawdę mówiąc. Zgodzi się Pan na pewno ze mną, że nie wypada, aby jedenastoletnia dziewczynka mieszkała wspólnie z obcym mężczyzną, który ani nie ma żony, ani środków, żeby nająć kobietę do opieki nad nią. Zresztą, zdaje się, opuszczę niedługo Winnipeg, żeby podjąć pracę z Cerealistą Dominion* i jego komitetem w Ottawie. Niech Pan będzie łaskaw podzielić się ze mną jak najotwarciej zapamiętaniem na sprawę Daisy i tego, co wspólnie możemy uczynić dla zapewnienia jej domu i szczęścia na przyszłość. Z poważaniem,

Barker Flett

* Cerealista Dominion (Dominion Cerealist) - dawniejszy wysoki urzędnik federalny sprawujący pieczę nad hodowlą zbóż w Kanadzie.

*

Zaznawszy szczęścia, mój ojciec nie potrafił bez niego żyć. Raz obudzony, musiał go szukać. Mógł się zatopić w poezji po przedwczesnej śmierci żony - albo w alkoholu czy ramionach innych kobiet - lecz zamiast tego, jak wielu ciężko pracujących młodych mężczyzn za jego czasów, odkrył Boga. W jego przypadku objawił On się pod postacią tęczy, na wschód od drogi do kamieniołomu, niedaleko od poletka, na którym leży pogrzebana moja matka.

Wydarzyło się to w październiku, wczesnym rankiem po nocy ulewnego deszczu.

W parcianym worku przerzuconym przez ramię ojciec niesie ośmioboczny kawałek wapienia (wielkości, powiedzmy, kantalupa), który zamierza umieścić na grobie zmarłej żony. Przełazi przez płot koło narożnika Taylora i idzie na przełaj przez ściernisko, po rozmokłych nierównych grudach, gdy nagle przez chmury przebija słońce, zrazu bladeżółte, lecz rychło przybierające na sile, tak że przenika przez materiał jego szarej bawełnianej koszuli. Ojciec podnosi głowę i oto jest - tęcza.

Oczywiście widywał już w życiu tęcze i zawsze przystawał, jak to wiejscy ludzie, by podziwiać spektakl wodnej opalizacji. W końcu tęcze nie zdarzają się w południowej Manitobie tak często, żeby na nie nie zwracać uwagi. Zawsze ktoś krzyknie: „O, patrzcie!”, wskazując na niebo - i zaraz rodzi się w myślach jakieś sekretne pragnienie, niejasne przeczucie spodziewanej odmiany losu czy choćby nastroju.

Na tym etapie życia Cuyler Goodwill nie zagłębił się jeszcze w studiach Pisma Świętego i nie potrafiłby przytoczyć, choćbyście go prosili, wypowiedzi Boga do Noego po potopie: „Łuk mój kładę na obłoki, aby był znakiem przymierza między Mną a ziemią”*.

* „Księga rodzaju”, 9:13, przełożył ks. Czesław Jakubiec.

Zarazem jednak mój ojciec (choć ma niewiele formalnej edukacji) nie jest ciemnym ani zabobonnym człowiekiem i rozumie ogólne zasady zjawiska tęczy, wie, że efekt pryzmatyczny wywoływany jest przez załamanie, rozszczepienie i odbicie światła na kropelkach wody. Zdaje sobie również sprawę z niestałości feno-

menu, jego niematerialności - ma przecież stale do czynienia z kamieniem, z jego twardymi kantami i sprawdzalnymi wymiarami. Łuku tęczy nie można dotknąć, jej rozpiętości nie da się zmierzyć, a kolory się rozplývają, ledwo je się spostrzeże. Nawiasem mówiąc, istnieje nawet przekonanie, szeroko rozpowszechnione wśród prostych ludzi, że tęczy nie można sfotografować, że jej ruchoma, ulotna struktura jest nieuchwytna dla przenikliwego oka soczewki i nieczuła na ostateczny sprawdzian poddawanego chemicznym reakcjom papieru.

Ale tęcza, która się ukazuje oczom mego ojca owego październikowego ranka 1905 roku, trzy krótkie miesiące po zgonie żony, jest inna, o żywszych, bardziej wyrazistych barwach, o konturach natarczywych jak na dziecięcym rysunku kredką. Ta tęcza zdaje się zrobiona ze szkła czy jakiegoś przezroczystego marmuru, z materiału twardego, solidnego, namacalnego, zamierzonego. Stworzonego dla niego, wycelowanego w niego. Nie zauważył, jak pasemka barwy nabierają kształtu, wie tylko, że raptem tęcza jest przed nim, wyraźna i skończona, a przez jej czyste wrota przeziara promienny skrawek raj.

W momencie gdy tęcza się pojawia, ojciec stoi, a w następnej chwili klęczy przy grobie swojej żony, Mercy.

Jako kamieniarz z zawodu, sam własnymi rękami wykonał tablicę nagrobną, cętkowany klin równo ociosany i wypolerowany, z głęboko wyrytym pośrodku jej imieniem i datami.

Mercy Stone Goodwill

1875-1905

Serdecznie Ukochana

&

Szczerze Oplakana

Trud rytowania zaprzętał mu myśli przez pierwsze straszne dni, jednakże prawie zaraz uznał, że nagrobek jest żałośnie nieadekwatny, zbyt mizerny i niepokązny dla kobiety, która była jego żoną, jego kochanką, jego skarbem. Teraz wynosi co dzień z kamieniołomu niewielki kamień, dwa kamienie, ukrywa je starannie w kępie drzew koło narożnika Taylora, niedaleko skrzyżowania w drogę Pike'a. Dobiera kamienie starannie, powziął bowiem osobliwe postanowienie, że ułoży je bez zaprawy. Ma je utrzymywać wyłącznie siła ciężenia, równowaga i siła ciężenia, każdy kamień będzie dopasowany kształtem do kształtu tego, na którym spoczywa, w zgodzie z abstrakcyjną wizją, jaka zaświtała mu ostatnio w głowie niczym halucynacja, wizją budowli ze snów, zrodzonej ze zgryzoty pomieszanej z zadziwieniem. Raz po raz słyszy głos, wciąż ten sam głos, zadający wciąż to samo pytanie: dlaczego żona mu nie powiedziała, że się spodziewa dziecka?

Ściany wieży sięgają już wysokości ramion. Niektóre z układanych kamyków są nie większe niż jego kciuk czy pięść, inne mają dwadzieścia, trzydzieści centymetrów przekroju albo nawet więcej. Tego ranka, w jaskrawym blasku tęczy, ich powierzchnia zdaje się falować w rytm kołyszących się kęp nawłoci, które w ostatnich dniach rozkwitły wszędzie. Słońce i deszcz, chmury i światło, kwiaty i kamienie - wszystko to jest tak ściśle powiązane, tak niemal proroczo zespolone, że ojciec doświadcza spazmu radości na myśl, iż się znalazł w sercu takiej podniosłej zbieżności. W piersi wzbiera mu uczucie głośniejszej ulgi, krzyk ekstazy, nieposkromiony wybuch radości.

Myślał, że jest sam na świecie, a oto okazuje się, że jest dzieckiem tej oślepiającej, materialnej tęczy, tej nieustępliwej gry światła i cienia, trwania i ulotności. Dzieckiem ziemi.

Dopiero później, wracając do domu przez wyboiste pola, przypomina sobie sprawcę swego szczęścia i oddaje mu cześć, wypowiadając głośno nieskalane imię boże.

*

Przez długie dni nie pamięta, że jest ojcem dziecka, małej dziewczynki imieniem Daisy, dopóki nagle nie zadźwięczy jakiś dzwonek, który mu przypomina. Może to być rzut oka na kalendarz wiszący na kuchennej ścianie i uświadomienie sobie, że oto szybkim krokiem zbliża się czwarty wtorek miesiąca, dzień, w którym wysłała przekaz pieniężny pani Clarentine Flett w Winnipegu. Albo, kiedy dni robią się ciepłe, widok dzieci, które przynoszą ojcom do kamieniołomu lunch z miasteczka i potem kręcą się przez godzinę czy dwie, łowiąc kijanki w gliniance albo bawiąc się odpryskami wapienia. Patrząc na nie, zastanawia się zawsze, jakim dzieckiem jest ta jego córka.

Kiedy indziej może to być fotografia małej, nadesłana przez panią Flett w liście, w którym opisuje jej pogodne usposobienie i bystrość wykazywaną w szkole. Daisy sprawia na zdjęciach wrażenie dziecka posłusznego, dbałego o swoją sukieneczkę, obdarzonego zgrabnym, szczupłym ciałem, za co powinien być pewnie wdzięczny. Jej uśmiech nie jest ani zbyt śmiały, ani zbyt lękliwy, jest czymś pośrednim. (Z niewiadomego powodu ojciec nie potrafi zdecydować, czy dziewczynka jest ładna. Prawdopodobnie nie jest). Najnowsza fotografia ukazuje również panią Flett i profesora Barkera Fletta, siedzących po obu bokach Daisy na czymś, co jest zapewne trawiastym brzegiem rzeki. Miękka szara tonacja zdjęcia podkreśla wzajemny stosunek tej trójki, rodziny w trakcie wypoczynku, kochającej się rodziny, bez cienia najmniejszych napięć.

Niekiedy ojciec budzi się w nocy, z czołem zlanym potem, wstrząsany dreszczem przypomnienia. W ciemności jak żywe tańczą mu przed oczami wskrzeszone ściany kuchni z jej zgiełkiem i chaosem, z półkolem wzburzonych twarzy, wpatrzonych w okryte, nieruchome ciało jego kochanej Mercy. Zegar wybija godzinę, to bicie zdaje się trwać w nieskończoność, dudni mu za zamkniętymi powiekami, zacierając swoim jazgotem granicę między tym, co mu się śni, a co przypomina.

Podczas gdy inni stoją nieruchomi jak posągi, z martwym wzrokiem, on wybiega z kuchni, rzuca się na ziemię i tarza, tarza, krzycząc, szlochając i bijąc pięściami w spieczoną glinę.

- Nie powiedziała mi! - ryczy do pustego nieba. - Nic, nic mi nie powiedziała!

To rzecz, której nie jest w stanie pojąć: jak jego Mercy mogła mu nic nie powiedzieć.

Zdawałoby się, że powinien uznać jej milczenie za coś w rodzaju zdrady, może nawet za przejaw wrogości, ale zaraz przypomina mu się jej nieporadność w obliczu słowa, w obliczu trudnych wymogów stawianych przez realny świat. Próbuje sobie wyobrazić, co czuła, gdy w jej ciele wzrastał ten kłębuszek materii ludzkiej, jak żyła z jego skulonymi rączkami i nóżkami, z jego bijącym sercem w sobie, czy lękała się tej jego inwazji, czy też może kochała go już tak bardzo, że nie chciało jej przejść przez usta jego imię, nie potrafiła podzielić się jego istnieniem ani planować jego przyszłości.

Ojciec przyznaje w duszy, że miłość do zmarłej żony uległa przemianie przez to jej przemilczenie. Jej uchybienie jawi mu się coraz bardziej nie jako zwykłe zatajenie, ale jako kara, jako sposób upokorzenia go w

oczach tych, którzy - wydaje mu się - widzą w nim teraz człowieka ciemnego albo co najmniej niezbyt bystre-
go. Cóż to za mąż, który nie wie, że jego żona spodziewa się dziecka?

Tak, trzeba to wyraźnie powiedzieć - po latach jest to dla mnie jasne - że miłość mojego ojca do mojej
matki została nadwątlona, i czasami, szczególnie gdy budzi go jeden z tych przejmujących snów, ma wątpliwo-
ści, czy będzie zdolny do pokochania swego dziecka. Jedenastoletniej Daisy Goodwill zastygłej przed okiem
kamery. Dziewczynki w słomianym kapelusiku. Panienki siedzącej na brzegu rzeki, materialnej, sztywnej, z
nieodgadnionym uśmiechem błakającym się na wargach. Byłoby przeciwne naturze, żeby ojciec nie kochał
swego dziecka, ale to, co Cuyler Goodwill czuje, to miłość karłowata, zrodzona z fluidów zwyczaju. Poczują
się do odpowiedzialności, posyła pieniądze na jej utrzymanie. Pisuje do pani Flett listy, w których wyraża tro-
skę o jej zdrowie i szczęście, ale prawdę mówiąc, jego myśl rzadko biegnie tym torem. Kim jest ta istota, ciało
z jego ciała? (Daisy to nie imię, jakie by wybrał, ale trzeba było niemowlę jakoś nazwać, a on po moim urodze-
niu nie był w stanie zastanawiać się nad imionami). Długo ogląda jej fotografię. Myśli o niej w różnych porach
dnia. Od czasu do czasu jest nią lekko zaintrygowany. Na wiadomość, że dotknęła ją plaga odry, zastanawia
się, czyby nie należało wsiąść którejś niedzieli rano do pociągu do Winnipegu i upewnić się co do jej stanu.

Wzdraga się jednak na myśl o kłopotliwym spotkaniu. I o zamęcie podróży - nigdy nie był w mieście,
nigdy nie widział powodu, żeby się tam wybrać. Ponadto nie ma ochoty poświęcić całej niedzieli. W niedzielę
czyta Biblię, modli się o przebaczenie, pracuje nad swoją wieżą.

Jest właśnie niedziela, piękny poranek czerwcowy i żelazny dzwon na wieży kościoła metodystów w
Tyndall wzywa wiernych na modlitwę. Ale mój ojciec jest nieczuły na to bicie i dzwonienie.

Religia nie uczyniła z niego człowieka praktykującego. W pierwszym okresie po nawróceniu wybrał się
trzy czy cztery razy na poranną mszę w kościele w Tyndall, a raz, jeden jedyny raz, poszedł siedem mil do osa-
dy Oakmidden i ze zdumieniem śledził zawily ceremoniał greckokatolicki. Hałaśliwość nabożeństwa publicz-
nego, modlitwy, intonacje, śpiewy, kazania - wprawia go to wszystko w zawstydzenie. Szaty świętych mężów,
nawet proste białe kołnierzyki metodystów, obrażają jego wrażliwość, wystawiają na próbę jego wiarę, a wy-
pucowane, sklezione wnętrza kościelne atakują go swoją wonią i blaskiem, pomniejszają go, urągają mu. Co
więcej, porządek mszy świętej dławi jego naturalne porywy swoimi inwokacjami, amenami, numerowanymi
hymnami, a po nich przychodzi jeszcze obowiązek ściskania dłoni innych wiernych, solennego ich pozdrawia-
nia, wysilania języka na grzecznościową wymianę zdań - wszystko to działa na niego jak głaskanie pod włos.

Za to, niemal przypadkiem, wpadł na pewien rodzaj skupionej osobistej medytacji, niezbyt się różniącej
od tego, co się od wieków praktykuje na subkontynencie azjatyckim, na ekstatyczny trans, który miał się stać
tak modny w naszej własnej kulturze w drugiej połowie wieku, w szalonych latach sześćdziesiątych, siedem-
dziesiątych.

W jego przypadku jest to coś w rodzaju komunii uniesienia. W niedzielę przybliża się do swego Stwór-
cy poprzez serię zrytualizowanych czynności - wstaje o świcie, posila się herbatą i chlebem, po czym idzie, bez
względu na pogodę, na teren pochówku koło drogi do kamieniołomu. Idąc, recytuje w myśli jakiś strzęp Pisma,
zwykle pojedynczy werset, który powtarza raz po raz.

*Nikt tak święty jak Pan, prócz Ciebie nie ma nikogo**.

* „Pierwsza księga Samuela”, 2:2, przełożył ks. Jan Łach.

Raz po raz. Słowa pulsują mu w skroniach jak drugie tętno. Buty uderzają o powierzchnię drogi w identycznym rytmie, który unosi go ponad kanwę pospolitego doświadczenia. Nie spotyka nikogo, kto by szedł z przeciwka lub go mijał - godzina jest zbyt wczesna dla człowieka i zwierzęcia. W niewielkim wózku, który sam zmagistrował z różnych zrzyneków i ścinków, wiezie kamienie, które ma zamiar osadzić. Wierzy święcie, że twarde twory ziemi są przejawem ducha i jako takie dają się zebrać i ułożyć na chwałę i pokrzepienie. Niesie także, umieszczone w pętłach u pasa, drewniany młotek i zestaw niewielkich dłut. Swoje narzędzia, swój śpiew, swoją ofiarę - wszystko, co mu potrzebne - niesie ze sobą.

Tam gdzie kiedyś znajdował się samotny grób mojej matki, teraz wznosi się pusta wieża, sięgająca już wysokości może dziesięciu metrów i wciąż rosnąca. Kamienie, które tworzą jej szkielet, zostały dobrane z myślą o sile, pięknie i ogólnym efekcie. Spirala wystarczających stopni pozwala ojcu wspiać się po jej stromych bokach równie łatwo, jak owad czy jaszczurka wspinają się po ścianie.

Mój ojciec zapala się coraz bardziej do dekorowania kamiennych powierzchni wymyślnym szyfrem, mimo że wapień z Tyndall, ze względu na jego cętkowane ubarwienie, uważa się za nie nadający do subtelnych rytów. Wzory wycięte w takiej formacji mineralnej zdają się umykać przed wzrokiem; trzeba stać w odpowiedniej odległości, przy odpowiednim świetle, żeby je rozróżnić. Ta niedoskonałość stanowi dla ojca część uroku. To, co wyrzeźbi, pozostanie pół skryte, pół jawne, odbijając w ten sposób kapryśność objawionego świata. Tu wyrzeźbi parę świątobliwych słów, tam wizerunek ptaka, kwiatu, ryby, twarzy, słońca czy księżycy. Anioł wielkości połowy jego dłoni zawisł na wyczelowanym wapniowym niebie. Maleńki kamienny konik pasie się na kamiennej łące. Kupidynki, syreny, węże, liście, pióra, winorośl, pszczoły, bydło, łuk tęczy, wzory jak linie papilarne - wieża jest muzeum wijących się kształtów, z których część odkrył w *Almanachu Farmera Kanadyjskiego*, w katalogu wysyłkowym Eatona lub w swojej ilustrowanej Biblii.

Rytowania dokonuje w zimowe wieczory w ogrzanej, zakurzonej pieczarze swojej wdowiej kuchni, gdzie zainstalował warsztat z imadłem i jasną gazową lampę. Po dniu pracy w kamieniołomie, zjadłszy kolację złożoną ze smażonych jajek i groszku z puszki, jest gotów przystąpić do wzniesienia tumanów pyłu kamiennego. Narzędzia ma proste, technikę nieco nieortodoksyjną - jest w końcu rzeźbiarzem samoukiem, który nabył wprawy dzięki długotrwałym próbom oswojenia reliefu i światłocienia, przy skromnych możliwościach, jakie da się wykrzesać z tyndalskiego tworzywa. Pracuje wolno, czując, jak świat się kurczy wokół niego, staje się mały jak miska do puddingu. Ze skupioną uwagą przechodzi od zadrapania do szczyrby, łączy linie proste i zakrzywione, wypracowując obraz, który z początku jest nie więcej niż atomem przebłyskującym mu w mózgu, wydobywając z niego powoli wszystkie możliwości, bacząc, by zachować jego czystą modalność, jego istotę - to jest zawsze najtrudniejsze - i szykując się na moment, gdy obrabiany kamień będzie wykończony. (Chciałabym, żebyście mogli obejrzeć te rytowane powierzchnie, zobaczyć, jak oddają oku błysk użyzonego objawienia, tak przepojonego smutną nieporadnością i wysiłkiem mego ojca, a zarazem tak przemyślnego w przechwytywaniu drogocennego światła).

Mimo całego talentu akt rzeźbienia nigdy nie przestaje być dla niego ciężką pracą - jego ciało zgina się w wysiłku, twarz przybiera ten skrzywiony małpi grymas koncentracji, jaki się widuje na twarzach prawdziwych artystów czy muzyków. (Oczywiście ojciec nie myśli nigdy o sobie jako o artyście - jego prostoduszność jest bezmierna jak powietrze czy woda). Dopiero kiedy wnosi wykończony kamień na wieżę, doznaje gorączki transcendencji (choć oczywiście transcendencja, jak sztuka, nie jest słowem, którego by użył czy które by w ogóle rozumiał). To, czego doświadcza, kiedy ostatecznie umieści gotową część na czekającym miejscu, to dłoń boża na czole, Duch Święty wstępujący w jego ciało z radosnym okrzykiem.

*

Impuls religijny, jak każdy wie - ja w każdym razie to wiem - jest trudny do uchwycenia. Są ekstatycy, jak mój ojciec, którzy stają się nałogowcami rozrzedzonej atmosfery obcowania duchowego, i są umysły trzeźwiejsze, wedle których religia istnieje, by nas chronić przed poczuciem własnej absurdalności.

Dla Cuylera Goodwilla, człowieka nie krępowanego konwencjonalną teologią, to, co ludzkie, i to, co boskie, bilansuje się w oślepiającym równaniu - stworzenie Boga przez człowieka równa się dokładnie stworzeniu człowieka przez Boga, to jedna zespolona myśl oplatająca jak wąż krzywiznę ziemi i nieba. (Potrzeba mu było lat, żeby do tego dojść).

Dla siedmiu pacyfistów odsuniętych od metodystycznego pastorowania w mieście Winnipegu w roku 1916 wartość netto religii balansuje między twardą skałą osobistego sumienia a równie twardą skałą racji politycznych.

Dla farmerów i ich rodzin, którzy właśnie teraz, w tym miesiącu, czerwcu, odbudowują Dom Parafialny w Chain Lakes, spalony do fundamentów przez tak zwanych patriotów, dla tej kongregacji kwakrów religia jest cementem, który pieczętuje na głucho ich drzwi na świat.

Dla pani Clarentine Flett, która leży nieprzytomna, potrącona przez rower na rogu ulic Portage i Głównej, religia jest puszystą burzą opadających płatków, które osiadają cicho na zmierzchu jej życia. Dla siedemnastoletniego czeladnika rzeźnickiego, Valdiego Goodmansena, który przekraczając dopuszczalną szybkość ośmiu mil, spowodował swoim rowerem wypadek, religia jest odżywką, którą ssie z butelki w środku nocy jak wygłodzone niemowlę. Dla Abrama Skutariego, który sprzedał chłopcu rower (za dwadzieścia pięć dolarów), religia jest otwartym oknem, a zarazem kotarą, którą zasłania to okno.

Dla Magnusa Fletta z Tyndall, mistrza kamieniarskiego i porzuconego męża Clarentine Flett, religia jest zarazem naczyniem i wodą pamięci, utrzymującą w świętym (to jest nietkniętym) stanie uschłe listki pewnej rośliny pokojowej, którą zbiegła nazywała gwiazdą betlejemską; jest także żywym namacalnym wspomnieniem złóż kamienia na rodzinnych Orkadach i jest zapamiętanym obrazem rodziców wnoszących we dwoje o zmierzchu siano do stodoły, a następnie ojca przerywającego pracę, żeby wyjąć żonie obce ciało z oka, schylającego się nad nią i wydobywającego je czubkiem języka.

Dla przełożonego MacIntosha z Wesley College religia jest sposobem na poprawne myślenie, przyzwolite życie i żarliwą modlitwą. „Jedną dobrą rzeczą, którą ta wojna przyniosła - pisze do «Wolnej Prasy» - jest to, że nas wyrwała z zasklepienia i przybliżyła do Stwórcy”.

Dla Bessie Perfect, studentki Wesley College, płomiennie zakochanej w profesorze botaniki, Barkerze Fletcie, religia to bolesne dławienie w gardle, gdy szepcze do poduszki jego imię albo gdy śpiewa: „Szczęście jest już bli-isko, / Zapłonie domowe ogni-isko”.

Pozostawiony sobie, Barker Flett, profesor, uczyony, posiadacz siedemnastu odmian sabotka, uważa religię za wzniosłą metaforę pragnień duszy. Nie ma Boga, nie ma Syna Bożego, nie ma Rodziny Świętej, nie ma zmartwychwstania, są tylko pragnienia. Pragnienie czegoś więcej. Samowiedzy. Doskonałości. Pragnienie posiadania wszystkich pięćdziesięciu znanych odmian sabotka. Pragnienie snu i zapomnienia. Pragnienie dobra i pragnienie zła. Pragnienie upojnego zespolenia, którego przedmiot - wie to teraz - może być i często bywa zwodniczy. Czytał bowiem niedawno o fenomenie zapylania przez owada rodzaju męskiego pewnych małych storczyków, których wargi imitują narządy płciowe samicy gatunku. Fenomen ten wprawia Fletta, człowieka nauki, w dziwny niepokój, szczególnie ruchy kopulacyjne, jakie podniecony samiec wykonuje na krawędzi nieczułego kielicha. W niepokój wprawia go także - choć nie nadszedł jeszcze czas, kiedy to przyzna - obecność w jego domu jedenastoletniej Daisy Goodwill, swobodne, śmiałe poruszenia jej ciała, jej gołe ramiona w letniej sukieneczce, budząca nienaturalne tęsknoty słodycz jej kształtów pod cienkim okryciem, kiedy wszedł niedawno do ciemnego pokoju, gdy leżała chora.

*

Winnipeg roku 1916 jest przyjemnym miastem. Można tu wieść przyzwoite życie - mimo jego geograficznego oddalenia, mimo wojny za oceanem. Zadowoleni, w większości prawomyślni mieszkańcy pogodnie znoszą nawet długie, ciężkie zimy. Trzeba zresztą przyznać, że zima nadaje czyste, sielskie oblicze surowym drewnianym domkom i chaotycznej zabudowie.

Co więcej, miasto zaczyna się robić coraz bardziej światowe. Wytyczono sieć szerokich nowych bulwarów, w budowie jest ogromny nowy budynek legislatury w stylu neoklasycyzmu. Teren pod niego przygotowano już w roku 1913. Dzięki olbrzymim ilościom kamienia potrzebnego dla tego ambitnego przedsięwzięcia kamieniołom w Tyndall wzmógł produkcję do granic możliwości, a kamieniarze mają zapewnione zatrudnienie i gwarancję pozostania poza zasięgiem łap kajzera. W śródmieściu na rogach wielu ulic stoją kościoły, czasami dwóch, trzech różnych sekt przy jednym skrzyżowaniu. („Miejmy nadzieję, że Panu Bogu nie brak poczucia humoru” - zażartował szacowny pastor baptystów na niedawnym posiedzeniu w magistracie). Kościoły są zbudowane z kamienia, tak samo jak wiele imponujących banków i budynków towarzystw asekuracyjnych, a również znany Wesley College i nowy gmach sądów. Wiodąc wzrokiem po panoramie miasta, trudno się nie zdumieć. Bo czyż to nie zadziwiające - kamienne miasto wyrosłe z miękkiej gleby prerii? (Wybitny architekt chicagowski, zobaczywszy polerowany wapień z kamieniołomu w Tyndall, oświadczył, że amerykańscy budowniczowie zabijaliby się o ten materiał, gdyby ich oczy raz ujrzały jego urodę).

W sezonie zimowym Winnipeg oferuje różnorodność przedstawień teatralnych, zabaw na ślizgawkach, bałów i przyjęć. W lecie zamożni mieszkańcy chronią się przed upałem nad Jeziorem Leśnym, a mniej uprzywilejowani muszą się zadowolić jednodniowymi wypadami na plażę Wiktorii czy do innych atrakcyjnych miejsc w okolicy. Ostatnio bardzo modna wśród młodych ludzi między, powiedzmy, osiemnastym a dwudziestym piątym rokiem życia, stała się wycieczka pociągiem do miejscowości Tyndall. Koszt biletu jest niewygórowany i młodzi, już w drodze pogryzając sandwicze i popijając zimną herbatę z butelek, bawią się znakomicie. W tych

wojennych latach panny znacznie górują liczbą nad kawalerami, ale nierównowaga płci bynajmniej nie przygasa humorów, wprost przeciwnie, działa dziwnie pobudzająco. Wielu przywozi kostiumy kąpielowe, gdyż stare wyrobiska kamieniołomu pokrywa tafla czystej, chłodnej wody, idealnej do pływania. Jednakże głównym celem wycieczki jest wieża Goodwilla.

Wprawdzie dotarcie do wieży wymaga energicznego półgodzinnego marszu wiejską drogą, a potem jeszcze kawałek na wschód piaszczystą ścieżką, lecz dla tych rześkich młodych ludzi jest to część atrakcji dnia. Są pełni werwy i wigoru, rozochoceni świeżym powietrzem i świadomością oderwania się na parę godzin od prozaicznych miejskich obowiązków, nie wspominając już o okropnościach wojny toczącej się za oceanem.

Na płaskich polach wieżę widać z daleka. „O, jest tam!” - zawsze ktoś wykrzyknie. (Dla niektórych jest to druga albo trzecia wizyta).

Kiedy słońce stoi wysoko, wieża wydaje się biała; później, po południu, nabiera niebieskawoszarej miękkości.

Zawsze dwoje, troje młodych puszcza się biegiem. „Kto pierwszy, ten lepszy!” Dopadają niskiego kamiennego murku cmentarza, przełazą przez niego - kto by się fatygował do bramy z zardzewiałym hakiem - biegną omijając nagrobki i kępy ostów. Wreszcie! Jest! Zaklepują się o wypukłe kamienie wieży, zaskakująco ciepłe od słońca, i zaczynają wspinać po jej stopniach. Młode panny trzeba często namawiać, a potem im pomagać, zanim się wdrapią na samą górę, paraliżowane przez lęk wysokości i obawę pokazania bielizny. Wchodzą jednak, gdyż wiadomo, że widok z góry zapiera dech, a ponadto wszystkie, jedna w drugą, umierają z ciekawości, żeby spojrzeć w puste wnętrze wieży, gdzie w gąszczu chwastów kryje się ponoć grób - tak przynajmniej wieść niesie.

Wycieczkom towarzyszy zawsze wiele krzyku i śmiechu. Ktoś wypatrzy wyrytą w kamieniu syrenę. Ktoś inny odkryje zarys kota albo mały kamyk u samego dołu z wypisanym jednym jedynym słowem: „Biada”. Najlepiej poinformowany uczestnik wycieczki opowie historię powstania wieży. Piękna młoda kobieta zmarła w położu, przystojny młody mężczyzna złamany żalobą. Można go jeszcze czasami zobaczyć, jak krząta się przy wieży we wczesnych godzinach rannych, chociaż nie jest już ani młody, ani przystojny, przynajmniej przystojny według kryteriów dnia, i nie pracuje już z dawnym zapamiętaniem; prawdę mówiąc, chętnie odkłada młotek i dłuto, żeby spędzić resztę dnia z odwiedzającymi. A dziecko? Co się stało z dzieckiem? Tego jakoś nikt nie wie. Ale chwyta to za serce. Naprawdę chwyta.

Aż tu, patrzcie, która się zrobiła godzina! Wycieczkowicze muszą wracać do miasteczka, żeby złapać pociąg. Słońce się zniża. Idą teraz wolniej, niektóre pary trzymają się za ręce albo pod pachę. Ten czy ów odwróci się może pod wpływem impulsu, żeby spojrzeć jeszcze raz na wieżę. Można posłyszeć, jak głośno komentują, że budowla wygląda na niemal średniowieczną i jakie to niezwykle zobaczyć coś takiego na horyzoncie prerii. Ktoś rzuci uwagę o pięknie wapienia i o tym, jak bardzo przypomina on włoski marmur. Jeden z młodych ludzi zabrał mały rzeźbiony kamyk i idąc, obraca go w kieszeni. Ktoś inny, jedna z bardziej czytanych panien, mruczy coś o Tadž Mahalu w dalekich Indiach - że to także pomnik utraconej miłości.

*

Skąd poeta wie, że wiersz jest skończony? Stąd, że leży przed nim wyprężony, napięty; nie można do niego nic dodać ani nic z niego ująć.

Skąd kobieta wie, że jej małżeństwo dobiegło kresu? Stąd, że jej życie redukuje się nagle do dwu kierunków - przeszłości i przyszłości. Zapytajcie Clarentine Flett.

Mówimy, że wojna się kończy kapitulacją, zawieszeniem broni, traktatem. Naprawdę jednak wyczerpuje się jej impet, przestaje być warta swojej ceny, staje się nagle haniebną, robi się częścią niegodziwości świata.

Wszystko ma swój początek, wszystko ma swój koniec. Kiedy się wydaje, że dotarliśmy do spokojnej przystani, stajemy nagle rozdarci między gładką przewidywalnością cielesnego bytowania a potrzebą zerwania więzi. I robimy rzeczy irracjonalne, rzeczy skandaliczne. Albo coś się wydarza, wchodzi nam w paradę, jakiś niewyobrażalny wróg. Abe Skutari, po długich latach handlu domokrażnego w prowincjonalnej Manitobie, zostaje raptem wysadzony z siodła przez Dom Sprzedaży Wysyłkowej Eatona. Kto by się spodziewał takiego obrotu rzeczy? I cóż robi stary Żyd? Pożycza pieniądze z Royal Banku - pierwsza taka pożyczka udzielona kiedykolwiek synowi Izraela - i otwiera na Selkirk Avenue w Winnipegu własny sklep detaliczny z męską odzieżą roboczą i obuwiem oraz sprzętem ogrodniczym i rowerami. Jedne drzwi się zatraskują, inne otwierają; własne słowa pana Skutariego.

Profesor Barker Flett stoi przed zamknięciem winnipeskiego rozdziału swego życia. Jego matka nie żyje. Jego wiara się wypaliła. Jego trzydziestoczteroletnie ciało przeraża go swoją perfidią. Przeraża go w ogóle świat, chociaż uśmiecha się do niego, ofiarowując mu wszystko, czegokolwiek zapragnie. No, prawie wszystko. Profesor Flett musi odwrócić kartę, ruszyć przed siebie, na wschód, dokładniej do Ottawy, stolicy dominium.

A mój ojciec, Cuyler Goodwill z Tyndall, ukończył swoją wieżę. Skąd wie, że jest ukończona? Mówią mu to jej proporcje, wszechstronnie zadowolająca harmonia wysokości, szerokości, obwodu; jeszcze jedna kondygnacja u szczytu, a całość stałaby się niezrównowazona. Patrzy na wieżę i jego myśl dryfuje swobodnie, niemal leniwie. Tylu przyjeżdżało już reporterów, tylu jest ostatnio odwiedzających. (Chodzą wieści, że goście uwożą kawałki rzeźbionych przez niego kamieni, ale słysząc o tym, ojciec wzrusza jedynie ramionami). Przyjezdni zaprzatają go do tego stopnia, że nie pamięta ostatnio, co go pchnęło do rozpoczęcia budowy. Rozmawia z ludźmi chętnie, nawet skwapliwie, ale wzdraga się przed sięganiem do korzeni swojej obsesji.

- Panie Goodwill, dlaczego właściwie uparł się pan przy budowie tej wieży?

- Cóż, człowiek zaczyna jakąś robotę i ona go wciąga. Bóg się odsunął, został jedynie cień, a co do Mercy - jej grób jest cały zapadnięty, zarosły chwastami - to ojciec nie może sobie przypomnieć zarysu jej twarzy, kształtu jej ciała. Jego krótkie małżeństwo, jego nawrócenie zdają się tylko ciekawymi epizodami w życiu, które kroczy naprzód.

Od profesora Barkera Fletta nadszedł z Winnipegu list w sprawie urwania się dotychczasowej opieki nad Daisy i problemu, jak zabezpieczyć jej przyszłość.

Drugi list nadszedł nie dalej niż wczoraj od dyrektora Towarzystwa Eksploatacji Wapienia w Bloomingtonie w amerykańskim stanie Indiana. Potrzebują doświadczonych kamieniarzy. Oferują mu niesłychane wynagrodzenie. Stawiają do jego dyspozycji apartament na Cross Street w Vinegar Hill (cokolwiek to może być). Załatwią przejazd dla niego i rodziny, jak również przewóz rzeczy. Czy pan Goodwill ma rodzinę? Oczekują niezwłocznej odpowiedzi. Proszę depešować.

Winą za zarażenie Daisy odrą obarcza się Bessie Perfect. Z gorączką i bólem gardła winna była siedzieć w domu, a nie pojawić się na progu Flettów, oddawać Daisy jej przetrzymane notatki z botaniki i przeproszać z prychnaniem i kichaniem prosto we wrażliwą buzię jedenastoletniej dziewczynki.

Zarazki wtargnęły do kanałów oddechowych Daisy i wkrótce miała ona wszystkie objawy choroby. Ciotka Clarentine (bo tak Daisy ją zawsze nazywała) zajrzała w usta dziewczynki i odskoczyła z przerażeniem - wszędzie plamy. Biedną małą zapakowano do łóżka w zaciemnionym pokoju. Drzwi trzymano zamknięte, a jedyną odwiedzającą była ciotka Clarentine, o której nikt nie mógł powiedzieć, że nie jest troskliwą pielęgniarką. Robiła chorej dziewczynce zimne okłady, żeby ulżyć jej w gorączce, przemywała rano i wieczorem oczy roztworem kwasu bornego, smarowała swędzące ciało kremami roślinnymi własnej roboty, przynosiła tace lekkostrawnych potraw - jajka w koszulkach, kompoty - które Daisy bez apetytu próbowała jeść, po czym musiała palcem wskazującym owiniętym w watę dokładnie oczyścić usta. Gdy stan dziewczynki nieco się poprawił, zaczęła się nudzić. A potem ni z tego, ni z owego nastąpiło gwałtowne pogorszenie.

Doktor - którego nie jestem w stanie albo może nie chcę wyposażyć w nazwisko - orzekł, że to zapalenie oskrzeli, i dla pouczenia ciotki Clarentine narysował przekrój systemu oddechowego człowieka. Dzisiaj kuracja sulfonamidami albo antybiotykami zlikwidowałaby raz-dwa stan chorobowy, ale w tamtych latach jedynym leczeniem było leżenie w łóżku, ciepło i dużo płynów. Trwało to parę tygodni, a że nikt jakoś nie pomyślał o odsłonięciu okien ani zapaleniu światła, Daisy Goodwill spędziła również ten drugi etap choroby w ciemności. W dodatku zastarzały zapach kurzu i poduszek z pierza przyprawił ją o napady duszności, które miały się stać początkiem całożyciowej alergii.

Zapewne dużo spała - bo jakże inaczej ruchliwa dziewczynka mogłaby przetrzymać taki szmat pustego czasu? - a kiedy się budziła, to ze sztywnym ciałem i głową zacządzoną bezimiennym niepokojem. Związane to było z pustką, jaką zaczęła nagle odczuwać w centrum swego życia. Wiedziała, że czegoś w nim brakuje, ale trzeba było tygodni spędzonych w zaciemnionym pokoju, tygodni pod ciężkimi kocami, z obrazem tego jakby odwróconego drzewa oskrzelowego w klatce piersiowej, mającącym jej przed oczami, żeby sobie uświadomiła, co to takiego. Czego jej brakowało, to jądra autentyzmu, tego cennego wewnętrznego kruszcu, którym zdawali się cieszyć wszyscy dokoła. Ciotka Clarentine tupiąca tam i z powrotem po schodach, uwijająca się niestrudzenie, zawsze wesoła, wybuchająca co chwila bez powodu śmiechem i powtarzająca wciąż figlarnym głosem, jaka jest wdzięczna, że „Bóg, który tak ukochał świat”, pozwolił jej pójść własną drogą. I wuj Barker (jak Daisy go nazywała w owych latach), wychodzący do college'u ze swoją wierzbową laseczką w rękę, szlifujący zdartymi obcasami chodnik, młody mężczyzna zdecydowany w swoich poczynaniach, nawet kiedy wzdychał z niezadowolenia. Wszystkich podtrzymuje zdolność postrzegania i smakowania świata, wszystkich, tylko czemuś nie ją, Daisy Goodwill.

Nie potrafiła spoglądać w oczy temu brakowi wewnątrz niej dłużej niż parę minut naraz. Było to jak patrzenie w słońce.

Cóż, możecie powiedzieć, że bez wątpienia mąciła mi myśli gorączka, i rzeczywiście prawdą jest, że doznawałam dziwnych zwidów w tym ciemnym pokoju, że moje zapuchnięte oczy rodziły w półmroku przerażające wizje.

Ciążyły mi długie dni izolacji i milczenia, udręka nudy. Tak, wszystko to przygnębiało młodą Daisy Goodwill, wysysało z niej siły. Jej autobiografia, gdyby taka rzecz była wyobrażalna, gdyby miała zostać kiedyś napisana, jej autobiografia byłaby jednym ciągiem czarnych dziur, nieprzebytych rozpadlin.

Leżąc w łóżku, łowiła uchem odgłosy toczącego się dokoła życia - co tylko wzmagało jej poczucie krzywdy. Słyszała psy szczekające w sąsiedztwie, wzbierający śpiew ptaków, wóz mleczarza odbywającego swoją turę po Simcoe Street, konia rżącego na rogu, stukoczącego ciężko kopytami, puszczającego strumień uryny i pecyny łajna. Otwierano i zamykano drzwi, przynoszono pocztę, ludzie wchodzili i wychodzili, szemrały głosy, gotował się imbryk, tykał zegar w holu.

Z dziecięcym egocentryzmem dziwiła się, że wszystko to się odbywa bez niej. Szkoła nie zawiesiła i nie zawiesi lekcji z powodu jej choroby, boisko będzie tętniło podczas pauz takim samym życiem jak zawsze, dzwonek będzie wzywał na lekcje z tą samą punktualną bezwzględnością. Wiedziała też, że ogród cioci Clarentine zapełni się w środku lata lwimi paszczami, mimo że zrządzeniem losu jej tam nie będzie, żeby urywać ich główki i pozwolić małym kwiatkom „gryźć” ją w palce. Wracały jej te myśli raz po raz, kiedy tak leżała w przegrzanym, ciemnym pokoju, ta pewność, że będzie tutaj, w tym miejscu, żyła już do końca, że na dobrą sprawę zawsze tu żyła - oślepiąca, dławiona, wymazana z księgi własnego istnienia.

Rozumiała, że jeśli ma w ogóle pozostać przy życiu, to musi go się trzymać zasadniczymi aktami wyobraźni, dopełniania, przeobrażania, przywodzenia niezbędnych powiązań, wymyślenia scen sielankowych, heroicznym czy innych, nawet przywoływania do egzystencji wieży z wapienia, wyposażania jej niekiedy w fałszywe detale, do ubarwiania czy wręcz kłamania, układania nieziemsko eleganckich listów czy konwersacji, widzenia rzeczy, których się domyślała, w korzystnym świetle. (Kiedy jej ukochana ciocia Clarentine, leżąc przez pełen tydzień bez przytomności, umarła pod koniec czerwca, Daisy kazała jej się wznieść do nieba na kobiercu z bratków, interpretując jednocześnie jako przejaw niestrawności wpatrzony w siebie, mroczne, pożądliwe - bo takie ono było - spojrzenie wuja Barkera).

Postanowiła święcie, że będzie dzielna, i kiedy wreszcie miała poznać swego prawdziwego ojca, Cuyleira Goodwilla - zjawił się na Simcoe Street zenująco niski, ogorzały, ze spoconym czołem, w nie dopasowanym garniturze - przygotowała się na jego pocałunek. Nie doszło do niego, przynajmniej nie przy pierwszym spotkaniu. Nie uścisnął jej nawet ręki. Jego twarz wyglądała na zabiedzoną, skurczoną, ale usta były życzliwe. Usiedli w saloniku na dole, on na skórzanym fotelu, ona na kanapce, dwoje obcych w porażającym milczeniu. Daisy miała na sobie żółtą pasiastą sukieneczkę z połyskliwej bawełny. Jej ojciec odchrząknął uprzejmie i to wystarczyło, żeby mu się rozwiązał język. Potem mówił i mówił, rozwodząc się o tym, jak będą jechać koleją i jak będą mieszkać, kiedy dojadą do tego Bloomingtonu w stanie Indiana. Mieszkanie tam nazwał apartamentem. Wymówił to słowo z nabożeństwem, jakby chciał ją przekonać o świetności miejsca.

Popijali obydwójce lemoniadę z wysokich szklanek.

Kto tę lemoniadę przygotował? Ktoś musiał wycisnąć cytryny, rozetrzeć cukier w moździerzu, dosypać potłuczonego lodu, ale Daisy nie wie, kto to mógł być. Mimo to jej palce zachowują na zawsze pamięć chłodnych szklanek z bladymi wypukłymi otokami na różowym szkłe. Lecz tym, co najlepiej zapamięta, będzie słońce - prószyło przez rzadkie letnie zasłony, wypełniało cały pokój, żółte jak mąka kukurydziana. To w każdym

razie były rzeczy, w które mogła uwierzyć - słoneczny deseń na jej gołym ramieniu, chłodny, słodki napój spływający do gardła, guziki na koszuli ojca połyskujące niby sznur łez.

Jej kolana tworzyły małe wzgórki, bodące żółty materiał. Słowa ojca płynęły ku niej jak potok punkci-ków.

Tego dnia podobał jej się świat.

ROZDZIAŁ TRZECI

Małżeństwo

1927

Pani Josephowa Franzman wydała wczoraj lunch na cześć panny Daisy Goodwill z Bloomingtonu. Do stołu zasiadło dziesięć osób.

Pani Otisowa Cline przyjmowała dzisiaj na popołudniowej herbatce, wydanej na cześć Daisy Goodwill, wybranej na pannę młodą miesiąca czerwca. Panna Goodwill jest absolwentką pensji Tudor Hall i College'u Longa dla Panien.

Pani Alfredowa Wylie wydała w czwartek podwieczorek dla pań, które wyposażyły w utensylia kuchenne pannę Daisy Goodwill, mającą zostać czerwcową panną młodą. Pokoje były pięknie udekorowane glicyniami, dzwoneczkami i serpentynami. Wśród gości znalazły się pani Arturowa Hoad, pani Stantonowa Merrill, pani A. Caputo, pani B. Grindle, pani Fredowa Anthony, panna Labina Anthony, panna Elfreda Hoyt oraz panny Mer-ry Anne i Susan Colchester. Wyboru uświetniających wieczór czarujących pieśni i utworów fortepianowych dokonała panna Grace Healy.

Wczoraj wieczorem odbyła się w klubie Kamieniołom „biała” kolacja na cześć przyszłej panny młodej, Daisy Goodwill, i przyszłego pana młodego, Harolda A. Hoda. Na menu złożyły się małże, filety z soli doverskiej, piersi kurze supreme, zupa krem cebulowy oraz na deser lody waniliowe z bitą śmietaną, uformo-wane w kształt dwóch gołąbków. Gośćmi byli pani Arturowa Hoad z synami Lonsem Hoadem i Haroldem A. Hoadem, państwo Hortonostwo Graffowie, państwo Hektorostwo MacIlwraithowie, panny Labina Anthony i Elfreda Hoyt, pan Dick Greene, państwo Stantonostwo Merrillowie i państwo Otisostwo Cline'owie. Przy stole, artystycznie ubranym letnimi kwiatami i oświetlonym świecami koloru kości słoniowej, przydował pan Cuyler Goodwill, gospodarz wieczoru i ojciec przyszłej panny młodej. Złotousty pan Goodwill, współwłaściciel firmy Lapiscan Incorporated, zakończył uroczystość kilkoma pobudzającymi do myślenia słowami o dobrodziejstwie czasu i przypadku.*

* „Biała” kolacja - szczytem elegancji w owej epoce były przyjęcia, na których wszystkie podawane dania miały barwę białą czy białawą.

*

- Czas - mówi Cuyler Goodwill swemu piętnastoosobowemu audytorium niefrasobliwych, sytych biesiadników, którzy siedzą teraz odsunięci wygodnie od stołu, w blasku świec zmiękczającym ich rysy - czas wchodzi w spółkę z poczciwym starym przypadkiem, żeby zaaranżować całą serię cudownych zbiegów okoliczności. Przecież trzeba było - tu pan Goodwill unosi demaskatorski palec - trzeba było istnienia czystego, ciepłego, płytkiego morza jakieś trzysta milionów lat temu, pomyślcie tylko, przyjaciele, trzysta milionów, żeby powstał ten szczególny tutejszy wapień, który tak dobrze wszystkim nam służy. - (Kwituje to stwierdzenie ogólny aplauz). - Otóż gdyby ta woda - kontynuuje pan Goodwill - była tylko trochę chłodniejsza, mogłyby się nigdy nie narodzić miliardy, biliony małych stworów morskich, a ich skorupki nie osadziłyby się na dnie morskim, tak jak to się stało. A gdyby woda w tym spokojnym przedwiecznym oceanie była tylko trochę mniej czysta, z pewnością pływałyby w niej ziemia i inne cząstki stałe, które by zmieniły jakość osadu. I wreszcie, drodzy przyjaciele, gdyby wody tego pradawnego morza były choćby o parę cali głębsze, nie byłoby ruchu fal, które rozkruszały skorupki na cząstki równych rozmiarów i rozpościerały je na wielu milach kwadratowych dna. Jednym słowem, panie i panowie, gdyby nie to wszystko, nigdy by nie powstał nasz piękny biały kamień salemski, ten wielki dar ziemi. Był to więc cudowny zbieg okoliczności (myślę, że się ze mną co do tego zgodzicie), iż wszystkie te warunki zaistniały w jednym i tym samym czasie, obdarzając nas tryumfalną trójcą okazji - tu zrobił dramatyczną pauzę - dobrobytu - nowa pauza - i szczęścia.

W kieliszkach jest coraz mniej portwajnu, wysmukłe świece trzepoczą, bo otwarto okno na powiewy nocy. Pan Goodwill prostuje zwięzłe ramiona i rozpala się jeszcze bardziej do swego wywodu.

- W tym miesiącu mija równo jedenaście lat, moi drodzy przyjaciele, odkąd podobnie szczęśliwym zbiegiem okoliczności moja córka i ja przyjechaliśmy do Bloomingtonu. Często myślę, że to była opatrnościowa chwila, gdyż ostatnia dekada zapisała się jako okres bezprecedensowego rozkwitu eksploatacji wapienia. Ale jeszcze bardziej godne uwagi było przyjęcie, jakie nam tu zgotowano - w tym miejscu pan Goodwill rozpościera ręce w wielkodusznym geście wyobrażającym uścisk - przyjęcie pełne przyjaźni i zachęty. A oczywiście poczytuję sobie za wielki honor, że kilka lat potem panowie Graff i MacIlwraith, obaj obecni przy tym stole wraz ze swymi uroczymi małżonkami, zaproponowali mi udział w swoim nowym przedsięwzięciu, do którego (sądzę, że wszyscy obecni to poświadczą) uśmiechnęła się fortuna. Znaczy to, że nie sobie powinniśmy przypisywać zasługę. Musimy dziękować sprzyjającemu czasowi. - Tu pan Goodwill robi pauzę i przesuwając wolno wzrok dokoła stołu, spoglądając każdemu z siedzących w oczy. - Czas. I przypadek. Te bliźniacze dzieci fortuny. Cudowne konary naszego losu.

W półmroku czają się kelnerzy, czekając, kiedy uroczystość dobiegnie końca i będą wreszcie mogli iść do domu, położyć się do łóżka. Ale pan Goodwill jeszcze nie skończył.

- Gdy patrzemy dzisiaj na naszą młodą parę, Daisy i Harolda, jakże ktokolwiek z nas mógłby przypuścić, że czas i przypadek nie sprzyjają im także. Żyjemy w niezwykłym roku, roku pańskim tysiąc dziewięćset dwudziestym siódmym. Rozpoczęła się naprawdę nowoczesna era, a jeśli ktoś żywił jeszcze wątpliwości, co niesie przyszłość, to rozwiął je miesiąc temu niejaki Charles A. Lindbergh junior. - (Aluzja na czasie porusza żywotny nerw zgromadzenia i sam pan Goodwill inicjuje spontaniczny aplauz, z paniami entuzjastycznie plaszczącymi uniesionymi białymi rączkami i panami bijącymi w blat stołu). - Co więcej,

przyjaciele - Goodwill zmierza teraz do zakończenia pięknie obmyśloną kadencją docelową - właśnie w tym historycznym momencie zaczyna się wyłaniać w wielkiej metropolii naszego kraju wyniosły zarys Empire State Building, taki zaszczytny dowód wyjątkowości salemskiego wapienia i ludzkiej inwencji, jaki tylko mogliśmy sobie wymarzyć. Od tego punktu możemy posuwać się tylko do przodu.

Słyszcie, słyszcie!

- A teraz, jeśli wolno mi prosić, powstańcie państwo wszyscy i wypijmy zdrowie naszej młodej pary. Przypadek zetknął tych dwoje ze sobą, a czas się do nich słodko uśmiecha.

*

W jaki sposób mój ojciec, Cuyler Goodwill, stał się złotoustym?

W wieku pięćdziesięciu lat porusza się szybko, pełen werwy i animuszu, rzeczowości i ogłady. Nosi wspaniałe koszule z angielskiego płótna, oślepiająco białe, nienagannie prane i prasowane, codziennie świeża, jak tydzień długi. Garnitury, szyte na zamówienie w Indianapolis albo Chicago, leżą na nim jak ulane - nie dla niego gotowa konfekcja, pozbył się raz na zawsze takiego kłopotliwego bagażu, tak jak wąż się pozbywa skóry, co nie znaczy, żeby w szczerzej, energicznej, trzeźwej fizjonomii pana Goodwilla kryło się cokolwiek chytrego, wężowego. Naturalnie jego postura nie zmieniła się zbyt, zawsze pozostanie mężczyzną o krótkich nogach i wąskich ramionach. Ale nie jego przykrótkie ciało jest tym, co przykuwa uwagę. Ludzie spoglądający w drobną, smagłą, zwiędłą twarz Cuylera Goodwilla, ściągniętą jak nakręcona do oporu sprężyna zegara, myślą: oto człowiek tryskający życiem.

Energia promieniuje z jego oczu, które zachowały młodzieńczą jasność i intensywność spojrzenia. Jest imponującym członkiem społeczności, powszechnie szanowanym, podziwianym. Ale dopiero gdy otworzy usta i przemówi, staje się porywający.

Ten jego dar wymowy - jak do niego doszedł? Pytanie - czy ktoś temu zaprzeczy? - jest trochę nietaktowne, gdyż wszyscy się rodzimy bez daru mowy i można się spodziewać, że z czasem niektórzy bardziej fortunni nabiorą w niej większej wprawy, a z szeregów tych wprawniejszych wyłoni się dopiero garstka szczególnie utalentowanych. Powiedzmy, że to zrządzenie natury, wybuch genów, który umieszcza w ustach lirę, wysadza język złotem. Ospale dzieciństwo nie musi dyskwalifikować wymownych z natury, nierozważnie byłoby tak sądzić; ospale dzieciństwo może, przeciwnie, pchnąć zlakniony umysł do źródła mowy, z którego będzie pił wielkimi haustami.

Sam Cuyler Goodwill sądzi (choć nie wspomina o tym, nawet nie przyznaje tego przed samym sobą), że dar wymowy zstąpił na niego w czasie krótkiego, dwuletniego małżeństwa z Mercy Stone. To w łóżku, pod powleczonej pierzyną, kiedy jego szorstkie męskie ciało odkrywało obfite miękkie ciało żony, obejmowało je, wnikało w nie, to w takim momencie wysunął się ten kamyk, który mu dławił gardło. Eksplozja zapamiętania rozwiązała mu język - czy może raczej była to seria eksplozji, wyzwalałych przez kolejne pory roku. Przez jesienne niedziele w małej miejscinie Tyndall w Manitobie, z orzeźwiający chłodem w powietrzu. Przez mroźne styczniowe noce. Przez wiosenne wieczory, z wilgotnymi powiewami, ze słońcem zniżającym się na zachodnim niebie, wpadającym jeszcze ukośnie przez okno na blade wyszywane poduszki i na obfite żonine kształty jego drogiej, drogiej, potulnej Mercy. W ustach wzbierały mu wówczas słowa, słowa, o których nigdy by nie sądził, że mogą być częścią jego natury. Spływały mu same z warg, słowa wdzięczności, namiętności,

skrywanych tęsknot. Szeptał je w ucho ukochanej, a ona, choć taka beznamiętna, taka nieporuszona, ofiarowy-ofiarowywała mu coś w rodzaju niemej zachęty. A przynajmniej nie była zgorziona ani nawet zaskoczona, nie zdawała się poczytywać za niemądry ani nienaturalny sposobu, w jaki dawał upust swojemu uczuciu.

W moim przekonaniu ojciec odnalazł swój głos, odnalazł go naprawdę i na dobre, w słodko brzmiącej retoryce Biblii króla Jakuba. W latach po swoim nawróceniu przy grobie swojej matki - tamta niespodziewana tęcza, tamto październikowe namaszczenie - przykładał się do lektury Biblii co rano i co wieczór. Prawdę mówiąc, jej opowieści wprawiały go w zakłopotanie - owa parada brodatych królów i proroków z ich osobliwymi majaczeniami. Biblijne ostrzeżenia i klątwy przepływały gdzieś ponad jego trzeźwą głową, ale biblijne rytmy trafiały wprost do jego krwiobiegu, ich składnia, ich barwa, ich brzmienie. Jak inaczej wytłumaczyć te jego formalne, archaiczne zwroty, równowagę i harmonię frazy, egzotyczne inwersje, ekstrawagancką metaforykę? To język przemawiał przez niego, a nie - jak to się zwykle dzieje - on się wypowiadał poprzez język.

Inna teoria głosi, że ojciec stał się wymowny dzięki tłumom, które pielgrzymowały na północ, żeby obejrzeć wieżę, którą wybudował na pamiątkę żony, którą wznosił własnymi rękami. Była przecież wśród nich znaczna liczba dziennikarzy, dziennikarzy, którzy zatrzymywali się u boku Cuylera Goodwilla z notesem i ołówkiem w ręku. „Tylko parę pytań, panie Goodwill, jeśli łaska”. Młodzi, jasnoocy, szczerze zadziwieni, zjeżdżali się z całego kontynentu, a nawet z miejsc tak odległych jak Londyn, zwożąc pęki zwykłych dziennikarskich pytań o to jak, kiedy, dlaczego. Cuyler Goodwill stał się osobą powszechnie znaną. Może i ekscentryk, artysta naiwny, ale bynajmniej nie nieprzystępny, bynajmniej. Był człowiekiem, którego można cytować, któremu warto poświęcić miejsce w gazecie. Chwila należała do niego i niewątpliwie zdawał sobie z tego sprawę. To wówczas jego język rozpoczął swój tan, nauczył się zawilosci i dramatyzmu uników, zwodów i konfabulacji. Jego głos, można by rzec, stał się samoistnym światem, którym żył, tak jak inni ludzie żyją meblami czy gestami. Wykształcił w sobie jednocześnie oratorską żyłkę wytrwałości, umiejętność mówienia i mówienia bez ustanku, choć nie zawsze (trzeba to wyznaczyć) wystarczająco treściwie.

Ostatnio coraz częściej kręci się z podziwem głową nad kondycją, jaką okazuje na mównicy, jego płucami jak miechy, organami wyrzucającymi z klatki piersiowej sprężone powietrze. Jego ręce tańczą energicznie do wtóru. Minionej zimy na lunchu handlowców hrabstwa Lawrence mówił bez notatek przez pełną godzinę bez najmniejszego przejawu zmęczenia w tenorowym brzmieniu swego niezrównanego głosu. Przemawiając na dorocznym wieczorze panów w Izbie Handlowej w Bedford, rozwodził się - czarująco według „Star-Phoenix” - przez godzinę i kwadrans. A nie dawniej niż rok temu wygłosił pięknego czerwcowego poranka na brzegu rzeki Ohio porywające przemówienie do absolwentek College'u Longa dla Panien - wśród uzyskujących dyplom *artium bacheloreus* znajdowała się jego córka. Jego oracja pod tytułem „Dziedzictwo zaklęte w kamieniu”, mityczno-poetyckie sprzęgnięcie handlu z geologią, trwała bezprecedensowe dwie godziny, a mimo to - jak się potem mówiło - zasnęło przez cały ten czas nie więcej niż pół tuzina spośród młodych słuchaczek.

- Ten człowiek ma prawdziwe miechy w piersiach - zauważył potem rektor podczas przyjęcia z tortem truskawkowym. - Cóż to za rozmach, cóż za dynamika!

Ale najdłuższa oracja Cuylera Goodwilla, bijąca wszystkie inne na głowę, miała miejsce w 1916 roku, podczas podróży pociągiem z Winnipegu w Manitobie do Bloomingtonu w Indianie, i ciągnęła się przez tysiąc trzysta mil. Audytorium stanowiła jedna jedyna osoba, jego młoda córka Daisy, która miała wówczas zaledwie jedenaście lat. Podróżowali wagonem pierwszej klasy, na koszt Towarzystwa Eksploatacji Wapienia Stanu Indiana, nowego pracodawcy Cuylera Goodwilla. Zielone pluszowe siedzenia były obszerne, luksusowe, dla wygody można je było odchyłać do przodu i do tyłu. Nad głową mieściła się przemyślna mahoniowa konstrukcja, która, ściągnięta w dół, tworzyła stolik. Można było na nim wypić herbatę, którą przynoszono na życzenie, z cząsteczką cytryny ułożoną na brzegu spodeczka. Ojciec i córka siedzieli obok siebie, przedzieleni tylko małym drewnianym oparciem dla ręki. Byli sobie właściwie obcy, więc oboje unikali położenia ręki na tej przegrodzie z politurowanego drewna. Podróż trwała trzy pełne dni - z chaotycznymi, gorączkowymi przesiadkami w Fargo i Chicago, a potem w Indianapolis - i przez cały ten czas ojciec mówił, mówił, mówił.

W jego mózgu otwarła się jakaś klapka, poruszona być może, przynajmniej z początku, przez zwyczajne zdenerwowanie. Nigdy dotąd nie „podróżował”. Świat widziany przez okno wagonu był rozległy ponad wszelkie wyobrażenie, gęsto wszystkim wypełniony. Lasy i pola Północnej Dakoty, Minnesoty i Wisconsinu zdawały mu się spęczniałe od roślinności, zieleniejące skończonymi kształtami na tle mlecznej mgiełki. Teren wznosił się i opadał niepokojąco, zdumiewała zbiórka siana o tak wczesnej porze roku. Wyłaniały się jedno po drugim miasta, odległości między nimi były zaskakująco krótkie, ich nazwy brzmiały nieznamo. Ojciec z osłupieniem patrzył, jak swobodnie mężczyźni (kobiety zresztą też) zeskakują z pociągu na peron i wspinają się z peronu do pociągu - z łatwością i lekkością, rozmawiając, śmiejąc się i pozdrawiając, jakby niepomni nagłego przemieszczenia geograficznego, którego dokonali, niebacznymi na odległość, którą przebyli, na odmienność, w którą wkraczają. Wielu było bez kapeluszy, w jaskrawych, barwnych strojach. Ich bagaże, sądząc po łatwości, z jaką je nieśli, musiały być lekkie jak piórko, zrobione z materiałów - wikliny, płótna - czyniących pośmiewisko z jego brązowej skórzanej walizy, kupionej kilka dni temu i dotąd niepokalanej.

Pociąg mknął na południe, coraz dalej na południe, srebrna strzała tnąca obojętny krajobraz. Słońce świeciło jaskrawo. Goodwill miał wrażenie, że w miarę jak ucieka mila za milą, pozostaje również w tyle stateczność świata. Kiedy przekraczali granicę Illinois i Indiany, z wagonu klubowego dochodził powtarzany w kółko śpiew: „Jakaż ona słodka”. Rzeki, obłe wzgórza, brukowane drogi, grodzone pola. Reklamy tytoniu do żucia wymalowane na ścianach stodół. Miasta stawały się coraz większe i brudniejsze. Druty elektryczne krajały przezroczyste powietrze jak brzytwy.

Pierwszy dzień był najgorszy. Ojciec mówił bez opamiętania, wiedząc, że wkrótce zostanie wraz córką wezwany na drugi posiłek do wagonu restauracyjnego, ewenement, którego się panicznie bał. Niedługo potem słońce zniknie za horyzontem i on stanie przed anomalią pulmanowskiego łóżka, przed koniecznością ułożenia ciała w osłoniętej firaneczką koi, powierzenia go okrucynom zakłóconego czasu i przestrzeni. Przeciw tej grozie mówił.

Opowiadał dziewczynce o swoim dzieciństwie w Stonewall, opisywał rozkład ulic miasta, usytuowanie domu jego rodziców przy wapiennikach, zapach palonego wapienia w zimowe ranki i to, jak czasami czuł się

podle, czasami wesoło. Wyznawał jej swoje proste radości, zamiłowanie do różnych robót, łatwą adaptację do zawodu kamieniarza, dziwne przywiązanie do ziemi i skał.

Mówił i mówił. Nadszedł i minął obiad. Dziewczynkę lekko mdliło - te szarpnięcia pociągu do przodu i do tyłu, i kurczak w tłustym sosie leżący ciężko na żołądku. Kiedy w wagonie restauracyjnym rozlała strużkę żółtego sosu na biały płócienny obrus, ojciec zerwał płócienną serwetkę zatknietą za gors i przykrył nią plamę, nie przerywając przy tym ani na chwilę potoku słów. Mówił teraz o swojej zmarłej żonie, która miała na imię Mercy, Mercy Goodwill, młodej kobiecie nieprzeciętnie biegłej w pieczeniu ciast, robieniu konfitur, prowadzeniu domu.

Część tego docierała do młodej Daisy, część nie. Zrobiła się późna godzina. Dziewczynka zapadała w drzemki, lecz nawet gdy nie spała, jej myśl ulatywała z powrotem do pomieszczeń domu przy Simcoe Street w Winnipegu, gdzie spędziła większą część życia, do jego szczelnych okien i drzwi, do jego drewnianych schodków prowadzących w dół do piwnicy i na dwór do ogródka, gdzie rosły rzędkami kwiaty cioci Clarentine. Przyplływała do niej uśmiechnięta twarz cioci. (Twarz przywrócona teraz ziemi, co stanowiło pocieszającą myśl, gdyż ziemia była znana, wszechobecna, przyjazna, wcale nie groźna). Wujek Barker pakuje teraz pewnie swoje przyrządy i okazy, szykuje się do wyjazdu do Ottawy, podobnej podróży koleją, tyle że na zachód, nie na południe. Pokazał jej na mapie, gdzie leży Ottawa, mały czarny punkcik w gnieździe krzyżujących się szlaków wodnych.

Odbywając w półśnie podróż wstecz w czasie, przywołując pogrzebane obrazy, dziewczynka ze zdumieniem odkryła, że nieobecni są zawsze obecni, że nie znikają tylko dlatego, się wsiadło do pociągu i odjechało w jakimś kierunku. Stwierdzenie to natchnęło ją otuchą na przyszłość z ojcem, którego nigdy nie знаła, który powierzył ją pieczy innych, kiedy miała ledwie dwa miesiące.

Oczy jej się zamknęły, choć ojciec ciągle mówił. Zdawało jej się, że jego głos nie milknie przez całą noc, było to jednak niemożliwe, bo przecież gdy obudziła się raz i drugi na gładkim, chłodnym bawełnianym prześcieradle, na cudownie grubym materacu, otaczała ją tylko ciemność.

Rano rozpoczęło się wszystko od nowa, jedli we dwoje śniadanie w wagonie restauracyjnym (miękkie jajka w koszulkach, trójkąciki grzanek z masłem) i ojciec bez przerwy mówił. Jego niepokój wzrastał się, wzrastał się tak, że nie można go było przytłumić. Dziewczynka musiała wyłączyć słuch; potrzebowała spokoju, nie tego naporu bezładnych wspomnień. Zatopiona w sobie, odtwarzała w pamięci płyty trawy i piasku za szkołą w Winnipegu, krzewy ocierające się o szorstki płot szkolny. A jej ojciec rozwodził się o arkanach obróbki kamienia - jak to trzeba zawsze dobrać odpowiednie dłuto, jak troskliwie trzeba je prowadzić, jak zbyt ni nacisk w nieodpowiednim miejscu może nieodwracalnie zniszczyć dobry surowiec, jak każda bryła kamienia na tym świecie ma swoje wnętrze, w którym coś jest uwięzione.

Mijane pola wypełniała zielona kukurydza, każdy rząd doskonale równy, gdy znikał kłóście z oczu, każda łodyga jak długolistny pan czy pani, pochylający się ku sąsiadowi, gwarzący na wietrze, wysoki i uprzejmy. Ojciec wyjaśniał teraz różnicę między piaskowcem a wapieniem, między granitem a marmurem. Czują, jak jego głos przenika do jej żył i arterii, rozlewa się w jej pamięci.

A on zagłębiał się coraz bardziej i bardziej w studnię swego życia - tęcza, nagrobek, ukośne promienie porannego światła.

Mówił, żeby zapełnić przerażającą ciszę i odepchnąć niepewną przyszłość, ale przede wszystkim, żeby odzyskać swoje dziecko. Czuł, i słusznie, że winien jej jest pełną relację z lat swojej nieobecności. Winien swoją całkowitą historię, życie wydarte z pola skamielin i wyniesione na światło dzienne. Winien każdą minutę, każde drgnienie uczucia. Tyle tego jest! Nigdy nie zdoła tego w pełni wypłacić.

*

Myśląc o przeszłości, zakładamy, że ludzie byli niegdyś szczerzy w swoich działaniach, kierowani przez pierwotne, niezniszczalne siły. Przyjmujemy za pewnik, że naszych przodków przepajała czystość zamierzeń głębsza od tej, jaka dzisiaj jest naszym udziałem, a umysł bardziej zdeterminowany. I tak na przykład wierzymy, że dawni uczeni dążyli do celu „z niezachwianym poświęceniem”, artyści zaś tworzyli „w ogniu wiecznego natchnienia”. Nic bardziej błędnego. Ci, którzy odeszli przed nami, byli równie zdrojni, nieobliczalni i niestali w swoich tęsknotach, jak ludzie dzisiejsi. Najłżejszy podmuch, czy to seksualny, czy psychiczny - a nawet dosłowny podmuch, przynoszący przypływ tlenu i energii - ma moc sprowadzania nas z obranej ścieżki. Cuyler Goodwill, żeby posłużyć się jego przykładem, przechodził w długim życiu parę razy z jednego wcielenia w drugie. W swoich latach dwudziestych był więźniem Erosa, w trzydziestych znalazł się we władzy Boga, jeszcze później Sztuki. Obecnie, po pięćdziesiątce, jest orędownikiem Handlu. Okresy zaabsorbowania jednym czy drugim są przybliżone, gdyż oczywiście zachodzą one znacznie na siebie, w działalności handlowej jest pewien osad uduchowienia, niejaki wspomnienia miłości zmysłowej okraszają sztukę. W zasadzie jednak jego obsesjom, które przecież wyrastają z jednego pokrętnego korzenia biograficznego, a dopiero potem się rozgałęziają i mnożą, towarzyszy wstrzeźliwość. „Jedna rzecz naraz” - to zasada Cuylera Goodwilla. Jest pod tym względem jak dziecko.

Pozostaje dziwnie nieskruszony z powodu swoich kilku metamorfoz, rzadko ogląda się wstecz i nigdy ani na minutę nie ulega marnotrawstwu i szaleństwu nostalgii. Można usłyszeć, jak stwierdza: „Ludzie się zmieniają” albo „To (czy tamto) było tylko rozdziałem w moim życiu”. Jako robotnik w kamieniołomie był w końcu świadkiem, jak świdry gwiaździste ustępują miejsca borom parowym, a ręczne pity poprzeczne mechanicznym piłom wielotarczowym. W 1916 roku został ściągnięty do Indiany w charakterze snycerza przez Towarzystwo Eksploatacji Wapienia, a obecnie jest pierwszym wspólnikiem własnej firmy podwykonawczej. Śledził, jak wapień wypiera miękniejszy piaskowiec, stając się ulubionym materiałem budowlanym w kraju. (W minionym 1926 roku wydobyte i sprzedane zostało trzynaście milionów stóp sześciennych miejscowego wapienia, w większości na budowę oszałamiających monumentów Nowego Jorku i Waszyngtonu). Jedna rzecz prowadzi do drugiej, takie jest życie.

Trzeba wiedzieć, że kiedy Cuyler Goodwill mówi publicznie, jak to się ostatnio często zdarza, o tym, że „żyjemy w postępowym kraju” albo że „jesteśmy członkami dumnego, wolnego narodu”, to ma na myśli Stany Zjednoczone Ameryki, nie zaś dominium Kanady, gdzie się urodził i gdzie wyrósł na mężczyznę. Kanada ze swoimi lasami, jeziorami i rozległymi, przestronnymi obszarami leży teraz po drugiej stronie księżyca, tak samo jak jej uboga, krótka, mroźna historia. Wśród wykształconych bloomingtończyków - obraca się teraz wśród nich na co dzień - są tacy, którzy nigdy nie słyszeli o prowincji Manitoba, a jeśli słyszeli, to nie umieliby jej nazwy poprawnie napisać ani wskazać jej położenia na mapie. Żyją w przekonaniu, że Ottawa jest miastem

w środkowo-centralnym Illinois, a Toronto leży w którymś z północnych hrabstw stanu Ohio. Mogłoby się wydawać, że z nieba zstąpiła gigantyczna gumka do ołówka, która starła z powierzchni całą górną część kontynentu. Mój ojciec jednak, zajęty swoimi kontraktami, lokatami i terminarzem wystąpień publicznych, nie traci ani minuty na opłakiwanie utraconej ojczyzny.

Dominium nie zniknęło, oczywiście, z powierzchni ziemi, chociaż wiadomości o nim tylko z rzadka trafiają do gazet w Chicago czy Indianapolis. Trudno wymagać, by czytelnicy prasy amerykańskiej, tak pochłonięci żywotnym i zapalnym problemem własnego etosu, interesowali się zółwim wzrostem swego spokojnego północnego sąsiada - mimo że jest tak olbrzymi - z jego zdziwaczałym starym królem (w tym tygodniu skończył sześćdziesiąt dwa lata) i umiarkowaną temperaturą jego tygła narodów. Kanada jest krajem, gdzie nic się nigdy nie dzieje. Krajem zawsze przyodzianym w najlepszy strój świąteczny. Krajem, którego nie zaprosilibyście ponownie do walca. Czystym. Chrześcijańskim. Nudnym. Ospałym. Chociaż rozwijającym się. Tak, trzeba przyznać, że dominium się rozwija.

W minionym tygodniu przybyło do Montrealu na pokładach czterech dość pstrokatych parowców, „Letitii”, „Athiaunii”, „Pennlandu” i „Bergenfjordu”, siedmiuset osadników reprezentujących prawie wszystkie narody Europy. Ale jakąż różnicę - powiecie - może sprawić jedne siedem setek obywateli przy ogromie kraju? Ziarnko piasku wysypane na pustyni. Łyżeczka wody wlana do oceanu. Co więcej, trzeba wziąć pod uwagę emigrację powrotną, tych osadników, którzy nie zdołali się zaadaptować i - po roku, dwóch latach, a czasami po dwudziestu, trzydziestu - powracają do krajów swego urodzenia.

Do tych ostatnich należy Magnus Flett z Tyndall w Manitobie, emerytowany robotnik kamieniołomu, powracający „do domu”, na wyspy Orkady. Jakież pożałowania godny żywot wiódł ten człowiek - dokładnie takie słowa wypowiada o nim co najmniej tuzin znajomych, bo nie ma ani jednej istoty, którą mógłby nazwać przyjacielem. Biedak, nieszczęsna dusza, ze swoją tragiczną, samotną egzystencją. Egzystencją kryjącą w swoim krwiobiegu jakiś romantyczny chłód, jak może sądzą niektórzy.

Urodzony w roku 1862, teraz sześćdziesięciopięcioletni, jest obolały na duszy, bezzębny, zreumatyzowany, głuchy na jedno ucho, cierpi na wrzody dwunastnicy, włosy ma szpakowate, rosłe plecy przygięte, skórę popękana, mięśnie w zaniku, jądra skurczone, stopy pożółkłe. Przyjechał do dominium jako wyrostek. Przywiózł silne młode ciało i umiejętności kamieniarskie, wszystko, co posiadał. Przyjechał szukać fortuny. Tutaj poznał i poślubił niejaką Clarentine Barker z osady Lac du Bonnet, farmerską córkę. Tutaj spłodził trzech synów, Barkera (obecnie wysławiającego się wytwornie urzędnika państwowego w Ottawie), Simona (mechanika w Edmontonie, pijaka) i Andrew (kaznodzieję kościoła baptystów mieszkającego ostatnio w Climax w Saskatchewan, ojca małej córeczki). Można by więc sądzić, że Magnus Flett zakorzenił się w nowym kraju, że więzy rodzinne i zawodowe zakotwiczyły go tu na dobre i że będzie chciał, gdy nadejdzie jego czas, spocząć w chudej, zasolonej glebie Manitoby, pod blokiem cętkowanego tyndalskiego wapienia. Lecz on zamiast tego wyłuskał pokaźną część swoich oszczędności na bilet okrętowy na swoje rodzinne Orkady, do kraju, z którym nie wiążą go już żadne więzy krwi, i z którego pozostało mu bardzo niewiele wspomnień.

Nie wie sam, co ze sobą pocznie, kiedy dotrze na miejsce. Zebrał odwagę, żeby porzucić Kanadę, i teraz liczy, że nagi krajobraz Orkadów, gdy tylko się wynurzy na horyzoncie, pouczy go, poradzi mu, co dalej. Z

przeszłości coś wychynie, jest tego pewien, jakaś mądrość, która ocali jego ostatnie dni. Ta wiara pojawiła się z próżni, z niebytu pamięci, i teraz jak przez mgłę przypominają mu się gołe wzgórza i doliny, nagły łagodny kąt ich nachylenia, świeżość wiatru baraszkującego nad głową, a także strzępy innych doznań, a najsilniejsza wśród nich jest wciąż dymna duchota rodzicielskiej kuchni pod osmolonym sufitem, zapierająca dech w piersi, zwiastująca bezpieczeństwo, a zarazem niosąca groźbę. Było pod tym niskim dachem wiele głośnych kłótni, jest tego pewien, trwały przez lata, ale o co? Jego rodzice i starszy brat leżą na cmentarzu przykościelnym w Sandwick, a on przypuszczalnie prędzej czy później do nich dołączy. Z prochu w proch. Spotkanie duchów. Przynajmniej tyle.

Najpierw jechał przez cztery dni pociągiem do Montrealu, tam wsiadł na statek na ośmiodniową przeprawę do Liverpoolu. Ma przy sobie oszczędności, godziwą sumkę. Ma kufer z ciepłą odzieżą - starczy jej do końca jego dni - i z kilkoma pamiątkami czterdziestu sześciu lat przeżytych w Kanadzie. Parę próbek kamienia, tyndalskiego dolomitu, cacka starannie owinięte w wełnianą bieliznę. Narzędzia. Fajka. Pięć funtów ulubionego tytoniu. Cztery książki, z którymi się nie rozstaje, zapakowane w trzy ochronne warstwy gazet. Także dokumenty rodzinne, papiery imigracyjne, świadectwa urodzenia (trzech synów, jego potomstwa, jedyny ślad, jaki po nim pozostanie na tej ziemi), kartka pożegnalna, którą żona zostawiła mu w 1905 roku pod prasą do chusteczek. „Żegnaj” - napisała; to wszystko, po dwudziestu pięciu latach małżeństwa; „Żegnaj”. Nabazgrane ołówkiem.

Jest także parę fotografii. Zdjęcie ślubne: 1880, formalna poza. Panna młoda siedzi na rzeźbionym krześle w atelier, dłonie sztywno złożone na kolanach, włosy zaczesane gładko do tyłu, twarz bez wyrazu. On, postawny mężczyzna - nikt nie może zaprzeczyć - metr osiemdziesiąt parę, stoi za nią, z lewą ręką uniesioną do ucha, ścisną jego płupek czy może drapie. Czy to fotograf kazał mu się tak bawić uchem? A jeśli tak, to czemu go usłuchał?

Inne zdjęcie: trzech chłopców. Barker, lat sześć, wpatrzony buntowniczo w obiektyw; Simon, lat cztery (w krótkich aksamitnych spodenkach, nie z tego świata te spodenki, skąd się wzięły?), siedzi na wyściełanym stołeczku, z nóżką na nóżce; i Andrew, lat dwa, wrywający się, wyraźnie wrywający się, u stóp Simona. Jego synowie. Jego ukochani synowie. Utraceni.

I jeszcze jedno zdjęcie.

Portret grupowy, bez daty, ale Magnus przypuszcza, że pochodzi z 1901 albo 1902 roku. Zanim jego żona zrobiła się „dziwna”. Zanim wszystko się odmieniło. Na odwrocie czyjaś ręka - charakter pisma nie jest mu znany - napisała: „Klub Rytmiki i Gimnastyki Pań”. Zdjęcie ukazuje sześć kobiet. Magnus rozpoznaje doktorową Spears. W drugim rzędzie rozpoznaje Maude Little i Mamie Hefner. Rozpoznaje wszystkie z tych wpatrzonych przed siebie pań. Czyż nie rozpiera ich wszystkich duma? Śmiać się chce, jak człowiek na nie patrzy. Ubrane są w suknie o jednakowych spódnicach i stanikach, z czymś w rodzaju kolorowej aksamitki przy szyi i z szarfą opasującą talię i zwisającą do kolan. W wyrazie twarzy mają coś niepoważnego, a zarazem surowego, jakby układem zębów i warg, uniesieniem ramion chciały powiedzieć: „Co, czy nie jesteśmy klasa, nie jesteśmy?” Clarentine Barker Flett, jego żona, stoi w pierwszym rzędzie, odrobinę niższa od pozostałych, szczupła, ładna, filuterna, przekorna. Wygląda świeżo jak młoda dziewczyna, trudno uwierzyć, że jest po

czterdziestce i urodziła trzech synów. Przygryza dolną wargę, jakby życie było jednym wielkim żartem. Jest szczęśliwa, tak, robi wrażenie bezwstydnie szczęśliwej.

Magnus Flett oglądał tysiąc razy to zdjęcie Klubu Rytmiki i Gimnastyki Pań, wpatrywał się w każdą twarz po kolei, przesuwając wzrok od lewej do prawej, z góry w dół i za każdym razem dochodził do tego samego wniosku: jego żona była szczęśliwa, to fakt niezbity.

Portret może kłamać, ale kamera zawsze wydobywa prawdę - słyszał to od kogoś. Jego znękana żona, o drobnym kościcu powleczonym miękkim ciałem, miała w tym czasie swoje miejsce na ziemi - nikt zdrowy na umyśle, oglądając to zdjęcie, nie mógłby temu zaprzeczyć. Wznosiła się, są na to dowody, na wyżyny egzaltacji czy szaleństwa, co na jedno wychodzi. Jego żona. Z wyzywającym uśmiechem, przygiętymi kolanami, szarfą odbijającą światło. Nie sprawia absolutnie wrażenia żony brutalą. Niemożliwe, żeby była prześladowana, nękana dwadzieścia cztery godziny na dobę przez dwadzieścia pięć lat, nie mieści się to w głowie.

Magnus pociesza się tą myślą.

Pamięta także, że miała szczególny rodzaj dumy, ceniła swoją pracę, odmawiała na przykład drylowania śliwek do puddingu, kazała tym, którzy jedli jej przysmak, wyłuskiwać pestki z ust. Podziwiał to u niej, tę szczególną niechęć do zadawania sobie zbędnego trudu.

Zaprzecza również z uporem - choć któż miałby tego słuchać? - że wczesną jesienią 1905 roku nie pozwolił jej się zwrócić do doktora Spearsa z ropiejącym zębem. To nieprawda. Nie i nie. Wyłożyłyby chętnie te dwa i pół dolara. Przypomniawszy jej tylko, kiedy tak nagle zaczął ją boleć ząb, jak poprzedniej wiosny jego własne zapalenie ucha ustąpiło samo, bez kosztownej porady lekarskiej. (Jest to prawda, prawdą jest jednak również, że w konsekwencji utracił częściowo słuch w tym uchu).

Przez wszystkie lata pożycia małżeńskiego zapewniał jej przyzwoity dom, dbał, żeby nigdy nie brakowało drewna do pieca, i co rano przed wyjściem do kamieniołomu przynosił suche drzazgi na podpałkę. W przeciwieństwie do wielu mężczyzn dawał jej co tydzień odpowiednią sumę na życie. Nie zapominał również o jej własnych potrzebach, o jej kobiecych tęsknotach. Kiedyś przywiózł jej z Winnipeg ozdobiony wstążką pojemnik na szpilki do włosów, a co ona zrobiła? Dała go tej tłustej sąsiadce, Mercy Goodwill. Jakaż żona tak postępuje? Innym razem sprawił jej niespodziankę, kupił najnowszy model skrzyni chłodniczej, piękną rzecz, a ona wpadła w szał i zrobiła mu awanturę, że wyrzuca ciężko zarobione pieniądze.

Dwukrotnie deklарował, że przyjmie ją z powrotem pod swój dach, nie bacząc, co na to powiedzą sąsiedzi, jakim wzrokiem będą na niego patrzyli. W ciągu lat po jej wyjeździe kilka razy wsiadał w pociąg do Winnipegu i kręcił się jak jakiś kryminalista przy rogu Simcoe Street i Aberdeen Road, żeby tylko rzucić okiem na jej postać, zobaczyć, jak wchodzi i wychodzi albo pracuje w tym swoim ogródku zgięta wpół, niby te kobiety z Galicji. Raz widział, jak staje na progu - wciąż szczupła pod obszernym fartuchem - i woła do tej dziewczynki, Daisy, że kolacja na stole i żeby natychmiast wracała do domu, na jednej nodze. Jej głos był kategoriyczny, ale wesoły, czuły, zupełnie zmieniony - a ta mała nie jest przecież nawet jej krewną, tylko dzieckiem tej sąsiadki, która umarła w połogu.

Kobieta, która ucieka od męża, musi mieć powód, musi umieć podać powód, a jedyne, co mu kiedykolwiek wytykała jego żona, to że dusi pieniądze. I nie okazuje jej czułości, skąpi ciepłych słów. Cóż, wychodząc za niego, dobrze wiedziała, że nie jest mężczyzną podatnym na kobiecą gadaninę i fochy.

W rok po jej wyjeździe robił generalne porządki w saloniku, trzepał i wietrzył dywan, odkurzał fotele - i na dnie jej koszyka z przyborami do szycia znalazł cztery małe książeczki. Romanse, tak je chyba nazywano, kobiece książki w miękkich kartonowych oprawkach. Dziewięć pensów każda, cena była wybita na tylnej okładce. Biblioteka Dziewięciopensowa. Nie miał pewności, skąd te książki wzięła, ale domyślał się, że je kupiła od starego Żyda domokrażcy i potem czytała po kryjomu, jakby on mógł jej pożałować takiej drobnej przyjemności.

Zaczął czytać te książki w zimowe wieczory. Lepsze to było niż wpatrywanie się w zegar. Słuchanie jego tykania. Albo nadstawianie ucha, kiedy następny sopel spadnie z drzew na dach. W saloniku zainstalował jakiś czas temu mały piecyk na drewno, żeby odpędzał chłód, na który tak zawsze narzekała jego żona. Czytał powoli, bo prawdę mówiąc, w życiu nie przeczytał całej książki, od deski do deski. Sprawiało mu przyjemność, że potrafi odcyfrować większość słów. Z uwagą przewracał kartkę za kartką. *Walka o serce* pióra Laury Jean Libby, *Czego złoto nie kupi* niejakej pani Alexander, *Na łaskę świata* Florence Warden i *Jane Eyre* Charlotte Brontë.

Tę ostatnią książkę lubił najbardziej. Historia obfitowała w obroty losu, od których dławilo go w gardle, zdejmował słodki ból. W takich chwilach czuł obecność żony o bicie serca od siebie, tak blisko, że mógłby niemal sięgnąć ręką i dotknąć jedwabistego wnętrza jej ud. Zdumiewało go, jak pełne ludzi są te książki. Każda była osobnym małym światem, zaludnionym i umeblowanym. A sposób, w jaki ci ludzie mówili! Mówili i mówili, zdawali się żyć obracaniem języka. Często rzeczy, które wypowiadali, były niemądre, choć niby sensowne. Mówienie chroniło ich jakby od wpadania w gniew. Wymieniali się słowami, jakby płacili pieniędzmi za towar. Niektóre z ich zdań brzmiały jak poezja, nikt tak naprawdę nie mówi. Mimo to on sam wypowiadał te zdania na głos, uczył ich się na pamięć, na wypadek gdyby żona wróciła jakimś cudem do domu, zajęła znowu swoje miejsce przy nim. Żeby być na taką możliwość gotowym. Jeśli takie słowne głupstwa są jej głęboką potrzebą, to on będzie przygotowany, żeby tę potrzebę zaspokajać, będzie pompą wyposażoną w słowa pełne czułości i uznania: „O pięknooka, o jasnowłosa, o mlecznolica!” Albo w zdania mówiące o przepelnionym sercu, o wzbierającym pożądaniu, o uniesieniach ciała witającego drugie ciało. Czy nawet w proste wyznania miłości.

- Kocham cię - szeptał w jej nadstawione ucho. - Uwielbiam całe twoje jestestwo.

A gdyby takie wypowiedzi okazały się dla niego zbyt trudne, czego się obawiał, będzie jej po prostu patrzył w oczy i powtarzał jej imię: Clarentine. Próbował tego w przytulnym, pachnącym drewnem ciepłym saloniku, czując, jak się czerwieni od stóp do głów.

- Clarentine - mówił szeptem, tak jak się przemawia do wylęknionego stworzenia, starając się zachować spokój w głosie, mówił prosto do tej twarzy, która będzie zawsze przynależać do Klubu Rytmiki i Gimnastyki Pań, nie do niego, do tej wpatrzonej w niego, kochanej twarzy. - Clarentine. Clarentine.

A później - było to już potem, jak została przewrócona przez rozpędzonego rowerzystę i uderzyła głową o podmurówkę gmachu Royal Banku - jego szept przemienił się w urywany krzyk:

- Clarentine, wróć, wróć do domu, moja ukochana, moja jedyna, jedyna miłości!

Na tydzień przed ślubem Daisy Goodwill w Bloomingtonie matka pana młodego, pani Arturowa Hoad, miała przyływ życzliwości. Zaprosi na lunch przyszłą synową. Usiądą tylko we dwie na bocznej werandzie przy stoliku do kart, nakrytym popielatym płóciennym obrusem i serwetkami, z codzienną zastawą i może jedną koralową piwonią pływającą w małej szklanej czarce na środku. Lobelia May, która jak co środe przyjdzie posprzątać i coś upiec, poda swoją sławną sałatkę z tuńczyka i dzbanek mrożonej herbaty, po czym, poczciwa dusza, taktownie się usunie, zostawiając przyszłą synową i przyszłą teściową sam na sam, żeby mogły swobodnie porozmawiać o rzeczach, które kobiety muszą załatwić między sobą.

Nie chcąc przytłaczać dziewczyny, pani Hoad ubrała się na tę okazję niezobowiązująco, w kwiecistą drukowaną sukienkę ogrodową i czólenka ze skóry renifera.

- Mam nadzieję, że nie weźmiesz mi tego za wtrącanie się w nie swoje sprawy, Daisy. Żywię do ciebie jedynie ciepłe uczucia, ale nie przeszkadza mi to pamiętać, że się wychowałeś w domu bez matki, co jak wiemy, może się odbić niekorzystnie na późniejszym życiu. Twój ojciec jest wspaniałym człowiekiem i kochającym rodzicem, nie mogłabyś sobie wymarzyć lepszego, istnieją jednak sfery życia stanowiące wyłączną domenę kobiet. Doceniam fakt, że odebrałaś wykształcenie w college'u, gdzie zdobyłaś pewne obycie z literaturą i sztuką, ale mam nadzieję, że nie pozwolisz tej wyższości odbić się niekorzystnie na harmonii małżeńskiej. Innymi słowy, mam nadzieję, że nie ulegniesz pokusie popisywania się swoją wiedzą przed tymi, którzy obrali inną drogę życiową. Jak wiesz, Harold postanowił rzucić po roku studia inżynierskie. Cóż, zawsze miał usposobienie praktyczne i oczywiście widział dla siebie miejsce raczej w firmie rodzinnej, szczególnie po przedwczesnej śmierci swego ojca. Nawiasem mówiąc, Daisy, zawsze lepiej powiedzieć po prostu, że ktoś umarł, niż że odszedł od nas czy rozstał się z tym światem. Tak samo, niech mi wolno będzie wspomnieć, należy zapraszać po prostu na obiad czy kolację, nie nazywać tego przyjęciem czy bankietem. Kiedy nakrywasz do stołu, bez względu na to, czy do śniadania, lunchu czy obiadu, pamiętaj, że nóż musi być zawsze ułożony ostrzem do talerza. Do talerza, nie od talerza. Widelce do sałatki kładzie się oczywiście po zewnętrznej stronie widelców do pieczystego. Harold jada zawsze na śniadanie granolę. To sprawa dobrego trawienia i zdrowia. Muszę to chyba powiedzieć wyraźnie. Myślę o stolcu. Wypróżnieniach. Ma z tym kłopoty, i to odkąd był zupełnie małym chłopcem, więc granola to konieczność. A przy tym bardzo ekonomiczne pożywienie. Bo nie należy się wstydzić gospodarności, Daisy. Aha, soku pomidorowego nigdy nie podaje się do śniadania, ale wyłącznie przed lunchem i przed obiadem. Do śniadania najlepszy jest sok pomarańczowy. Sok z puszki jest dopuszczalny, jeśli świeże pomarańcze są niedostępne albo kiedy chodzi o czas. Harold jest bardzo czuły na punkcie swoich szczotek i grzebieni, muszą być regularnie myte. Lubi mieć zawsze twardy kauczukowy grzebień na toaletce, więc trzymam jeden czy dwa w zapasie, na wypadek gdyby go gdzieś zapodział. Pewno nie odkryłaś jeszcze balsamu do skóry Venitian Velva. W twoim wieku nie dba się zbyt o cerę, ale skóra twarzy chropowacieje szybko między dwudziestką a trzydziestką. Używaj go przed snem, wcierając delikatnie, okrężnym ruchem. I nigdy nie używaj mydła, nigdy. Dlaczego, zapytasz. Bo mydło nadmiernie wysusza skórę. Do kąpieli polecam ci proszek Poudre de Lilas. Niektóre pudry mają przenikliwy zapach, a mężczyźni drażnią silne zapachy. Widzę, że nie jesz swoich oliwek, Daisy. Jeżeli kiedykolwiek znajdziesz na talerzu coś, co ci nie przypada do smaku, staraj się to pod czymś ukryć, żeby nie wprawiać w zakłopotanie gospodyni. W tym

przypadku nadaje się do tego liść sałaty. Czy wiesz, że prześcieradła można zamawiać z metra, przy czym ob-
obrębiają je zwykle bezpłatnie. Białe pantofle nosi się jedynie między Dniem Pamięci a Świętem Pracy, a więc
od końca maja do początku września. Bądź ostrożna ze słowem *entrée*. Nie oznacza ono głównego dania, jak
wielu sądzi, ale poprzedzającą je przystawkę. Harold jest szczególnie wrażliwy na punkcie historii swego ojca,
jego przedwczesnego zgonu. Z pewnością zapoznano cię z niezbędnymi faktami. Harolda wyprowadza z
równowagi wspomnienie tego smutnego wydarzenia. Najlepiej, żebyś w ogóle nigdy nie robiła żadnych
wzmianek o ojcu. My nigdy tego nie robimy. I zawsze pozostajemy w domu w niedzielę wieczorem. To
bardzo, bardzo silna tradycja rodzinna. Pod żadnym pozorem nie wychodzimy. Pamiętaj wysłać podziękowania
za prezenty ślubne w ciągu dwóch miesięcy. Niektórzy dają na to trzy miesiące, ale ja jestem staromodna i
obstaję przy dwóch. Najlepsze są zwykle bileciki, ewentualnie z wytłaczaną obwódka. Raz Harold zakrztusił
się prażoną kukurydzą. Zawsze obserwuję go uważnie, kiedy jemy wieczorem prażoną kukurydzą. Na koniec
słówko o waszym miodowym miesiącu. Nie byłaś nigdy w Europie, więc możesz być zaskoczona dziwnym
urządzeniem w pokojach hotelowych. Oczywiście, mam na myśli Francję i Włochy, nie Anglię. Ta porce-
lanowa muszla nie jest tym, na co wygląda, używają jej na kontynencie do higieny osobistej. Nigdy nie dotykaj
takiego urządzenia, bo roi się w nim od mikrobów, dosłownie roi. Od mikrobów najgorszego rodzaju.
Mikrobów, które mogą cię przyprawić o chorobę na resztę życia, chorobę przekazywaną przez jedną osobę
drugiej, a nawet następnemu pokoleniu. Kiedy kobieta wyjdzie za mąż, musi się strzec wszelkich zagrożeń.
Musi myśleć nie tylko o sobie. Od chwili kiedy przed ołtarzem żona wymieni z mężem ślubowanie, podejmuje
się wziąć na swoje barki świętą odpowiedzialność za niego.

*

- To, o czym mówiła, nazywa się bidet - pouczyła Elfreda Hoyt. - Takie urządzenie do mycia pupy.
Napelniasz to wodą, kucasz nad tym i szorujesz do czysta starszą panią.

Parę dni przed ślubem Elfreda, Daisy i Labina Anthony czekają na ostatnie przymiarki za zasłoną w
pokoiku na tyłach Salonu Mód Damskich Marshalla. Krawcowa poszła do magazynu po nową torbę szpilek.
Jest gorące popołudnie, ale mały wiatrak elektryczny podwiewa spódnice panien, chłodzi je. Elfreda (Fraidy) i
Labina (Bina), druhny, mają wystąpić w identycznych sukniach z popielatoniebieskiego krepdeszynu,
obszytych przy rękawach i dekolcie koronką koloru kości słoniowej. Suknia Daisy, z atlasu na spodzie z krepy,
en traine, naszywana jest perełkami i brylancikami. Welon będzie z szyfonu i koronek. Bukiet ślubny ma być z
konwalii, storczyków i paproci.

Fraidy jeździła poprzedniego lata do Europy. Na statku miała dwa romanse, jeden podczas rejsu tam,
drugi z powrotem. Pomiędzy tym studiowała przez pięć tygodni historię sztuki we Florencji i raz trafiła na
lekcję rysunku z natury, do którego pozował nagi mężczyzna leżący na podwyższeniu. Była poza tym w
Paryżu, gdzie się wspięła na szczyt wieży Eiffla, stała przy wiecznym zniczu pod Łukiem Tryumfalnym i jadła
w bistrze karczocha, oddzierając z niego po kolei listki, maczając je w małym naczynku z octem i przeciągając
między zębami.

- Co trzeba wiedzieć o Francuzach - poucza Elfreda Binę i Daisy - to że są skończonymi świntuchami w
pewnych sprawach. A religijnie *propre* w innych. Bidet jest im absolutnie niezbędny. Na przedtem. I na potem.

- Przed czym? - pyta Bina. - I po czym?

- Przed stosunkiem i po stosunku.

- O!

- Francuzki mają stosunki znacznie, znacznie częściej niż Amerykanki. Zresztą niż Angielki także.

- Czemu? - pyta Daisy. - Czemu to robią?

- Są znacznie bardziej zmysłowe. Uważają, że życie płciowe jest istotne dla osiągnięcia pełni kobiecości. Palą się do niego i są nader pomysłowe.

- Co to znaczy pomysłowe?

- Robią to na różne sposoby.

- Co-o?

- Na sposoby inne niż normalnie. W lecie w jednym z hoteli, gdzie się zatrzymaliśmy, znalazłam w szufladzie biurka książeczkę, taką broszurkę. Z fotografiami. No, wiecie, kochających się par. Na różne sposoby.

- Nigdy nam o tym nie mówiłaś.

- Bo nigdy nie pytałyście.

- I co oni właściwie robili?

- Kto?

- No, te pary? Na fotografiach?

- Właśnie, co?

- No-o... - Fraidy spuszcza wzrok na swoje świeżo polakierowane paznokcie. - Sądząc po fotografiach w tej książeczce, wygląda - robi pauzę - że całowali jedno drugie. U dołu.

- Gdzie?

- Tutaj. - Wskazuje na podołek.

- O mój Boże!

- Mężczyźni całowali tam kobiety czy kobiety całowały mężczyzn?

- Jedno i drugie.

- O mój Boże.

- Ja bym nie mogła.

- Mnie by zemdliło, zwymiotowałabym.

- Mnie się robi niedobrze na samą myśl.

- Dla nich to zupełnie normalne. Oni nie są ani w połowie tacy purytańscy jak my w Ameryce. A poza tym to pod pewnym względem, rozumiecie, bardzo dobry sposób. Żeby nie zajść w ciążę.

- Mam nadzieję, że Dick nie słyszał o czymś takim - mówi Bina. Ma poślubić Dicka Greene'a w pierwszą sobotę lipca.

- O rety, Harold nie zechce chyba próbować...

Daisy patrzy na Fraidy, potem na Binę. Przez chwilę trwa absolutna porozumiewawcza cisza, po czym wszystkie trzy parszczą śmiechem. Żadna nie zna powodu tej nagłej wesołości - jest to coś, co na nie od czasu do czasu spada jak poryw wiatru.

- Nie rozśmieszajcie mnie - dyszy Bina - bo popękają na mnie te cholerne szwy.

- A ja się posusiam w cholerne majtki - piszczy Fraidy.

Te trzy śmieją się bez przerwy, zaśmiewają się do rozpuku, jak mówi matka Fraidy. Daisy wydaje się czasami, że ona i Fraidy, i Bina stanowią jedną osobę w jednym wspólnym ciele, wdychają jedne i te same wiewy powietrza i wpadają na jedne i te same psotne pomysły. Ciągnie się to od zawsze, przez te wszystkie lata, kiedy były razem w Tudor Hall w Indianapolis, potem chodziły razem do College'u Longa, zapisały się do tej samej żeńskiej korporacji, odebrały dyplomy tego samego czerwcowego dnia. Ilekroć teraz Daisy myśli o swojej podróży poślubnej, o tym, jak się znajdzie pod wieżą Eiffla albo przed rzymskim Koloseum, to zawsze widzi obok siebie Fraidy i Binę, papłące, śmiejące się, pokrzykujące razem z nią.

Dopiero tego popołudnia, stojąc koło elektrycznego wiatraka podwiewającego jej jedwabną halkę, uświadamia sobie, że to nieprawda. Będzie w tych obcych miejscach zupełnie sama. Tylko ona i jej mąż. Harold A. Hoad.

*

Inicjał przed nazwiskiem Harolda A. Hoad jest skrótem imienia Artur, odziedziczonego po ojcu, tym ojcu, który się zastrzelił pewnego niedzielnego wieczoru w piwnicy swej kamiennej fortecy przy ulicy Pierwszej Wschodniej, kiedy Harold miał siedem lat.

Jest to ulica, przy której mieszkają co znaczniejsi właściciele kamieniołomów, prosta, trzeźwa, chłodna pod baldachimem splecionych drzew, z domami cofniętymi daleko w głąb posesji. Rezydencja Hoadów, usytuowana naprzeciwko rezydencji Kinseyów, została wzniesiona w dawnym stylu angielskim, ze stromymi dachami i zwężającymi się kominami. Jest cała zbudowana z solidnych bloków kamiennych, nie tylko licowana ciosami kamiennymi. Szyby są ze szkła ołowiowego, drzwi frontowe z masywnego dębu. Misterne płaskorzeźby dokoła nich wyszły spod dłuta Hortona Graffa, najślawniejszego z bloomingtońskich snycerzy, który miał później zostać, obok Hectora MacIlwraitha i Cuylera Goodwilla, współwłaścicielem firmy Lapidarian. (Splecione liście, gałązki winorośli i kiście winogron, które Graff wyrzeźbił jako młody jeszcze człowiek, uchodzą za piękny przykład amerykańskiego *art nouveau*).

W jakiś czas po samobójstwie Artura Hoad pani Hoad wezwała swoich dwóch synów, Lonsa i Harolda, i podzieliła się z nimi tym, co wyszło na jaw:

- Wasz biedny ojciec zasięgnął niedawno porady okulisty i dowiedział się, że wkrótce całkowicie oślepnie. Nie mógł się pogodzić z myślą, że będzie mi ciężarem, i wybrał tę drogę wyzwolenia.

Skąd się dowiedziała o grożącej ślepotcie? Czy okulista potwierdził diagnozę? Czy zmarły zostawił rodzinie list z wyjaśnieniami? (Minęło ładne parę lat, nim Haroldowi nasunęły się te pytania). Otóż nie. Okazało się, że „ze względów ubezpieczeniowych” Artur Hoad postarał się, by okoliczności jego odejścia pozostały nieco mgliste. Pani Hoad zaklinała się jednak zawsze, że wie, co mówi. Ona rozumie i wybacza, więc to samo muszą uczynić oni, obaj synowie zmarłego.

Kiedy Harold dorastał później w Bloomingtonie, ciągle w tym samym domu (kamieniołom rodzinny prosperował bowiem aż do kryzysu), do jego uszu dochodziły głuche wieści o nieprawidłowościach w finansach ojca i o „przyjaciółeczce”, którą miał w Bedfordzie, wieści, których żadna gorzka kropla zbytnio go nie dziwiła. W jego sercu zakorzenił się dziedziczny cynizm. Cynizm, który go nigdy nie opuści. Harold czuje,

że jego własne życie będzie jednym długim oczekiwaniem na objawienie jakiejś straszliwej prawdy, której się lęka i którą jest zarazem i gotów przyjąć z otwartymi ramionami.

Tymczasem łaknie szczegółów, które nie są mu dane czy też których - uważa - nie ma się prawa domagać. Chciałby na przykład wiedzieć, czy ojciec podał jakiś pretekst, dlaczego schodzi do piwnicy w niedzielny wieczór. Jakim dokładnie pistoletem się posłużył i czy go kupił specjalnie dla dokonania aktu samozagłady? Jakich rozmiarów otwór pozostawiła kula i w którym dokładnie miejscu? W głowie? W piersi? I co z krwią? Ile jej było i komu zlecono zadanie jej wytarcia? Czy nieszczęsny cyngiel został pociągnięty w ciasnym ciemnym kącie za piecem, czy w piwnicy z owocami, czy może koło kotła do gotowania bielizny, pod okienkiem z firanką? Czy ojciec umarł od razu, czy też może dogorywał przez godzinę lub dwie, żałując swojej decyzji i wołając słabo o pomoc?

Jaki dokładnie był przebieg wydarzeń tego wieczora? Czuł nieprzeparłą potrzebę, żeby się dowiedzieć, a zarazem napełniało go to wstydem. Cóż to za chorobliwa ciekawość! Czyż takie łaknienie dokumentacji za wszelką cenę nie jest niezdrowe, nienaturalne, nieprzystojne, groteskowe? Czyż nie jest to, no, niemęskie? Niemęskość - w końcu wątpliwości sprowadzały się zawsze do tego.

Samobójstwo ojca zostało przez matkę spieszenie przeobrażone w akt poświęcenia - kochający ojciec i mąż pragnął oszczędzić rodzinę. Podobnie utrzymywała zawsze, że jej syn Lons ma skłonności „artystyczne”, nie że jest lekko opóźniony w rozwoju, a relegowanie Harolda ze Szkoły Inżynierskiej za ściąganie przypisywała złośliwości pewnego zawziętego profesora. Jej wykrętne tłumaczenia doprowadziły do tego, że Harold czuł się permanentnie odurzony. Ugiął się pod nierealnością jej fantazji. Chodził stale z oczadziłą głową. W miarę jak dobiegał wieku męskiego, coraz trudniej było mu myśleć trzeźwo, aż po dwudziestce zaczął pić: whisky z sodą po południu, butelkę wina, czasem dwie wieczorem, brandy na dobranoc. Na własny ślub z Daisy Goodwill w czerwcu 1927 przyszedł pijany do kościoła, episkopalnego kościoła Świętego Łukasza na ulicy Drugiej, i ku swemu zdumieniu został wpuszczony. Przez cały czas ceremonii podpierał go drużba, Dick Gregory. Goście ślubni, zamazany różowy tłumek, zdawali się ziewać w jego stronę z ławek, niektórzy ocierali sentymentalnie łzy w głupich oczach.

Taki przystojny młodzieniec, najprzystojniejszy młody człowiek w Indianie, powtarzano. Uosobienie męskich cnót młodej Ameryki. Pewność dobrobytu i powodzenia. Miłości i szczęścia rodzinnego. Obowiązkowości i bogobojności. Same błogosławieństwa. Same błogosławieństwa.

*

W każdym życiu kryją się rozdziały, które rzadko odczytujemy, a już na pewno nie na głos.

Barker Flett, otrzymawszy w Ottawie list Daisy Goodwill z zawiadomieniem o jej bliskim ślubie z młodym człowiekiem nazwiskiem Harold A. Hoad, doświadcza lekkiego, lecz uporczywego ucisku w piersiach, który uznaje za podobny do kurczu niepokoju czy wyrzutów sumienia. Stoi mu przed oczami, jak żywy, jej obraz, takiej jaką widział ostatni raz, jedenastoletniej dziewczynki w słomkowym kapelusiku, wsiadającej do pociągu, ale odpycha wspomnienie - bo czemuż miałby je przywoływać? - przelotnego, perwersyjnego pragnienia przygarnięcia jej młodego ciała, poczucia jej delikatnych ramion i ledwo rozkwitających piersi. Zepchnął ten wstyd w niepamięć, w jego mózgu zatrzasnęła się nad nim jakaś klapka. Niech pozostanie zamknięta na głucho.

O Barkerze Fletcie, nowo mianowanym dyrektorem Wydziału Badań Rolnych, mówi się, że jego duch, sam jego kościć, jest spetryfikowany. Ma teraz czterdzieści trzy lata i pozostaje kawalerem, mającym, jak się uważa, paraliżujące zahamowania w sprawach płci, intymności, *la vie personelle*. Niekiedy, na piknikach biurowych czy proszonych kolacjach, przejawia krótkotrwały dygot ożywienia, zawsze okupowany skurczem skruchy. „Zakosztowawszy goryczy - napisał kiedyś dość pompatycznie w prywatnym dzienniku - stwierdziłem, że mi przypadła do smaku”. Choć manieri ma niezręczne, robi w towarzystwie dziwnie rozbijające wrażenie - poważny mężczyzna, który sili się, żeby uchodzić za mniej poważnego, niż jest. Kobiety nadal uważają jego bladą, zagłodzoną twarz za przystojną. O swoim zbiorze sabotków - dwadzieścia siedem odmian, każda pięknie zachowana - może rozprawiać bez końca, nie ma natomiast pojęcia o znaczeniu fokstrota w życiu Ameryki i jest zbyt zaabsorbowany sobą, by dotarło do niego coś więcej niż mgliste echo niedawnego wyczynu Charlesa Lindbergha. Dobrze, że długie samotne włóczęgi weekendowe za miastem utrzymują przynajmniej jego ciało w formie. Gęste i ciemne pozostają po czterdziestce także jego włosy. (Pod jego wełnianymi spodniami i kalesonami kryje się uwłosienie łonowe bujne jak prywatny ogród). Od lat krążą po mieście pogłoski, że jest homoseksualistą - plotka, która na szczęście nie dotarła nigdy do jego uszu, gdyby go wprowadziła w najwyższe osłupienie, nie czuje bowiem najmniejszego pociągu do męskiego ciała. Co do kobiet, to budzą w nim jednocześnie głęboką cześć i przelotne rozdrażnienie, a z przypadkowych lektur na ten temat wie, że jego drażliwość ma swoje korzenie w urazie do karzącej, skąpiącej, ubezważnowolniającej matki, matki, która podaje, a potem odbiera pierś.

Kiedy jednak wspomina swoją własną, wiecznie krzątającą się drobną matkę o wąskiej piersi, jej zaabsorbowanie kosztami artykułów codziennego użytku, sposób, w jaki urządziła sobie życie, nie odczuwa nic prócz ciepła. Prawda, Clarentine Flett nie dostawało uczciwości. Porzuciwszy męża i obowiązki żony, wypaczyła, przerobiła własną historię. Jej rozwój duchowy zatrzymał się w dzieciństwie, na lekkiej urazie do Boga z Księgi Rodzaju, Boga gniewnego ojca, który błądzi po ogrodzie i depcze jej ukochane kwiaty. Mimo to...

Ależ tak, Barker często myśli o matce, a zawsze z czułością. Tak samo jak myśli o małej Daisy i zacierających się w pamięci szczęśliwych latach, kiedy się nią wraz z matką opiekował.

Gdy dzisiaj zasiada i pisze do Daisy list z życzeniami szczęścia na nowej drodze życia, załącza do niego przekaz bankowy na kwotę dziesięć tysięcy dolarów, wyjaśniając, że jest to suma uzyskana w 1916 roku ze sprzedaży kwaciarni matki, pomnożona w czwórnasób przez fortunne inwestycje. „To Twoje pieniądze, kochana Daisy - pisze. - To jest to, czego ona by sobie życzyła, zawsze bowiem uważała, że każda kobieta, zameżna czy nie, powinna mieć własny kapitał. Pieniądze na szpilki do włosów, jak by to określiła na swój domowy sposób”.

Jako osobisty prezent ślubny Barker posyła Daisy pełne, ręcznie malowane wydanie *Dzikich kwiatów Kanady* pióra Catherine Parr Trail. Nie wyobraża sobie cenniejszego, bardziej odpowiedniego podarunku dla młodej kobiety rozpoczynającej samodzielne życie.

*

Prezenty ślubne są wyłożone na pokaz w jadalni rezydencji Cuylera Goodwilla na Hawthorne Drive. Cztery półmiski z podgrzewaczami. Kryształowe kieliszki i szklanki na dwanaście osób. Dwie porcelanowe

zastawy. Platery i srebra stołowe. Waflownica. Obrusy i serwetki. Mięsiste tkane koce. Chińska żardiniera. Sa-Salaterki do słodczy, orzechów, owoców. Kandelabr, serwis do kawy, serwis do herbaty. Od pana młodego dla panny młodej platynowy zegarek. Od Cuylera Goodwilla dla córki metrowa rzeźba ogrodowa z wapienia, wyobrażająca elfa.

Cuyler wykonał elfa sam - pierwsza praca rzeźbiarska, jakiej spróbował po wieloletniej przerwie - i nie zdaje sobie zupełnie sprawy z jego żenującej nieudolności i kiczowatości. Aż dziw, że coś takiego wyszło spod tej samej ręki, która wyrzeźbiła filuterną syrenkę osadzoną w wieży nagrobnej w Manitobie, smętnie teraz niszczejacej, oraz anioła z salemskiego wapienia wspierającego główną kolumnę Kapitolu Stanowego Iowy. Talent rzeźbiarski opuścił Cuylera Goodwilla, jego wrażliwość się stepiła. Stał się rzutkim biznesmenem, prawda, ale wyszedł całkowicie z wprawy w rzeźbieniu i pozostał beznadziejnie nieczuły na fantazyjne zawijasy *art nouveau*, który jest ostatnim krzykiem mody, i zupełnie nie obznajmiony z nowymi narzędziami swego fachu. „Zadziwiające jest - powiedział rok temu w przemówieniu na zakończenie roku akademickiego w College'u Longa - że nieruchomą, twardą bryłę kamienia można wydobyć z ziemi i wyposażyć w skrzydła”.

Owszem, ale niezbędny po temu jest dar wyobraźni plastycznej. I świeżość spojrzenia.

A nie tknięty wyobraźnią ani świeżością jest ten niewydarzony duszek ogrodowy. Szczerzy głupawo zęby w ustach uformowanych w kształt litery O, wesołe oczka błyskają mu nad wydętymi kamiennymi policzkami, potworkowata głowa hermafrodyty tkwi na tułowiu ocierającym się o karykaturę. Co więcej, rzeźbę cechuje tak wygładzona, wylizana faktura, jakby była ona odlana z betonu. To dzieło sztuki ma wszelkie dane, by dołączyć do rodziny groteskowych, pozbawionych smaku prezentów ślubnych, takich jak ceramiczny półmisek na homary czy nie glazurowany porcelanowy medalion ścienny, prezentów, które się czym prędzej skazuje na niebyt w piwnicy lub w garażu i które później żyją w anegdocie i dowcipach rodzinnych.

Ale mniejsza o to. Elf został wyrzeźbiony z miłością, w rozbrajającym zaślepieniu. Cuyler Goodwill ma oczy pełne łez, gdy wręcza ukochanej córce swego szpetnego gnoma.

Również oczy Daisy napelniają się w odpowiedzi łzami, oblubienica nie może jednak powstrzymać westchnienia, widząc, że ojciec szykuje się do wygłoszenia jednej ze swoich tubalnych a beztreściwych mów.

Cuyler Goodwill nie zdaje sobie bowiem sprawy, że opuścił go również talent oratorski. Mówca wkroczył w swój okres barokowy. Biegłość, do jakiej doszedł, obróciła się przeciwko niemu, tak jak w późniejszym życiu zawiodą go żyły. Pomysłowość językowa rozmięła się na wytarte sztuczki. Już jego zeszłoroczne przemówienie w College'u Longa przyprawiało Daisy o rumieniec wstydu. Kręciła się cały czas na siedzeniu, drapała pod ceremonialną togą i deklek dyplomantki, słuchając jego pastorskich kadencji, żałośnie wymęczonych okresów, zwietrzałych mądrości. Rozprawia o urokach kamienia nie jak esteta - to by było do zniesienia - lecz jak moralizator. Słowa, tysiące, dziesiątki tysięcy słów, wyciskane jak krem, zbyt tłusty, zbyt gęsty. Czyż nie widzi ziewających twarzy, nie słyszy znudzonych westchnień, nie dostrzega jej własnego palącego wstydu? Popatrzeć tylko na niego, jak wymachuje w powietrzu rękami. Mały kogut, nadęty, egzaltowany. Jak dochodzi do takiej degrengolady? Daisy zna odpowiedź. Przez utratę poczucie rzeczywistości. Utratę słuchu.

Mówił i mówił owego czerwcowego przedpołudnia, stojąc na palcach, żeby widzieć nad pulpitem, wykladał i rozwijał swoją ulubioną metaforę. Wapień salemski, tłumaczył cierpliwym słuchaczkom, należy do tych rzadkich kamieni, które dają się obrabiać we wszystkich kierunkach, gdyż nie mają naturalnego skosu.

- Mówię wam, młode kobiety, które wchodzić w świat, myślcie o tym cudownym kamieniu jako o materiale, z którego wykuwacie swoje życie. Jesteście rzeźbiarkami, w dłoniach dźwierzycie dużo inteligencji. Możecie ze swego życia uczynić rzecz taką lub inną. Możecie być słodyczą lub goryczą, światłością lub ciemnością, energią lub ospałością, bojowniczkami lub maruderkami. Możecie tragicznie upaść lub błyskotliwie wzlecieć. W waszych rękach, młode obywatelki świata, leży wybór.

*

- Nie rób tego - przypomina sobie swoje słowa Daisy.

- Czego mam nie robić?

- Tego.

Daisy Goodwill i Harold A. Hoad spacerowali w bloomingtońskim parku publicznym parę dni przed ślubem.

- Nie rób tego tą gałązką - powiedziała do niego. Harold bezmyślnie machał wijką wierzbową, ścinając główki ostróżek, goździków, chabrow, irysów.

- Kogo to obchodzi - powiedział, patrząc na nią z ukosa, krzywiąc swoją dużą, plastyczną twarz.

- Mnie - odparła.

Harold zamachnął się i ściął jednym ruchem trzy kwiaty. Orientalne maki. Płatki rozsypały się po asfaltowej ścieżce.

- Przestań! - krzyknęła, i Harold przestał.

Wie, jak bardzo mu jest potrzebna. Łaknie miłości, dyscypliny jak skalpel, jak bat, czegoś, co okiełzna jego dzikie wyskoki, jego chorobliwe skłonności.

A Daisy szczerze wierzy, że go może zmienić, ująć w karby i wykrzesać coś szlachetnego z jego gwałtownej natury. Wie, że Harold jest zgłodniały rygoru. Mówią jej to jego miękkie męskie usta, jego wilgotne, potulne spojrzenia. Na dobrą sprawę, jest to główny powód, dla którego godzi się za niego wyjść, to i fakt, że w ogóle „czas” wyjść za mąż - kończy przecież dwadzieścia dwa lata. Czuje, że jej życie nabierze kształtu, skryształizuje się wokół wybranej misji. Pragnie czegoś chcieć, nie jest tylko pewna, co jej wolno. Chciałaby być gotowa, silna.

Nie udaje jej się jednak powstrzymać młodego męża od picia w noc poślubną. Przez cały czas w pociągu, który ich wiezie do Montrealu, Harold żłopie żdin prosto z butelki. Pije, przysypia, chrapie, wymiotuje do małej umywalki w slipingu pierwszej klasy. Przestaje pić na osiem dni rejsu przez Atlantyk, ale tylko dlatego, że cierpi bez przerwy na chorobę morską. Daisy zresztą też. Jest koniec czerwca, lecz na północnym Atlantyku panuje paskudna pogoda. Wielkie fale wznoszą się i opadają, deszcz leje bez przerwy. Młodzi docierają do Paryża wyczerpani. Szkolna francuszczyzna Daisy okazuje się bezużyteczna, odnajdują jednak

jakoś hotel na rue Victor Hugo i śpią przez trzydzieści sześć godzin na szerokim twardym łożu. Gdy się budzą z obolałym ciałem i zaschniętymi ustami, Harold mówi jej, że ma dość cholernego Paryża i brzydzi się brudnymi żabojadami, którzy trąkoczą po francusku i siusiają na ulicy.

W ciągu godziny udaje mu się wynająć olbrzymie auto, Delage Torpedo, czarne jak karawan, z kwadratowymi tylnymi oknami jak wielkie zdumione oczy. Ujawszy kierownicę, Harold na chwilę się ożywia, wyśpiewuje głośno i bezdźwięcznie, jakby uniknął wielkiego niebezpieczeństwa, choć język potyka mu się od dzinu: „Daisy, Daisy, nie mów: nie, bo szaleńczo kocham cię”. Przelatuje przez przedmieścia Paryża i wypada z miasta, trąbiąc na przechodzących ludzi, na krowy i kury, w blade, rzadkie powietrze Francji. Potem mkną nie kończącymi się wiejskimi drogami, między szpalerami drzew, przez urzekające pola maków i janowca, aż wreszcie, po długich godzinach jazdy, docierają do gór.

Daisy błaga go, żeby zwolnił, najpierw lamentuje, potem krzyczy, że nie powinien pędzić jak szalony i pić przy tym wina, że naraża ich życie. On niemal kwiczy z rozkoszy na jej napomnienia, na połajanki kochanej młodej żonki, tak słodko zdeterminowanej wyprowadzić go na proste drogi.

Zatrzymują się w końcu w sennym miasteczku alpejskim Corps, żwir pryska spod kół hamujących przed Hotel de la Poste. Przygarbiony portier wnosi ich walizy po wąskich schodach na drugie piętro, do gołego pokoju o pochyłym suficie i pojedynczym oknie, ukrytym za ciężkimi zasłonami.

Daisy, wyczerpana, pada na dosyć wyboiste łóżko, rozprostowuje pod plecami pogniecioną i poplamioną żorzetową suknię. Nie pojmuje, co robi w tym ciemnym, zatechłym pokoju, a zarazem ma uczucie, że już tu kiedyś była, że wszystkie te ściany i kąty są jej znane, stanowią część scenerii opisanej w jakiejś apokryficznej księdze. Morzy ją sen, ale się opiera, rozgląda za jakimś pocieszającym znakiem. Ściany pokrywa kwiecista tapeta, stwierdza, nadająca pokojowi urok przykurzonej różowości. To także wydaje jej się znajome. Jest siódma wieczorem, a ona leży na wznak w pokoju hotelowym gdzieś w głębi Francji. Nad nią przepływa świat, przepływa i przepływa. Jej mąż, ten nieznajomy młody mężczyzna, otworzył szeroko okno, otworzył okiennice i do pokoju wpadło oślepiające słońce.

Usiadł teraz na parapecie z nogami na zewnątrz i jego wielki materialny cień przesłonił blask. W jednej ręce trzyma butelkę wina, z której co chwila pociąga; w drugiej ściska garść centymów, które rzuca z okna gromadce dzieci zebranych na brukowanym kocimi łbami placu. Zaśmiewa się przy tym gdakliwym jednostrunnym rechotem.

Daisy słyszy dźwięczne brzęknięcia monet o bruk i przenikliwe śpiewne piski dzieci. Częstka jej świadomości odpływa w stronę snu, w którym będzie bezpieczna, a jednocześnie coś ją powstrzymuje, jakaś siła, którą będzie później dosyć górnolotnie określała jako tragiczne fatum, przymus posuwania się w wyznaczonym kierunku. Wpatruje się uporczywie w sufit, w brudny tynk - i czeka.

W tym momencie chwyta ją niepohamowana potrzeba kichnięcia - daje o sobie znać jej dawne uczulenie na poduszki z pierza. Kichnięcie jest potężne, głośne, nagłe: eksplozja, która na ułamek sekundy ściska jej gardło i zamyka oczy. Kiedy otwiera je z powrotem, Harolda nie ma na parapecie. Daisy widzi jedynie pusty czworobok oślepiającego słońca. Mija odprysk czasu zbyt krótki i niemy, by zarejestrował go mózg. Daisy mruga w niedowierzaniu, po czym słyszy łomot, trzask jakby rozpryskującego się arbuza, mokre złowróżbne plaśnięcie, po którym rozlegają się krzyki dzieci i tupot kroków nadbiegających ludzi.

Pamięta, że co najmniej minutę leżała bez ruchu na łóżku, zanim się podniosła, żeby zobaczyć.

TLR

ROZDZIAŁ CZWARTY

Miłość 1936

Prawdziwe biedy tego świata mają zwyczaj układać się na linii nieporozumień między mężczyznami a kobietami - takie jest moje zdanie, moje skromne zdanie, jak nauczyłam się mawiać dawno temu.

Ale jakże lubimy przymykać oko na niesprawiedliwość. Przywykliśmy godzić się z istniejącym stanem rzeczy, z przekonaniem, że mężczyźni postępują w taki sposób, a kobiety w inny. Można powiedzieć, że jest to takie małe przedstawienie, które odgrywamy dla samych siebie, nawyk spoglądania z przymrużeniem oka na ludzkie zachowania, rodzaj współnictwa. Przypomnijcie sobie tylko, jak pobłażliwie się uśmiechamy, porozumiewawczo mrugamy okiem, bezradnie kiwamy głowami, wzruszamy ramionami ze szczerym zdziwieniem! No cóż, mówimy z nutką wyrozumiałości, tacy już są mężczyźni. Albo: typowo kobiece. Przyjmujemy jako kosmiczny żart osobne drogi mężczyzn i kobiet, różne stopnie ich szaleństw. Tak przynajmniej było w 1936 roku, kiedy latem skończyłam trzydzieści jeden lat.

Mężczyzn, zdawało mi się w owym czasie, w szczególny sposób nobilitują przygody, które nagle wybuchają w ich życiu, podczas gdy kobiety są przez swoje tłamszone. Dlaczego? Dlaczego tak musi być? Dlaczego mężczyznom wolno paradować w glorii swoich przypadłości życiowych, obnosić się z nimi jak z piersią pełną orderów, a kobiety pod brzemieniem swoich siwieją i więdną? Przygody, które się zdarzają kobietom, rozdymają się jak balony, rozsadzając codzienne ramy ich życia, rozrastają się i przygniatają z taką gwałtownością, że z pola widzenia znikają nawet tak zwykłe i proste sprawy jak przedziały czasu - godziny, tygodnie, miesiące. Ta właśnie ironia kładzie się cieniem na egzystencji Daisy Goodwill Hoad, młodej bloomingtońskiej wdowy, która obchodzi właśnie trzydzieste pierwsze urodziny. Wdowy, na której życiu ciąży jeszcze tragedia matki zmarłej w połogu, a na którą zwałił się później drugi upiorny wypadek - śmierć męża w podróży poślubnej. W ich pierwszej wspólnej podróży.

Musiała jej to złamać serce, mówią ludzie, ale czy to prawda? W rzeczywistości miała jedynie serce przez jakiś czas ściśnięte i wyżęte jak stara szmata.

Jednakże gdziekolwiek Daisy się udaje, maszeruje przed nią jej historia. Anonsuje ją. Określa i ogranicza jej prawdziwe ja. Tak bardzo chciałaby być szczęśliwa, ale jakież ma szanse, krocząc pod melodię tej swojej niesamowitej historii?

Oczywiście to samo można by powiedzieć o sławnych pięcioraczkach kanadyjskich, urodzonych krótkie dwa lata temu w prostej farmerskiej rodzinie Dionne'ów. Po pierwsze, trzeba pamiętać o skromnym pochodzeniu dzieci. Gdy do tego dodać cud ich utrzymania przy życiu, urasta z tego historia tak potężna i przejmująca, że gubią się w niej same małe dziewczynki. I, moim zdaniem, pozostaną już na zawsze zagubione w jej splotach.

Inny przykład, mniej dramatyczny, lecz bardziej wstrząsający. Wczoraj o północy zabiła się kobieta nazwiskiem Bessie Perfect Trumble (1896-1936). Trafiło to do porannych gazet, nawet jakimś cudem do

„Bloomington Phoenix” - cóż, w środku lata niewiele jest prawdziwych sensacji. Osoba ta wyskoczyła czy wypadła z bydlęcego wagonu kolei Canadian Pacific niecałą milę od stacji Transcona w Manitobie. Co robiła w nocy na opuszczonych bocznicach przetokowych? Pociąg obciął jej całkowicie lewą rękę i nogę. Umarła w kilka minut po wypadku, a jej ostatnie słowa brzmiały: „Jestem splamiona krwią”. Jej uroda, jej inteligencja, jej lata nauczania w szkołach Transcony, jej małżeństwo z transcońskim strażakiem Barneyem Trumble'em - wszystko to przeszło do historii. Na zawsze pozostanie „tą kobietą, która wyskoczyła albo wypadła” (cóż za niepokojące niedookreślenie), i to o północy, takiej nieprawdopodobnej porze, godzinie czarownic, i ta jej ręka i noga - wyobraźcie sobie! - pożegnana trwożnym, ostatecznym, enigmatycznym: „Jestem splamiona krwią”. Reszta urośnie w piramidę milczenia. Będziemy kiwali nad nią głową, ale nasz wzrok pozostanie zawsze skierowany na moment krytyczny.

Cała niesprawiedliwość tego - że jeden dramatyczny epizod może odrzeć życie kobiety ze wszystkich delikatnych pędów. Ale w końcu nad światem wisi klątwa krwi, nagłych odmian fortuny, pilnych konieczności zmiany najprostszych planów. Tragedia, która przerwała podróż poślubną Daisy Goodwill Hoad, tak dziwaczna, tak nieprzewidziana, zaciera zwykle kontury jej obecnego życia, które, prawdę mówiąc, jest spokojne, przyjemne i wcale nie tak bardzo odmienne od życia innych kobiet. Od powrotu z Francji Daisy mieszka nadal z ojcem, także wdowcem, w Vinegar Hill, w wielkim, posępnym domostwie o kolistym podjeździe, kamiennych kolumnach i z tym okropnym, niewydarzonym karłem ogrodowym szczerzącym zęby na murawie przed wejściem, koło krzewu buldeneża.

Skłonni bylibyście może przypuszczać, że z Daisy uleciała cała wesołość, byłaby to jednak nieprawda, gdyż Daisy żyje nie tylko w pułapce swojej historii, lecz i poza nią. W rytmie zmieniających się pór roku - golf, tenis, przyjaciółki, ogród. To, i nieprzeparta, sekretna miłość, jaką darzy swoje ciało. Jest coś naprawdę przejmującego w sposobie, w jaki się nauczyła przyjmować ból i odsuwać go - wszystko w jednym i tym samym tchnieniu, tak że potrafi zniknąć, można by powiedzieć, z własnego życia. Ma talent samozatracania się. Minęło dziewięć lat, dziewięć lat od czasu, gdy „to” się wydarzyło, i Daisy jest coraz bardziej oddalona od ech, odprysków, metamorfoz swojej historii. Lecz one ciągle żyją.

- Czy to nie ta kobieta...?

- W małym hoteliku we Francji czy też to było w Szwajcarii? W każdym razie z drugiego piętra...

- W lecie, w tysiąc dziewięćset dwudziestym siódmym. Pamiętam ślub, jakby to było wczoraj.

- Bajeczny.

- Bajeczny chłopak, kwitnący zdrowiem, przystojny jak amant filmowy.

- Bogaty jak Krezus. Oboje bogaci. Oczywiście to było przed kryzysem. Ale cóż człowiekowi po pieniądzach, jak...

- Ona to słyszała. Jego głowa. Rozpękła się. Jak dojrzały arbuz, mówiła. Czy może dynia. Oczywiście było dochodzenie.

- Mój Boże, musiała mieć wtedy niewiele ponad dwadzieścia lat.

- I to w obcym kraju.

- Nie znała żywej duszy. I ani słowa tego ich parle-wu.

- On rozdawał pieniądze małym ulicznikom, wiesz, rzucał im monety z okna...

- ...kiedy to się stało.
- Nie zdążyli się nawet rozpakować. Walizki stały jeszcze...
- Ona odpoczywała. Wyciągnęła się na łóżku. Kiedy nagle usłyszała...
- O, tam idzie!
- To ona?
- Jakże ta kobieta musi mieć koszmary!
- Po tylu latach?
- Z takiego czegoś człowiek się nigdy nie otrząsa.
- Biedne stworzenie.

*

Oprócz samej Daisy są na świecie jeszcze dwie osoby, Fraidy Hoyt i Bina Anthony Greene, które wiedzą, że jej małżeństwo z Haroldem Hoadem nie zostało skonsumowane.

- Był stale pijany - powiedziała im wprost wkrótce po powrocie z Europy. - Albo chory. A w ogóle nie bardzo zainteresowany.

Relacjonowała intymne szczegóły podróży poślubnej, siedząc na brzegu łóżka Fraidy i kręcąc w palcach frędzle ananasowej kapy. (Biedna Fraidy była złożona letnią grypą). Daisy opowiedziała kochanym, wiernym, zaufanym koleżankom szkolnym wszystko - wszystko z wyjątkiem faktu, że kichnęła tuż przedtem, nim Harold wypadł z okna, no i tego, że leżała potem drętwa na łóżku jeszcze przez minutę czy dłużej, wpatrzona tępo w sufit, już sobie wyobrażając, jak powoli dryfuje ku końcowi tego kataklizmu.

Wzajemne zwierzenia u wezglowia chorej Fraidy Hoyt roznieciły na nowo ich dawny śmiech. Wzbiął on najpierw powoli, w nerwowych śmichach-chichach, zanim buchnął z całą siłą; z początku między Fraidy a Biną przelatywały zatroskane spojrzenia, ale kiedy wyzwolił się w końcu ten ich szalony dziewczęcy chichot, zrobiło się bosko. Daisy spadł od razu ciężar z serca - albo raczej z żołądka, bo to w środku jej brzucha zaległ kamieniem szok i żal.

Żal? Żal po czym? Po Haroldzie? No, nie. Żal z powodu pokpienia sytuacji. Żal, że do tego dopuściła. Że dopuściła do tej historii, która wezbrała i zalała ją wysoką falą.

- Dobry Boże, to znaczy, że jesteś ciągle cholerną dziewicą - stwierdziła niedziewicza już Bina Greene, wybałuszając ze śmiechem oczy.

- Jedyną dziewicą w naszej paczce - dorzuciła Fraidy, która niedawno „spróbowała” stosunku ze znanym bloomingtońskim profesorem sztuki, żonatym mężczyzną, który mógłby być jej ojcem.

Na szczęście Daisy nie wie, że w Bloomingtonie są jeszcze inne osoby świadome nietkniętego stanu jej błony dziewiczej. Ładne parę osób. Przede wszystkim stary doktor Maldive, który ją badał po jej powrocie do Bloomingtonu. Wkrótce potem tenże doktor Maldive podzielił się w dobrej wierze osobliwą wiadomością o nie skonsumowanym małżeństwie Daisy z jej ojcem, Cuylerem Goodwillem (uważał to za swój obowiązek, sprawę między mężczyznami). Następnie dobry doktor opowiedział o tym, w mniej dobrej wierze, swojej żonie Gladys, która pozwoliła tej informacji, obleczonej w formę zastanawiającej ciekawostki, wypsnąć się w rozmowie ze znajomą z klubu brydżowego, panią Arturową Hoad. Ta wyciągnęła z tego wniosek, który rozpowszechnia przy każdej nadarzającej się okazji towarzyskiej - że młoda Daisy Goodwill jest kobietą

cierpiącą na głęboką *frigidity* i że złapawszy zdrowego młodego mężczyznę, jej syna, zdusiła jego naturalne zapalenia i być może popchnęła go do czynu, który niechaj pozostanie na zawsze nie dopowiedziany.

Jednakże Daisy wie tylko tyle, że teściowa traktuje ją zimno. Zresztą prawie się nie widują. Właściwie wcale. Daisy dano do zrozumienia, że przyzwoitość nakazywałaby jej się zrzec roszczeń do dziedzictwa Hoadów, co też chętnie uczyniła. Nie brakuje jej pieniędzy. Ma zabezpieczone wygodne życie, jest jeszcze względnie młoda i niespecjalnie nieszczęśliwa.

*

W minionych ciężkich dniach wielkiej wojny nadspodziewanie dobrze prosperował hurtowy handel kwiatowy mojej ciotki Clarentine Flett. A teraz, w 1936 roku, gdy w przemyśle kamieniarskim panuje zastój i większość wielkich kamieniołomów została zamknięta, kwitnie sztuka rzeźby w kamieniu. Wygląda na to, że w trudnych czasach ludzie szukają czegoś ładnego, ozdobnego, żeby ubarwić szarzyznę życia. Zakrawa na paradoks, że w latach światowego kryzysu ekonomicznego mój ojciec, Cuyler Goodwill, i jego wspólnicy z firmy Lapiscan Limited mają więcej pracy niż kiedykolwiek. Dzień w dzień napływają prestiżowe kontrakty. Nowa biblioteka Uniwersytetu Stanu Ohio. Gigantyczny pomnik poległych w Little Rock w stanie Arkansas. Fryz na Giełdzie Zbożowej w Chicago. Można by wliczyć w nieskończoność.

Pan Goodwill wiecznie narzeka na brak dobrych kamieniarzy. Starzy wymierają, mówi, a młodzi nie mają cierpliwości do tej roboty. Ostatnio Goodwill wyprawił się aż do Włoch w poszukiwaniu nowych talentów. Wrócił do Bloomingtonu z trzema nowymi pracownikami dla firmy Lapiscan oraz z młodą żoną dla siebie.

Na imię jej Maria. Jakże inaczej mogłaby mieć na imię młoda neapolitańska oblubienica? Młoda? Ale ile ma naprawdę lat? Nikt tego na pewno nie wie i nikt nie wie, jak zadać podobne pytanie. Na jej papierach imigracyjnych podany jest wiek dwadzieścia osiem lat, tylko że nikt nie wierzy takim oficjalnym danym, zwłaszcza że same papiery wyglądają podejrzanie, są zbyt szeleszcząco niepokalane i opatrzone nadmierną liczbą pieczęci i podpisów. Maria wygląda na jakieś trzydzieści pięć, czterdzieści lat, z pewnością nie więcej niż czterdzieści pięć, lecz tak czy inaczej jest o wiele młodsza od swego męża, który dobiega sześćdziesiątki.

Ten ją uwielbia, jest to widoczne od pierwszego rzutu oka.

Od śmierci w połogu pierwszej żony w 1905 roku obchodził się bez pociechy pożycia płciowego. Nie potrafiłby sam wytłumaczyć, jak i dlaczego zdecydował się żyć tyle lat z dala od kobiecej słodyczy. Zapytany, pewnie by odrzekł, że miał dosyć zajęć. Myśl zaprzętały mu inne sprawy - firma, pięcie się w górę, wychowywanie młodej córki. Gdybyście go przycisnęli do muru, wzruszyłby ramionami, uśmiechnął się, podniósł oczy w ten swój słodki, zagubiony sposób. Większość ludzi, którzy się odcinają od miłości, popada w kłamstwo, hipokryzję, zniechęcenie, ale Cuyler Goodwill zdaje się należeć do tych nielicznych istot, które są szczęśliwe, dając się nieść, gdzie wiatr powieje. A teraz szczęśliwy wiatr przywiał mu Marię.

Maria terkocze i terkocze, choć nikt nie rozumie słowa z tego, co mówi - to jest nikt z wyjątkiem jej męża, który utrzymuje, że chwyta „ogólny sens”. Ten „ogólny sens” najwyraźniej mu wystarcza. Jego własny język nagle zamarł. Patrzy na młodą żonę, kręci z zachwytem głową i pokazuje zęby w uśmiechu człowieka szczęśliwego, szczególnie gdy ona się pochyla - bo jest od niego wyższa o dobre dziesięć centymetrów - i cmoka głośno łysinę na czubku jego głowy. Tego pochylania się i cmokania nie zaprzestaje nawet w miejscach

publicznych, takich jak Klub Kamieniołom, gdzie chodzą na kolacje, czy Fundacja Bloomingtońska w czasie oficjalnych przyjęć. A cóż on czyni w takich kłopotliwych sytuacjach? Uśmiecha się, uśmiecha, jakby to było najzwyczajniejsze zachowanie między małżonkami.

Kora-Mae Milltown, która prowadziła Goodwillom, ojcu i córce, dom przez wszystkie te lata, składa wymówienie. Nie dlatego, żeby nie lubiła Marii, tłumaczy, tylko dlatego, że stała się niepotrzebna. Maria, kipiąca niezmqordowaną energią dziecka, jest na nogach o wpół do siódmej - lubi, żeby podłoga w kuchni była wymyta do czysta, zanim pozostali domownicy zjedzą na śniadanie. Potem będzie przez godzinę czy dwie rozbijała się po domu z elektroluksem, ubrana w czerwony jedwabny szlafrok, spod którego widać przedział między jej długimi piegowatymi piersiami. Później, znacznie później, przebiera się zwykle w luźną bawełnianą podomkę i fartuch, i często w tym fartuchu otwiera drzwi wejściowe, niekiedy jeszcze z nożem kuchennym, szufelką do śmieci, szczotką do muszli klozetowej czy czymkolwiek, co ma akurat w ręku, zawsze gotowa powitać każdego przybysza szerokim uśmiechem, któremu nie towarzyszy słowo najprostszej angielszczyzny. „Allo!” - woła, machając entuzjastycznie ramieniem w przód i w górę. Przez cały dzień popija gęstą czarną kawę, którą zawsze trzyma ciepłą w głębi blachy kuchennej, a wieczorem podaje mężowi i nowej pasierbicy Daisy gorące, kopiaiste talerze ociekających sosem gulaszowatych dań. Posiłki je się w kuchni, nie w stołowym, bo stół jadalny jest zawsze zasłany materiałami i wykrojami na suknie, które Maria bezustannie szyje. Mówi, mówi, mówi, jej dłonie gestykują, tańczą. Dokładkę? Jeszcze jedną dokładkę? Markotnieje, kiedy odmawiają, rozaniela się, kiedy akceptują. Regularna makaroniarska *squaw*, komentuje jeden ze współpracowników Goodwilla w Klubie Kamieniołom. Niezyczliwie. Grubiańsko.

Między Daisy a Marią wywiązuje się kontredans utajonej rywalizacji, która nie może nigdy, przenigdy wyjść na światło dzienne.

- Zdawałoby się - mówi Daisy do Fraidy i Biny - że powinna się czuć samotna w obcym kraju, którego języka nie zna i nie ma w nim ani jednej zaprzyjaźnionej osoby.

- Ma twojego ojca - odpowiada Fraidy. - Może nic więcej jej nie trzeba.

- Mój ty Boże! - wzdycha Daisy, wywracając oczami na wspomnienie nocnych hałasów, głośnych okrzyków miłosnych. Zarówno ojca, jak i Marii.

- Ludzie mają rozmaite potrzeby. - To mówi Bina. Pani Greene.

- Ona chwili nie spoczywa - opowiada im Daisy. - Gotuje, sprząta, szyje. Koniecznie chce mi uszyć suknię. Szarpie mnie za spódnice, szarpie, szarpie, wydaje te swoje jazgotliwe dźwięki, marszczy czoło, po czym wyciąga wykroje, zurnale Buttericka, i podsuwa mi pod nos.

- Może powinnaś jej pozwolić, jeśli ma ją to uszczęśliwić - oświadcza Bina, która teraz, jako mężatka z dwójką małych dzieci, wynajduje ciągle sposoby uszczęśliwiania bliźnich.

- Powinnaś raczej pomyśleć o znalezieniu sobie własnego lokum - wyrokuje Fraidy. - Ja osobiście nie wytrzymałabym dnia w takiej operetkowej sytuacji.

- Ona mnie ciągle całuje. Rano, w dzień, wieczorem... Wiecznie całuje.

- W usta?

- Tak.

- Faj!

Biną wstrząsa dreszcz salonowego zgorzenia. Fraidy patrzy szeroko otwartymi oczami.

- Więc powiedz jej, że sobie nie życzysz, żeby cię wiecznie całowała.

- Cóż, fizyczne manifestowanie uczuć jest rzeczą naturalną u niektórych narodów - wyjaśnia Bina tym swoim nowym, słodkim, wyrozumiałym tonem, który przyprawia Fraidy o mdłości.

- Ja ci radzę, wyprowadź się. Najwyższy czas. Na miłość boską, masz przeszło trzydzieści lat.

- Byliby obydwójce urażeni do żywego.

- Przeboleją to. Moja matka zapłakiwała się przez miesiąc, kiedy się wyniosłam na własne śmieci. A teraz wyskoczyłaby ze skóry, gdybym chciała wrócić.

- Prawdę mówiąc...

- Tak?

- Prawdę mówiąc - Daisy przesuwając wzrok z jednej przyjaciółki na drugą, szukając u nich aprobaty, zachęty, pragnąc je zaskoczyć - myślałam o wypuszczeniu się w podróż.

- Sama?

- Tak.

- Szczęściara.

- A dokąd?

- Do Kanady.

*

Było to dla niej samej zaskoczenie. Zasiadła z plikiem rozkładów kolejowych i broszurek biur podróży, żeby zaplanować dwutygodniowe wakacje. Marszruta, jaką opracowała, była nietypowa, niewolna od pewnej liczby nawrotów. Najpierw wodospad Niagara, potem Callander w Ontario, żeby zobaczyć pięcioraczki, następnie Toronto, żeby w imieniu ojca wizytować budowę wielkiego banku, i wreszcie Ottawa, żeby odwiedzić wuja Barkera, którego nie widziała od dzieciństwa. Przygotowania poczyniła skromne, niemal jak na wycieczkę, chociaż myśl o podróży przyprawiała ją chwilami o zawrót głowy, zupełnie jakby ten jej mały wypad był czymś w rodzaju mitycznej wyprawy - zresztą może i był, nigdy bowiem dotąd nie podróżowała sama i jeśli nie liczyć paru godzin oczekiwania w Montrealu na zaokrętowanie się podczas podróży poślubnej, nigdy nie odwiedzała Kanady, kraju swego urodzenia i wczesnego dzieciństwa. „Mam uczucie, jakbym wracała do domu” - zanotowała w dzienniczku podróży, po czym wykreśliła tę impresję i zamiast tego napisała: - „Mam uczucie, że coś mnie spotka w Kanadzie”.

Było lato. Pociąg sunął na północ przez pogodną miasteczka wschodniego Michiganu. Między miasteczkami rozciągały się uprawne wzgórza i zagajniki. Za tymi wzgórzami, myślała Daisy, tuż za tymi drzewami i chmurami leży dominium Kanady. Dominium - powtarza solennie to słowo, smakuje je językiem. Do-mi-nium.

Oby, oby mi się coś tam przydarzyło, wzdycha.

Chłodny, czysty kraj, myśli o Kanadzie, z królem i królową, z konną policją w czerwonych kurtkach, z ludźmi pijącymi herbatę i uprzejmie ze sobą konwersującymi. Nieważne, że nie ma się to nijak do tego, co faktycznie pamięta - rozgardiaszu na boisku winnipeskiej szkoły, i tumanów kurzu i kup łajna na Simcoe Street.

Tego czerwcowego dnia, kiedy pociąg wreszcie minął granicę Michigan i wjechał na terytorium Kanady, wydała jej się, że przybywa do królestwa, które uzdrawia.

Nikt tutaj nie domyśla się jej sytuacji. Nikt nie zna jej historii. Tutaj jest po prostu jeszcze jedną młodą kobietą w lnianej sukience i harmonizującym z nią żakiecie, stojącą przy balustradzie nad wodospadem Niagara, wystawiającą policzek na drobne krople wody.

Czuła dojmujące wibrowanie życia, kiedy tak stała, chłonąc grzmot i majestat tego cudu natury. Ale czemu to oszałamiające piękno przyprawiało ją o smutek? Dobre pytanie. Bo nie było dostatecznie piękne i nie było aż tak wielkie, jak sobie wyobrażała. Co gorsza, głązy rozrzucone u stóp wodospadu sprawiały wrażenie nieporządku. Czegoś zdawało się brakować w architekturze całości. W każdym razie widok nie „zaparł jej tchu w piersi”, jak obiecywała broszurka reklamowa. W następnej chwili doznała jednak przyływu szczęścia, uświadomiwszy sobie obecność mężczyzny stojącego tak blisko obok, że czuła na gołej ręce szorstkość jego marynarki.

- Rany - powiedział wesoło, wyraźnie nowojorskim akcentem - pić się chce, no nie, jak człowiek patrzy na tyle wody.

Podniosła z przyjemnością wzrok na jego rękaw i ramię, nad którymi po czystym płacie nieba płynęły chmury. Powściągnęła impuls, żeby przytulić się do piersi tego mężczyzny, poszukać na niej schronienia, z głośnym okrzykiem radości z odkrycia nieoczekiwanej wspólnoty. Poprzestała na poddaniu się jego beztróscie, myśląc, jak wesoły może się nagle stać świat, gdy pozwolić się unieść nastrojowi chwili. Humor tego spotkania, porozumiewawcze spojrzenia i uśmiechy, wspólne obserwacje zapisały się trwalej w jej umyśle niż chronologia tamtej tragicznej podróży poślubnej. Wspomnienie tej sceny nad Niagarą wypełniają słowa, świeży powiew wiatru, mieszanina rozczarowania i wesołości, wymowność męskiego gabardynowego rękawa, ocierającego się mimochodem o jej skórę.

Dwa dni później, w Callander, stała w piekącym słońcu w kolejce wraz z setkami innych turystów. Kiedy zbliżyli się wreszcie do punktu widokowego, nakazano im zachować ciszę, żeby nie niepokoić małych pięćoraczków, które bawiły się za płotem w ogrodzie. Wszystko, co zobaczyła, to plamy białych sukieneczek i kapelusików od słońca na tle żywej zieleni trawy. Przynajmniej jedna z dziewczynek głośno płakała. Z tyłu napierali następni ciekawi i Daisy musiała przejść dalej. Czuła się jedną ze stada niemądrych stworzeń gapiących się na inne stworzenia i cząstką świadomości pragnęła się zdystansować od tej nagrzanego słońcem rozgadanej cizby - kobiet w bawełnianych letnich sukienkach, ze swetrami przerzuconymi przez ramię, mężczyzn w schludnych lnianych marynarkach, wszystkich spragnionych za wszelką cenę przeżycia chwili uciechy. Było w tym coś komicznego i coś głęboko uwłaczającego, ale czyż powinno ją to dziwić? Przyjechała obejrzeć ten spektakl, wiedząc z góry, że wyjedzie z poczuciem chwalebego niesmaku - i tak się też stało.

W Toronto, w kościelnie surowej sali konferencyjnej, przekazała plik planów od firmy ojca i od prezesa banku usłyszała protekcyjny komplement („Taka ładna kobietka fatyguje się taki szmat drogi”), a od wiceprezesa zawołaną propozycję („Siedzimy tu, dwoje samotnych ludzi, w takie piękne letnie popołudnie”).

- Ależ ja zaraz wyjeżdżam - odparła - mam o czwartej pociąg.

- Dopiero pani przyjechała.

- Jadę do Ottawy - oznajmiła - odnowić więzy dawnej przyjaźni.

- To przyjaciel czy przyjaciółka?

Zmierzyła go ostrym wzrokiem. Miała ochotę zamachnąć się i policzkiem zetrzeć uśmiezek z tej głupiej, świecącej się, podstarzałej twarzy. Zarazem, drugą częścią swojej osoby, pragnęła, żeby ta rozmowa ciągnęła się w nieskończoność - chciała się przekonać, do czego doprowadzi.

- Przyjaciel - powiedziała wyzywająco.

- Wiedziałem, wiedziałem.

- A skąd pan wiedział?

Było nieprzyzwoite przeciągać taką rozmowę. I przerażające.

- Po pani twarzy. Po pani perfumach. Po sposobie, w jaki pani powiedziała: więzy przyjaźni. Ja mam nosa na takie sprawy.

- Co-o? Jakie znowu sprawy?

- Wie pani dobrze, co mam na myśli.

- Proszę sobie wyobrazić, że nie wiem - powiedziała i odwróciła się.

- Dobrze pani wie.

*

Naturalnie Barker Flett wyjechał po Daisy na stację. Ma się rozumieć, kazał wymyć i wywoskować na tę okazję swojego nowego hudsona. Jechał na dworzec powoli, jakby w obawie, że auto pod nim wybuchnie, jakby na spotkanie dopustu bożego biblijnych rozmiarów.

Noc była gorąca, mimo że od kanału zawiewał ożywczy wietrzyk, który wpadał przez okna do auta. Barker nie lubił w zasadzie prowadzić, zasmakował jednak, jak później powiedział Daisy, w dotyku polerowanej kierownicy i w równym sunięciu wielkiego, cichego wehikułu o fiołkowym letnim zmierzchu, obrzeżonym w górze ciemniejszym fioletem, tak całkowicie różnym od kolorytu nieba jego dzieciństwa, od nagle zapadających nocy Manitoby.

Rozmyślając o Daisy, o tym, jak ją powita, miał przyływy i odpływy odwagi, echo, jak przypuszczał, zaników i nawrotów pamięci. Pamiętał ją wyraźnie jako niemowlę, kiedy przez parę miesięcy spała w starej szufladzie od komody, wyłożonej watą do kołder. I pamiętał, jak nie wiadomo czemu wspomniano to potem z żartobliwą czułością - niemowlę w prowizorycznym łóżeczku. Później następuje w jego wspomnieniach wielka luka, wyprana z barwy i smaku, aż nagle Daisy jawi mu się jako jedenastoletnia dziewczynka, rekonwalescenta, leżąca w zaciemnionym pokoju, po jakiejś poważnej chorobie (odrze czy czym?), patrząca na niego oczami, które nie są już oczami dziecka. Chociaż z drugiej strony może sobie wyimaginował całą tę scenę, bo świadom jest egzystencjalnych niegodziwości zawodnej pamięci. Nie bardzo chce mu się jednak wierzyć, żeby tak było. Młode, chyba nagie ciało Daisy pod prześcieradłem - nie jest w stanie wypchnąć z pamięci tego obrazu, obraca go w myślach, nie lubieżnie, lecz w nadziei, że może się myli. Ma pięćdziesiąt trzy lata. Nie widział dziewczynki od dziewiętnastu lat. No, już nie dziewczynki. Trzydziestojednoletniej kobiety. Wdowy.

„Kochana Daisy - pisał do niej niecały miesiąc temu. - Tyle lat minęło. Niezmiernie się cieszę, że planujesz odwiedzić Ottawę”.

Co jeszcze jej napisał?

Nie bardzo pamięta, a nie należy do ludzi, którzy robią sobie kopie prywatnych listów - jego pedanteria nie sięga tak daleko - ale prawdopodobnie wysmażył te same odgrzewane uprzejmości, jakimi ją zawsze raczy. Ugrzecznione sentymenty.

Pytania, jak się czuje i co porabia. Nudne sprawozdania z własnych poczynań. Pogoda w Ottawie (okropnie gorąco lub nieznośnie zimno), utrapienia biurokracji, czasami jakieś wznioślejsze myśli o przyrodzie, życiu, postępie, dwudziestym wieku, a w ostatnich latach coraz częściej całe akapity obłudnych rad dobrego wujaszka. Porad życzliwego starszego przyjaciela, który raz w miesiącu wyprawia się do Montrealu, żeby rozładować napięcie seksualne, który w wieku pięćdziesięciu trzech lat niekiedy jeszcze płacze nocą do poduszki, który musi się przywracać do życia kieliszkiem alkoholu po dniu czytania i pisania dokumentów, zebrań i gaszenia drobnych pożarów administracyjnych, który odgradza się od kobiet szańcem onieśmienia, udając respekt, a szukając opieki. On, który się biedzi nad listami do Daisy Goodwill, jedynej osoby na tym świecie, z którą go łączy jakaś więź uczuciowa, nie spokrewnionej istoty, która wkroczyła w jego życie dziwnym przypadkiem (śmierć jej matki, zjawienie się jego własnej matki), lecz świadomość jej egzystencji błyszcząca odtąd zawsze na peryferiach jego widzenia.

Oprócz Daisy Barker nie ma nikogo. Do braci pisze raz w roku, na Boże Narodzenie. Simon w Edmontonie prawie nigdy nie odpowiada. Andrew odpisuje regularnie, zwykle załączając prośbę o wsparcie. Co do ojca Barkera Fletta, Magnusa, to jakby ziemia się pod nim rozstała. Jeżeli stary cap jeszcze jakimś cudem żyje, to jest teraz po siedemdziesiątce, ale minęły lata, odkąd opuścił Kanadę, żeby wrócić na Orkady, i słuch o nim zaginął. Nikt nie miał od niego strzępa wiadomości ani nie zna jego adresu. Zresztą, prawdę mówiąc, nikogo nie obchodzi miejsce pobytu ani stan umysłu starego śledziennika, ani nawet to, czy w ogóle żyje.

*

O Magnusie Fletcie mówiono zawsze, że nie miał szczęścia w życiu. Nieszczęśliwie ułożyło się jego małżeństwo, nieszczęśliwie stosunki z synami. Pech nie opuścił go także, gdy latem 1927 roku wsiadł na parowiec „Luiza”, który miał go zawieźć z Montrealu do Liverpoolu.

Powszechnie wiadomo, że początek lata to okres pogody na Atlantyku - można na to liczyć - ale ośmiodniową przeprawę Magnusa Fletta nękała seria niespotykanych sztormów. Stary kamieniarz nie mógł jeść ani spać, każdą możliwą chwilę spędzał na otwartym pokładzie, wymiotując do emaliowanej miski. Dni i noce zlewały się w jeden ciąg udręki. Gdyby ktoś zapytał go w tym czasie, czego pragnie, odpowiedziałby, że pragnie śmierci. Pewnego poranka, kiedy wymiotował pochylony przez reling, przed oczami stanął mu kamieniołom w Tyndall, cętkowane skały połyskujące i nagrzewające się w słońcu, początek dnia rzetelnej pracy. Uświadomił sobie wówczas, jakim był głupcem, że wyjechał. Wraz z torsjami wyrzucił z siebie to wspomnienie, zatarł je w pamięci. Odsunął całą sumę swego cierpienia i goryczy, żalu do trzech synów i wiarolomnej żony, wszystkie swoje upokorzenia, tak że gdy „Louiza” zacumowała wreszcie w Liverpoolu, zszedł na stały ląd lekki jak młodzieniec. Uciekłszy czym prędzej od smrodu nabrzeża rybackiego, zafundował sobie solidny posiłek z gotowanej wołowiny z tłuczonymi kartoflami i długą noc przespaną w czystej pościeli, po czym obudził się pełen takiej energii i chęci do życia, jakich nie zaznał od lat.

Nadał bagaż koleją do Thurso, zostawiając sobie tylko jedną zmianę bielizny, parę drobiazgów i egzemplarz *Jane Eyre*. W sklepie towarów mieszanych kupił grube buty i kuchenkę spirytusową, zdecydowany przejść piechotą północną Anglię i pustkowia Szkocji. Jawiło mu się to z początku jako akt buntu, potem nieprzeparła potrzeba, aż w końcu stało się czymś tak naturalnym i oczywistym jak powietrze. Mimo to wszystkie mięśnie tężały w nim na myśl o tym, na co się porywa.

Pogoda mu sprzyjała, trwały długie łagodne dni i wieczory, ziemia pod nogami była sucha i podatna. Kierował się słońcem, wyłącznie słońcem. Jest w kraju! Słowa te szumiały mu w uszach, gdy maszerował wiejskimi drogami na północ, słodsze niż odgłosy ptasiego popłochu, pożywniejsze niż pajda chleba z dobrym masłem. W jakimś rowie natknął się na wypolerowany kij, który pasował jak ulał do dłoni, i odtąd wybijał nim rytm o piaszczystą powierzchnię drogi. Wyrosła mu piękna, miękka, siwa broda.

Górki Anglii, krągłe i układne, zaczęły się robić bardziej strome, kiedy minął Carlisle, ale ilekroć poczuł, że nogi odmawiają mu posłuszeństwa, wyciągał się po prostu na godzinkę pod jakimś drzewem, otwierał książkę i czytał, póki nie zapomniiał o bólach i pęcherzach. Czy możliwe, żeby to była jedynie wyspa - zadawał sobie pytanie, wodząc wzrokiem po niebie, po otoczonych żywopłotami pastwiskach, pełnych owiec i bydła. Taki rozległy, zielony, kamienisty kraj, obfitujący w światłocienie. W poczuciu szczęścia myślał o tych wszystkich niepamiętnych zimach, które przeszły nad tymi polami, pokrywając je śniegiem, roztopianym potem z wolna przez wiosenne słońce. Gdy dotarł dalej, do bezdrzewnych torfowisk za Inverness, miał wrażenie, że stąpa po szerokim, pobrużdżonym czole Boga. Za torfowiskami teren się zniżał, niosąc odurzające wrażenie zstępowania. Umysł Magnusa był cudownie czysty i spokojny.

Wiejskie gospody ofiarowywały szorstką demokratyczną gościnę. Magnus, chociaż niepijący, nauczył się w nich cenić kufelek piwa po długim, całodziennym marszu. Pochylał nad kuflem głowę i wachał napój, nim pociągnął pierwszy łyk. Rozmowa toczyła się tu niespiesznie. „No, to jak jest w tej Kanadzie?” - z ust farmerów o rubasznych czerwonych twarzach. Raz, w miasteczku Jedburgh, gospodyni domu noclegowego wsunęła mu się na parę godzin do łóżka. Skórę miała chropowatą, pofałdowaną, ale pachniała świeżo mydłem. Czasami, gdy wychodził z jakiegoś miasteczka, odprowadzały go kawałek hałaśliwe i ciekawe dzieciaki. Przez dzień czy dwa towarzyszyła mu młoda kobieta, która z rozdzierającym piersi kaszlem mówiła bez ustanku, bezładnie o Jezusie - wzruszony Magnus dał jej na pożegnanie parę szylingów.

Dotarłszy w końcu do Thurso, surowego zadeszczonego miasteczka z niebem zawieszonym groźnie nad horyzontem, odnalazł swój bagaż w kącie szopy kolejowej. Pod wpływem nagłego impulsu postanowił go nie odbierać - wszystko to rzeczy, bez których może się doskonale obejść. Czyż tego nie dowiódł? Wsiadł na „Świętego Olafa”, kursującego do Stromness. Krótka przeprawa po litościwie spokojnym morzu - i był w domu. Wciągnął w płuca głęboki haust powietrza i w tym momencie uformowała mu się w głowie myśl - odkrycie, że życie może być mimo wszystko pełne słodyczy. Znajdzie sobie domek w górze, nad otwartymi polami East Bigging, gdzie przeżył lata chłopięce, urządzi go przytulnie: piecyk na węgiel, ciepłe łóżko i światło elektryczne, jeśli się da. I dobry schowek na pieniądze, które zaoszczędził. Będzie żył błogo jak król w tym swoim gnieździe. Będzie żył wiecznie.

*

Przez wszystkie te lata Barker Flett pisywał do młodej Daisy Goodwill co dwa miesiące.

Oznaczało to sześć listów rocznie przez długie dwadzieścia lat, co w sumie złożyło się na liczbę stu dwudziestu listów. Coś koło tego. Barker powtarza sobie, a czasami także mówi ludziom, że poczuwa się do odpowiedzialności za wychowanicę. Nie używa słowa: obowiązek, jak by może czynił, gdyby się urodził o pokolenie wcześniej, co nie oznacza, że nie jest człowiekiem obowiązkowym. Jest także spokojny, rozważny i samokrytyczny. Doskonale zdaje sobie sprawę, co się kryje za wewnętrznym przymusem ograniczającym jego naturę: pragnienie ucieczki przed tym, czego nie pojmuje, szukanie bezpieczeństwa w niezłomnym odcięciu się od nieznanego. Rozumie świetnie - i chlubi się tą wiedzą - jak antyczni eremici mogli spędzać całe życie w pieczarach, a mnisi w gołych celach. Nawet podczas wizyt w Montrealu, leżąc w ramionach kobiet, w których ciałach wypaliła się jego żądza, tęskni do prostoty wąskiego łóżka i paraliżującej samotności. Oto z czym musi się borykać: z zamętem, z chaosem. A kiedy się nie boryka, jest zaczadzony czarnym widzeniem sparszywiatego świata. Nie zawsze, ale niekiedy po jakimś ottawskim przyjęciu leży martwo w łóżku, z suchym gardłem, myśląc: „Jakiż ja jestem beznadziejny w takich sytuacjach, tokuję jak podstarzały aktor tonem fałszywej wesołości. A potem, żeby od tego uciec, odgradzam się od świata szklaneczką ciepłej whisky”.

Jest zbyt poważny, wie o tym, zbyt łatwowierny, głuchy na komedię niedobranych par i ekscesów ciała. Dla pocieszenia wyobraża sobie poszczególne płaty swego mózgu - jest między nimi wolna przestrzeń, luki między popędem płci a pociąganiem do pracy. Co powinien począć z tymi zastanymi próżniami? Inni ludzie wiedzą. On tego nigdy nie wiedział.

Jego ojciec, ten surowy, nieczuły, nieuczony człowiek, wymagał, żeby jego synowie czyścili co wieczór buty. Barker nauczył się być mu wdzięczny za wdrażaną od dzieciństwa dyscyplinę. Jako chłopcu pozwalała mu ona złapać dech, wyznaczała rytm, narzucała porządek bezmiarowi niezrozumiałego. Później znalazł inne sposoby.

Nie może sobie przypomnieć, kiedy się nauczył nazw roślin w ogrodzie matki, ale pamięta, że wymogi nazewnictwa napawały go spokojem. Od wczesnych lat wiedział, że należy do ludzi moralnie nie zakotwiczonych, łaknących oznaczania rzeczy, roślin, zwierząt, konstelacji gwiazdnych. Wkrótce oprócz udomowionych kwiatów matki poznał roślinność pól i lasów. Szybko opanowywał wszystko pamięciowo, nazwy pospolite i łacińskie. Ilekroć udało mu się utożsamić jakiś okaz z ilustracją w *Rejestrze botanicznym Spottona*, doświadczał przypływu siły. Rozmaitość form świata natury wyzwalała w nim dziwną pobłażliwość, pozwalała mu zachować równowagę. Odkrycie - a miał wówczas dwanaście czy trzynaście lat - że cała przyroda została poklasyfikowana, że ktoś przed nim domyślił się potrzeby takiego uporządkowania, poraziło go błyskawicą szczęścia. Pasjonował się szczególnie podgrupami w grupach, rozbiciem wielkich podziałów botanicznych na małe odgałęzienia, najdrobniejszymi, najbardziej ulotnymi formami życia, opierającymi się dzielnie kapryśnym kolejom ewolucji. Jego namiętnością z wyboru stał się mikroskopijny świat pleśni i alg - genetyka roślin z jej całym osobliwym, surowym pięknem. Ze swego zbioru sabotków - jednego z najpełniejszych w świecie, lubi myśleć - kocha najbardziej ten najrzadszy, a w nim ceni nade wszystko najmniejsze płatki, ogląda je z rewerencją pod mikroskopem, wbija w pamięć kształt ich najbardziej miniaturowych komórek, oddaje sprawiedliwość ich pozycji i funkcji, honoruje je łacińską nazwą.

Pełna systematyka świata roślinnego wyryta jest w jego świadomości jak mapa zawieszona na ścianie. Barker może jedynie zakładać, że mózgi innych ludzi zawierają podobną systematykę, filozoficzną czy

historyczną, tablice logarytmiczne i diagramy, których punkty newralgiczne i uwypuklone predylekcje stanowią dla nich siłę napędową, tak jak dla niego klasy, rzędy, rodziny, rodzaje, gatunki i podgatunki roślin. I oto w ową systematykę, która nie jest wcale taka logiczna i przejrzysta, jak mu się kiedyś wydawało, wkrada się Daisy. Siedzi na samym koniuszku jednej z gałęzi, śmiejąc się i wołając do niego. Barker zamyka czasami oczy i modli się, żeby zniknęła, ale ona uporczywie trwa jako cząstka naturalnego porządku, kusząc delikatnymi czułkami erotycznego wspomnienia. Nie można zignorować jej obecności, tak jak nie można wymazać istnienia żadnego podgatunku storczyków czy turzycy. Barker pielęgnuje ten związek na odległość, pisząc do niej regularnie i wyglądając jej odpowiedzi. Korespondencja ta ma w jego życiu swój ustalony rytm, jest dla niego oparciem i oderwaniem, potwierdzeniem jego najbardziej ludzkich uczuć.

Owo pisanie listów nabrało z czasem rytualnego charakteru. Barker sięga po pióro, bordowego watermana, zawsze w niedzielę po południu, w pierwszą niedzielę każdego parzystego miesiąca - lutego, kwietnia, czerwca i tak dalej. W gabinecie o wysokich oknach panuje cisza. Koło łokcia piszącego stoi filiżanka słabej herbaty, szybko stygnącej. Postronny obserwator może by zauważył, że łuk jego pleców i ramion przypomina nieco pozycję płodu. Barker wypchnął na czas pisania pamięć o swoich wstydliwych uchybieniach i dręczących koszmarach, które często kłębią mu się w głowie. Jest teraz bez reszty mężczyzną piszącym list, spełniającym święty obowiązek. W prawym górnym rogu umieszcza schludnie datę, po której zawsze, jako rodzaj wujaszkowego żarciku, sznurując wargi, dopisuje w nawiasie literki „A. D.”

Potem robi wdech i pisze: „Moja kochana Daisy!” To „moja” zawsze go niepokoi, ale wie, że zwróciłoby uwagę, gdyby tę formułę zmienił. Potem rozpoczyna zwykłe, nudne, pedantyczne akapity, których powszedniość i szczegółowość skutecznie przygasa jego tęsknoty. Kończy jedną stronę i rozpoczyna drugą, mozołąc się i utwierdzając swoim mozołem w poczuciu, że dowodzi w ten sposób wstrzemięźliwości. Za wszelką cenę musi ukryć samotność bijącą z takich przedmiotów jak jego waterman czy porcelanowa filiżanka. Ale jego twarz pochylona nad papierem jest dojrzała do herezji. Miałby ochotę obsypać kartkę pocałunkami i podpisać list: „Twój kochający Barker. Twój na zawsze. Twój jedyny”.

Zamiast tego pisze oficjalnie: „Z poważaniem. Barker Flett”. Nie był przynajmniej nigdy na tyle obłudny, żeby się podpisać: „Wuj Barker”. Choć Daisy właśnie tak się do niego zwraca w swoich odpowiedziach.

A odpowiedzi przychodzą szybko, odwrotną pocztą. Daisy zdaje się podzielać jego odpowiedzialność, jego obowiązkowość.

Serce tłucze się boleśnie i nierówno w jego piersi, kiedy rozcina prostokątną niebieską kopertę. Papier listowy jest również niebieski, z pensjonarską otoczką ze stylizowanych kwiatów, których nie podjąłby się sklasyfikować żaden podręcznik botaniki. „Kochany Wujku Barkerze!” Daisy terkocze i terkocze, płochy, po dziewczęcemu, strona za stroną. Co najmniej połowa jej zdań jest apokaliptycznie niekompletna, dramatycznie naszpikowana myślnikami i trzykropkami, które go ekscytują, wytrącają z równowagi, doprowadzają do rozpacz. Jej składnia jest fantazyjna, dobór słów niezrównoważony. Nawet po tragicznej podróży poślubnej pisze (mężnie?), że jest „w czarnej rozpacz”, ale ma nadzieję wkrótce być znowu „tip-top”. Po lekturze każdego jej listu Barkera ogarnia przygnębienie. Dziecinna paplanina. Uczucie zawodu utrzymuje się przez

ładne parę dni, ale z upływem tygodni, miesiąca, dwóch miesięcy sentymenty Barkera się odradzają. Każdy z nas skazany jest na niezrozumienie - zdaje się, że to mądrość dwudziestego wieku.

Trzeba tutaj powiedzieć, że Daisy Goodwill zbierała listy Barkera Fletta. Zachowała je do dzisiaj, chociaż miałaby kłopot ze wskazaniem, gdzie są. W którejś z szuflad? Czy w jakimś kartonie?

Jej listy do niego nie ocalały.

*

Nie zachowały się także żadne fotografie Daisy z tego okresu.

Mimo to można się domyślać, jak wyglądała pod koniec podróży do Ottawy, chociaż jako więźniarka własnego dramatu prawdopodobnie dość znacznie wyretuszowała swoją podobiznę. Na przykład widzi siebie już bez kapelusza - wie przecież doskonale, że kobieta nigdy nie podróżuje z gołą głową - i w następnej chwili co robi? Potrząsa swoimi rudoblond włosami o złotawych refleksach. Ostatnie promienie słońca, wpadające przez okno do wagonu, załamują się na fałdach jej lnianej sukienki. (Ciętej ze skosu. Ostatni krzyk mody według standardów Bloomingtonu w Indianie). Daisy trzyma dłonie mocno splecione na kolanach, tak jak Barbara Stanwyck w *Kobiecie w czerwieni*, co ma wyrażać namiętną kobiecą determinację. Sądzi także, że układ jej policzka i ust, taki jak u Greta Garbo, sugeruje coś podobnego.

Co mu powie przy spotkaniu? Jakie będą jej pierwsze słowa?

Przed oczami maluje jej się taka scena: ujmuje jego dłoń, potrząsa nią z powagą, trzyma się przy tym nieco sztywno, żeby go nie peszyć. Spokojnie, z bezpośredniością opowiada o podróży. Nie, nie jest specjalnie zmęczona. Droga upłynęła jej naprawdę przyjemnie. Widoki są boskie. Mile ulatywały niepostrzeżenie. Stara się zademonstrować dobrą wolę, czekając, żeby się nawiązała między nimi nić szczerości.

A co, jeśli nie będą mieli o czym mówić? Okaże się, że nic ich nie łączy? Nie, już ona coś wynajdzie. Wyteży całą pomysłowość.

Znowu składa dłonie. Dłonie bez rękawiczek, bez pierścionków. Przygodny obserwator mógłby przypuszczać, że pogrążona jest w bezgłośnie modlitwie. I w pewnym sensie tak jest, gdyż jej koncentracja ma cechy nabożnego skupienia. Daisy jedzie szukać u Barkera Fletta ratunku. Do tego doszło. Nie może wrócić do Vinegar Hill, znowu być córką Cuylera Goodwilla, pasierbicą Marii. Nie może mieszkać w tym domu, w Bloomingtonie, w jej wieku to wykluczone. W ostatnim roku groziło jej zdziwienie, stanie się jedną z tych abnegatek, którym jest obojętne, czy pod filizanką mają spodeczek, czy nie. Spośród wysiłonych kamieniarskich metafor ojca przypomina jej się jedna, ulubiona, z całym ciężarem jej ewangelicznego przesłania. Człowiek, mawia on, tak jak rozłupuje blok wapienia, może przykroić swoje życie pod takim czy innym kątem; wybór należy do niego.

Ale na tym etapie życia przed nią, kobietą, która wkroczyła w wiek średni, nie stoi już taki wybór - tak jej się przynajmniej wydaje. Osoba arbitralnie ochrzczona. Umieszczona przez przypadek w niewłaściwym miejscu. Jak do tego doszło? Jest uwięziona w czyjejs wersji swego życia, przyszpilona w niej.

Przychodzi jej do głowy, że ostatnio nie pyta, co jest możliwe, tylko jakie możliwości jej jeszcze pozostały. Znajduje się w tej chwili w podróży, z której nie ma powrotu, mimo że bilet powrotny tkwi bezpiecznie w przegródce jej skórzanej torebki. Dziwne, ale nie czuje strachu, gdyż rozumie, że miłość jest

przeważnie tylko ucieczką przed cierpieniem. Co więcej, przywykła do przeszkód i wie, jak je pokonywać, zmieniając odpowiednio optykę czy też zmiatając w ciemny kąt niepokoje.

Zamyka na chwilę oczy - nie oczy Greta Garbo, o, nie, oczy nie mające nic z hartu i chłodu tamtej - i przypomina sobie kilka ostatnich dni podróży. Wszystko, co widziała, co robiła, miało ostre kandy. W głowie kłębią jej się rozmowy z obcymi, ożywcze i męczące. Ten mężczyzna nad wodospadem, co za okaz! Zresztą wszyscy inni też.

Od nadmiaru do braku droga jest krótka. Daisy rozumie, że nie może wrócić. Musi wypracować nowy plan. Pomysły rozrastają jej się w głowie, szalone, wysuwają macki, malują całe scenki, całe konwersacje.

„Jak miło cię znowu zobaczyć, wujku Barkerze”.

Jej wargi poruszają się niemo ku oknu wagonu. Wysuwa się szczupła ręka, żeby wymienić uścisk z powietrzem.

„Co za radość! Po tylu latach”.

Może teraz jest odpowiednia chwila, żeby zdradzić, iż Daisy Goodwill ma pewne kłopoty z trzymaniem się faktów. Z prawdą, mówiąc wprost.

Dzieciństwo miała sielankowe, chętnie wam powie. Kochająca przybrana „ciotka” Clarentine, ubóstwiający ją „wuj” Barker. Ciepło, bezpieczeństwo. Pikniki nad rzeką. Ogród pełen kwiatów. Po czym, w wieku jedenastu lat, odnalezienie prawdziwego ojca, niezwykłego (wszyscy to mówią) człowieka, który się wybił o własnych siłach, a który otoczył ją zarówno dostatkiem materialnym, jak serdeczną miłością.

Cóż, dzieciństwem jest to, co kto chce z niego zachować w pamięci. Nie pozostawia po sobie skamielin, a jeśli, to tylko w literaturze. Dlatego też należy przyjmować wydarzenia w relacji Daisy ze szczyptą sceptycyzmu. Ściśle mówiąc, nie ze szczyptą, lecz z beczką sceptycyzmu.

Daisy jest nie zawsze wiarygodna, jeśli chodzi o szczegóły z jej życia. Wiele z tego, co opowiada, jest domniemaniem, przesadą, skrajnym nieprawdopodobieństwem. (Zorientowaliście się już z pewnością, że nikt na tym świecie nie mógłby być taki nieczuły, taki okrutny, jak w wyobrażeniu Daisy jej teściowa, pani Arturowa Hoad). Perspektywa Daisy Goodwill jest spaczona. Co więcej, Daisy nakłada często przyszłe widzenie na wydarzenia przeszłe, co staje się przyczyną zniekształcających zwichrowań. Robi także wielkie przeskoki w czasie, opuszczając rozmaite ważne sprawy (na przykład swoją kosztowną prywatną edukację w Tudor Hall i College'u Longa). Wypadki jej życia układają się w ciąg samookreślenia się - tak przynajmniej mówi samej sobie. Pisząc listy do wujka Barkera, ucieka się do języka dzieciństwa, rozmyślnie naiwnego, marzycielskiego, dziewczęco nieodpowiedzialnego, bezpiecznego. Czasami spogląda na sprawy z bliska, kiedy indziej z daleka, lecz zawsze dba o pokazywanie się w blasku słońca, prawie nigdy nie dopuszczając przeblysków owych czarnych przeczuć, których wszyscy doznajemy. I w końcu, tak, tak, obarczona jest ową romantyczną wyobraźnią kobiet samotnych, która pozwala jej tolerować tylko szczęśliwe zakończenia.

Skądinąd jednak jej relacja, jakkolwiek spisana na wodzie niewidzialnym atramentem wyobraźni, jest jedyną, jaka istnieje.

*

Naczytawszy się Bertranda Russella, Barker Flett dawno utracił wiarę w konwencjonalną moralność, jednakże jako wyższy urzędnik w administracji Jego Królewskiej Mości (dyrektor naukowy Wydziału Badań

Rolnych) musi przestrzegać pewnych zasad przyzwoitości. Młoda kobieta pod jego dachem? Jak by to wyglądało?

Siostrzenica, mógłby tłumaczyć, ale Daisy nie jest naprawdę jego siostrzenicą. Wychowanica? Nie, jego tytuł do opieki nad nią nie został nigdy prawnie usankcjonowany. Więc co ma robić? Jak wytłumaczyć jej obecność?

Przychodzi mu do głowy, że może udałoby się nakłonić do nocowania w jego domu w czasie wizyty Daisy gospodynię, panią Donaldson, która przychodzi codziennie sprzątać i przygotowywać mu zimną kolację. Pyta ją, delikatnie malując sytuację, lecz ona stanowczo odmawia. Ma własną rodzinę, dom, do którego musi wracać; pan Flett prosi ją o rzecz niemożliwą.

Barker wzdycha, ale z niezmierną ulgą. Po czym zaczyna się gryźć od nowa. Jego współzycie z Daisy jeszcze się nie rozpoczęło, a już takie problemy do rozwiązania.

*

„Za godzinę będę na miejscu” - zapisała Daisy w dzienniczku podróży i podkreśliła trzykrotnie „na miejscu”.

W pociągu panuje nieznośne gorąco, ale z pomocą konduktora udało jej się otworzyć okno. Teraz jej włosy powiewają we wszystkie strony i prześwieca przez nie zachodzące słońce, tak że wygląda, jakby miała na głowie aureolę czy rudą futrzaną czapkę.

Żeby uciszyć kołaczące serce, chowa dzienniczek bezpiecznie - tak jej się wydaje - do torebki i naciąga rękawiczki. Siedzi prosto, sztywno w oczyszczającej ciszy. Barbara Stanwyck z głową w lisiej czapie.

Obezwładnia ją czasami - a to jest właśnie jedna z tych chwil - przemożna potrzeba błagania o przebaczenie.

Stopniowo zapada teraz mrok i ontaryjskie niebo napełnia się brylantowym pyłem. Jego drobiny, czuje Daisy, nie mają z nią nic wspólnego. Osady przelatujące za oknem są obce, nieprzystępne. Zdają się odwrócone do niej plecami. W końcu wagonu, po drugiej stronie przejścia, czterech mężczyzn gra hałaśliwie w karty, zapewne w remi. Są tak zaabsorbowani wesołą zabawą i uciechami własnego głośnego towarzystwa, że gdyby jakaś siła porwała ją nagle z ich sąsiedztwa, nie spojrzeliby nawet w jej stronę. Daisy wie, że gdy pociąg wjedzie na peron w Ottawie, mężczyźni powrócą do zamkniętego kręgu swego realnego życia, podczas gdy ona musi się zanurzyć w to, co jej zgotuje ślepy los. Przyjmie to coś bez kwestii, bez protestu, bo jakież ma wybór?

Jest bezradna, niezakotwiczona, słabosilna - jak to kobieta. Może wszystko bierze się stąd, że jest kobietą. Tak, na pewno.

Przychodzi jej na myśl, że powinna zanotować w dzienniczku ten błysk samowiedzy - jeśli tego nie uczyni, to zapomni, gdyż jest istotą, która ustawicznie się uczy i zapomina, i musi się uczyć od nowa - lecz akt notowania wymagałby zdjęcia rękawiczek i wygrzebania z torebki pióra i notatnika. Przekracza to jej siły. Zmusza się więc, mimo szaleńczo pulsującego tętna, żeby spokojnie pozostać na miejscu, gdy pociąg wjeżdża w miłe, cieniste przedmieścia Ottawy, stolicy dominium (do-mi-nium) Kanady.

*

Barker czeka na dworcu pełne dziesięć minut przed jej przyjazdem. Tak zaplanował, wiedząc, że będzie potrzebował chwili ciszy, aby uspokoić myśli, zresztą ciało też.

„No, no - zamierza jej powiedzieć, serdecznością rozładowując dramatyzm chwili - więc dojechałaś cała i zdrowa”.

A może coś o upale? Czy też... Sam nie wie co. Wszystko wydaje mu się w tej chwili ryzykowne. Długie nogi dziwnie mu się płaczą, ale za nic w świecie nie usiadłby na którejś z tych polakierowanych ławek. Bierze się w garść, prostuje ramiona i plecy, spleta dłonie z tyłu i krąży po marmurowej posadzce hali dworcowej. Zatrzymuje się, spogląda na kopułę. Piękna budowla, bez dwóch zdań. Przygląda się jej dokładniej - ornamentalne fryzy, żłobkowane granitowe kolumny, zwieńczone klasycznymi frontonami. Rejestruje w pamięci kamienne powierzchnie, jakby miał ich nigdy więcej nie zobaczyć.

Stoi u progu wielkiej zmiany. Jego zmysłami owładnie wkrótce miłość, to nagłe roztopienie sztuki i natury, samego języka. Robi głęboki wdech, podnosi wzrok na zegar dworcowy. Tak, pociąg wjeżdża na stację punktualnie. Co do minuty.

Dokładnie. Fakt ten napawa go głęboką satysfakcją. A zarazem trwogą.

O, jest Daisy. Idzie w jego stronę.

*

O niektórych mężczyznach mówi się, że wypatrują ładnych nóg. Ale nie Barker Flett. On nie wypatruje niczego. Nie ma pojęcia, co mu się należy ani czego by pragnął. Ta chwila, to spotkanie pisane mu były wiele lat temu.

Oto ona, zbliża się ku niemu, już z wyciągniętą urękawiczoną dłonią, i przez moment Barker sądzi, że ujmie tę dłoń i potrząśnie nią w konwencjonalnym uścisku, mrużąc: „Jak miło cię widzieć. Czy w pociągu był tłok? Miałaś miejsce przy oknie? Bardzo jesteś zmęczona?”

Zamiast tego bierze ją w ramiona. No, niezupełnie w ramiona, bo nie ma mowy o tym, żeby ich ciała się zetknęły. Co to, to nie. Ale wyciąga ręce i lekko dotyka jej ramion, sunie dłońmi w dół jej rąk (nagich od łokcia i nieco wilgotnych). Potem wraca w górę, ku jej twarzy, dotyka jej koniuszkami palców, ujmuje w dłonie. Zapomniał wszystkich postanowień, krew w nim płonie.

Daisy ma miękkie nogi po tylu godzinach spędzonych w pociągu. Nagła jasność stacji oszałamia ją, tak że nie przychodzą jej do głowy żadne słowa.

- Daisy? - szepcze Barker pytającym tonem ponad koroną jej uczesanych teraz włosów. Jest to niemal łkanie.

Nie pamięta, co więcej mówił.

*

Mężczyzna w jego wieku nie potrafiłby stawić czoła zabiegom, ceregielom i pompie uroczystego ślubu, toteż zawarli ślub szybko i cicho w gabinecie sędziego pokoju. Siedemnastego sierpnia tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego roku. Depesza wysłana do Cuylera i Marii Goodwillów w Bloomingtonie na parę minut przed ceremonią sformułowana została w czasie przeszłym: „Przed chwilą się pobraliśmy. List w drodze”.

Oboje, i Daisy, i Barker, lękali się reakcji na niespodziewaną nowinę i z niepokojem czekali na odpowiedź.

*

W domenie erotyki ocieramy się najbliżej o dziką stronę naszej natury. Tak myśli Barker Flett. Istota ludzka kryje w sobie coś, co nie daje się zaszeregować, i on musi się nauczyć z tym żyć. Otworzyć na przyływy namiętności bez wstydlivych myśli, wkradających się przez wszystkie okna. Dlaczego wszystko musi zostać spłaszczone przez żelazne brzemień dobra i zła? Dlaczego?

Wyznaje Daisy, że w przeszłości płacił za usługi kobiet. Ona ze swojej strony, kładąc mu lekko palce na włosach, zdradza mu swój prawdziwy stan - że jest nietknięta (jej słowo), że coś nie grało w jej krótkim małżeństwie z Haroldem A. Hoadem. Nie wie, co to było, ale niewykluczone, że to ona zawiniła. On tego nie chce słuchać - na tym etapie swego życia potrzebuje wszystkich intensywnych uczuć Daisy dla siebie.

Tego rodzaju wyznania, punkt honoru, są prawie zawsze komiczne, kiedy się na nie patrzy z bliska. Zresztą równie komiczne, kiedy się patrzy z daleka. Całe to niepotrzebne upokorzenie, pysznienie się szczerością. A potem żal. Czy było to naprawdę niezbędne? Oczywiście nie.

*

Jedna rzecz zastanawia Barkera Fletta - nie może pojąć, na czym upłynęło Daisy dziewięć lat jej wdowieństwa. (Podobnie Daisy nie jest w stanie sobie wyobrazić młodych lat ojca w Stonewall, roku za rokiem, roku za rokiem jego samotności). Barker potrafi sobie wyobrazić Daisy uganiającą się po Bloomingtonie w eleganckim stroju, wytwornych pantoflach, pięknych rękawiczkach, zdrową, dorodną młodą Amerykankę, która pływa, robi wycieczki, tańczy i gra w golfa. Ale czym się zajmowała?

- Musiałaś pewnie coś studiować. Chodziłaś na wykłady? Daisy potrząsa głową.

- Czytałaś?

Ponowne potrząśnięcie głową.

- Oczywiście miałaś na głowie prowadzenie ojcu domu.

- No-o - chwila przerwy - mieliśmy przez wszystkie te lata Korę-Mae Milltown. A potem zjawiała się Maria.

- Musiałaś przecież coś robić ze swoim czasem - docieka Barker. - Zajmowałaś się dobroczynnością? Udzielałaś się w Czerwonym Krzyżu?

Daisy nie wie, co odpowiedzieć, a potem się rozjaśnia.

- Ogród - mówi. - Zajmowałam się ogrodem.

- Ogrodem?

- Tak.

- Aha - odpowiada Barker. - Aha.

Tydzień później składa ofertę na kupno dużego domu na The Driveway w pobliżu Dow's Lake. Zbudowany solidnie z kamienia i cegły, dom stoi na potrójnej parceli i ma ogród, który pamięta lepsze dni.

*

Co ludzie mieli do powiedzenia o związku Flett-Goodwill

Na wiadomość o małżeństwie Barkera Fletta z Daisy Goodwill premier dominium Kanady, który sam był kawalerem, oświadczył: „Małżeństwo jest najwyższym powołaniem, po nim ojcostwo, a dopiero potem rządzenie krajem”.

Przeczytawszy w gazecie obwieszczenie o małżeństwie, minister rolnictwa wykrzyknął do żony: „Wielki Boże, Flett się ożenił! A ja zawsze myślałem, że on jest zboczony jak scentrowane koło”.

Gospodyni Barkera Fletta, pani Donaldson, powiedziała enigmatycznie: „Z patelni na rozpaloną blachę”.

Simon Flett z Edmontonu przysłał bratu zmięty banknot pięciodolarowy i jedno jedyne słowo: „Brawo”. Andrew Flett z Climax w Saskatchewanie napisał: „Niech światłość Chrystusowa przyświeca Wam obojgu”.

Pani Dickowa Greene z Bloomingtonu w Indianie napisała w ciepłym liście gratulacyjnym do Daisy: „Oto w trzech słowach moja recepta na szczęście w małżeństwie: «Cierp i milcz»”.

Fraidy Holt powiedziała (do siebie): „Dziewczyna postradała głowę, nie serce. Myślałam, że ma w niej więcej oleju. Młoda żona, stary mąż - recepta na katastrofę, jeśli wierzyć w ludową mądrość”.

Pani Arturowa Hoyt oświadczyła: „To niesmaczne. Nieprzyzwoite. Kazirodztwo. Pewnie facet ma pieniądze”.

Depesza od Cuylerostwa Goodwillów brzmiała: „Gratulacje i najlepsze życzenia szczęścia na nowej drodze życia”.

Do siebie Cuyler Goodwill powiedział: „Jest prawie tak stary jak ja. Nie będzie go bardzo często w domu. Ostudzi jej zapal jakimś spojrzeniem czy słowem. Biedna Daisy”.

«Bambini, bambini!» - wykrzyknęła Maria, układając ręce w kształt kołyski, i przynajmniej raz wszyscy zrozumieli, co mówi.

*

Nie ma zapisu tego, co o swoim małżeństwie myślała sama Daisy Goodwill, gdyż zarzuciła prowadzenie prywatnego dzienniczka. Niedawna zguba dziennika podróży - nigdy się nie odnalazł - napelniła ją dozą sekretnej trwogi. Drży na myśl, w czyje ręce mogły wpaść te jej nie kontrolowane gryzmoły, należące do świata dziewczęctwa. Prowincji, której nie będzie dłużej zamieszkiwać.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Macierzyństwo

1947

Kolacja

Ludzie na szerokim świecie przywykli uważać, że Kanada jest krainą lodów i śniegów. Lubią się trzymać tego wyobrażenia, nawet kiedy wiedzą, że to nieprawda.

Faktem jest jednak, że w lipcu bywa w Ottawie gorąco jak w Hadesie - dlatego stół u Flettów nakryto dzisiaj do kolacji na werandzie obudowanej siatkami ochronnymi. Będzie klops cielecy w galarecie, sałatka kartoflana i pomidory, a na deser maliny z cukrem w małych szklanych miseczkach.

Trzeba wam wiedzieć, że maliny pochodzą z własnego ogrodu Flettów i zostały zerwane ledwie godzinę temu przez dzieci. Jedno z trójki dzieci, siedmioletniego Warrena, który wrócił w bawełnianej koszulce całej w plamach z malin, matka odsyła na górę, żeby się przebrał w coś czystego.

- Tylko się nie grzeb - mówi mu. - Tatuś będzie za chwilę w domu.

Dwie dziewczynki, dziewięcioletnią Alice i pięcioletnią Joan, poproszono o zerwanie bukietka kwiatów na stół - jako wazonik dostały stary popękany dzbanuszek do śmietanki. Ich kompozycja kwiatowa pozostawia nieco do życzenia, kwiaty o długich i krótkich łodygach sterczą nierówno i niektóre są już lekko przywiędłe.

- Bardzo ładne - orzeka pani Flett, całkowicie pochłonięta klopsiem, który przywarł do dna brytfanki i nie chce się odwrócić i wysunąć gładko na przygotowany szklany półmisek. - Niech to diabli - mruczy pod nosem, tak żeby dzieci nie słyszały, ale dzieci oczywiście słyszą. - Diabli, diabli.

Przepis wydarła z zeszłomiesięcznego numeru „Dziennika Pani Domu”, z artykułu zatytułowanego „Chłodne dania na gorące dni”. Trzymała się skrupulatnie skomplikowanych wskazówek, aż do ugarniowania gotowej potrawy paskami pimentu i plasterkami nadziewanych oliwek.

- Czemu nie kupiłam zamiast tego szynki? - zastanawia się głośno.

- Ja lubię szynkę - mówi marzycielskim tonem Warren. Jest to prawda. Szczególnie lubi zwinąć grubo w palcach plaster gotowanej szynki i wepchnąć cały do ust, tak żeby słodkie mięso wydawało się częścią jego własnego języka i ścianek policzków.

Obrus jest kraciasty, bawełniany, niebiesko-biały. Matka zasiądzie u jednego końca stołu, ojciec u drugiego - jest to rodzina, która lubi się trzymać tradycyjnych zwyczajów i ceremoniału. Przed każdym nakryciem, nad łyżeczką do malin, stoi wysoka szklanka do mrożonej herbaty - także dzieci dostaną dzisiaj mrożoną herbatę w nagrodę, że były grzeczne przez cały dzień.

Grzeczność - czym właściwie jest bycie grzecznym w rozumieniu rodziny Flettów? Alice i Warren byli grzeczni, gdyż bez przypominania posłali rano swoje łóżka, Alice zaś ponadto pomogła matce w odkurzeniu frontowych i kuchennych schodów, ich wąskich bocznych drewnianych części, nie pokrytych chodnikiem. Do wojny rodzina miała dwa razy w tygodniu kobietę przychodzącą do sprzątania (niejaką panią Donaldson, słynącą z nieudolności i sarkazmu, obecnie zredukowaną do wymiaru zabawnych anegdotek), po wojnie jednak pomocy domowej - jeśli nie liczyć pana Mannerly'ego, który przychodzi pomagać w ogrodzie - nie można dostać za nic w świecie, jak usłyszał z ust matki Warren.

Mała Joan była grzeczna, gdyż zjadła na lunch kanapkę z jajkiem faszerowanym (niemal całą), potem poszła bez grymasów na popołudniową drzemkę, no, i przy większości okazji pamiętała o „proszę” i „dziękuję”. Prawie nie było także przez cały dzień kłótni. Pani Flett, matka dzieci, tylko raz musiała podnieść głos na Alice. Są dni, kiedy Alice czuje, że matka ją kocha, i są takie, gdy jest pewna, że jej wcale nie kocha. Alice zawsze się stara dogodzić dorosłym, zauważyła jednak, że kiedy się za bardzo stara, zaczyna się krygować i pocić.

Wreszcie. Górna część klopsa w galarecie opada ze ssącym odgłosem na półmisek, reszta zostaje spieszenie podważona łopatką i przyklejona - diabli, diabli - a szpara zakryta paskami pimentu i listkami sałaty. Półmisek z klopsiem, lekko owinięty w woskowany papier, wjeżdża z powrotem do lodówki, żeby galareta się

nie rozpuściła do kolacji. Teraz pani Flett spogląda na kuchenny zegar w kształcie niewielkiego dzbanka do kawy z wymalowanymi małymi roześmianymi ustami i stwierdza, że zrobiło się piętnaście po piątej. Głośno nabiera tchu.

- Czas wstawić rowery do szopy - mówi do trójki dzieci. - Tylko patrzeć, jak tatuś będzie w domu.

Jakoś w tym czasie pani Flett znika, żeby się „zrobić” do kolacji. Warren jest zawsze zaskoczony, że nie zauważył momentu jej zniknięcia - jakaś część dnia została mu nagle zabrana tak szybko, jakby ją ktoś ukradł. Przed minutką matka stała w fartuchu, ze spoconą twarzą, a za chwilę zjawi się w swoim czerwono-białym letnim odzieniu - świeżej białej bluzce ze ściąganą tasiemką wokół dekoltu i marszczonej spódnicy. Włosy będzie miała uczesane, na wargach szminkę, ciemnokoralową, połyskującą jak polizany cukierek jubkowy. Wygląda, jakby zeszała prosto z reklamy Oxydolu, tak przynajmniej myśli Warren - tryskająca życiem, z oczami pełnymi blasku, czerwonymi wargami lekko wydętymi, głosem, który nagle stał się płynny i swobodny. Czasami nakłada srebrno mieniące się klipsy, które zwisają, uciskając mocno płatki jej uszu. Warren nie może nie czuć dumy z niej, kiedy widzi, jak tak „zrobiona” schodzi po okrytych chodnikiem schodach.

„Zrobić się” to jedno z jej panięskich powiedzonek, które ojciec nazywa „indianizmami” od nazwy stanu, w którym się wychowała. Matka mówi wiele innych śmiesznych rzeczy, jak na przykład „czekać kogoś” zamiast „na kogoś” albo „zrobić sobie małą pokładkę” zamiast „uciąć drzemkę”. Jej głos ma też trochę rwany rytm, jest powolniejszy, ale i dźwięczniejszy niż głosy innych matek.

- Mamy dziś takie piknikowe danie - mówi do męża, jakby chcąc zmiękczyć jego oczekiwania. - Improvizowane.

Ojciec czasami przyjmuje jej dziewczęce pozy z wesołą miną, czasami nie. Całuje ją w policzek, czując jego świeżość, po czym się pochyla i całuje głowy dzieci, wszystkich po kolei. Czy te ruchliwe małe ciała zrodziły się rzeczywiście z jego ciała, czy w ich młodych żyłach płynie jego wiekowa krew, szpik ich kości jest repliką jego szpiku? Ich wyszczotkowane włosy pachną słońcem i pyłem. W ich uśmiechach jest cudowna promiennosc, ale i jakaś powściągliwość. Barker doznaje wciąż na nowo wzruszenia, widząc oniesmielenie, jakie wkradło się na ich twarze od śniadania. Dotyka węzła lnianego krawata, chce go zdjąć do kolacji, ale się rozmyśla.

Dziesięciolecia zasklepionej samotności uczyniły z niego podglądacza własnego życia, tak że nawet teraz krytycznie obserwuje samego siebie - *pater familias*, ojciec witający rodzinę po dniu pracy, spoglądający w twarze dzieci i dalej poza nie, ku osłoniętej werandzie, na której stoi stół nakryty do kolacji. Narożna szyba złożonych drzwi tylnej werandy odbija promień słońca - Barker obserwuje to niemal okiem feudała. To drzwi jego werandy, jego prostokąt złocistego światła.

- Umyłaś ręce? - słyszy swój głos pytający najmłodsze dziecko.

Dziewczynka natychmiast wyciąga rączki do inspekcji, otwartymi dłońmi do góry. Jego mała Joanie, pięciolatka, która z zapartym tchem, bo chwila jest ważna, obraca nadgarstki, gotowa wybuchnąć protestem.

- Pięknie - mówi ojciec z aprobatą, i brzmi to jak osąd, ale zarazem sekret.

Dziewczynka podskakuje na jednej nodze, po czym wprawia ciało w wirujący ruch odśrodkowy, który przypomina Barkerowi jedną z tych przedwojennych nakręcanych zabawek japońskich.

- Ostrożnie, kochanie - mówi. Czy to jego głos tak płynie do niej? - Rozbijesz sobie główkę o drzwi.

- Właśnie że nie rozbiję. Oczywiście, że nie rozbije.

Konwersacja przy stole kolacyjnym Flettów nie ma określonych rygorów. Dzieci nie muszą zdawać sprawy z tego, co robiły w ciągu dnia, ani omawiać „bieżących wydarzeń”, ani mówić tylko po francusku tak jak w pewnej rodzinie na Torrington Crescent. Rozmowa biegnie meandrami, bez narzuconych ram do ilu stopni doszła w ciągu dnia temperatura, co zrobić z mszycami na krzewach róż, czyja dziś kolej na sprzątnięcie ze stołu. Lekkie westchnienie wyrywa się w ust pani Flett (Daisy), która poczuła się nagle śmiertelnie zmęczona i która nie mogła nie zauważyć, że nikt nie poprosił o dokładkę klopsa w galarecie, mimo że pozostało go pod dostatkiem.

- Zmęczona? - pyta spieszenie pan Flett (Barker).

- To ten upał - odpowiada ona, wachlując się płaską dłonią, jakby to mogło coś pomóc.

Mąż przypomina jej, że upał ma jutro zelżeć, tak przynajmniej piszą wieczorne gazety, z zachodu nadciągają chłodne wiatry.

- Może wobec tego zaczekam do jutra z koszeniem trawy - dodaje.

Żona posyła mu spojrzenie niemożliwe do zakwalifikowania. Czułości? Irytacji?

Barker czuje się nagle znacznie starszy, niż przypuszczał, że kiedykolwiek będzie. Za kilka miesięcy skończy sześćdziesiąt pięć lat i będzie zmuszony odejść ze stanowiska dyrektora w Wydziale Badań Rolnych. Planowany jest bankiet pożegnalny, z przemówieniami, pamiątkowymi prezentami i całym tym „cyrkiem”, jak to zapewne nazwie jego żona. A co potem? Myśl o tym napawa go lękiem. Jego własnemu ojcu, kiedy skończył sześćdziesiąt pięć lat, przekręciło się coś w głowie, bez słowa spakował manatki i powrócił na Orkady (gdzie się urodził), zrywając wszelkie kontakty z rodziną, których, prawdę mówiąc, nigdy za wiele nie było. Staruszek miałby teraz osiemdziesiąt pięć lat, jeśli jeszcze żyje, co bardzo wątpliwe. Zmogły go pewnie północne wiatry albo własne zatrute myśli, chociaż mówi się, że gniew jest potężną siłą napędową. Jak by teraz wyglądał? Barker Flett nie może się oprzeć rozmyślaniu o tym. Jest między nimi tylko dwadzieścia jeden lat różnicy, marne dwadzieścia jeden lat. Co kiedyś wydawało się przepaścią, skurczyło się teraz do bagateli. Ich kod genetyczny, jego i ojca, musi być prawie identyczny - długie kończyny, gęste ciemne włosy, melancholijne usta. Nie dzieli ich teraz nic prócz geografii. Gdyby nie szerokość Oceanu Atlantyckiego, mogliby na starość stanąć koło siebie i wyglądaliby bardziej na braci niż na ojca i syna, z rozwodnioną krwią i członkami zwiotczalnymi od beczynności.

Bezczynność - myśl o niej przeraża go tak samo jak dawne pokusy samotności i milczenia.

Co się dzieje z mężczyznami, kiedy zostanie im odebrana praca? Barker Flett myśli o swoim teściu, Cuylerze Goodwillu, sprowadzonym teraz, mimo iż cieszy się doskonałym zdrowiem, do bezsensownego podróżowania i udawanego entuzjazmu domowymi projektami. Nie, on nie pozwoli sobie popaść w takie zidionienie. Paru życzliwych przyjaciół radzi mu, żeby się zabrał do pisania autobiografii, ale nie, powierzchownie jego życia są tak wygładzone i wytarte przez upływ lat, że stały się prawie nie do odcyfrowania; od czego miałby zacząć? Zajmie się zamiast tego swoją kolekcją sabotków, której od lat nie wzbogacił o żaden nowy okaz. Jest także kilka artykułów, które od dawna chce napisać, a ponadto - coś zgoła nieakademickiego - redaktor „Recordera” prosi go o parę kawałków gazetowych, a może nawet o cotygodniowy felieton na temat

ogrodnictwa w rejonie Ottawa-Carleton. Powróci również do starego zwyczaju zabierania dzieci na weekendowe wędrówki i błądząc po spokojnych uliczkach, będzie je przepytował z pospolitych nazw drzew i krzewów. Nie może pojąć, dlaczego to jego potomstwo nie jest w stanie zapamiętać najprostszych informacji o świecie natury.

Zastanawia się też, czym te dzieci mają nabite głowy. A także czy się nie wstydzą pokazywać z takim starym ojcem jak on. Z człowiekiem, który mógłby być ich dziadkiem, który przeżył dwie wojny światowe, a w żadnej nie walczył. Który prawie nigdy nie gra z nimi w piłkę. Który bardzo rzadko podrzuca je do góry i szepcze im do ucha słodkie głupstwa przed snem. Z człowiekiem, który jest zbyt zmęczony pod koniec dnia, żeby skosić własny trawnik.

Ten dzień zakończy się dla rodziny Flettów o jedenastej. Dzieci zostaną oczywiście zapakowane do łóżek znacznie wcześniej, przykryte jedynie prześcieradłami, tylko w nogach będą miały złożone w harmonijkę koce, gotowe do podciągnięcia dla ochrony przed chłodem wczesnorannych godzin. Na niebo wypłynął księżyc, wisi za oknem jak okrągła blada brzoskwinia. O siatki ochronne ocierają się gałązki wiązu, ich szept przenika prosto w sny. A jaka słodycz powietrza! Czyż nie boskie jest to północne miasto w środku swego letniego sezonu? Błogosławieństwo otacza rodzinę Flettów. Mniejsza o dzielącą ich różnicę wieku, o ich skrywane myśli, o fakt, że niewiele mają ze sobą wspólnego.

Państwo Barkerostwo Flettowie ułożyli się w swoim podwójnym łożu z wysokim ozdobnym wezglowiem, ale nie obudowanym od strony nóg, on z ostatnim numerem „Przeglądu Botanicznego” w rękę, ona przerzucająca stronice „Pięknych Domów i Ogrodów”. Spokój, stateczność. Między jego a jej lampką nocną trzepocze się samotna ćma. Pół godziny później, jakby na sygnał dzwonka, oboje jednocześnie obracają się do siebie, wymieniają serdeczny uścisk i sięgają do wyłączników lamp. Mimo upału łatwo zapadają w sen, każde pełne ufności do drugiego. Bo w końcu dlaczego mieliby nie być pełni ufności?

Ich sen, lubi sobie wyobrażać Barker Flett, jest utkany z materii miększej i gęstszej niż sen innych ludzi. Ma w sobie czystość świeżo wypranego runa. Czy to jest miłość, zastanawia się, ta substancja wyczuwalna między nimi, neutralna w barwie, lecz tak namacalna, że nie wymaga przypominania o sobie? Czy też miłość jest czymś innym, czymś gładkim i bezwonnym, niewidzialnym gazem, płynącym nad światem na plecach wiatru. A może - ku temu Barker coraz bardziej się skłania - po prostu słowem próbującym przypomnieć sobie drugie słowo.

Alice

Matka wyjaśniła Alice sekrety prokreacji. Jest to przeraźliwa wiedza, szokująca od początku do końca - fiutek mężczyzny wbijający się w dziurkę do siusiania kobiety. Wyjaśnienie, odmierzane etapami w długiej, pełnej napięcia sesji kuchennej, jest na swój sposób bardziej obrzydliwe niż historia, którą Alice słyszała od Billy'ego Raabe z sąsiedniej ulicy, a w myśl której mężczyzna siusia do wnętrza kobiety.

- Nie - zaprzecza zdecydowanie matka i robi pauzę. - To nie ma nic wspólnego z moczem, wytryskująca ciecz zawiera nasionka konieczne, żeby kobieta mogła począć w sobie dziecko.

Mechanika tej wymiany wydaje się Alice niemożliwością.

- Matka i ojciec leżą na łóżku - tłumaczy jej matka niemal szeptem - obejmując się ramionami.

- Kiedy? - pyta Alice.

Własny głos brzmi ostro w jej uszach. Na twarzy pani Flett maluje się zniecierpliwienie, między jej oczami pojawiają się te trzy małe wachlarzowate zmarszczki. Odchrząkuje jednak i mówi:

- No, najczęściej w nocy.

- W nocy? Tutaj? W naszym domu?

- Ależ, Alice!

Matka wpatruje się teraz w skórki u swoich paznokci. Zegar w kształcie małego dzbanka do kawy, stojący nad kuchnią, wskazuje wpół do czwartej. Na różowej szklanej paterze leży świeżo polukrowany biszkopt kokosowy.

- No?

Alice czeka na odpowiedź. Nie zamierza dać za wygraną.

- Nie wiem, co ci powiedzieć, Alice. Ale nie podoba mi się sposób, w jaki się do mnie zwracasz. Twoja cała postawa, twoja ponura mina.

Robi się to coraz trudniejsze. Lecz Alice nie może się powstrzymać.

- To takie wstrętne. Dlaczego ludzie muszą robić takie wstrętne rzeczy?

- Ależ, Alice.

- To obrzydliwe.

- Nie, wcale nie obrzydliwe. To bardzo piękna rzecz między mężczyzną a kobietą.

- Niedobrze mi się od tego robi.

- Cóż, musisz mi uwierzyć na słowo. To piękna, piękna rzecz.

Alice czuje, jak coś w niej kwili, ale udaje jej się stłumić w sobie ten dźwięk. Bezchmurny letni dzień jest stracony. Nic nie będzie już nigdy takie samo. Dom został zbrukany, szczególnie sypialnia rodziców na górze, ze swoim zastałym tajemniczym zapachem pudru i wielkim łóżem o twardym materacu i ozdobnym wezglowiu. Dorośli są nieczyści, ta cała historia niesmaczna. Mama, która ubiera się codziennie rano w garderobie ściennej, uchylonej, żeby wpuścić trochę światła, odwrócona tyłem naciąga majtki, pasek do podwiązek, przypina nylony, ta mama naprawdę otwiera swoje wnętrze na tę ciemną owłosioną część ciała ojca - Alice mignęła ona parę razy przed oczami - pozwala ze sobą coś takiego robić. To świństwo większe niż najbardziej świński dowcip, jaki Alice w życiu słyszała.

Mama twierdzi, że to piękne, ale mama rozwodziła się też w galerii sztuki o nagich posągach, że są piękne.

To znaczy, że inni ludzie muszą też to robić - pani Raabe, pani Hassel, jej wychowawczynie w szkole, pani Strong. A co z gwiazdami filmowymi, Esther Williams i Deborah Kerr? Z królem i królową Anglii? Może robi to nawet babcia Goodwill w Indianie? Z dziadkiem Goodwillem?

- Czy kobiety - pyta Alice ostrożnie matki - robią to także, kiedy już nie chcą mieć więcej dzieci?

- No-o - wzbierająca napięciem pauza - niektóre robią, a niektóre nie.

Alice czuje, jak zakłóceniu ulega panująca między nimi równowaga. Zasiadły obie z matką przy stole pełne obopólnej dobrej woli, żeby dotrzeć do sedna tego, co Billy Raabe opowiada okolicznym dzieciom. Teraz

dyskusja zdaje się dobiegać końca. Matka skubie naderwaną skórę u paznokcia, potem spogląda w okno, w którym wiatr wydyma firanki. Alice czuje, że uda jej się zadać jeszcze tylko jedno pytanie.

- A ty... z tatusiem... jeszcze to robicie?

- No-o...

Alice wstrzymuje dech, czeka.

- O-owszem - słyszy, po czym matka rzuca mężne, zdławione uzupełnienie, które zdaje się zasznurowane jak ściągnięta ciasno tasiemka saszetki: - Od czasu do czasu.

Alice czuje, że zwymiotuje zupę szparagową, którą jadła na obiad; wie to na pewno. Czy powinna wstać i podejść do zlewu, żeby nie nabrudzić na stole?

- Ale musisz mi obiecać, Alice, że nie piśniesz słówka o tym, o czym mówiłyśmy, Warrenowi ani Joan. W każdym razie, dopóki nie podrosną na tyle, żeby to zrozumieć.

Warren i Joan bawią się za domem w króla i królową. Alice słyszy przez siatkowe drzwi, jak Warren woła do Joan, żeby mu podała koronę.

- Tak jest, Wasza Królewska Mość - dolatuje głosik Joan. - Już niosę, Wasza Królewska Mość.

Dzisiaj jest kolej Alice, żeby być królową, ale Alice nie ma najmniejszej ochoty do nich wyjść. Niech się bawią sami, jak chcą.

Owszem, kocha ich, swojego braciszka i siostrzyczkę, nigdy dotąd nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo. Są zdrowi, ładni, udani - i nie skażeni przez tę straszliwą wiedzę. Będą mogli patrzeć rodzicom nadal w oczy, prosto w oczy, śmiać się, rozmawiać i zachowywać, jakby nigdy nic się nie stało.

Warren

- Ile ty masz lat? - pyta Warren matki.

Matka składa na kuchennym stole pościel, ręczniki, ścierki.

- To moja słodka tajemnica. Jak chcesz, to zgaduj.

- W którym roku się urodziłaś? Matka się zastanawia, po czym mówi:

- W tysiąc dziewięćset piątym.

- A teraz jest tysiąc dziewięćset czterdziesty siódmy?

- Tak.

Warren myśli chwilę.

- A w którym roku ja się urodziłem?

Pytał już o to nieraz, ale nie może zapamiętać odpowiedzi.

- Ty się urodziłeś w tysiąc dziewięćset czterdziestym. Na początku wojny.

Warren przypomina sobie teraz, dlaczego zanudza matkę tym pytaniem. Żeby usłyszeć to przejmujące dreszczem zdanie - na początku wojny. Przed oczami staje mu obraz wschodzącego słońca, krwistoczerwonego jak na japońskiej fladze, którą Billy Raabe ma zawieszoną nad łóżkiem. Wyobraża sobie także napiętą, pełną oczekiwania ciszę nocną, w którą wdziera się nagle wysokie ra-ta-ta strzałów, a po chwili ich sporadycznym salwom zaczyna towarzyszyć niższe gardłowe dudnienie dział. Wojna. Druga wojna światowa.

- To wtedy, kiedy było Pearl Harbor?

Lubi tę nazwę - Pearl Harbor. Jest dumny, że ją pamięta, że jej nie przekreśla.

- Przed Pearl Harbor. Przeszło rok wcześniej.

- Dlaczego się wtedy urodziłem?

- Bo się urodziłeś.

- Alice urodziła się przed wojną?

- Tak.

- A Joan? Kiedy Joan się urodziła?

Głowa matki jest dzisiaj mniejsza, ściśnięta rządkami metalowych zapinek do włosów. Zapinki chwytają błyski światła wpadającego przez wykuszowe okno. Matka liczy poszewki. Warren widzi, jak jej język porusza się w rytm palca sunącego wzdłuż równego stosu - jedna, dwie, trzy, cztery, pięć.

- Joan? - powtarza z roztargnieniem matka. - Joan się urodziła w połowie wojny.

Wojna jest jak mętna, letnia, szeroka rzeka, z której prądem płynie świat, tylko że teraz, od Dnia Zwycięstwa, już jej nie ma. Ale pokój nie wydaje się Warrenowi taki znowu inny. Jego ciało pozostało tym samym ciałem co przedtem, z tymi samymi podrapanymi kolanami i goleniami, z kościstymi stopami; jego twarz ma w lustrze ten sam puciołowaty wyraz zdziwienia. Czasami budzi go w nocy ból brzucha i woła wtedy matkę, która przynosi mu szklankę czegoś musującego i mówi, że to niestrawność i nie bolałoby go, gdyby nie łykał jedzenia tak szybko, bez gryzienia. Ale on wie, że to z powodu wojny boli go brzuch, dlatego że się skończyła i teraz nie ma rzeki, która by go niosła.

Alice, Joan i on są ze sobą złączeni jak te postacie, które Alice wycina z gazety - tak widzi siebie i swoje siostry. On znajduje się w środku, zawsze pośrodku, jako ten, który się urodził na początku wojny. Musi tę myśl zapamiętać, jest w niej coś podniecającego. I coś zaszczytnego, miejsce zastrzeżone dla niego, Warrena Magnusa Fletta, urodzonego u krwistoczerwonego zarania wojny.

Prawie nigdy nie myśli o przyszłości, chociaż w niejasny sposób zdaje sobie sprawę, że kiedyś urośnie, będzie zaczesywał na mokro włosy i grał w bocznej uliczce ze starszymi chłopcami w baseball. Nieoczekiwanie przychodzi mu do głowy myśl, że w ich rodzinie może się pojawić jeszcze jedno dziecko, powojenne. Nie rozumie, dlaczego nie wpadł na to wcześniej, i robi mu się niedobrze jak wtedy, kiedy ma go zacząć boleć brzuch. Zastanawia się, czyby nie zapytać matki o to nowe dziecko, ale wydaje mu się to niemądre. Nie wyobraża sobie, jak by miał poruszyć taką sprawę, jakich użyć słów. Matka mogłaby go wyśmiać albo, jeszcze gorzej, odłożyć ręcznik, który składa, i powiedzieć, że oczywiście, będzie jeszcze jedno dziecko, czego innego się spodziewał?

Nowe dziecko wszystko by popsuło. Gdzie by spało? Jakie można by mu nadać imię? Urodziłoby się słabe, bez mięśni, zbyt wątłe i chore, żeby żyć.

Matka zdaje się odgadywać jego myśli. Robiła to już przedtem i robi to znowu w to senne letnie popołudnie.

- Tatus i ja jesteśmy za starzy, żeby mieć więcej dzieci - mówi.

Na te słowa ogarnia Warrena uczucie szczęścia. Nie z powodu zapewnienia, że nie będzie powojennego dziecka, lecz dlatego, że matka wypowiedziała to spokojnym, poważnym tonem, jakiego od niej dotąd nie

słyszał. Z jej głosu uleciała drwina, nie było w nim nagany ani przywilności, zniknęła gdzieś śpiewność, pomruk i cmokanie. Ten nowy głos przebija przez tamte, zaskakujący, jednakże słysząc go, Warren od razu rozumie, może po raz pierwszy, że to przemawia jej prawdziwe ja.

- Co-o? - pyta.

- Chciałeś powiedzieć „proszę”?

- Proszę?

Matka przygląda mu się uważnie, widzi go - czuje Warren - i powtarza:

- Tatus i ja jesteśmy za starzy, żeby mieć więcej dzieci.

Joan

Joan jest pełna tajemnic, czasami wydaje jej się, że pęknie od ich nadmiaru. Kiedy matka, kładąc ją wieczorem do łóżka, pochyla się, całuje ją w oba policzki i mówi: „Moje słodkie maleństwo”, nie ma pojęcia, ile tajemnic kryje się w głowie jej małej dziewczynki.

Już teraz, w wieku pięciu lat, Joan wie, że będzie żyła podwójnym życiem - jednym widocznym dla wszystkich, a drugim krzewiącym się tajemnie w jej głowie.

Jest mnóstwo różnych rzeczy, które wie tylko ona, a o których nikt inny nie ma pojęcia.

Na przykład radio. Któregoś dnia udało jej się wcisnąć w wąską, pełną kurzu szparę za konsolą w salonie, za radio, o którym ojciec mówi, że to przedwojenny model Northern Electric, i zobaczyć przez siatkową tylną ściankę ukryte w środku migocące światełka miasteczka na wzgórzu. Oczywiście nikomu o tym nie powiedziała, szepnęła może tylko jakieś słówko mamie.

Odkryła, czym może sobie wypełnić pustą chwilę, gdyby taka się zdarzyła. Kiedy nie ma nic innego do roboty, może zawsze podejść do rogu, gdzie do The Driveway dobija Torrington Crescent, i przed wielkim brunatnym domem pani Bregman sturlać się ze spadzistego trawiastego zbocza, zajmującego cały front parceli. Nikt jej tego nie zabronił, nikomu widać nie przyszło to do głowy. Prawdę mówiąc, Joan właściwie nigdy nie chodzi na róg, żeby się sturlać po trawie, ale lubi mieć tę możliwość w odwodzie. Albo może wyjść poskakać po chodniku przed własnym domem. Umiejętność skakania wprowadziła ład w jej życie. Ilekroć zaczyna ją ogarniać smutek, puszcza się w wesołe podskoki - krok, podskok, krok, podskok. Robiąc to, ma wrażenie, że głowa oddziela jej się od tułowia, czuje zawrót i wyzwolenie od złych myśli. Czy ktoś inny w świecie zna tę sztuczkę? - zastanawia się. Chyba nie, chociaż mama macha do niej czasami z okna, uśmiecha się i macha.

W łazience, na pokrywie kosza na bieliznę, jest kalkomania - czarny łabędź pływający wśród zielonych trzcin. Joan pamięta, jak mama przyklejała tę ozdobę. Najpierw namoczyła kalkomanię w umywalce, potem równo odkleiła przezroczysty spód, umieściła kalkomanię w samym środku pokrywy na zawiasach i na koniec wygładziła ją wilgotną szmatką. Joan przypomina sobie, jaka to była piękna chwila. Mimo to, kiedy znajdzie się sama w łazience, oddłubuje łabędzia kciukiem. Udało jej się obluzować brzegi ze wszystkich czterech stron. Oczekuje teraz, że lada chwila ktoś ją za to skarci, chociaż z drugiej strony zna swoją siłę, wie, że może się wywinąć od każdego niebezpieczeństwa.

Bratanica męża pani Flett

Trójka dzieci pani Flett zdaje się ciągle kłócić - takie przynajmniej jest jej odczucie. Serce jej się ściska, mówi, jej, wychowanej bez braci i sióstr, z którymi mogłaby się bawić.

W rzeczywistości Alice, Warren i Joan przeżywają długie okresy harmonijnej zgody, szczególnie w lecie, kiedy dzieci z sąsiedztwa wyjadą na wakacje. Wymyślają wówczas różne skomplikowane zabawy i podejmują rozległe przedsięwzięcia budowlane. Nie dalej niż w zeszłym tygodniu obwiesiły obrośniętą pnącym winem altaną pledami i umeblowały zaimprovizowany namiot tekturowymi pudłami, skrzynkami po pomarańczach i resztkami materiałów z szafki z przyborami do szycia pani Flett. Tutaj, w mętym świetle wpadającym z dworu, klęcząc dokoła stołu ze skrzynki, chrupiąc suchary z grahamowej mąki i popijając mrożoną wodą, popadają w nostalgiczne wspomnienia.

Te ich wspominki są rzeczą niezwykłą, każde z nich docenia ich bogactwo. Mogą mówić bez końca, całe popołudnie zbieganie im na powtarzaniu i porównywaniu osobno i wspólnie zapamiętanych zdarzeń. Przejmuje ich radosny dreszcz, ilekroć wyłoni się jakiś nowy szczegół odgrzebany z przeszłości. Piękne jest to zanurzanie się w stare przygody, czują.

Pamiętacie, jak pływaliśmy w Buffalo Lake, dno było takie piaszczyste, a woda ciepła jak w wannie, i potem poszliśmy na piwo korzenne z lodami? Pamiętacie, jak jeździliśmy na diabelskim młynie na wystawie i Joanie zrobiła się cała zielona?

(„Zrobiłam się naprawdę zielona?” - dziwi się Joan, przepelniona na tę myśl błogością). Pamiętacie, jak poszliśmy odwiedzić pana Wrightmana, który leżał w żelaznym płucu i ślina ciekła mu po brodzie, a on nawet tego nie zauważał? Pamiętacie, jak Billy Raabe spadł z roweru na ścieżce za domem i wybił sobie ząb, i matka zawiozła go do szpitala, poplamiał całe tylne siedzenie w aucie i potem w żaden sposób nie można było wywabić plam z krwi? Pamiętacie, jak się biliśmy rzepami z Jacksonami i potem matka Jeannie Jackson musiała jej wycinać rzepy razem z włosami, tymi jej pięknymi długimi złotymi splotami, jak u księżniczki?

Światło pamięci odbija się o krawędź każdego zdarzenia, uwięzione w nim niby obraz w kryształowym lustrze.

Alice, podniecona, komenderująca, przewodzi w tym procesie rewindykacji, a Warren i Joan uzupełniają, potwierdzają, podbudowują, a także fantazjują. Wstrząsa nimi żar własnego dramatu, oszałamia dwulicowość pamięci, jej władza nad nimi, tajemnicza jak druty telefoniczne czy aureola nad głową Jezuska. Pamięć można poszturchiwać kijem, smakować w ustach jak lizak, nigdy nie ma jej się dość.

A pamiętacie, jak się zjawiała kuzynka Beverly? Zawsze w końcu dochodzi do wizyty kuzynki Beverly, chociaż zdarzyło się to w odległej przeszłości, rok, a może i dwa lata temu.

Nikt się nie spodziewał jej przyjazdu. Zjawiała się po prostu pewnego jesiennego popołudnia, w mundurze Kobiecej Służby Pomocniczej Marynarki, zadzwoniła do drzwi i oznajmiła:

- Dzień dobry, jestem waszą kuzynką Beverly z Saskatchewanu.

Oczywiście słyszeli o Beverly, jednej z ich sześciu sióstr stryjecznych - pozostałe noszą imiona Juanita, Rosalie, Arleen, Lillian i Daphne. Mieszkają w miejscowości Climax w Saskatchewanie. Ich matką jest ciotka Fan, żona stryja Andrew, brata tatusia, pastora Kościoła Baptistów. Pani Flett, matka trojga dzieci, co roku

przygotowuje dla kuzynek w Saskatchewanie wielką paczkę gwiazdkową - jakąś nową grę, flanelowe koszule nocne, wełniane rękawiczki, wielki okrągły tort owocowy. I zawsze, przyczepiając bileciki z imionami, kręci głową i mówi:

- Ta rodzina jakoś nigdy nie może do niczego dojść.

I oto ni z tego, ni z owego zjawiała się Beverly, osoba zupełnie dorosła - mali Flettowie tego się nie spodziewali. Siedząc na brzeżku kanapy, popijała herbatę.

- Wspaniała - powiedziała do ciotki Daisy wesołym, swobodnym tonem, jak gdyby się od dawna dobrze znały i często tak razem piły herbatę.

Alice i Warren przycupnęli u jej boków. (Gdzie był tego popołudnia ojciec? Może w Toronto albo w Montrealu. Bezustannie, zdawało się, wsiadał do pociągu i przepadał na kilka dni).

Na głowie kuzynki Beverly tkwiła fantazyjnie furażerka Kobiecej Służby Pomocniczej, ale widzieli, że ma pod nią krótkie loki - albo wieczną ondulację, albo naturalnie kręcące się włosy, jak Shirley Temple. Wracala właśnie z Anglii, gdzie była „w samym centrum wydarzeń”.

- Rany - powiedziała, ciągle się śmiejąc - otworzyło nam to szeroko oczy.

Pozwoliła Alice przymierzyć furażerkę. Trzeba ją było przypinać szpilkami do włosów, ale Alice wcale się nie niecierpliwiła.

- Wyglądasz morowo - oświadczyła - prawdziwa mała kobietka.

- Uratowałaś komuś życie? - zapytał Warren.

Powiedział to najpierw szeptem i musiał powtórzyć drugi raz, głośniej. Kuzynka zbyła to śmiechem.

- Prawdę mówiąc, parę razy uratowałam raczej własną skórę.

Czy to był dowcip? Alice nie wiedziała.

Ale z twarzy kuzynki Beverly znikł nagle wyraz wesołości. Z poważną miną jęła się rozwodzić nad tym, jak to w dniu inwazji lotnicy odbywali wyprawę za wyprawą, bombardując terytorium nieprzyjaciela. Potem opowiedziała im o pewnym lotniku, zestrzelonym nad kanałem La Manche.

- Biedak - mówiła - nie mógł jakoś znaleźć sznurka od spadochronu i kiedy wyłowiono jego ciało, miał wyborowaną palcem na wylot dziurę w skórzanej kurtce. Tak szukał tego sznurka.

Człowiek wywiercający palcem dziurę w skórzanej kurtce! W ciągu tej rozpaczliwej minuty czy dwóch, kiedy spadał z nieba na ziemię! Jak coś takiego wytłumaczyć? Musiał to być cud, jak powiedziała kuzynka Beverly, chociaż bez szczęśliwego zakończenia, jak większość cudów. Innemu lotnikowi urwało obie nogi, ale ten przynajmniej żyje. Nie jak inny jej znajomy, któremu zmiażdżyło głowę na papkę...

Dzieci mogłyby słuchać opowieści kuzynki Beverly o wojnie przez cały dzień, ale mama jej przerwała:

- Powiedz, jak tam twoi rodzice. I siostry w Climax? - Po czym zapytała: - O której dokładnie odchodzi twój pociąg? Trzeba, żebyś była na stacji dobrze przed odjazdem.

Alice nie mogła później przestać myśleć o kuzynce Beverly. Wizyta dorosłej kuzynki przewijała jej się raz po raz przed oczami jak film. Jej uroda. Jej fryzura. Jej czerwone wargi. Jej beżowe pończochy i wyglansowane pantofle. Jej uniform z krótką spódniczką, szybkie parsknięcia jej śmiechu, wzruszenie jej ramion, kiedy opowiadała o lotniku spadającym z nieba i wywiercającym dziurę w skórzanej kurtce. Kuzynka Beverly jest osobą znającą straszne historie z życia, a mimo to potrafi chodzić normalnie po świecie, być

elegancka i wesoła. Zjawiała się niezapowiedziana, przymaszerowała po prostu ulicą, zadzwoniła do drzwi i oznajmiła: „Oto jestem”. I nie minęło wiele czasu, godzina czy dwie, i już jej nie było. („Do widzenia, dzieciaki. Do zobaczyska”). Jak daleko jest do Saskatchewan? Alice, leżąc wieczorem w łóżku, zdaje się słyszeć nieprzerwany szum dalekich odległości. Wyobraża sobie, że wciąga w nozdrza wibrującą falę saskatchewańskiego powietrza, jego chłodny, korzenny aromat.

- Czy kuzynka Beverly jeszcze tu przyjedzie? - pyta kiedyś matkę.

Czemuś musiało upłynąć dużo czasu, nim się zdobyła na poruszenie tego tematu.

- Nie byłabym tego taka pewna - odpowiada wolno pani Flett.

- Czy ona nie jest cudowna? - wyrzuca z siebie Alice.

- No-o - kwituje to po chwili pani Flett - na pewno nie brak jej tupetu.

Mówiąc to, pani Flett podniosła wzrok w górę, jak ktoś próbujący sobie przypomnieć zakończenie jakiejś starej historii, po czym wydała przeciągłe westchnienie.

Kiedy Alice zastanawia się nad tym westchnieniem, nad jego otoczką, rozumie, że było w nim coś karcącego, a także coś skrywanego, jakaś istotna informacja, zatajona do czasu, kiedy ona, Alice, będzie „wystarczająco duża”. Koszmary, wstyd, objawienia, osądy, gorycz niepowodzenia - wszystko to jeszcze przed nią. Strasznie jest myśleć o przyszłości. To tak, jakby się zastanawiać nad własnym oddechem - kiedy zacznie się myśleć o wdychanym i wydychanym powietrzu, dech gotów utkwic w gardle i człowiek nagle zdaje sobie sprawę, jak łatwo by było paść na ziemię i umrzeć.

List przechowywany w szufladzie toaletki pani Flett

Kochana Daisy!

Piszę, żeby Cię zawiadomić, że nasza Beverly, po długich godzinach spędzonych w wagonie kolejowym, dojechała wczoraj po południu do domu. Pociąg był pełen zdemobilizowanych żołnierzy, a przed Winnipegiem na dodatek przestało działać ogrzewanie, tak że dziewczyna przeziębila się okropnie, ma straszny katar i ból gardła. Muszę Ci donieść, że jest do żywego dotknięta sposobem, w jaki została potraktowana w Waszym domu, nie zatrzymana na kolację ani na noc, tylko wyproszona jak przybłęda, tak to przynajmniej odczuła. Może gdyby w domu był jej stryj, sprawy wyglądałyby inaczej, kto wie. Także gdyby wracała rannym pociągiem, może nie dotarłaby do domu w takim pożałowania godnym stanie. Nie rozumie tego zupełnie, uważała, że przyjmiecie z otwartymi ramionami bratanicę z Zachodu, której nie widzieliście dotąd na oczy, a która powraca z Europy, gdzie służyła swojej Ojczyźnie. Jej ojciec i ja też tego nie rozumiemy - może na Wschodzie obowiązują obyczaje inne niż tu u nas, gdzie miło witamy każdego przybysza.

Twoja bratowa

Fan Flett

Starzejący się ojciec pani Flett

Cuyler Goodwill ma siedemdziesiąt lat, ów magiczny wiek, a Maria (to jest jego druga żona) obchodziła niedawno... Właściwie nikt nie wie, które urodziny obchodziła Maria. Pan Goodwill, kamieniarz z zawodu, a później znany w stanie Indiana przemysłowiec, wycofał się już z interesów. Wraz z żoną sprzedali niedawno swój stary dom w Bloomingtonie i kupili niewielką posiadłość nad Lake Lemon, jakieś dwadzieścia pięć mil od granicy miasta. Dlaczego zamienili wygodną rezydencję na niewielki domek nad jeziorem? Dlatego że Maria chciała mieszkać na wsi, gdzie będzie mogła uprawiać przed domem jarzyny, a żadni sąsiedzi nie będą kręcili nosami i brzęczeli jej nad uchem. Cuyler Goodwill zaś chciał mieć za domem dosyć miejsca, żeby wybudować piramidę.

Planuje tę piramidę od roku, odkąd wrócili z Marią z rejsu po Nilu. Podczas pobytu w Egipcie słał niemal codziennie widokówki do swoich wnuków w Kanadzie, w Ottawie.

„Kochana Alice! (albo Warrenie, albo Joanie). Szkoda, że nie możecie zobaczyć, jakie tu mają piramidy. Największa z nich jest zbudowana z dwu milionów bloków wapienia, z których każdy waży dwie i pół tony”.

Napisał także list do swojej córki, Daisy, informując ją, że klasyczny kształt piramidy oparty jest na rozbiegającym się kącie promieni słonecznych, pod jakim padają na Ziemię.

- Bzdura - orzekł mąż Daisy - promienie słoneczne padają prosto w dół, nie pod rozbiegającym się kątem.

- Czy to ważne? - odparła z roztargnieniem Daisy. - Istotne, że ma czymś zaprzątniętą myśl.

Piramida jest pomyślana jako miniaturowa replika pierwowzoru, o wymiarach dwu metrów kwadratowych u podstawy. Cuyler wyliczył dokładnie proporcje, biorąc za wzór Wielką Piramidę. Bloki kamienne będą tak zmniejszone, że pomieści mu się ich na dłoni sześć lub siedem (są mniejsze niż koniuszek jego palca, centymetr kwadratowy każdy). Zewnętrzna warstwa będzie z czystego salemskiego wapienia, wewnątrz Cuyler ma jednak zamiar użyć piaskowca, marmuru, granitu, łupku i co mu się jeszcze nadarzy. Zaprawa? Zdecydował, że tak, ale bardzo rzadka, przypominająca bardziej ciekły klej. Starożytni Egipcjanie potrafili budować bez zaprawy, ale jego kamienie są za małe, a zatem za lekkie. Zamierza użyć kamieni z całego świata. Z Hawajów, gdzie spędzili z Marią Wielkanoc, przywiózł ławę, sprowadza próbki kamienia z Manitoby, Ontario, Tennessee, Michigan, Vermontu, Francji (Burgundii), Włoch, Finlandii i wysp brytyjskich. Usłyszał o złożach wapienia w Afryce Południowej i wraz z Marią przebywa tam obecnie na wakacjach, objeżdżając rozmaite miejsca, odwiedzając kamieniołomy i szukając nowych rodzajów kamienia. W myślach, a także we snach roją mu się ciepłe, zalane słońcem pokłady, jeszcze nie tknięte. Czeka tylko chwili, gdy na nowo odkrytych stanowiskach będzie mógł postukać młotkiem i odłupać próbkę, którą następnie owinie w watę i w gazetę, by ją zabrać do domu. (Jego ulubiona anegdota dotyczy bagażowego na dworcu, który go zapytał, czy wiezie kamienie w walizkach, że są takie ciężkie).

- Stał się maniakiem - przyznaje jego córka, Daisy, ale przyznaje to właściwie z zadowoleniem. Uważa, że starzy ludzie mają się w gruncie rzeczy lepiej, gdy są owładnięci manią, niż gdyby byli wypłukani ze wszystkich uczuć.

W jakim celu buduje tę piramidę? Wiele osób zadaje Daisy to pytanie, a ona nie wie, co odpowiadać. Czy ojciec pomyślał ją jako swój grobowiec? Nie, oboje z Marią kupili sobie już miejsca na cmentarzu w Bloomingtonie. Czy ma ona coś upamiętniać? Może, ale nikt się dotąd nie odważył postawić Cuylerowi tego pytania.

Cechuje go zadufanie człowieka, który oczekuje, że wszyscy przyklasną jego najbardziej niedorzecznym pomysłem. Nie śpieszy się zresztą - jest to wielkie przedsięwzięcie, wymagające rozmieszczenia we właściwy sposób ponad dwóch milionów maleńkich kamieni. Dokładnie w centrum, pod fundamentem, ukryta została „kapsułka czasu”. Cuyler poprosił o wkład do niej trójkę swoich wnucząt w Ottawie. Coś niewielkiego - napisał - charakterystycznego dla naszych czasów. Mała Joan, za aprobatą ojca, przysłała dwupensowy znaczek z podobizną króla. Warren przysłał zasuszony liść klonu. Alice zaś, po długim namyśle, przysłała nagłówek z miejscowej gazety:

KSIEŻNICZKA ELŻBIETA POŚLUBI W LISTOPADZIE KSIĘCIA FILIPA

Przedmioty te - znaczek, liść i nagłówek gazetowy - Cuyler umieścił w metalowej szkatułce, którą szczelnie zalakował. Maria, jego druga żona, dołożyła do tego kopertę z nasionami kopru włoskiego. A sam Goodwill, ekscentryczny stary głupiec, w ostatniej chwili dorzucił do zawartości pudełka obrączkę, która należała do jego pierwszej żony.

Obrączka z żółtego złota ma delikatnie rzeźbiony rant. Po wewnętrznej stronie wygrawerowana została data ślubu, 15 czerwca 1903, oraz inicjały pana młodego i panny młodej. Goodwill dokładnie pamięta, ile zapłacił za obrączkę - cztery dolary i dwadzieścia pięć centów. Obrączka z osiemnastokaratowego złota została zamówiona z katalogu Domu Sprzedaży Wysyłkowej Eatona. Pamięta także, że gdy jego młoda żona umarła w połogu, miotał się w niepewności, czy ją zdjąć z jej palca przed pogrzebaniem. Jaki jest zwyczaj? Co ludzie robią w takich przypadkach? Nie miał pojęcia.

Osobą, która go upewniła, że powinien zachować obrączkę jako pamiątkę, była żona doktora, pani Spears. Ona też pomogła mu ją zdjąć - wysmarowała łojem palec jego nieboszczki żony i powoli zsunęła pierścienek. Na jej twarzy, kiedy to robiła, nie malowała się najmniejsza chytryść.

- Niech pan ją zachowa - powiedziała głosem pełnym najwyższego współczucia. - Da ją pan córce, kiedy dorośnie.

I to też zamierzał zawsze zrobić, przekazać obrączkę ukochanemu dziecku, uczynić z tego uroczystość, ceremonię wtajemniczenia, którą wreszcie raz związałyby rozerwane nici swego życia i zadeklarował całą głębię swego oddania.

Ostatnio jednak stwierdza, że jego życie utraciło kierunek. Starość uczyniła go ociężałym zarówno na ciele, jak i na umyśle, tak że czuje w końcu, iż nie jest zdolny zrealizować tej sceny, ba, nawet jej sobie wyobrazić. Skąd by zaczerpnął słów dla nadania jej wagi? I jakie słowa zaofiarowałyby mu w odpowiedzi córka? Proste „dziękuję” byłoby niewystarczające. Nie wystarczyłaby też sama wdzięczność. Ani słowo, ani gest nie byłyby tym, czego mu potrzeba w rozrzedzonej atmosferze, w jakiej teraz egzystuje. Znacznie mniejszego wysiłku wymaga zagrzebanie skarbu pod brzemieniem kamieni, w tej jego piramidzie - ciężkiej, wielowarstwowej, szczelnej, pełnej tajemnic, będącej czymś w rodzaju maszyny. Jego ostatecznej wypowiedzi. Albo to, albo poddanie się ze wzruszeniem ramion.

Dawna koleżanka szkolna pani Flett

Fraidy Hoyt i Daisy Goodwill chodziły do tej samej szkoły w Indianie. Siadywały na werandzie Goodwillów w Bloomingtonie i chrupały razem frytki. Chodziły także razem do college'u i należały do tej samej żeńskiej korporacji Alfa Zeta. I od tego czasu pozostają ze sobą w kontakcie. To znaczy wymieniają trzy, cztery razy do roku listy i posyłają sobie nawzajem dowcipne prezenty na urodziny i na gwiazdkę. Natomiast nie widziały się przez wiele lat, aż wreszcie w sierpniu 1947 Fraidy wsiadła do pociągu i przyjechała do Ottawy z tygodniową wizytą.

Przebywając tam, myślała: „Kto by to przypuszczał, oto Daisy Goodwill z dystyngowanym mężem, wielkim, dobrze prowadzonym domem i trójką ślicznych dzieci. Ma wszystko, czego którakolwiek z nas mogła pragnąć. Podczas gdy ja zawiodłam na wszystkich frontach. Nie mam męża, nie mam dzieci, nie mam właściwie domu, tylko nędzne mieszkanko, nawet bez ogródka. Ach, ten ogród Daisy! Jest czymś więcej niż ogrodem. Ona może rano wstać i spędzić cały dzień na przycinaniu, pielenu, przesadzaniu, kreowaniu piękna na tym świecie. A ja siedzę w pracy. Przywiązana do biurka i zegara. Pozbawiona możliwości sprawdzenia się jako kobieta. Pozbawiona wszystkiego”.

A może Fraidy Hoyt myślała coś zupełnie innego: „Och, biedna ta Daisy! Mój Boże, roztyła się. Zrobiła się z niej matrona. Chociaż jak można być matroną, paradując w takiej koszarnej spódniczce w stylu *dirndl*. Czy powinnam jej coś powiedzieć? Dać do zrozumienia? I te jej zarośnięte skórki u paznokci. Zdaje się, że od dziesięciu lat nie przeczytała ani jednej książki. A popatrzeć na ten jej pokój gościnny, Jezu miłosierny! Wszędzie ohydne muszle. Duszę się. Jeszcze cztery dni. Szydełkowa kapa na łóżko, z której jest taka cholernie dumna. Nikt już nie trzyma szydełkowych kap, mogą się człowiekowi przyśnić w nocy. Miałabym ochotę spruć to szkaradzieństwo, z łatwością bym to zrobiła, wystarczyłoby pociągnąć jedną nitkę. I te bachory! Doprowadzają mnie do rozpacz, piszczą i kręcą się pod nogami cały dzień, a potem pod wieczór stroją jak lalki, na powrót wielkiego człowieka. Urządzają nędzne zakłamanie przedstawionko każdego bożego dnia”.

I dalej: „Co mogłabym jej powiedzieć? Co tu pozostało do powiedzenia? Widzę, że jeszcze dyszysz, Daisy. Widzę, że wciąż omiatasz nos tym samym pudrem Woodbury. Słyszę, że twój mąż wiecznie jeździ na «konferencje» do Toronto albo do Montrealu, i zastanawiam się, czy masz pojęcie, co się na tych «konferencjach» wyprawia. Stwierdzam, że nadal wstajesz rano, a wieczorem idziesz do łóżka. Czy to nie zastanawiające? Znaczą, że twoje życie ciągle trwa, ciągle się toczy, czyż nie? No, no!”

Intymne stosunki pani Flett z mężem

Szczerze, gorąco, rozpaczliwie pragnąc być dobrą żoną i matką, pani Flett studiuje każdy numer „Dobrze Prowadzonego Domu”.

Czyta także „McCall's” i „Kanadyjskiego Towarzysza Domowego”. Od czasu do czasu, między reklamami kosmetyków i przepisami kulinarnymi, natrafia w tych pismach na artykuły o tym, jak kobieta może zadowolić męża w łóżku. Często pojawiają się w nich również listy od kobiet szukających porady w określonych problemach seksualnych. Jedna z nich niedawno pisała: „Mój mąż zawsze pragnie pieszczot w

poniedziałek wieczorem, kiedy wraca z klubu kręglarskiego. Niestety ja w poniedziałki robię pranie i jestem wieczorem zbyt zmęczona, żeby mu być chętną partnerką". Udzielona porada była lapidarna i trafiała w sedno: „Niech pani robi pranie we wtorki". Sprowadziło to uśmiech na usta pani Flett. Ścisłe mówiąc, roześmiała się w głos i zrobiło jej się żal, że nie może tego jej śmiechu słyszeć dawna przyjaciółka Fraidy. Inna kobieta pisała: „Mój mąż ma bardzo silny popęd fizyczny i domaga się intymnych zbliżeń każdego wieczoru. Czy to normalne?" Odpowiedź: „Nie ma takiej rzeczy jak normalne czy nienormalne potrzeby seksualne. Wszystko, co się dzieje w sypialni małżeńskiej, jest święte". Ta odpowiedź uderzyła panią Flett jako pozostawiająca wiele do życzenia. Prawdę mówiąc, nie jest wcale pewna, co by miała znaczyć.

Uważa jednak, że „każdego wieczoru" to zbyt wielkie wymagania.

Mimo to co dzień jest przygotowana, na wszelki wypadek. Wsuwa krążek, chociaż odstręcza ją jego poślizgi, wytarty wygląd i zimna, nieprzyjemnie pachnąca galaretka, którą smaruje jego brzegi. Jest to w dziewięciu przypadkach na dziesięć zbyt dobra fatyga, ale uważa, że trzeba się z tym pogodzić. „Staraj się trzymać męża w przekonaniu, że jesteś zawsze gotowa zaspokoić jego życzenia, chociażby faktyczne stosunki były sporadyczne i nieregularne".

Nieregularne, tak, chociaż są dwie okazje, kiedy pani Flett może być całkowicie pewna przyływu namiętności męża - przed jego wyjazdem w podróż (jako swego rodzaju szczepienie ochronne, myśli czasami) i po jego powrocie. A dzisiaj, w tę środę w połowie września, Barker Flett wraca wieczornym pociągami po paru dniach spędzonych w Winnipegu. Dom jest wysprzątny, dzieci śpią, a ona go oczekuje, wykapana, wypudrowana, z krążkiem, w cienkiej koszuli nocnej. „Spanie w piżamach pchnęło niejednego mężczyznę do szukania pociechy gdzie indziej".

Pani Flett zastanawia się, w jakim nastroju powróci jej mąż.

Ostatnio jest przygnębiony. Nie żeby się skarżył, ale ona to czuje. Zbliżają się jego sześćdziesiąte piąte urodziny i pani Flett wie, że Barker się boi przejścia na emeryturę - długich pustych dni, z którymi nie będzie wiedział, co robić. A jeszcze bardziej niż bezczynności boi się poczucia, że będzie odcięty od świata. Ostatnimi czasy coraz częściej napomyka o swoich dwóch braciach w zachodniej Kanadzie, zawsze wypowiadając ich imiona z nutką żalu. Z Simonem, pijakiem mieszkającym w Edmontonie, kontakt urwał się dawno, ale jakiś czas temu wkradł się także chłód między Barkera a jego brata Andrew z Saskatchewanu. Dawniej Andrew pisywał często, wprawdzie zazwyczaj, żeby prosić o datki, ale ostatnie dwa lata przynoszą od niego tylko z rzadka spieszne notki albo życzenia świąteczne.

Pani Flett wie też, że jej mąż myśli często o swoim ojcu na Orkadach. Barker zastanawia się, czyby nie napisać i nie poprosić o niego, ale mijają miesiące, a on odkłada to pisanie, tak jakby bał się dowiedzieć, co się stało z ojcem. Ona także myśli często o swoim teściu, Magnusie Fletcie, którego nigdy nie widziała na oczy, ale który jawi się w jej wyobraźni jako postać tragiczna, porzucona przez żonę, odepchnięta przez trzech synów, wzgardzona, z niczym nie związana. W jakimś sensie kocha go bardziej niż swego męża, Barkera. Właściwie co takiego Magnus uczynił, żeby sobie zasłużyć na podobną karę? Pytanie to doskwiera jej poczuciu miłosierdzia, nigdy nie znikając całkowicie z pola widzenia.

A teraz - za późno - pragnie pojednania syna Magnusa, Barkera.

Niedawno odświeżona została inna więź rodzinna Barkera Fletta, najistotniejsza więź życia - więź syna z matką. Ostatnie parę dni Barker spędził w Winnipegu nie na zwykłej turze swoich konferencji rolnych, lecz na uroczystości odsłonięcia oranżerii imienia Clarentine Flett, wielkiej budowli o szklanej kopule w parku Assiniboine. Fundatorem jest niejaki Valdi Goodmansen, znany producent konserw mięsnych, milioner i finansista. (Clarentine Flett, która była matką Barkera Fletta, została w 1916 roku przewrócona i zabita przez pędzący rower, na którym jechał ów Valdi Goodmansen, w owym czasie siedemnastoletni chłopak).

- Straszliwe poczucie winy nigdy mnie nie opuściło - wyznał panu Flettowi pan Goodmansen przy obiedzie w klubie Manitoba. - Chwilka nieuwagi i wymazane zostało na zawsze życie ludzkie. Gdybym był zsiadł z roweru przed zakrętem. Albo gdybym jechał z bardziej umiarkowaną szybkością. Ten obraz pozostanie mi na zawsze przed oczami, będzie mnie prześladował do końca życia we śnie i na jawie. Bezwładne ciało pańskiej biednej matki rzucone o podmurówkę budynku Royal Banku, jej głowa uderzająca o kant narożnika. Gdyby ten narożnik był choćby zaokrąglony, ale nie, był niestety ostry jak nóż. Zmieniło to cały bieg mojego życia. Modliłem się do Boga, starałem się na miarę swoich możliwości służyć innym i długo, usilnie rozmyślałem, jak najlepiej uczcić pańską matkę.

Tu pan Goodmansen wyciągnął chustkę do nosa, która była autentycznie śnieżnobiała, i skierował w jej wykrochmalone fałdy głośne, dumne dmuchnięcie.

- Ciągle, ciągle powracałem myślą do faktu, że pańska matka tak kochała kwiaty. Można powiedzieć, że jej zasługą jest ukwiecenie naszego świetnego miasta, uświadomienie nam dobrodziejstw naturalnego piękna w nie sprzyjającym klimacie. Oczywiście nigdy nie będę mógł dokonać pełnego zadośćuczynienia, ale mam nadzieję, że ta skromna uroczystość posłuży jako dowód moich nieustających, straszliwych wyrzutów sumienia za przedwczesny zgon pańskiej matki. Żałuję tylko, że nie ma z panem w tym dniu pana żony, zdaje się Daisy jej na imię, ale w pełni rozumiem, jak trudno by jej było zostawić trójkę małych dzieci i jechać tu przez połowę kontynentu. Rozumiem także, tak, doskonale rozumiem, jakie by to było dla niej emocjonalnie trudne przeżycie. Pozostajemy na zawsze związani z tymi, którzy się nami opiekują w naszych wczesnych latach. Nic nie zastąpi ich utraty. Wiąż z nimi jest nierozzerwalna.

Jednakże pani Flett, oczekując w swoim łóżku w Ottawie powrotu męża, myśli nie tyle o Clarentine Flett, swojej ukochanej przybranej ciotce Clarentine, co o własnej matce, która umarła w parę minut po jej urodzeniu. Jakżeż nikła i pozbawiona treści zdaje się teraz więź z nią, niemal nie istniejąca, bo cóż po niej pozostało pani Flett oprócz wyblakłej fotografii ślubnej i małej obcej monety, zbyt wytartej, by można ją odcyfrować, którą według relacji ojca znaleziono na jej czole tuż po urodzeniu - kto ją tam położył i dlaczego, pani Flett nie ma pojęcia. Nigdy nie doświadczyła powszedniej, niedocenianej przyjemności dotykania czegoś, czego niegdyś dotykała jej matka. Nie pozostał po niej żaden dzienniczek, welon ślubny, piękna ręcznie haftowana sukieneczka do chrztu, żadna najmniejsza pamiątka. Kiedyś, przed laty, ojciec wspomniał o obrączce matki, która będzie kiedyś jej własnością, ale nigdy więcej do tej sprawy nie wrócił. Może dał ją swojej drugiej żonie, Marii. A może uleciało mu to jakoś z pamięci. Dzisiaj, leżąc pod cienkim kocem i czekając na powrót męża, człowieka nazwiskiem Barker Flett, pani Flett odczuwa dotkliwie utratę tej obrączki, utratę, prawdę mówiąc, jakiegokolwiek umiejscowienia w świecie. Na chwilę w zapomnienie idą jej własne dzieci, w

zapomnienie idzie stary ojciec, nawet jego nazwisko rozlewa się w ciąg zamazanych liter. Panią Flett wstrząsa dreszcz, jakby ją dotknęła nagła infekcja.

Przechodziła już takie napady rozpacz. Jej choroba nazywa się sieroctwo. Poznaje ją tak samo, jak poznaje zbliżanie się migreny - nadchodzi, znowu, znowu nadchodzi. Pani Flett leży opuszczona, pozbawiona płci, pozbawiona wieku, samotna.

W oczach wzbierają jej łzy, ociera je ręką po szyi na koc. Przytłacza ją ciemność sypialni.

Chwile, kiedy czuje się tak namaszczona samotnością, czuje jej przytłaczające brzemie, są dla pani Flett przerażające. Z niedowierzaniem przypomina sobie moment, gdy jako młoda kobieta patrzyła na wodospad Niagara. Jej rękaw ocierał się o rękaw mężczyzny, stojącego obok niej nieznanego, który powiedział coś, co ją rozśmieszyło, ale co? Co?

Nieemożność przypomnienia sobie ściąga nową falę paniki.

Mimo to, przy swoim niepokojem, nosi zaklętą jak klejnot cudowną, chłodną moc widzenia niekiedy świata z całą żywością. Jasność spada na nią jak deszcz drobnych gwiazd. Rozumie to, myśli o tym jako o jednej ze sztuczek świadomości - jest w tym coś niemal rozkosznego. Otwiera się przed nią labirynt zaszłości, przepuszcza ją. Może i została wyzuta ze swego życia - wie, że tak jest, zawsze to wiedziała - ale ma w odwodzie rekompensatę: zadziwiający dar przywoływania wersji zamiennych. Czuje na przykład siłę niesfornej tajemniczości dzieci, nieporadne targi ojca z otaczającym go światem, mieszkankę pogardy i zazdrości Fraidy Hoyt (która dotąd nie napisała po swojej letniej wizycie choćby krótkiego listu z podziękowaniem). Tego wieczoru pani Flett nawiedzona jest nawet iskierką uczucia, która łączy ją ze zmarłą matką, Mercy Stone Goodwill. Jest to oczywiście ulotny, ledwo uchwytny moment, nie więcej niż impresja tchnienia, gestu czy odcienia światła, nie mająca stałego miejsca w pamięci, która jednak, nagle, zadziwiająco, ulega odwróceniu, jawi się w zniekształcającym błysku - przeświadczeniu, że to pani Flett urodziła matkę, a nie odwrotnie.

A jeśli chodzi o męża pani Flett - właśnie, co jeśli chodzi o męża pani Flett? Mąż będzie w domu za godzinę czy coś koło tego, weźmie jak zwykle taksówkę z dworca. W ciemnej sypialni ściągnie spodnie, powiesi je starannie na poręczy krzesła. Spodnie te charakteryzuje aura świętości, a także symetryczne, ostre jak brzytwa kanty z przodu. Następnie rozwiąże krawat, zdejmie koszulę i resztę bielizny. Potem, nieświadom leż pani Flett, które zwilżają poszwę koca, i całej głębi jej samotności tego wrześniego wieczoru, legnie na niej, bacząc, by zbyt nie uciskać jej ciała. (Dzientelmen zawsze opiera się na łokciach). Oczywiście miał zamknięte, ujmie swój ciepły członek i wprowadzi w nią, po czym nastąpi kilka minut rytmicznego kołysania.

Podczas gdy to będzie trwało i trwało, pani Flett, w chmurze rozmazującego się dźwięku i roztargnienia, będzie sobie usiłowała przypomnieć, co na tę okoliczność doradzano w ostatnim numerze „McCall's” - coś o konieczności manifestowania przez żonę coraz większego podniecenia. Tak, właśnie to, podniecenie i uległość wyrażane jednocześnie przez równe, ostrożne ruchy ciała. Tylko jak to jest możliwe?

Umysł, serce i miednica pani Flett usiłują sprostać tej sprzeczności.

Dokoła niej wirują okruchy jej życia małżeńskiego - rocznice, ciąży, wakacje, posiłki, choroby i rekonwalescencje - wypierając dramatyczne - niektórzy powiedzieliby nawet: kazirodcze - początki jej relacji z partnerem w tym związku, męskim bogiem jej dzieciństwa. Zdaje jej się, iż te lata scementowały się w jedno niezłomne postanowienie - że nic więcej jej nie zaskoczy. Stało się to niemal jej życiową dewizą. Czy nie to

właśnie obiecywała jej wyretuszowana recepta na miłość? Czy nie to zrodziło i utrzymuje jej uczucie do Barkera, stanowi ochronę przed brutalnym rozczarowaniem? Czy nasada długich ud jej męża, jej własne pośladki - jak miękkie owoce rozpościerające się pod nią na twardym materacu - czy nie przydają one temu niejakiej wiarygodności? Rośliny domowe kwitną w końcu w geograficznej i klimatycznej próżni - więc czemuż nie miałyby kwitnąć i ona?

Całkiem prawdopodobne, że gdy Barker Flett jeszcze się nad nią kołysze, jej myśli ulecą ku filmowi, na który się wybrała z Fraidy Hoyt podczas jej letniej wizyty, *Najlepsze lata naszego życia*, dramat powojenny, w którym żołnierz powraca z pól bitewnych z prymitywnymi hakami w miejscach, gdzie kiedyś miał dłonie.

Jak by to było czuć - na ciele dotknięcia zimnego zakrzywionego metalu zamiast ludzkich palców? Jak by to było - dźwigać na sobie pełny ciężar męskiego ciała, które przyszpila ją do świata? Zastanawia się nad tym, rozsypując cienką nić możliwości, gdy tok jej myśli przerwie eksplozja miłosnych soków, a po niej druga, wtórna eksplozja - wdzięczności tym razem. Pomieszany z wdzięcznością będzie dreszcz zakłopotania jej męża własnym postarzałym, pożółkłym ciałem i skąpymi bełkotliwymi słowami czułości, jedynymi, jakie potrafi wykrztusić. Że też mężczyźni i kobiety muszą być związani ze sobą w taki sposób! Jak źle urządzony jest ten świat!

- Śpij słodko, kochana - powie Barker.

Znaczy to tyle co: „Wybacz mi, wybacz nam obojgu”.

Dom i ogród pani Flett

Wielki kwadratowy dom pod numerem 583 przy The Driveway nosi cechy pewnego zapuszczenia. Przez lata wojny podniszczyły się meble, firanki, dywany, podłoga w kuchni. A teraz, w powojennym bałaganie, daje się we znaki brak linoleum na rynku, chociaż sytuacja ma być podobno niedługo zażegnana. (Pani Flett marzy o określonym wzorze z katalogu Armstronga: zachodzących na siebie czerwonych, czarnych i białych prostokątach). Firanki w jadalni noszą wyraźne ślady wielokrotnego prania, ale ona (pani Flett) myśli już nie o nowych firankach, tylko o ściąganych zasłonach (draperiach, jak zaczęła je nazywać) w kwieciste wzory, o czymś, co by „podniosło” pokój, ożywiło go trochę. Jeszcze bardziej drażnią ją tapety w salonie, całe w natrętne niebieskie, żółte i różowe pędy powoju; planuje zastąpić je przy najbliższej okazji jednym zdecydowanym kolorem, może nasyconą zielenią, a dla kontrastu polakierować na białą framugi. A już zupełnie przygnębia ją obskurny stary dywan, tak wydeptany, że w niektórych miejscach przebija osnowa; wygląda to paskudnie, jak prześwitująca spod włosów ludzka łysina. Prawdę mówiąc, cały salon robi wrażenie nie doinwestowanego i nie dopieczzonego, chociaż pani Flett nie może się oprzeć niejakiemu uczuciu dumy ze stolika do kawy, który ostatnio upiękaczyła, pokrywając orzechowy fornir szklaną taflą - umieściła pod nią fotografie swoich trojga dzieci oraz lekko pożółkłe zawiadomienie ślubne:

Państwo Barkerostwo Flettowie Mają Zaszczyt Zawiadomić o Swoim Ślubie, Który Wzięli 17 Sierpnia 1936 w Ottawie.

Pomysł szklanej tafli na stolik pani Flett zaczerpnęła z artykułu pod tytułem „Jak nadać wnętrzu osobisty charakter” w „Kanadyjskim Domu i Ogrodzie”.

We wszystkich oknach domu, nawet w łazience na górze, stoją różne gatunki paproci - zaniklice, paprotniki, orliczki, dawalie. (W 1947 roku paprocie w domu pachną trochę parafiańszczyzną, dopiero w połowie lat sześćdziesiątych zostaną wyniesione na wyżyny szyku i pojawią się na wielu honorowych miejscach). Faktem jest, że pani Flett, jeśli pominąć rośliny pokojowe i stół do kawy, nie interesuje się zbytnio swoim domem. Jego architektoniczna surowość, czuje, odbija jakiś brak w niej samej. Ze swymi ośmioma wysokimi pokojami, czterema na dole, czterema na górze, cechuje go wiejska pospolitość. Pokoje mają ascetyczny kwadratowy kształt i zbyt wielkie, gołe okna. Wpadające przez nie światło jest zaskakująco ostre, ściany są w zimie lodowate, na dole snują się przeciągi.

Pani Flett odżywa latem, w ciepłe słońca - żyje dla swego ogrodu, mówiąc wprost. Ale jakiego ogrodu!

Wielki, dość niewydarzony ceglany dom państwa Flettów leży w niecce zieleni, jest z przodu, z tyłu, po bokach potrójnej parceli - rzadkość w tej części miasta - niemal zatopiony w zieleni, z której na wiosnę wszędzie wynurzają się okrągłe pyszczki krokusów. Bujny winobluszcz japoński, *Parthenocissus tricuspidata*, obrasta trzy z czterech ceglanych ścian (nie krzewi się po północnej stronie, ale któż by się tym przejmował?), a w oknach mienia się barwami skrzynki najrozmaitszych kwiatów. Co więcej, pani Flett zręcznie ukryła brzydka wapniową podmurówkę, sadząc dookoła japońskie cisy, jałowiec, kosodrzewinę, karłowate świerczki i świeżo sprowadzony koreański bukszpan. A te jej bzy! Niektórzy ludzie, wiadomo, kupią pierwszy lepszy bez, wetkną go w ziemię i już! Ale nie pani Flett. Ona z rozwagą wybrała rozmiary krzewów i barwę kwiecica, przeplatając białą odmianę madame Lemoine z różowawym bzem perskim i łupkowo niebieskawym prezydenta Lincolna. Odmiany te są starannie grupowane, nie puszczane na żywioł. Z boku domu biegnie rabatka niebieskich goździków brodatych, przesiana jasnożółtym nachyłkiem, w czym - bez przesady - widać rękę artystki. Kępki łądniczki zostały rozmieszczone - rozmieszczone, to nie przypadek - obok bladoniebieskich dzwoneczków; perfekcja! Jabłonie za domem są co sezon spryskiwane przeciwko szkodnikom, tak że ich liście rzucają przez całe lato kalejdoskopowe wzory na piękną jasną murawę. Słońce drga tu pośród maków. A dalie! Mąż pani Flett żartuje na temat ich wielkości, twierdząc, że trzeba je wnosić obrócone bokiem, tylnym wejściem, żeby się zmieściły w drzwiach. Ścieżka z kamyków, obwiedziona żeniszkiem, prowadzi do altany obrośniętej pnącym winem, a stamtąd biegnie kręto do ogródka skalnego, obsadzonego karłowatymi bylinami i alpejskimi roślinami, sprowadzonymi specjalnie z Europy. Ten ogródek pani Flett jest bujny, wspaniały i bardzo osobisty - angielski urok, francuski ład i japońska ekonomia - ale wijąca się przez niego ścieżka, zakrzywione grządki, uśmiechnięty ogrodowy krasnal z salemskiego wapienia i nieoczekiwana rzeźbiona ściana *Syringa vulgaris* świadczą także o wyższej inteligencji ogrodniczki i, tak, o swego rodzaju dowcipie. No, a maliny pani Flett! Trudno nie wspomnieć o malinach.

Czy pani Flett pojmuje cud, jakiego dokonała w mieście Ottawie na kontynencie Ameryki Północnej, w tym trudnym północnym mieście, w podłych, zatrutych, niepomyślnych latach połowy naszego wieku? Tak, raz wreszcie w pełni pojmuje.

Jakiż to cud! - mówią jej liczni przyjaciele. Ale prawda, nie padła dotąd żadna wzmianka o licznych przyjaciółach pani Flett, tak jakby była ona zbyt mdła i nijaka, by zasługiwać na przyjaźń. (Biografie, nawet autobiografie, są pełne systemowych błędów, luk, które się splatają jak podziemne potoki). Faktem jest, że wielu ludzi w tym mieście darzy panią Flett niekłamaną sympatią, ceni jej skromność, podziwia jej umie-

jętności, szczególnie jej talent ogrodniczy. Jej ogród, twierdzą owi przyjaciele, jest tak wonny, tak zielony, tak kojący, tak czarujący w swojej aurze zasiedziałości, w swojej pieszczotliwej grze światła i cieni, że wchodząc do niego, pozostawia się jakby za sobą wszystkie troski tego świata. Stojąc w nim, goście czują niekiedy, jak na moment serce wraca im na właściwe miejsce, doświadczają niejasnej przedwiekowej wizji stworzenia - prawdziwy eden, istny raj.

Jest to, można by prawie powiedzieć, jej dziecko, jej najukochańsze dziecko, najpiękniejsze spośród jej potomstwa, posłuszne, choć świadome pełni swej ekspansji, swej upartej roślinnej woli. Pragnie ona z pewnością poznać duszę swego ogrodu, lecz jeszcze bardziej łaknie być powierniczką jego tajemnic. Pojmuje może ćwierć jego zielonych sekretów, nie więcej. Ogród ze swojej strony nie postrzega nic z niej, z jej historii, jej imienia, jej tęsknot, nic - i dlatego pani Flett jest zdolna kochać go miłością tak czystą, otworzyć przed nim tak szeroko ramiona, przyjmować go takim, jaki jest, każdy jego listek, każdą łodyżkę, każdy korzonek, każdą jego manifestację.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Praca
1955-1964

W. W. KLEINHARDT ADWOKAT

Ottawa, 10 maja 1955

Szanowna Pani Flett!

Z przyjemnością donoszę Pani, że testament Pani świętej pamięci męża został zatwierdzony i wszystkie należności pokryte. Sprawę udało się sfinalizować względnie szybko, gdyż dokument, jak Pani już wyjaśniłem w rozmowie telefonicznej, był wzorowo jasny w swoich intencjach i nie zawierał żadnych kłopotliwych klauzul. Mam nadzieję, iż uzna Pani, że wszystko jest w całkowitym porządku.

Proszę śmiało kontaktować się ze mną, gdyby Pani miała jakiegokolwiek pytania. W załączeniu, oprócz naszego końcowego rozliczenia, przesyłam zapieczętowaną kopertę, którą Pani zmarły mąż pisemnie polecił mi Pani przekazać.

Z poważaniem,

Wally (Kleinhardt) Ottawa, 6 kwietnia 1955

Kochana!

Czasu pozostało mi niewiele. Doktor Shortcliffe uważa, że to sprawa dni, czyż nie tak? Oczywiście nie mówi mi tego, ale usłyszałem, co mówił wczoraj wieczorem do Ciebie półgłosem na korytarzu, krótko po przewiezieniu mnie do szpitala. Słuch pozostał mi zaskakująco ostry.

Umysł, choć nie tak jasny, mam spokojny, jeśli chodzi o zabezpieczenie finansowe Ciebie i dzieci. Dom jest oczywiście splacony - a sądzę, że nie zechcesz się rozstawać ze znajomym otoczeniem, szczególnie z ogrodem - są również wystarczające fundusze na edukację dzieci.

Będziesz jednak chciała mieć pieniądze na podróże - dlaczego my nigdy nie pomyśleliśmy o podróżowaniu we dwoje? - jak również na drobne luksusy, przyszło mi więc do głowy, że może wystawisz na sprzedaż moją kolekcję sabotków. Jestem pewien, że powinna ona przynieść pokaźną sumę. Proponuję, żebyś się skontaktowała w tej sprawie z profesorem Leonardem Lemayem z Uniwersytetu Bostońskiego, którego adres znajdziesz w moim kieszonkowym notesie. Już widzę, jak się krzywisz na tę sugestię, gdyż Cypripedium nie jest rodzajem, w którym gustujesz, szczególnie jego gatunki regirme i acaule. Przypominasz sobie, jak się posprzecaliśmy - nasza jedyna sprzeczka, jeśli mnie pamięć nie myli - z powodu niechęci, jaką wyraziłaś wobec budowy sabotka, jego długiej, przygnębiającej (jak twierdziłaś) łodygi i workowatej warzki, którą uważałaś za groteskową. Ja Ci tłumaczyłem, zupełnie niepotrzebnie, funkcjonalną przemyślność warzki, do której owad może łatwo wejść, ale wydostać się z niej tylko z trudem. Tak się przez długie lata toczyły te nasze dyskusje, mój belferski głos wybijał natrętnie sprawy, które powinny pozostać lekkie i zabawne. Wzdycham w duchu, przelewając te refleksje na papier, pełen ubolewania nad niepotrzebnymi słowami, które między nami padały. Pomyśleć tylko, co moglibyśmy sobie powiedzieć, gdybyśmy byli bardziej otwarci. Czy nie miałaś czasem poczucie, moja ukochana, jak marginalne są te nasze dysputy, i nie żałowałaś tego, co one zastępowały?

Na wspomnienie naszych „sobotkowych” dyskusji zastanawiam się, czy przypadkiem nie traktowałaś w podobny sposób naszego małżeństwa - jako pułapki, z której nie ma łatwej ucieczki. Prawie nigdy nie wymienialiśmy między sobą słowa miłość. Zastanawiałem się czasami, czy tym, co sprawia, że wydawałoby się to śmieszne, jest różnica wieku między nami, czy też wypowiedzenie go uniemożliwiała niejaka sztywność i nieśmiałość naszych natur. Żałuję tego. Chciałbym wierzyć, że nasze dzieci będą się tym słowem posługiwały szczerze, a co więcej, będą otwarte na jego siły. (Martwi mnie jednak trochę Alice, żywiołowość jej uczuć).

Czy pamiętasz ów październikowy dzień zeszłego roku, gdy po raz pierwszy złapał mnie ten straszliwy ból głowy? Zostałem Cię w kuchni, byłaś w jednym z tych okropnych, nowomodnych fartuchów plastikowych. Wzięłaś mnie od razu w ramiona i zaczęłaś mi masować skronie. Kochałem Cię nieprzypadkowo w tym momencie. Chrzęst twojego fartucha o moje ciało zakrawał na operowy akompaniament do porywów, które nawet wówczas odczuwałem. Było to, jakby jakiś głos szeptał do nas, żebyśmy się pośpieszyli, przestali trwonić czas. Miałem ochotę puścić się z Tobą w płąs, wytoczyć w tańcu do ogrodu, na ulicę, za linię horyzontu. Och, Kochana, myślałem, że zostanie nam dane więcej czasu.

Twój kochający

Barker

Ottawa, 20 maja 1955

Szanowna Pani!

Proszę przyjąć wyrazy mojego szczerego współczucia w związku z Pani niedawną bolesną stratą. W ciągu ostatnich kilku lat miałem zaszczyt poznać bliżej Pani świętej pamięci Małżonka i bardzo szybko

nauczyłem się cenić wysoko jego wkład do naszego pisma. Może Pani być pewna, że czytelnicy jego cotygodniowego felietonu w „Recorderze” - a jest ich legion - będą niepokieszeni z powodu utraty swojego „Ogrodnika”. Jego spokojny ton, autorytatywny, a nigdy nie protekcyjny, przydawał rzadkiej naukowości naszym łamom.

W uznaniu zasług Pani małżonka zespół „Recordera” przygotował dwa specjalnie opracowane komplety jego artykułów, jeden do złożenia w Archiwum Narodowym - oczywiście za Pani zgodą - drugi do wręczenia Pani i Pani rodzinie podczas nieformalnej uroczystości ku pamięci Pani Męża, którą zamierzamy urządzić w naszej redakcji na Metcalfe Street. Prosimy o wiadomość, czy odpowiadałaby Pani godzina 16:30 w dniu

1 czerwca.

Łącząc się z Panią w żalobie,

Jay W. Dudley redaktor naczelny

PS. Zgon Pana Fletta daje się szczególnie dotkliwie odczuć o tej porze roku, kiedy miasto tonie w tulipanach. Jego artykuły o dorocznym Świącie Tulipanów należały do najbardziej poetyckich.

Climax, Saskatchewan, 24 maja 1955

Kochana Ciociu!

Bardzo nas poruszył list Cioci z wiadomością o śmierci Stryjka Barkera. Mamusia, Tatus i dziewczęta przesyłają serdeczne wyrazy współczucia i proszą, żeby Ciocię zapewnić, iż będą pamiętać o Nim i o całej Waszej rodzinie w swoich modlitwach. Ale jak zauważa Mamusia, ta śmierć nie powinna być Cioci zbyt zaskoczyć, bo przecież Stryjek był o tyle lat starszy. Myślę ostatnio często o tym, że nie będzie Cioci teraz łatwo z trójką dorastających dzieci na głowie i tym wielkim domem, prawdziwą rezydencją, jeśli dobrze pamiętam, chociaż byłam tam przecież tylko ten jeden raz. Prawdę mówiąc, kiedy teraz patrzę wstecz, wydaje mi się to jak sen. Tak że jeśli w najbliższej przyszłości potrzebowałaby Ciocia w domu pomocy, to proszę mi napisać. Noszę się z planem przeprowadzki na Wschód, odkąd rozstałam się ostatecznie z mężem. Głównym powodem był alkohol. Ale także notoryczne lenistwo. Osoba tak pełna wigoru jak ja zaczyna chodzić po ścianach, gdy patrzy, jak druga osoba tylko się wyleguje, nic nie robiąc. Gotowa bym była pracować za pokój, życie i czterdzieści dolarów miesięcznie. A jestem bardzo gospodarna, mogę to o sobie śmiało powiedzieć, i przepadam za pieczeniem ciast, placków, bułeczek, co tylko można sobie wymarzyć. Piore, prasuję i tak dalej. Umieję także pisać na maszynie, jak Ciocia widzi, trzydzieści pięć słów na minutę. Nauczyłam się za pośrednictwem kursu korespondencyjnego, inaczej doszłoby może do sześćdziesięciu. Z serdecznościami od bratanicy

Beverly

PS. Mamusia nie wie, że piszę w tej sprawie, więc gdyby Ciocia odpisywała, to proszę na skrytkę pocztową 422, żeby list nie trafił na adres domowy.

Bloomington, Indiana, 29 maja 1955

Najdroższa Daisy!

Cholernie chciałabym umieć przelać atramentem na papier odrobinę radości. Wiem, jak parszywie musisz się czuć w te wiosenne dni. Co ja piszę - oczywiście, że nie wiem, skąd bym miała wiedzieć? Mogę sobie

jednak wyobrazić, jakie to rozpaczliwe znaleźć się samej po tak długim czasie, jaki przeżyliście wspólnie z Barkerem. Ile to było? Według moich obliczeń dwadzieścia lat. Chryste, jak ten czas leci, czas wierutny zbój. A tu Alice ma iść na jesieni do college'u. I to wszystko tak niedługo po śmierci Twojego ojca.

Tak czy inaczej, nie mam zamiaru wypisywać, że „ będę się za Ciebie modliła” ani że „czas to uzdrawiający balsam”, ani żadnych takich błyskotliwych myśli - usłyszysz ich dosyć od poczciwej Biny, która z każdym dniem robi się coraz pobożniejsza i coraz bardziej nafaszerowana banałami. Kiedy umarła moja Mama, tak mnie szprycowała perfumowanymi frazesami, że na miesiąc nieżył zatkał mi zatoki. Ten liścik ma na celu przypomnieć Ci, odwieczna przyjaciółko, że czeka Cię jeszcze wiele lat życia. Ja osobiście stwierdzam, że pięćdziesiątka na karku nie jest wcale taka straszna, jak to się przedstawia w głupawych dowcipach. Stara buźka może i zwiotczała trochę, pod oczami zrobiły się kurze łapki, ale „wszystko, co się liczy”, funkcjonuje nadal, a skończyły się raz na zawsze cholerne „cioty”. Więc nie oblekaj się we wdowie szatki i nie usychaj jeszcze, moja panienko. Co byś powiedziała, gdybyśmy sobie w zimie zafundowały wspólny tydzień w Chicago? Mogłybyśmy się zatrzymać w Palmer House, objadać jak świnię, obskoczyć parę przedstawień.

Mnie by bardzo odpowiadał styczeń - galeria zamyka się na ostatni tydzień miesiąca i „zachęcają” nas, żebyśmy się wyniosły. Jezuniu, pamiętasz, jakeśmy się bawiły w Nowym Jorku trzy lata temu - czy też to było cztery? Ten kelner kawalarz ze swoim skaczącym homarem! Ciekawam, czy opowiedziałaś to wszystko Barkerowi, tak numer po numerze? Tak czy nie? Zresztą możesz nie odpowiadać, sama wiem.

Więc zróbmy najazd na Chicago, wprowadźmy trochę życia w to nasze nudne bytowanie, co? Na pewno znajdziesz kogoś, kto by miał przez parę dni oko na Warrena i Joanie. Pomyśl o tym.

Kochająca

Fraidy

Ottawa, 29 maja 1955

Szanowna Pani!

Cieszymy się niezmiernie, że będzie Pani mogła wziąć udział w naszej skromnej uroczystości ku czci Pani męża. Pragnę dodać, że byłoby nam ogromnie miło, gdyby obecne były również Pani dzieci.

Dziękuję Pani bardzo za gotowość opisanie dla nas Święta Tulipanów. Będziemy zaszczyceni, otrzymując Pani tekst - pięćset słów byłoby idealne. Żałuję, że nie przyszło mi samemu do głowy Pani tego zaproponować, tym bardziej że jak wieść niesie, jest Pani również wytrawną ogrodniczką.

Z najlepszymi życzeniami,

Jay W. Dudley redaktor naczelny

Bloomington, Indiana, 1 czerwca 1955

Kochana Przyjaciółko!

Nasze serca ściskają się w tych dniach na myśl o Tobie. Spadło na Twoje barki brzemię ponad siły - niedawna śmierć Twego ojca, a teraz utrata ukochanego towarzysza życia. Jestem pewna, że w smutnych dniach, które Cię czekają, będzie Ci dodawało sił wspomnienie wielu szczęśliwych chwil przeżytych razem, jak również obecność Twoich najbliższych i modlitwy licznych przyjaciół. Czas leczy, powinnaś o tym zawsze

pamiętać, jakkolwiek oczywiście nigdy nie zapominamy całkowicie tych, którzy odegrali taką wielką rolę w naszym życiu.

Dick łączy wyrazy współczucia. (Po długich naciskach zgodził się na przeniesienie do centrali w Cleveland i teraz czekają nas przykrości wystawienia na sprzedaż domu - niestety koniunktura jest nie najpomyślniejsza. Wygląda na to, że wapień się nam skwasił).

Z ucałowaniem,

Bina

Ottawa, 5 czerwca 1955

Droga Pani Flett!

Krótki liścik, żeby wyrazić Pani wdzięczność za łaskawe słowa, wypowiedziane na naszej małej uroczystości. Myślę, że wolno mi podkreślić, jak mile nas ujęły Pani uwagi, szczególnie te dotyczące szacunku, jakim Pani zmarły mąż darzył „Recordera” i rolę, jaką on odgrywa w naszej społeczności.

Mówiąc od siebie, chciałbym zaznaczyć, jak wielką przyjemność sprawiło mi poznanie Pani i trójki Pani uroczych dzieci. I proszę ani przez chwilę nie myśleć, że poczułem się dotknięty tym, co Pani córka, Alice, powiedziała o moim krawacie. Wiem, jak to podlotkom czasem wyrwie się nieopatrznie to, co myślą, i później tego żałują. Z niecierpliwością oczekuję Pani artykułu o Świącie Tulipanów. Pięćset słów byłoby w sam raz, o czym zdaje się już wzmiankowałem, ale proszę się nie kępować, napisać dłużej czy krócej, jeśli uzna to Pani za stosowne. Mamy wśród czytelników wielu zapalonych ogrodników, którzy z entuzjazmem przyjmą Pani uwagi.

Z poważaniem,

J. W. D., redaktor Ottawa, 9 czerwca 1955

Droga Pani!

Piszę, żeby donieść, że Pani „dziewiczy lot”, jak Pani określiła swój artykuł, wylądował w nadchodzącą sobotę w dziale „Sport i Dom”. Tekst, który Pani nadesłała, jest fachowy w najlepszym dziennikarskim rozumieniu tego słowa, a przy tym obfituje w udatne sformułowania, z których najbardziej przypadło mi do gustu porównanie rzadko wysadzonych tulipanów do „sierot wlokących się w ognie”. Jakże trafnie Pani to ujęła!

Jeżeli nie ma Pani nic przeciwko temu, chcielibyśmy podpisać Pani artykuł „Wasza Ogrodniczka”. Z niejakim lękiem wysuwam tę propozycję, niepewny, czy nie uzna Pani za niedelikatność takiego nawiązania do felietonów Pani męża. Proszę dać znać, gdyby Pani miała przeciwko temu zastrzeżenia, gdyż nie chcielibyśmy Pani sprawić najmniejszej przykrości.

Z poważaniem,

Jay Dudley

Ottawa, 15 czerwca 1955

Szanowna Pani Ogrodniczko!

Gratuluję Pani opisu naszego dorocznego Święta Tulipanów, który uważamy za rzeczowy, wyczerpujący i pochlebny. Dlaczego pochlebny? Dlatego że wyróżniła Pani (w czwartym akapicie) jako szczególnie godny pochwały ogródek przed pewnym domem na Fenton Avenue, w którym zauważyła Pani „cudowne rembrandty na tle szaro bejcowanego parkanu”. Przeczytawszy to, pozwoliliśmy sobie z moją kochaną żoną uznać, że to nasze własne rembrandty i nasz własny świeżo bejcowany parkan zwróciły Pani uwagę i zostały unieśmiertelnione w druku.

Niech mi wolno będzie przy okazji zapytać, czy ma Pani zdanie w sprawie stosowania fungicydów do wyjałowienia gleby po epidemii zarazy ogniowej.

Z podziękowaniem,

Alvin A. Macintosh

Ottawa, 18 czerwca 1955

Droga Ogrodniczko!

Ucieszył mnie opis Święta Tulipanów oglądanego wreszcie raz kobiecym okiem. Podobało mi się, co Pani napisała o hybrydach. Więcej osób powinno się wypowiedzieć na ten temat. Mam nadzieję, że będzie Pani częściej pisała do „Recordera”. Szczerze mówiąc, poprzedni felietonista, „Wasz Ogródnik”, wydawał mi się często niezdecydowany, jeśli chodzi o krzyżówki. Także nieco mętny w sprawie nawozów sztucznych. Z poważaniem,

Doris Griswold

PS. Zgadzam się z Panią w stu procentach w kwestii mieszania odmian pastelowych z czystymi.

Climax, Saskatchewan, 25 czerwca 1955

Kochana Ciociu!

Co dzień wyglądam z drżeniem listu od Cioci, ale dni mijają, a jakoś dotąd szczęście nie uśmiechnęło się do mnie. Prawdę mówiąc, denerwuję się coraz bardziej, a to z tego powodu - lepiej powiem od razu - że jestem przy nadziei, tylko nikt tutaj o tym nie wie, szczególnie moi rodzice, boby wyskoczyli ze skóry, jakby coś zwietrzyli. Jak do tego doszło, to długa historia, ale problem w tym, że niedługo zacznie być po mnie znać i muszę szybko coś zrobić, zanim wszyscy się zorientują. Co bym chciała zrobić, to wyrwać się stąd i rozpocząć nowe życie. Kiedy nadejdzie rozwiązanie, oddam dziecko do adopcji i wykorzystam umiejętność pisania na maszynie, żeby zarabiać na życie. Wiem, że wszystko się w końcu ułoży, ale cała bieda w tym, że nie wiem, jak to urządzić w tej chwili, jeśli Ciocia mnie rozumie. Wydaje mi się, że mam przed sobą wielkie koło, które muszę zacząć toczyć, tylko brakuje mi sił, żeby je ruszyć z miejsca. Dlatego pomyślałam, że może Ciocia mnie przygarnie na parę miesięcy. Pisząc poprzednio, wspomniałam o pokoju, życiu i czterdziestu dolarach miesięcznie, ale faktycznie potrzeba mi tylko dachu nad głową i kawałka chleba. Byłabym naprawdę niezmiernie wdzięczna.

Kochająca bratanica

Beverly

Ottawa, 29 czerwca 1955

Droga Pani!

Jak Pani się zorientuje z załączonych listów, Pani artykuł o Świącie Tulipanów spotkał się z wielkim uznaniem. Wszyscy, ze mną włącznie, przyjęli ze zrozumieniem Pani apel o śmielsze kompozycje kwiatowe oraz Pani końcową uwagę: „Piękno wymaga odwagi. Zdobyć się na odwagę też wymaga odwagi”. Wspaniale powiedziane!

Mamy nadzieję - a występuję tu w imieniu całej redakcji - że zechce Pani powtórzyć tę pierwszą próbę. Mówiąc wprost, czy nie zechciałaby Pani pisywać dla nas comiesięcznego, a może nawet cotygodniowego felietonu? Rozumiem, że ta propozycja następuje bardzo szybko po zgonie Pani Męża i, być może, nie zechce Pani podejmować w tej chwili wiążącej decyzji. Opierając się na własnym doświadczeniu (moja żona zmarła niecałe trzy lata temu), stwierdzam jednak, że aktywność jest najlepszym sposobem na powrót do równowagi po utracie bliskiej osoby.

Przesyłam ponownie czek, który Pani tak wspaniałomyślnie nam odesłała. Oczywiście jednak obstawiamy przy płaceniu wszystkim naszym autorom. Żałuję tylko, że nie opiewa on na znaczniejszą sumę.

Z poważaniem,

Jay

Climax, Saskatchewan, 7 lipca 1955

Kochana Cioteczko!

Piszę w pośpiechu. Nie mogę się doczekać chwili, kiedy zobaczę Ciocię i dzieciaki. Nie wiem, jak Cioci dziękować za przesłany bilet kolejowy.

Najmocniejsze uściski. Mam dziwne uczucie w kościach, że moje życie zaczyna się na nowo. A więc do zobaczenia w przyszłą środę.

Beverly

Uniwersytet Bostoński, 12 czerwca 1955

Szanowna Pani!

Dziękuję za Pani list w sprawie pozostawionej przez Pani małżonka imponującej kolekcji Cypridium, z którą się zapoznałem i którą podziwiam. Obawiam się jednak, że nie jest ona wystarczająco pełna, abyśmy mogli brać pod uwagę jej zakup. Nie spełnia również standardów konserwacji, jakich przestrzegamy w naszym muzeum, szczególnie jej starsze okazy, na przykład montanum, a także calceolus.

Z wyrazami szczerego współczucia

i najlepszymi życzeniami,

Leonard Lemay dziekan Wydziału Botaniki

Ottawa, 17 sierpnia 1955

Nasza Droga Ogrodniczko!

Zrobiłem tak, jak Pani radziła w zeszytowanym felietonie, kopczykując róże herbaciane. Poszedłem także za Pani radą co do mączki kostnej. Zobaczymy, co będzie. Ciekawym teraz, co Pani sądzi o palikowaniu wieloletnich astrów o tak wczesnej porze roku.

Z poważaniem,

S. J. Provost

Ottawa, 18 sierpnia 1955

Droga Pani!

Dziękuję za kolejny felieton, w dodatku przepisany profesjonalnie na maszynie. Ma Pani naprawdę wspaniałe określenia: „Soczystość i jędrność listka jabłoni”. Jakież to ładne!

Mam nadzieję, że jakoś Pani znosi tę falę upałów.

Serdeczności,

Jay

Perth, Ontario, 12 września 1955

Szanowna Ogrodniczko!

Oto użyteczna porada dla Pani czytelników: żółta trawulka, jeśli ją się przytnie, zakwitnie po raz drugi, ja osobiście staram się to robić już w sierpniu. Dziękuję za wskazówki w sprawie białych lilii. Wsadziłam je do ziemi, pobłogosławiłam obficie nawozem sztucznym i oczekuję pomyślnych rezultatów.

Ukłony,

Pani Donaldowa Frazer

Smith College, Northampton, Massachusetts

15 września 1955

Kochani!

Uf, przebrnęłam przez formalności rejestracyjne i mam uczucie, że teraz przebrnę już przez wszystko. Dostałam się ostatecznie na kurs literatury rosyjskiej. Profesor, nazywany przez wszystkich Zeusem, orzekł, iż to nie do wiary, że osiągnęłam taki poziom po zaledwie dwóch latach nauki rosyjskiego w gimnazjum.

Tak, to prawda, wszyscy chodzą tutaj przez cały dzień w szortach bermudach, na wykłady i wszędzie. Przydałoby mi się kilka dodatkowych par, jeśli Beverly szuka, co by tu jeszcze poszyć. (Cześć, Beverly, mam nadzieję, że się czujesz dobrze). Myślę, że brązowy tweed (w takim trochę tabaczkowym odcieniu) świetnie by grał z tym moim swetrem z jagnięcej wełny. I może coś w stonowanej niebiesko-białą kratkę (tylko nie za dużą).

Zdaje się, że Wasza Ogrodniczka robi się z każdym dniem sławniejsza. Bardzo mnie to cieszy. Mówię szczerze. Nie myślałam serio tego, co wygadywałam o zastępowaniu Tatusia, spychaniu go w niepamięć i w ogóle. Byłam w parszywym nastroju, siedząc przez całe lato w domu w tym upale, denerwowałam się czekającym mnie wyjazdem i tak dalej. Naprawdę uważam, że ten felieton może się okazać zbawienny.

Rozumiesz, co mam na myśli, Mamusiu, bo przecież nic właściwie przez całe życie nie robiłaś oprócz bawienia się w Betty Crocker*. Może masz rzeczywiście jakiś ukryty talent, jeśli chodzi o pisanie.

* Betty Crocker to fikcyjna postać powołana do życia w 1921 roku przez firmę młynarską, a od 1926 figurująca jako znak firmowy na produktach towarzystwa General Mills. Uosabia doskonałą gospodynię domową. Radiowa Szkoła Gotowania Betty Crocker przyciągała w latach trzydziestych i czterdziestych do odbiorników miliony słuchaczek, ponad pięćdziesiąt milionów kupiło książki kucharskie sygnowane tym nazwiskiem.

Muszę bieć, zanim zamkną bibliotekę. Faktycznie, namacalnie czuję, że dotykam wreszcie prawdziwego Czechowa, w jego własnym języku, rozumie się. Dopiero w oryginale nabiera on TREŚCI i GŁĘBI, których śladu nie ma w tych idiotycznych, nędznych tłumaczeniach, jakimi ludzie muszą się zadowalać. Ucałowania,

Alice

Ottawa, 5 października 1955

Nasza Kochana Ogrodniczko!

Śmiałam się do rozpuku z zeszytowanego felietonu o szkodnikach ogrodowych, do których Pani zaliczyła „urwisów z sąsiedztwa urządzających najazdy na drzewa owocowe”. Dziękuję także za pozytywne wskazówki, co robić z dzikimi jabłonkami. Najbardziej podobała mi się ostatnia rada - wyciąć je! Wspaniały pomysł.

Betty Singer (wielbicielka)

Bloomington, Indiana, 6 października 1955

Szanowna Pani Flett!

Mamy nadzieję, że już niedługo uda się ostatecznie uregulować sprawy spadku po Pani świętej pamięci Ojcu. Jak Pani wie, portfel jego inwestycji był zawikłany ponad przeciętną miarę. Od paru dni usiłuję telefonicznie złapać wdowę po nim, ale nie mam żadnej odpowiedzi. Jej życzenia co do podziału nieruchomości zostały uwzględnione, włącznie z pełnym zabezpieczeniem piramidy Pani Ojca jako „trwałej pamiątki” jego życia. Musimy jednak uzyskać jej podpis na pewnych dokumentach związanych z testamentem. Nie wie Pani przypadkiem, czy pani Flett podróżuje gdzieś w obecnej chwili, a jeśli tak, to kiedy wróci do Bloomingtonu?

Z wyrazami szacunku,

Calvin K. Kopps (Bregnam & Kopps)

Bloomington, Indiana, 1 listopada 1955

Kochana Daisy!

Krótki liścik. Nie udało nam się znaleźć Marii. Giorgio (mój obecny) zawiózł mnie w niedzielę do Lake Lemon. Zastaliśmy dom zamknięty na glucho. Sąsiedzi mówią, że nie widzieli jej od dobrego miesiąca albo i dłużej. Co dalej robić? Daj mi znać.

Wyjazd do Chicago zapięty na ostatni guzik. Zarezerwowałam apartament, szczyt elegancji. Bo czemuż, u diabła, sobie żalować? A Ty masz już bilety na pociąg?

Ucałowania,

Fraidy

Ottawa, 4 listopada 1955

Droga Pani F.

Proponowany przez Panią artykuł o oranżerii chicagowskiej jest jak wymarzony na styczeń. Interesuje nas także arboretum Mortona. Ja sam nigdy nie odwiedzałem tego sławnego miasta, ale słyszę, że jest ono niezwykle piękne wbrew otaczającej je złej sławie mekki gangsterów i łapówkarstwa.

Nawiasem mówiąc, gdyby nie mogła Pani kiedyś (z powodu choroby czy jakichś innych przeszkód) dostarczyć na czas cotygodniowego felietonu, zawsze może Panią zastąpić Pinky Fulham z naszego zespołu. Jakkolwiek odpowiada on w redakcji za dział miejski, jest również sam zapalonym ogrodnikiem, a także wielkim admiratorem Pani felietonów.

Oddany

J.

Northampton, Mass., 8 listopada 1955

Kochana Mamo!

Muszę od razu napisać, że chyba upadłaś na głowę. Co za pomysł z tym dzieckiem? Od początku było ustalone, że Beverly odda je po urodzeniu do adopcji, a sama rozpocznie nowe życie. Warren niedługo skończy szesnaście lat, Joan ma czternaście i ostatnia rzecz, jaka Ci potrzebna w domu, to skrzeczące niemowlę. Niedługo obydwójce pójda do college'u, a Ty będziesz wreszcie miała możliwość powlóczyć się po świecie ze swoimi psiapsiółkami, o czym zawsze marzyłaś. Jeśli mam być szczerą, uważam, że Beverly nadużywa Twojej dobroci. Wiem, jest wielką pomocą, szczególnie teraz, kiedy się wybierasz do Chicago, pisze Ci także na maszynie, ale pomyśl tylko, co otrzymuje w zamian. Darmowe mieszkanie, utrzymanie i wszystkie wygody. Nie rozumiem także, dlaczego dzieciak ma zająć mój pokój. Co będzie, jak przyjadę na Boże Narodzenie do domu? Gdzie będę spała, jeśli to nie jest zbyt bezczelne pytanie? Co do imienia Wiktoria, to skoro pytasz o moje zdanie, uważam je za pretensjonalne. Jest w naszym akademiku jedna Wiktoria, która okropnie zadziera nosa.

Czy mogłabyś mi szybko przysłać mój czerwony rozpinany sweter?

Ucałowania,

Alice

Ottawa, 14 grudnia

Szanowna Ogrodniczko!

Cudowny był Pani felieton o roślinach bożonarodzeniowych. Uśmiełam się do łez nad opisem Pani zmagania z nazbyt wybujałą poinsecją. Oto rada, którą może zechce Pani przekazać swoim czytelnikom: niech

trzymają te uparciuchy z dala od gazu, przeciągów i kaloryferów, to będą kwitły przez całą zimę, aż wszystkim się w końcu znudzi wieczne patrzenie na nie. Aha, i niech wzruszą od czasu do czasu widelcem ziemię.

Szczęśliwych świąt i wielkie dzięki za Pani cotygodniową porcję mądrości.

Hollie Sanderson

Bloomington, Indiana, 29 grudnia 1955

Daisy!

Pospieszna notka, żeby Cię uprzedzić, że dostaniesz wkrótce list od Biny, która wbiła sobie do głowy, że musi z nami jechać do Chicago. Wierz mi, nie było sposobu, żeby jej odmówić. Przyparła mnie do muru, zrozumiesz, jak usłyszysz całą historię. Ale lepiej niech sama Ci to opisz.

Dostaliśmy od adwokata klucze do domu w Lake Lemon i mogę Cię zapewnić, że przeszukaliśmy wszystko dokładnie. Nie ma absolutnie żadnej rzeczy, która by wskazywała, co się mogło stać z Marią, najmniejszej notki, choć wygląda na to, że brakuje części jej garderoby. (Puste wieszaki w szafie i tak dalej). Wiesz już o pieniądzach, jakie podjęła z banku - ni mniej, ni więcej, tylko dwadzieścia tysięcy dolarów, chociaż adwokat mówi, że mogła podjąć znacznie więcej. A propos, piramida Twojego Ojca za domem wygląda uroczo pod warstwą świeżego śniegu. Giorgio uważa, że być może w środku zagnieździły się wiewiórki. Jak Ci się podoba? Wiewiórcze faraonki!

Prezent gwiazdkowy zrobił furorę. Jestem pewnie jedyną osobą w Indianie, a może na całej zachodniej półkuli, która ma przy łóżku lampkę do czytania z kopyta żyrafy. Skąd Ty to, u Boga Ojca, wytrzasnęłaś? Wygląda na to, że jesteś znowu tą samą dawną Daisy - chociaż mam nadzieję, że wiesz, co robisz, biorąc sobie na głowę niemowlaka. Rany!

Do rychłego zobaczenia,

Fraidy

Bloomington, Indiana, 10 stycznia 1956

Fraidy z pewnością napisała Ci, co wyszło na jaw - o tej „przyjaciółeczce” Dicka w Cleveland. Nie będę się rozwodziła o szczegółach w kartce. Ale muszę się stąd wyrwać na parę tygodni, uciec od tych parszywych wspomnień. Wycofałam ofertę sprzedaży domu, przynajmniej ta jedna decyzja za mną. Do zobaczenia we wtorek w Palmer House. Całuję,

Bina

Ottawa, 2 lutego 1956

Kochana Ogrodniczko!

Śpieszę Pani donieść, że Pani felietony o ogrodach Chicago działały u mego męża cuda. Pan i władca nie znosi podróżowania jak diabeł święconej wody, ale po przeczytaniu o arboretum Mortona zdecydował, że musimy je zobaczyć na własne oczy, więc jedziemy samochodem w kwietniu. Cieszę się, że Pani wróciła. Ten cały Pinky nie odróżnia chyba mięty od kocimiętki.

Z poważaniem,

Wierna Czytelniczka

Northampton, Mass., 6 kwietnia 1956

Kochani!

Przepraszam, że ostatnio nie pisałam, ale mam okropne kłopoty z literaturą rosyjską i z profesorem (kretynem), a także ze współlokatorką, Shirley, która przeżywa rozstanie ze swoim chłopakiem (drugim kretynem). W dodatku tu bez przerwy leje. Zastanawiam się nad zmianą przedmiotu studiów, może na hiszpański. Albo na socjologię. Albo na pedagogikę. Ale wszystko, co mi przychodzi do głowy, to nie to. Całuję,

Alice

Northampton, Mass., 20 kwietnia 1956

Kochana Mamo!

Chcę Ci donieść, że czuję się znacznie lepiej. Jestem Ci niewypowiedzianie wdzięczna, że przyjechałaś, a właściwie przyleciałaś pierwszy raz w życiu samolotem, tym bardziej że tak się boisz spaść i rozbić się. Myślę, że masz rację, byłam taka przybita z powodu Tatusia, dlatego że to rocznica Jego śmierci, minął równy rok. Odbyłam na ten temat długą rozmowę z profesorem rosyjskiego, który powiedział, że naprawdę doskonale to rozumie, taka pierwsza rocznica może człowieka rozstroić, i że nic się nie stanie, jak złożę pracę semestralną w późniejszym terminie.

Postanowiłam pozostać przy rosyjskim. Czytamy teraz Gogola. Jakąż duszę miał ten człowiek, wcielenie wielkiej duszy rosyjskiej!

Ucałuj ode mnie Warrena, Joan i Bev, a specjalnie Wiktorię. Powiedz im, że niedługo do nich napiszę.

Alice

PS. Zapomniałam wspomnieć o Twoim nowym uczesaniu, które jest szalone. Dzięki niemu szyja wygląda smuklej. Czy nie myślałaś nigdy o przyfarbowaniu siwizny?

Ottawa, 3 września 1956

Kochana Pani F.

Czy nie zechciałaby Pani wziąć udziału w dorocznym obiedzie redakcji „Recordera” w Klubie Prasy 20 września o godzinie siódmej? Pinky Fulham zawsze organizuje pyszne menu i wspaniałe wieczór śpiewów i skeczów. Gdyby Pani była skłonna przyłączyć się do naszego towarzystwa, mógłbym ewentualnie podjechać i zabrać Panią do klubu. Proszę o łaskawą odpowiedź.

J.

Ottawa, 14 listopada 1956

Szanowna Ogrodniczko!

Nareszcie ktoś rozwiązał problem czarnej zgnilizny. Czy zna Pani również sposób na przylżeńce?

Wierna czytelniczka

Northampton, Mass., 20 listopada 1956 Czołem, rodzinko. Tonę po uszy w pracach okresowych. Chciałam tylko złożyć życzenia Wiktorii na jej pierwsze urodziny. Nie mogę się doczekać, kiedy ją znowu zobaczę.

Alice

Bloomington, Indiana, 20 grudnia 1956

Mam nadzieję, że otrzymacie to przed Bożym Narodzeniem. Życzę wszystkim szczęśliwych, wesołych świąt. Planujemy z Biną na luty wypad do Nowego Orleanu. Co o tym myślisz? Z Giorgiem skończone. Znudziło mi się ciągle wciąganie brzucha i udawanie, że jestem jego „małą dziewczynką”. Mnóstwo spokoju, radości itd.

Fraidy

Ottawa, 15 stycznia 1957

Kochana D.

Całej redakcji bardzo się podobał Twój kawałek o szczepieniu kaktusów - wymarzony temat dla ogrodników na miesiące zimowe. Pinky Fulham zrobił do niego kilka rysunków (przesyłam je w załączeniu do Twojej akceptacji), żeby uprzystępnić czytelnikom trudniejsze kroki operacji szczepienia. Jak mi mówi, jest od niepamiętnych czasów namiętnym hodowcą kaktusów. Zna się także dobrze na drzewach.

Serdeczności,

J.

Ottawa, 7 lutego 1957

Szanowna Pani!

Dziękuję za miłe słowa pochwały moich rysunków do artykułu o kaktusach. Zdaje mi się - nie chętnie się chyba bezpodstawnie - że czytelnikom przypadły one do gustu, ożywiły trochę stronę. Co do zastąpienia Pani w cotygodniowym felietonie podczas Pani pobytu w Nowym Orleanie, zrobię to z przyjemnością. Zawsze chętnie służę. Jest to przyjemna odmiana po ciągłym pisaniu o wyborach lokalnych i przepychankach w radach szkolnych.

Z poważaniem,

Pinky Fulham Ottawa, 30 czerwca 1957

Nasza Ogrodniczko!

Zachwycił mnie felieton „Nie patyczkować się z floksami”. Wyciąłam go do domowego archiwum i kupiłam drugi egzemplarz dla mojej bratowej w Calgary, która będzie nad tym piała.

Rose Henning nieśmiała, lecz wytrwała adeptka ogrodnictwa

Hanover College, 19 września 1957

W akademiku jest taki hałas, że zupełnie nie mogę zebrać myśli, więc piszę tylko, żeby Wam donieść, że żyję i jakoś się tu urządziłem. W Indianie panuje ciągle wspaniała pogoda.

Wielka nowina, że Beverly się zapisała na kurs handlowy, na pewno świetnie sobie poradzi.

*Ucałowania dla wszystkich, szczególnie dla Vicky,
Warren*

PS. Umówiliśmy się, że kartki pocztowe wystarczą.

Ottawa, 2 grudnia 1957

O nasza o ogrodniczko

jak ja cię kocham cię kocham

za twoją dobroć zieloność zręczność palców za twoją konewkę za twoje granulki użyźniające

o jak ja lubię odwracać wiotkie szeleszczące kartki

i znajdować cię zawsze na tym samym miejscu zawsze między filatelistyką a brydżem między przepisami kulinarnymi a religią zawsze z tą twoją zielonością i życzliwością

i o tak w zeszłym tygodniu z wilgotną szmatką myjącą zielone zielone listki wycierającą polerującą je tak delikatnie otwierającą na powietrze zielone pory mówisz było to jak mycie rączek małemu dziecku

o ogrodniczko gdybym ja mogła być twoim dzieckiem

pucowanym do czysta dla światła i dobroci ja też bym była szczęśliwa też bym nic więcej nie potrzebowała

i o jak ja ciebie kocham ciebie potrzebuję o słodka dzielna czysta ogrodniczko

[Anonim]

Bloomington, Indiana, 15 stycznia 1958

Daisy, zabijesz mnie, ale nie mogę jechać w lutym na Florydę. Nie zgadniesz dlaczego. Wychodzę za mąż. Tak, za mąż! Mam nadzieję, że nie zatkało Cię i trzymasz się jeszcze na nogach. Bina mówi, że padło mi na mózg, ale ja myślę, że spodoba Ci się Mel. Jest rozwiedziony, pracuje w laboratorium, ma bardzo ładne włosy i śpiewa barytonem w kwartecie rewelersów - to ci mówi właściwie wszystko. Więc, zamiast pławić się w słońcu na Florydzie, pakuj się i zjeżdżaj tutaj na wesele. Sama ceremonia będzie trwała pięć minut w sądzie, bez strojów ślubnych, za to wesele, jakiego jeszcze nie widziałaś. Kubły szampana. Ocean. Ucałowania,

Fraidy

Bloomington, Indiana, 17 stycznia 1958

Skrobieć parę słów. Musisz przyjechać na WESELE, a potem my, dwie podstarzałe panienki (toi et moi), wypuścimy się na tydzień na południe. (Fraidy mówi, że wyleczyłaś się ze strachu przed lataniem). Cholernie potrzebuję kapki słońca. Mam nadzieję, że Mel sprawdzi się jako mąż Fraidy. Jest słodki, ale ma za sobą już dwa rozwody!!

Bina

Ottawa, 4 marca 1958

Kochana D.

Świetny ten felieton o palmach, „Tajemnicze drzewo”. Także rysunki Pinky'ego wywołały duży oddźwięk.

Czy nie miałabyś ochoty wybrać się na przedstawienie „Herbaty i sympatii”? Dostałem dwa bilety na 15 marca.

J.

Ottawa, 2 czerwca 1958

Nasza Kochana Ogrodniczko!

Pani pochwała geranium wzruszyła mnie do głębi serca. Te dzielne, wierne pociechy stały na moim parapecie przez pięćdziesiąt lat mego małżeństwa i cieszyły moje oko, kiedy obierałam ziemniaki na obiad. Mój mąż nie wyobrażał sobie obiadu bez swoich „kartoszków” na talerzu. Cóż, mieszkam teraz w tak zwanym domu emeryta - nazywa się to Słoneczny Dwór, uwierz Pani - więc pożegnałam się już z nożem do obierania, ale parapet w swoim pokoju mam nadal cały zastawiony tymi barwnymi pięknościami. Tak jak Pani, lubię rozcierać w palcach ich suche listki i napawać się ich zapachem, ale nigdy nikomu nie mówiłam, że robię coś takiego, bo wydawało mi się to takie głupie.

Z poważaniem,

Alice W. Keefer

Ottawa, 27 kwietnia 1959

Kochana D.

Dziękuję gorąco za zaproszenie na wielkanocny obiad. Cóż to za błogosławieństwo taka wspaniała rodzina! Alice z tą chmurą rudych włosów, nieśmiały Warren, słodka Joan, Twoja bratanica Beverly i mała Wiktoria. Niemal już zapomniałem, jaka to rozkosz zasiąść z prawdziwą rodziną do świątecznego obiadu. I to jakiego pysznego obiadu! Nie myśl, że Alice wprawiła mnie w zakłopotanie swoim oświadczeniem, że „musi mi się przyjrzeć”.

Twój J.

PS. Mam nadzieję, że przyszły wtorek pozostaje bez zmian.

Bloomington, Indiana, 14 listopada 1959

Daisy!

Wczoraj dzwonił Twój adwokat w sprawie posesji w Lake Lemon. Ma w końcu kogoś zainteresowanego kupnem, ale pod warunkiem, że zburzą piramidę i zasypią wykop po niej. Daj mi znać, co o tym myślisz. Czy mam prowadzić sprawę? Okazuje się, że nie muszą do sprzedaży mieć podpisu Marii. Jeżeli się kiedyś odnajdzie, to wypłacą jej jakąś rekompensatę.

Całuję, (Mel zasyła ukłony)

Fraidy

Bloomington, Indiana, 13 grudnia 1959

Daisy!

Wesołych Świąt ode mnie i od Mela. Przekazałam Twoje uwagi pośrednikom sprzedaży nieruchomości. I nie, nie uważam, że jesteś niespełna rozumu. Po co miałabyś się śpieszyć ze sprzedażą, skoro nie potrzebujesz pieniędzy. Muszę Cię jednak ostrzec, że piramida stała się przedmiotem zainteresowania wandalii albo też uległa zniszczeniu wskutek mrozu. Najlepsze życzenia na nadchodzące dziesięciolecie. Któż by pomyślał, że ja kiedyś będę „małą żoneczką”, a Ty „kobietą czynną zawodowo”? Tak czy inaczej, pasuje to do Ciebie. Jeśli w niczym innym, to w tej jednej rzeczy zgadzamy się z Biną - odnalazłaś swoje powołanie!

Całuję

Fraidy

Ottawa, 3 kwietnia 1960

Szanowna Ogrodniczko!

No, wreszcie ktoś powiedział, jak jest naprawdę! Mam na myśli Pani felieton: „Pokarm dla roślin - tak czy nie?” My z żoną sprzeczamy się na ten temat od lat. W dowód wdzięczności przesyłam Pani w załączeniu moją receptę na pozbycie się raz na zawsze alg ze stawu z liliami (jeśli Pani taki ma). Niech Pani poinformuje czytelników, że siarczany miedziowe mogą dostać w każdym sklepie ogrodniczym i chemicznym. Dziękuję i kłaniam się,

Roman Matrewski

Ottawa, 12 sierpnia 1960

Kochana Ogrodniczko!

Z zapartym tchem czytałam opis Pani walki z plagą mrówek. Równie cenne były Pani mądre uwagi o chrabąszczu majowym. Ma Pani prawdziwy talent do ubierania każdego problemu w formę ciekawej opowieści. Zdegustowana chwastami i szkodnikami z południowej Ottawy

Bloomington, Indiana, 4 listopada 1960

Cześć. Dostałam przed chwilą zaproszenie na ślub Alice. Zjawię się z orkiestrą. Biorę Cię za słowo, że mogę przywieźć „gościa”. Przylecimy samolotem zamiast tłuc się pociągiem. Facet jest nadziany.

Bina

Ottawa, 15 grudnia 1960

Kochana D.

Rozmawiałem przed chwilą z Pinkym, który wyraził gotowość przejęcia Twojego felietonu na czas Twoich przygotowań do ślubu córki. Wiem, ile takie imprezy wymagają zachodu. Pinky ma jakieś interesujące materiały na temat paproci, które zdają się powracać do łask. Daj mi znać, gdybym mógł być w czymś pomocny.

Twój J.

Ottawa, 22 stycznia 1961

Moja Kochana D.

Wybacz, ale muszę to wyrazić na piśmie. Dziękuję Ci, dziękuję, dziękuję.

J.

Hampstead, Anglia, 20 kwietnia 1961

Kochana Mamo!

Tacy jesteśmy szczęśliwi w tym naszym małym domku! Nigdy mi się nie śniło, że będę kiedyś taka szczęśliwa. Już sam adres brzmi jak poezja: 1, Brewery Lane. Jak Ci się to podoba? Z perspektywy widzę, że byłam przez całe życie trochę szalona, a teraz nagle się ustatkowałam. Zostanę tu na resztę życia, będę miała dzieci, będę pisała o Czechowie, będę się pławiła w błogości i szczęściu. Dzięki za śliczne zdjęcia Wiktorii. Serce mi rośnie na samą myśl o niej. Cieszę się, że z Biną i Fraidy zdecydowałyście się w tym roku na Bermudy. Ben zasyla wraz ze mną ucałowania.

Alice

Bloomington, Indiana 25 maja 1962

Daisy!

Cieszę się, że mogliśmy być na chrzcie. Alice wyglądała przepięknie - jak ona złagodniała! - a Ben junior jest śliczny. (Wrócili już pewnie do Hampstead). No, i miło było poznać wreszcie Jaya. Tak, dobrze to określiłaś, ma rzeczywiście miły, zaraźliwy śmiech światowca. A także nie sposób nie czuć sympatii do mężczyzny, który zna wszystkie zwrotki „Ivana Skavinsky'ego Skavara*^{*}. Bardzo mnie ucieszyło, że odkryli tyle wspólnego z Melem. Czy to nie dziwne, że wszystkie trzy w naszym wieku mamy wielbicieli, chociaż pewnie Mel nie kwalifikuje się jako wielbiciel, odkąd został moim mężem. A propos, Bina i Brick też przebakują o ślubie. Chciałabym się do niego przekonać, ale jakoś nie mogę. A co Ty myślisz? Czy przyczyną jest tylko to jego okropne imię i te haniebne krawaty, jakie nosi? A może to, że się tak wybrzydza na Kennedych? A może ten pierścień korporacji Sigma Chi? Pewnie wszystko to razem.

Całuję,

Fraidy

*Ivan Skavinsky Skavar - popularna tasiemcowa piosenka z początków stulecia, śpiewana często w barach, przy ogniskach itp.

Ottawa, 6 czerwca 1963

Droga Ogrodniczko!

Zgadzam się z Panią w stu procentach, że piwonie są piękne, ale głupie. Najidiotyczniejszą ich cechą jest to, że tak nie lubią być poruszane - dlatego z taką radością przyjęliśmy wraz z mężem Pani zeszlotygodniową poradę. Wielkie dzięki. Jest Pani cudowna.

Audrey LaRoche

Ottawa, 15 sierpnia 1963

Szanowna Ogrodniczko!

Pani felieton o malwach był wspaniały. Szczególnie podobały mi się sformułowania o ich „falbaniastych spódniczkach w stylu dirndl” oraz o ich „nieśmiałych kosmatych łodygach”. Od lat nie miałam w ogródku malw, ale po przeczytaniu Pani felietonu pobiegłam i kupiłam torebkę nasion, mimo że w tym roku już na nie za późno.

Z malwiarskim pozdrowieniem,

Lydia Nygaard

Ottawa, 25 listopada 1963

Najdroższa D.

Nie mogłem Cię złapać telefonicznie, stąd ten krótki liścik. Większa część dodatku „Dom i Sport” wypadnie w tym tygodniu na rzecz materiałów związanych z zabójstwem Kennedy'ego. W tej sytuacji Twój felieton o ogródkach skalnych pójdzie w następnym tygodniu. A swoją drogą, cóż to za świat! Wszystko się wali.

Twój J.

Ottawa, 25 stycznia 1964

Kochana D.

Bardzo mi przykro z powodu tego nieporozumienia. Zdaję sobie teraz sprawę, że zawiadomienie Cię przez telefon było błędem. Wiedziałam, że sprawi Ci to zawód, ale nie przypuszczałem, że przyjmiesz to tak tragicznie. Mówiłaś często, że chciałabyś mieć więcej czasu dla siebie, więcej czasu na podróże, że wybrałabyś się chętnie do Anglii odwiedzić córkę.

Mam nadzieję, że będziemy się mogli spotkać jak zwykle we wtorek i omówić to jak dwoje rozsądnych ludzi.

Twój J.

Ottawa, 6 lutego 1964

Szanowna Pani!

Zapoznałem się wnikliwie z Pani listem i mogę zapewnić, że rozumiem Pani uczucia. Myślę, że Jay wyjaśnił Pani politykę naszego pisma, zasadę, że stali członkowie redakcji mają pierwszeństwo w wyborze tematów. Jak Pani dobrze wie, od czasu do czasu wyręczałem Panią w pisaniu felietonów ogrodniczych, zawsze kiedy Pani wyjeżdżała, i jeśli mam być szczerzy, często otrzymywałem listy z gratulacjami od czytelników, którym podobało się szczególnie, że moje felietony są ilustrowane, a także pisane z męskiego punktu widzenia. Ja osobiście cenię sobie to, że gazeta regionalna, taka jak nasza, jest żywym, oddychającym organizmem, który

przeciwstawia się skostnieniu. Niech Pani pomyśli o tym w ten sposób, że nasi czytelnicy się zmieniają i my musimy się zmieniać wraz z nimi. Jestem pewien, że po dziewięciu latach występowania w roli „Waszej Ogrodniczki” i Pani przyjmie z ulgą tę zmianę.

Z najlepszymi życzeniami, James (Pinky)

Fulham 20 lutego 1964

Kochana D.

Okropnie mi przykro z powodu tego wszystkiego i zgadzam się, że polityka naszej gazety jest idiotyczna, ale jest to zasada obowiązująca jeszcze od czasów mojego poprzednika. Nie ma to nic wspólnego z Twoimi kompetencjami jako naszej felietonistki, sama wiesz najlepiej. Istotą jest to, że Pinky jako stały członek redakcji ma prawo pierwszeństwa do każdej stałej, rubryki pod warunkiem, że wykaże się orientacją w danej dziedzinie. Nie potrafię wypowiedzieć, jak bardzo tego żałuję, ale niestety mam związane ręce.

Proszę Cię, spotkajmy się w najbliższym czasie i pomówmy o innych sprawach. Jeśli wolno mi to powiedzieć, uważam, że bierzesz całą sprawę zbyt do serca.

Twój J.

28 lutego 1964

Szanowna Pani!

Dziękuję za Pani list, obawiam się jednak, że nie będę skłonny do zmiany mojej decyzji. Szczerze mówiąc, pisałem przez dziesięć lat o sprawach miejskich i potrzebuję odmiany. Nawet mój osobisty lekarz doradza mi zmianę trybu życia. Wydawałoby się, że i Pani powinna po tylu latach pragnąć odmiany. Zmiany pomagają nam zachować młodość.

Z poważaniem,

Pinky Fulham

PS. Jak już poprzednio pisałem, mam nadzieję, że to nieporozumienie nie wpłynie na nasze przyjazne stosunki.

Bloomington, Indiana, 28 marca 1964

Daisy!

Zastanawiamy się obydwie z Biną, czy przypadkiem nie złamałaś ręki. Żadna z nas nie miała od Ciebie od wieków listu. Może skrobiesz parę słów?

Fraidy

Hampstead, Anglia, 10 kwietnia 1964

Nie piszesz od wielu tygodni. Mamy nadzieję, że wszystko u Ciebie w porządku. W Anglii wiosna, cudowna, a Judy waży już prawie dwanaście funtów. Czy wszyscy zdrowi? Niepokoję się trochę. Nie mamy od Ciebie od tygodni listu. Czy coś się stało? Ucałowania,

Alice, Ben, Benje i maleńka Judey

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Rozpacz 1965

1965 był rokiem, w którym pani Flett popadła w głęboką depresję.

Stało się to z dnia na dzień. Albo prawie z dnia na dzień. Rodzina i przyjaciele przyglądali się bezradnie, jak jej zrównoważoną osobowość ogarnia zamęt, potem odżegnanie się od wszystkiego, potem bełkotliwy gniew, żywiący się krzywdą. Była w tym okresie nieatrakcyjna. Rozpacz odbijała się niekorzystnie na jej wyglądzie. Dobroć nie radzi sobie ze złem - jest za dobra, rozumiecie, głupio dobra. Osoba niezdolna spać jednym ciągiem dłużej niż godzinę, dwie, której sposób odżywiania ulega rozregulowaniu, taka osoba szybko ulega fizycznej degrengoladzie - widzieliście takie indywidua błakające się na obrzeżach parków publicznych czy siedzące pod suszarką u fryzjera. Skóra na ich twarzach robi się obwisła. Ubranie wisi na nich i stale zdaje się wymagać odświeżenia. Macie ochotę podbiec do tych zagubionych dusz, nieść im pociechę, ale odstręcza was otaczająca ich aura desperacji, niemal wyczuwalny fetor.

Wiosna i lato 1965 to były dla pani Flett straszliwe miesiące; osuwała się wtedy dzień po dniu po równi pochyłej - od rezygnacji, przez zasklepienie się w milczeniu, aż po gorzkie, pełne pretensji odgrodzenie się od dzieci i wnuków, od licznych przyjaciół i znajomych.

Co było powodem takiej całkowitej przemiany pani Flett?

Oczywiście na myśl przychodzi przede wszystkim klimakterium, ale to nie to. Daisy Flett ma w 1965 roku pięćdziesiąt dziewięć lat, prawie sześćdziesiąt, i jej procesy hormonalne, według niektórych nigdy zbyt wybujałe, były - według innych - od jej czterdziestych dziewiątych urodzin wyregulowane jak dobry zegarek. Nie wydaje się także, aby cierpiała na syndrom „opóźnionej żałoby”, jak chcą niektórzy członkowie jej rodziny. Wspomina swego kochanego, słodkiego Barkera, oczywiście, że wspomina, czci jego pamięć, jakkolwiek to rozumieć. I myśli o nim za każdym razem, kiedy rozciera na dłoniach balsam Jergensa, wracając pamięcią do chwili - bardzo osobistej chwili, o której nie będzie z nikim rozmawiała, którą tu jednak odnotowuje - kiedy pochwalił jej smukłe palce, porównując je do cudownej, gibkiej, jedwabistej ryby.

Do ryby? Przedziwne skojarzenie, które oczywiście ją zdumiało. Nie przekonała się do niego właściwie nigdy, doceniła jednak w końcu to, że mąż brawurowo porwał się na poetyckość. Czy jednak pani Flett faktycznie tęskni za swoim zmarłym towarzyszem? Za spokojem, jaki niosło powszednie znużenie ich miłością? Ile jej dzisiejszego czasu zwraca się wstecz, ku węzłowi ich wspólnej egzystencji, ku owym dwudziestu latom małżeńskiego pożycia?

Szczerze mówiąc, bardzo niewiele. No, tak, powiedziałam to.

Jej obecny upadek ducha, natrętna niesforność jej serca i umysłu, zapaść jej rozumu, pogorszenie jej stanu fizycznego - wszystko to płynie z jakiegoś tajemniczego jądra cierpienia, które ludzie z jej otoczenia mogą tylko obserwować i ważyć i na którego temat mogą tylko snuć przypuszczenia.

Teoria Alice

Coś się ze mną stało. W wieku dziewiętnastu lat byłam na najlepszej drodze do ukształtowania się w osobę określonego pokroju, po czym się zmieniłam i poszłam w innym kierunku.

Osobowość nie jest rzeczą wrytą na fryzie świątyni. Niedawno czytałam - zdaje się w niedzielnym dodatku do gazety - o Amerykance, która pewnego dnia wstała rano i zaczęła ćwiczyć nowy charakter pisma, pochylając litery w lewo zamiast w prawo i koncentrując się na nadaniu im mniejszych i ciaśniejszych brzuszków. Było to niemal jak rysowanie. Kilkanaście razy w ten nowy sposób wykaligrafowała swój podpis. Potem przepisała nowym charakterem całą preambułę do konstytucji i całe Orędzie Gettysburskie* - i wkrótce stała się kimś innym.

* Orędzie Gettysburskie (Gettysburg Address) - mowa wygłoszona przez Abrahama Lincolna w czasie wojny secesyjnej, 19 listopada 1863, na uroczystości poświęcenia cmentarza na polu krwawej bitwy pod Gettysburgiem w dniach 1-3 lipca tegoż roku, która zepchnęła wojska Konfederacji do defensywy, przechylając tym samym szalę zwycięstwa na stronę Unii.

Zmiana, która zaszła we mnie, sięgnęła znacznie głębiej niż charakter pisma i znacznie, znacznie dalej niż takie zewnętrzne przejawy jak styl uczesania czy przyzwyczajenia dietetyczne - jakkolwiek postanowiłam w wieku dziewiętnastu lat zapuścić długie włosy, co nie było w modzie w połowie lat pięćdziesiątych, i odżegnałam się od jedzenia mięsa i białego cukru oraz od palenia papierosów.

Było lato, wróciłam właśnie do domu po pierwszym roku college'u. Zdarzyło się to od razu pierwszego rana po powrocie. Obudziłam się wcześniej w naszym wielkim, cichym, zapuszczonym domu rodzinnym w Ottawie i spojrzałam w górę, na sufit, na którym widniała długa, obła rysa, przypominająca garb na plecach jakiegoś starucha, krągło wybrzuszony u szczytu, stopniowo zanikający ku dołowi. Rysa ta biegła po suficie, jak daleko mogę sięgnąć pamięcią - od mojego wczesnego dzieciństwa. Była to pierwsza rzecz, jaką widziałam rano po przebudzeniu, i ostatnia, jaką widziałam wieczorem przed zaśnięciem - groźny zapis w tynku, sklepiony nade mną strach. Nie żebym się bała jej czarnoksięskich odniesień, dobry Boże, nie - wiedziałam doskonale, że takie antropomorfizowanie jest arbitralne i skrajnie indywidualne. Wiedziałam również, że inne, szczęśliwsze osoby mogą się w tym dopatrzeć rzeki zamiast ułomnych pleców albo mapy zaginionego ładu, albo nawet, przy odrobinie wyobraźni, góry z chińską pagodą, polaną bitą śmietaną. Widzimy to, co chcemy widzieć. Nasze postrzeżenia wypływają prosto z naszych najgłębszych potrzeb, tyle dowiadujemy się choćby ze „Wstępu do psychologii”, kursu, który był obowiązkowy w moim college'u. Nie. Tym, czego się lękałam w tej rysie na suficie, było jej uporczywe trwanie. To, że zawsze tam jest. Że natrętnie mi towarzyszy. Chce być częścią mnie.

Przywlokłam z sutereny drabinę, w nadziei, że sięgnę z niej sufitu. (Pokoje w naszym starym domu są groteskowo wysokie). Na półce w szopie ogrodowej znalazłam puszkę szpachłówki. Wymieszałam sobie dużą lepłą kulę i łopatką, którą wzięłam z szuflady kuchennej, zalepiłam całą długość rysy, przesuwając drabinę metr po metrze. Nigdy czegoś takiego nie robiłam, ale uważnie przestudiowałam wskazówki na puszcze i

wykonałam przyzwoitą robotę. Zawsze byłam staranna. „Bardzo staranna praca” - pisali profesorowie na moich pracach okresowych. Także: „Dobrze zorganizowana” i „Pełna werwy”.

Po półgodzinie, kiedy szpachlówka była sucha, wygładziłam ją papierem ściernym, pozwalając drobnym ziarnkom sypać mi się na głowę, wdychając kredowy pył, smakując go językiem. Doznania te nie były wcale przykre, wprost przeciwnie. Do czwartej po południu pomalowałam cały sufit, używając wałka na długiej rączce, a wieczorem, przed pójściem do łóżka, położyłam na to drugą warstwę farby.

Leżałam potem w ciemności, może nieco odurzona ciężkimi oparami lateksu, które spływały spod sufitu i w połowie drogi zderzały się z szaleńczymi, wstępującymi falami szczęścia. Sen nadszedł szybko; pragnęłam go; wyglądałam ranka; chciałam się obudzić o świcie i przyglądać na nowo odmianie, która powstała za moją przyczyną.

Dokonało się to naprawdę. Ewenement, rewelacja! Nikt z rozlicznych członków rodziny nie podniósł najmniejszego sprzeciwu wobec mojej determinacji, żeby połatać i odmalować sufit w swoim pokoju. Nikt nawet nie zapytał, po co mi drabina, dlaczego tłukę się w szopie w poszukiwaniu wałka do malowania, czy ta moja aktywność to chwilowy kaprys, czy też znaczący gest symboliczny. Zaskoczyło mnie to, ta ogólna aura tolerancji. Mamusia była oczywiście zaabsorbowana cotygodniowym felietonem ogrodniczym, który pisała do miejscowej gazety (sygnowała te felietony kryptonimem „Wasza Ogrodniczka”). Mój młodszy brat i siostra przyglądali się z zainteresowaniem, może nawet z odcieniem zazdrości - czemu nie przyszło im do głowy odnowić sufity w swoich pokojach? - a kuzynka Beverly, która zamieszkała u nas przed rokiem, pomagała mi, rozścielając gazety na dywanie i udzielając cennych rad, jak osiągnąć trudno dostępnych kątów. Co do tatusia, gdyby żył, pewnie próbowałby mi odradzać podejmowanie takiego brudnego i żmudnego zadania, szczególnie pierwszego dnia po powrocie do domu, ale nie mogę się oprzeć przekonaniu, że rozumiałby impuls, który mnie do tego popycha.

W ciągu jednego dnia odmieniłam swoje życie - moje życie było zatem odmienialne. Ten prosty pewnik nie domagał się egzegezy; wniknął w mój krwiobieg wprost, odurzający jak heroina; czułam jego wzbieranie i przepływ, czułam, jak rozjaśnia moje żyły do szklistego połysku. Obudziłam się tamtego ranka po powrocie ograniczona przypisanym losem, a zasypiałam w burzy własnej wolnej woli. Moje oczy miały się rano otworzyć na gładką powierzchnię możliwości. Sufit, który się ze mnie naigrawał, stał się teraz wspomnieniem wspomnienia. Nie tylko go zamalowałam. Ja go wymazałam. Tak jakby go nigdy nie było.

Następne, co postanowiłam, to stać się dobrą. Nie byłam osobą dobrą, ale uważałam, że mogę się nauczyć dobroci.

Na początek spaliłam w kominku swoje dawne pamiętniki i listy, które pisałam przez ten rok z college'u do domu, listy pełne fałszu i egzaltacji. Mamusia, która mnie na tym złapała, zaniepokoiła się.

- Możesz tego żałować - powiedziała. - Może będziesz kiedyś chciała spojrzeć wstecz i przekonać się, jaka byłaś w wieku dziesięciu, dwunastu czy szesnastu lat.

Ale ja wiedziałam, że nie będę potrzebowała pamiętników ani listów, żeby pobudzić pamięć. Dorastając, byłam złośliwą, rozpanoszoną siksą. Samolubną. Sprawiało mi przyjemność ranienie ludzkich uczuć. Młodszą siostrę, Joan, nazywałam Siusiumajtką, brata, Warrena, Trądzikiem. Kuzynką Beverly komenderowałam, jakby była najemną służką, i wiecznie jej wytykałam, że jej mała córeczka płacze w

pierwszych miesiącach życia. Był to tylko brzuszek, ale ja twierdziłam, że mała jest źle traktowana albo w ogóle jest coś nie w porządku z jej główką, i różne takie. Wycinałam wiecznie artykuły o przeróżnych dietach i czytałam je mamusi zimnym, obłudnym głosem, a o gazecie, do której pisze, nie wyrażałam się inaczej jak „ta prowincjonalna szmata”. Pamiętam dobrze, jaka byłam. Ludzie zwykli myśleć o pamięci jako o rozlewnym ujściu rzeki, ale moje wspomnienia przypominają bardziej wzburzone jezioro, bijące w osobę, którą się stałam. Miłą osobę. Wrażliwą osobę,

Zaczęłam być uważna; wsłuchiwałam się pilnie w motorek, który ruszał i zatrzymywał się w mojej głowie; było to jak odmawianie różańca, skomplikowane zadanie. Wkroczyłam w lato 1956 jako dziewczyna, a wyszłam jako kobieta. Kobiety, pojęłam, muszą krwawić, ale nie muszą być złe.

Reakcja rodzinna była zaskakująco nikła, jak przypadkowy odgłos odległego gongu - tak jakby moje wyskoki nie zasługiwały przez te wszystkie lata na nic prócz pobłażania. Alice ostatnio dojrzała, mówili. Alice stała się prawdziwą damą. Alice odnalazła siebie. Alice się uspokoiła. Alice pozbyła się swojej zadry, przestała zadzierać nosa, schowała rogi. Ale w końcu Alice była zawsze słodką przylepką, nieprawdaż? I okazało się, że jest do rany przyłoż. Tak, na Alice można liczyć, zawsze można było na nią liczyć.

Sami widzicie!

A oto profil naszej rodziny przed śmiercią tatusia i po niej.

Zanim odszedł (guz mózgu, złośliwy), stanowiliśmy słodką, zgraną rodzinę - dwoje kochających rodziców i troje zdrowych dzieci. Nasz tatuś był dyrektorem Instytutu Badań Rolnych, a dokonywane w nim prace nad nowymi odmianami zbóż przyniosły mu szerokie uznanie (doktoraty honorowe uniwersytetu w Guelph i uniwersytetu Stanu Iowa). Po przejściu na emeryturę, nie umiając nigdy być beczynnym, zaczął pisywać cotygodniowy felieton ogrodniczy do ottawskiego „Recordera”. Mamusia była pełne dwadzieścia trzy lata młodsza od tatusia i z tej różnicy wieku zrobiła sobie zawód i hobby - bycie młodą żoną starszego męża. Utrzymywało ją to w dziewczęcości, uczyniło mieszkanką wieży dziewczęstwa. Trwała w niej, bezpieczna, pod dobrą opieką. Siedziała w domu, pilnowała dzieci, szyła, sprzątała - chociaż stać ją było na pomoc domową - no, i uprawiała ogród. Ten jej ogród funkcjonował w jej życiu na kształt poetyckiej metafory. W naszym zresztą też. Przygotowywała obiady - pieczone, jarzyny, puddingi, ciasta, galaretki na deser. Jej posiłki były zaplanowane, nie przypadkowe. Cała rodzina zasiadała do starannie nakrytego stołu. Mamusia zawsze wymyślała na środek ozdoby kwiatowe - należała do klanu ówczesnych pań, które wierzyły w ukwiecone stoły. My, dzieci, przestrzegaliśmy manier stołowych. Mówiliśmy przyciszonymi głosami. Po zmyciu naczyń Joanie, Warren i ja, wszyscy troje, szliśmy bez upominania odrabiać lekcje. W środy wieczorem mieliśmy lekcje gry na fortepianie z niejaką panią Myrną Rassmussen. Przeżywaliśmy ją za plecami Truskawką, a dobroć tego przezwiska mówi wiele o tym, czym byliśmy i do czego byliśmy zdolni. W soboty chodziliśmy całą rodziną na spacer - żadne ze znajomych dzieci nie chodziło na rodzinne spacer - podczas których rodzice instruowali nas, ale nie natarczywie, jak rozpoznawać drzewa, krzewy, zioła i kwiaty rosnące w sąsiedztwie i na terenach farmy doświadczalnej.

Po śmierci tatusia - a nawet przedtem, w miesiącach, kiedy już rozpoznano jego chorobę - sprawy się szybko zmieniały. Obiady zaczęły się spóźniać albo pojawiać na stole wcześniej. Czasami były podawane w kuchni zamiast w jadalni i zamiast pieczonego dostawaliśmy peklowaną wołowinę z puszki albo grzanki z

serem. Mamusia po całych dniach nie zdejmowała fartucha, musieliśmy jej o nim przypominać, boby w nim wyszła na ulicę. Zaprzestała odkurzania. Wszystkiego. Wyszły nawet jej ukochane fiołki afrykańskie, nawet jej paprocie. Zaniedbania te dadzą się częściowo wytłumaczyć jej bólem i zagubieniem, co by było naturalne, ale powodem przemian było jeszcze coś innego. Krótkie dwa miesiące po pogrzebie taty mama przejęła jego felieton ogrodniczy, została „Waszą Ogrodniczką”. Stała się raptem kimś innym, osobą pracującą. Kobieta „zatrudnioną poza domem”, jak się mówiło w owych szczególnych czasach, chociaż faktycznie pisała swoje felietony w domu i wysyłała je do gazety pocztą, szła w każdą środę po południu na róg Torrington Crescent wrzucić tekst do skrzynki, tak żeby doszedł na czas do sobotniego numeru. Czy redaktor „Recordera” zaprosił ją do współpracy, czy sama się zgłosiła, tego się nigdy nie dowiedziałam. Dość że nagle zaczęliśmy ją widywać siedzącą przy biurku w rogu salonu, przy dawnym biurku tatusia, mozolącą się nad cotygodniowym felietonem, skrobiącą piórem kulkowym, od czasu do czasu podnoszącą wzrok znad papieru i pocierającą czoło jak ktoś, kto wysiła mózgownicę nad sformułowaniem, które by przemówiło do wyobraźni czytelników, a zarazem pozostało w zgodzie z prawdą botaniczną. Niekiedy wstawiała, podchodziła na moment do okna, po czym wracała do biurka i plasowała swoje coraz szersze biodra wygodnie w fotelu, gotowa do dalszego pisania. Okazało się, że ma zacięcie do tego rodzaju tekstów. Zaskoczyło to wszystkich. Było to tak, jakby przypadkiem zablądziła w swoje powołanie.

Potem z Saskatchewan przyjechała kuzynka Beverly w szóstym miesiącu ciąży, pękata jak beczka, i zainstalowała się w składziku na drugim piętrze. Ustalono było, że odda dziecko do adopcji, ale nigdy do tego nie doszło. Nie podjęto tego tematu. Urodziła się Wiktoria, śliczne donoszone dziecko, no i została w rodzinie. Sypiała z początku w koszyku w moim pokoju, ale potem Beverly przerobiła słoneczny pokój na dole na pokój dziecinnie, zastąpiła stare tapety w bluszczowe wzory nowymi, w jagniątki i pasterki.

Wszystko to dokonało się bardzo szybko. W 1954 byliśmy zwykłą przyjemną rodziną: państwo Barkerostwo Flettowie z trójką znośnych dzieci. Po czym - jakby piorun trzasł w nasz dom - pozostało tylko jedno z rodziców (roztargnione, zaabsorbowane), niezamężna matka z niemowlęciem cierpiącym na brzuszki oraz troje nastolatków: przewrotna Joan, posepny Warren i złośliwa Alice.

Jeśli myślicie, że wytrąciło to naszą mamę boleśnie z równowagi, to się mylicie. Chaos, jaki ogarnął nasz dom w 1955 roku, spłynął po niej jak wielka, przyjazna, wszechogarniająca fala. Wychynęła z niej na powierzchnię, z okrągłą twarzą zwróconą w górę ku słońcu, szczęśliwą.

Nie znaczy to, że nie nosiliśmy żałoby po tatusiu.

Był on wysokim, przygarbionym, przystojnym mężczyzną, który mimo siedemdziesiątki zachował gęstą czuprynę. Zaczesał ją z czoła w tył, na dziwną europejską modłę. Czoło miał wygładzone, białe, kamienne, czyste. Jego szeroka szyja pasowała dobrze do kołnierzyka i krawata, natomiast jego długie ręce i nogi i nieco niezdarna sztywność przypominały, że urodził się w zeszłym stuleciu jako wiejski chłopak i wychował w prowincjonalnej Manitobie. Chociaż łagodny i cierpliwy, był dla mnie kłopotliwym ojcem, zbyt ugrzecznionym, zbyt często odchrząkującym, czującym się zbyt niepewnie w swoim ciele, i za starym, o wiele za starym. Ale kiedy umarł, brakowało mi go.

Mamusi też go brakowało. W dniach bezpośrednio po pogrzebie zrobiła się bezwolna i nieruchawa, jakby łąpała powietrze przez nieprzepuszczalną błonę, jakby dzieje jej całego życia, wszystkich lat małżeństwa

spłynęły do ścieku. Po czym raptem, za jednym pociągnięciem, stała się „Waszą Ogrodniczką”. Dawna osobowość opadła z niej jak za duże palto.

Odtąd przez długie lata zasiada codziennie rano przy biurku, jeszcze w szlafroku i rannych pantoflach, i pisze ręcznie swoje felietony, pierwszą wersję, drugą wersję, trzecią, a potem sprawdza tekst przepisany przez kuzynkę Beverly na maszynie. Rdzawosiwe kędzierzawe włosy przesypują jej się po czole i uszach, czasami wyszczotkowane, zanim przystąpi do pracy, czasami nie. Zatraca się w tym, co robi, tak że nawet nie słyszy telefonu - nikt z nas nigdy nie podejrzewał jej o taką siłę koncentracji. W jednym tygodniu omawia, dajmy na to, rozkrzewianie lobelii, w następnym technikę aplegierowania fikusa. Kiedy nie pisze akurat nowego felietonu, odpowiada na listy czytelników - dostaje ich przeciętnie najmniej dwadzieścia tygodniowo - albo obmyśla następne tematy, albo rozkłada informacje ogrodnicze w dawnej kartotece tatusia. Robiła to wszystko przez pełne dziewięć lat, a teraz nagle to się urwało.

Straciła pracę. Felieton przejął facet nazwiskiem Pinky Fulham, a moja mama, w wieku pięćdziesięciu dziewięciu lat, dostała kopsa. Poszła na zieloną trawkę. Została wylana - i to wpędziło ją w rozpacz głębszą, rozleglejszą i dotkliwszą niż przez śmierć tatusia czy najgorsze wybryki dzieci. Rok temu siedziała przy biurku, włosy buzowały jej wokół głowy jak żywe, pióro sunęło po papierze. Była „Waszą Ogrodniczką”, znaną miejscową osobistością, a teraz jest z powrotem panią Flett. Doświadczała przez krótki okres, co znaczy mieć cel. Satysfakcja tworzenia. Dotyk wkładanego do koperty maszynopisu. A potem czek w poczcie. Teraz jest jak wielki magazyn smutku, z odrzuceniem i zapomnieniem wystawionymi na pokaz za niemymi witrynami, z napisem „Zamknięte”, z kłódką na drzwiach.

Ja mieszkam teraz o kilka tysięcy mil stąd, w Anglii - dokładnie w Hampstead - ale zostawiłam ukochanego męża Bena na pełne trzy tygodnie, a także naszych dwoje małych bąków, Benje i Judy, i przyjechałam taki szmat drogi przekonać się na własne oczy, jak sprawy stoją. Znajduję mamusię siedzącą w ogrodzie, ściskającą poręcz wiklinowego fotela, jej broda zrobiła się jakaś wklęsła i stara, okrągłe usta powtarzają bezradnie:

- Nie przeżyję tego. Nigdy się do tego nie przyzwyczaję.

Teoria Fraidy Hoyt

Nie przypuszczacie chyba, że Alice wierzy w rzeczywistą egzystencję swojej matki?

Prawda, kocha matkę. I prawda, jest dobrą córką. Czyż nie przyjechała przez całą wielką topiel, żeby ją wyrwać z jej obecnej chandry? Problem w tym, że Alice nie ma pojęcia, jak się do tego zabrać. Zakrawa to na ironię, ale Alice nie zna swojej matki dostatecznie długo, nie znała jej takiej, jaką ja znałam w Bloomingtonie, w Indianie, kiedy byłyśmy obie jedenastoletnimi smarkulami z mysimi ogonkami - prawdę mówiąc, to ja miałam mysie ogonki, a Daisy miała naturalnie kręjące się włosy. Jak ich nienawidziła, Boże! Nazywała siebie chodzącą purchawką. Później, kiedy w modę weszła fryzura na pudła, była zadowolona, ale wtedy, pod koniec lat czterdziestych, mieszkała już w Kanadzie, była żoną mężczyzny nazwiskiem Barker Flett i matką trojgu dzieciom.

Alice jest niewolnicą swojej natury. Zwariowana na punkcie pracy, nie przypomina w niczym dziewczyn z naszej epoki, miotających się między konwencjonalnością a buntem; ona ma poważne zainteresowania, mówiąc o nich, robi się czasami moralizatorska. Kończy dwadzieścia osiem lat, myślelibyście, że powinna być gdzieś wśród dzieci kwiatów, nieprawdaż, rozplýwać się nad pokojem i miłością, biwakować w publicznych parkach, brzdąkać na gitarze, palić trawkę i słodko zaprzepaszczać swoje życie. Otóż nie, ona wydała się statecznie za cacanego profesorka ekonomii, mieszka w baśniowym domku w Anglii, spłodziła dwoje doskonałych dzieci i opublikowała średnio przyjętą książkę pod tytułem *Wyobraźnia Czechowa*, a teraz pracuje nad drugą, w której analizuje kobiecą stronę jego charakteru - wyłożyła mi swoje tezy w liście wetkniętym w kartkę bożonarodzeniową. To jeszcze jedna cecha Alice - pisuje kartki gwiazdkowe. Ma tę nieodpartą potrzebę wyciągania ramion do swojej rozsianej rodzinki i przyjaciół, a jej miłosierdzie obejmuje dawne kumpelki matki, głównie mnie i Labinę Greene Dukes, która ostatnio przeniosła się na Florydę i która w jednym ze swoich listów do mnie określiła Alice jako Jej Świątobliwość Pannę Cnotkę.

W swoich liścikach i kartkach Alice tytułuje mnie „ciocią” Fraidy, a ja w tym jej ciociowaniu dopatruję się pewnej zaborczości. Ale także życzliwego szacunku. I miłości. Ostatni raz widziałam ją w Ottawie na chrzcie małej Judy. To jeszcze jeden osobliwy odcisk na psychice Alice - jest agnostyczką, która chrzci swoje dzieci. Mało tego, taska je przez ocean, żeby zostały namaszczone czystą, świętą wodą kanadyjską w obecności czystych i nieczystych członków rodziny i przyjaciół. Tradycja, twierdzi, jest cementem spajającym społeczeństwo; tradycja uwzniośla nasze najulotniejsze porywy; tradycja stanowi więź między mózgiem a mózdzkiem. Alice ma swoją teorię na temat każdego guzka, każdego guzika i każdego ludzkiego gestu. Czasem po parę teorii.

Po eklezjastycznym pokropieniu Judy w tym cudownym ottawskim ogrodzie stałyśmy we dwie z Alice z kieliszkami szampitra w dłoniach, dyskutując o *Micie kobiecości**. Widziałam zaskoczenie Alice, że ja to w ogóle czytałam. Wzorem wielu młodych uważa ona, że takie podstarzałe indywidua jak ja dawno zatrasnęły wszystkie swoje klapki i zasklepiły się w tępej rezygnacji co do przyszłości. Zrobiła wielkie oczy, kiedy zaczęłam podawać w wątpliwość entuzjizm Betty Friedan dla pracy jako ratunku.

**Mit kobiecości (The Feminine Mystique, 1963)* to pierwsza poważna próba określenia społecznej i kulturalnej roli współczesnej kobiety, jaka wyszła z krzepnącego wówczas ruchu feministycznego. Autorka, Betty Friedan (ur. 1921), szuka tu odpowiedzi na pytanie, dlaczego po pierwszych sukcesach ruchu kobiecego na początku stulecia większość kobiet z klas średnich pozwoliła się po drugiej wojnie światowej zamknąć z powrotem w domu. Panaceum widzi w pracy zawodowej.

- Nasza praca to my! - wykrzyknęła. - Nie można oddzielić pracy od naszego ja.

Ojej. Otworzyłam usta, żeby zaprotestować.

- Popatrz na moją matkę - przerwała Alice, zniżając głos, niewystarczająco jednak, i czyniąc gest w kierunku kwitnącego krzaka bzu, przy którym stała w kółku znajomych Daisy, roztyta teraz do potężnych rozmiarów, z małą Judy na ręku. - Nim została felietonistką w tutejszej gazecie, nie miała w ogóle poczucia własnej wartości. Najmniejszego! Jak się nad tym bliżej zastanowić, to funkcjonowała w społeczeństwie jako

coś w rodzaju niewolnicy. Nie wynagradzanej. Nie docenianej. Była nikim. Popatrz na nią teraz. Stała się... - Alice szukała słów, wskazując wciąż w kierunku rozkołysanego bzu - ...stała się, sama widzisz, pełnym człowiekiem.

Praca to praca, chciałam jej odpowiedzieć, już ja to chyba wiem. Siedzieć w zaciszu bibliotek i płodzić co kilka lat zgrabne monografijki to nie praca. Praca to budzik dzwoniący w zimowe poranki, kiedy jest ciemno i zimno, a tu zapomniałaś wyprasować zieloną bluzkę do szarego kostiumu, auto nawala, a nie masz w tym miesiącu pieniędzy na naprawę, bo rada nadzorcza Galerii Sztuki Hrabstwa Monroe od czterech lat nie pomyślała o podniesieniu ci pensji ani nawet o słówku uznania, a w dodatku zdarzają się całe przedpołudnia, kiedy żywa dusza nie wdepnie do galerii, a jak wreszcie pokażą się jacyś ludzie, to stoją i trują, chichoczą albo uśmiechają się głupio przed abstrakcjami, pouczają cię, że ich pociechy w przedszkolu potrafiłyby namalować coś równie dobrego lakierem do paznokci, a przecież (he, he) idą na to pieniądze podatników, podczas gdy tym, czego ludzie naprawdę by chcieli, tylko są zbyt zastraszeni, żeby to głośno powiedzieć, jest jakiś ładny pejzażyk, pola, niebo, horyzont biegnący prosto, jak powinien, na miłość boską. I co więcej? To posiedzenia z zarządem i bilansowanie ksiąg, i kampanie reklamowe, które jakoś zawsze spalają na panewce, i bezskuteczne kołatanie o fundusze, i gubione podania o dotacje, i katalogi przysyłane za późno z drukarni, i pomyleni pacykarze, którzy dzwonią o wszystkich porach dnia i nocy z żądaniem, żebyś obejrzała ich tekę, jeden mały rzucik oka, to twój obowiązek, twój psi obowiązek, jesteś w końcu tylko trochę lepszą urzędniczką.

A potem - przynajmniej ostatnio, odkąd odszedł Mel - wracasz do domu na jajecznicę i szklaneczkę burbona, może wstąpisz po drodze do biblioteki zobaczyć, jakie mają nowości, i idziesz wcześniej do łóżka, bo masz rozdzierający ból głowy, i może czasem przed zaśnięciem pomyślisz o starej przyjaciółce Daisy w Kanadzie, z jej trójką dzieci, i o dniach, które ma całe dla siebie, o tym, jak się krząta przez nikogo nie przynaglana, głosząc wszem wobec ewangelię *Dobrego Gospodarstwa*, czerpiąc satysfakcję z osiągnięć młodych, którzy wynagrodzą ją w końcu wawrzynem, powiedzą z czasem, jacy są jej wdzięczni, że była prawdziwą matką, nie urabiała sobie rąk dla świętego dolara jak jej dawna przyjaciółka Fraidy Hoyt z Bloomingtonu w Indianie.

Każda rodzina winna się od czasu do czasu poddać oglądowi osoby postronnej. W przeciwnym razie może się pogрузić w obłokach własnych fantazji, co moim zdaniem prowadzi prostą drogą do puszczenia wodzy kłamstwu i fikcjom rodem z błahych strzępów zakodowanej wspólnej przeszłości. U Flettów na przykład zapisany złotymi zgłoskami był zawsze etos pracy. Barker ze swoimi krzyżówkami zbóż. Alice ze swoimi Rosjanami. Warren ze swoją muzyką. Joanie ze swoją co ona, u diabła, właściwie robi w tym Nowym Meksyku? Nic zatem dziwnego, że przypisują załamanie Daisy utracie tego jej felietonu. Ja też tak myślałam przez pierwszy miesiąc czy dwa, ale stopniowo doszłam do wniosku, że pozbawienie jej „pracy” było jedynie impulsem, który wyzwolił straszliwą tęsknotę, tłumioną przez całe życie.

Myślę oczywiście o seksie, bo o czym by innym?

To nie znaczy, żebyśmy z Daisy rozmawiały o seksie. Nie rozmawiamy od dawna, od czasu kiedy jako młode dziewczyny próbowałyśmy zgłębić tajniki aktu płciowego. Jak długo on trwa? Jak bardzo boli? Czy powinno się podczas niego mówić, szeptać sobie słodkie słówka i tak dalej? Jakie to uczucie, kiedy się ma

orgazm, i skąd się wie, że się go ma. I czy to ważne, żeby go mieć, i nieuczciwie udawać, że się go ma, jak się nie ma? Takie rzeczy.

Po czym nagle rozmawiać o naszym życiu płciowym stało się *lèse-majesté*.

Obie, zdaje się, miałyśmy na to ochotę; każda, kiedyśmy się znalazły razem, robiła w tym kierunku niezdarne próby, ale jakoś nigdy nie znalazłyśmy wspólnego gruntu. Za wiele nas dzieli, zbyt wielki jest między nami rozdział, można by rzec. Wytworzyła się ta okropna dysproporcja. Daisy ze swoim zaharowanym Barkerem, osobowością bezpłciową, i może, a może nie, przelotnym zapomnieniem z redaktorem tej jej gazety, który się nazywał Jay Dudley i okazał w końcu wielką świnią, oddał ten jej felieton komuś innemu niby król namaszczający nowego feudała - oto do czego ogranicza się doświadczenie erotyczne Daisy, mizerne półtora kielka według moich obliczeń. A z drugiej strony ja z moimi pięćdziesięcioma trzema, a może czterema kochankami. Byłam zawsze po stronie dziania się, hałasu, ruchu, dziękowałam swojej szczęśliwej gwiazdzie i piłam toasty na cześć mojej pięćdziesięcioczeroosobowej armii - tak ich widzę, mała, elegancka armia, która maszeruje w promieniach słońca, padającego na ich piękne głowy i barki.

Bo ja notowałam. Jest to, być może, przyznanie się do małej perwersji, że mam notesik sięgający wstecz do 1927 roku, w którym zapisuję daty, inicjały, odniesienia geograficzne i zakodowane szczegóły, takie jak czas trwania, pozycja, powtórzenia, stopień responsu i tym podobne.

Mojego widmowego pięćdziesiątego czwartego kochanka spotkałam kilka tygodni temu w slipingu do Ottawy. Nie podaliśmy sobie nazwisk, wymieniliśmy kilka urywkowych, płaczkliwych zwierzeń. Wypiliśmy wspólnie zbyt dużo burbona w wagonie klubowym, zrobiła się późna godzina i kochaliśmy się albo nie, nim nas zamroczyło, oboje żałośnie goli na szorstkim kocu mojego dolnego łóżka. Majaczy mi się chyba napierający na mnie różowy, fałdzisty męski brzuch. No i mętne wspomnienie, jakby na czarno-białym filmie, żeśmy się hałaśliwie zachowywali i zrobili z siebie widowisko. Faceta - dzięki Bogu - nie było, kiedy otworzyłam rano oczy. A moje ciało, moje sześćdziesięcioletnie ciało (Jezuniu!) wołało nie zarejestrować, co zaszło, nic prócz lekkiego otarcia „tam w dole”, które mogło być spowodowane wszystkim, suchością niewiadomego pochodzenia. Tak więc, zamiast zwykłych danych, do notesika trafił znak zapytania. W tym znaku dopatruję się możliwego zakończenia mojego życia erotycznego. Łączy się z tym coś na kształt wstydu, chociaż nie zamierzam tego jeszcze przyznać.

Czego chcą kobiety? - pytał Freud. Stary głupiec, szarlatan. Dobrze wiedział, czego chcą. Nie chcą niczego. Nic nie jest dla nich wystarczająco dobre. Każdy to wie. Każdy prócz mnie.

Powodem, dla którego jechałam do Ottawy, była chęć pocieszenia starej przyjaciółki w potrzebie. Napisała mi, żebym nie przyjeżdżała, że ma opiekunkę w osobie bratanicy Beverly, a nie nadaje się w obecnym stanie do towarzystwa, ale ja oczywiście pojechałam. Sądziłam błędnie, że zdołam ją popchnąć w przeszłość, do słoneczniejszych dni, odgrzać stare historyjki, szalone, sentymentalne, sięgające do źródeł dawnej serdeczności między nami. Łudziłam się, że po paru dniach poruszymy zakazany temat seksu, wyzwolimy i odświeżymy nasze skryte myśli.

W życiu przychodzi okres - zetknęłam się z tym - kiedy kobiety mają ochotę się odsłonić. Całe roztropne współczucie Alice będzie niczym w porównaniu z chwilą zwierzeń, którymi się dzielą stare przyjaciółki. Nasze ja jest zakrzywione jak przestrzeń - próbowałam powiedzieć towarzysze lat dziewczęcych

- i człowiek może wielokrotnie wracać do świeżości wczesnych ekscytacji. Spazm miłosny, mimo swej odstrę-
odstręczającej wstydlivosti i niewygody, jest sposobem, w jaki wkraczamy w rejony ekstazy. Jedy-
nym sposobem. Jest siłą znacznie ciemniejszą i potężniejszą, niż nam się śniło, kiedy jako dziewczyny paplałyśmy o
orgazmach i solnych irygacjach. Chciałam jej opowiedzieć o profesorze Popkowie, który mnie pierwszy
uwiódł, o Giorgiu z jego nieskończonymi sportowymi wariacjami (nazywałam go Wielką Gonadą), o biednym
Melu, który wytrzymał tylko cztery lata, nim odpłynął w stan nieważkości. Miałam zamiar nic nie ukrywać, nawet
tej ostatniej żalostnej przygody w pociągu. Wmówiłam sobie, że otwarta konfrontacja wyważy to coś, co
paraliżuje szczęście Daisy i czyni z niej kobietę szaloną.

Ale tygodniowy pobyt okazał się katastrofą. Daisy nie dała się wywabić ze swego zaciemnionego
pokoju; leżała na wznak, z bolesnym skurczem mięśni szyi i ramion, z królewskimi kilogramami opadającymi z
niej jeden po drugim.

- Nie każ mi udawać, że nadaję się do życia - powiedziała mi raz, kiedy jej przyniosłam lunch. - To zbyt
wielki wysiłek.

Wróciwszy do Bloomingtonu, napisałam do niej list pełen monstualnego entuzjazmu. O przyszłości. O
słońcu, które się przebija przez chmury. O radości przyszłych pokoleń. I tak dalej, i tak dalej.

Po tygodniu otrzymałam kopertę zaadresowaną jej charakterem pisma. W środku ani słówka, tylko mój
kieszonkowy notes z sekretnymi zapiskami. Musiał mi wypaść na dywan, kiedy zamykałam walizkę.

Teoria kuzynki Beverly

Dziesięć lat temu w Saskatchewan napytałam sobie okropnej biedy. Nie dość, że się poważylam na
rozwód - a w tym czasie, tak, tak, moi drodzy, to była w tej naszej zabitej deskami dziurze prawdziwa zbrodnia
dla kobiety - to jeszcze się wpakowałam w coś stokroć gorszego. Dwa krótkie lata potem, jak wykopałam z
domu mego męża Jerry'ego (pijaka od pierwszego dnia), pozwoliłam zmaistrować sobie dziecko Leonardowi
Mazurkiewiczowi (żonatemu, ma się rozumieć), który pracował w wytwórni marynat, a którego idea kochania
się - dreszcz mnie przechodzi na samą myśl o tym... W każdym razie było to niewarte zachodu, trzy minuty
głośnego sapania i nieświeżego oddechu, i bęc, byłam przy nadziei.

Uciekłabym może do Calgary, ale zabrakło mi odwagi. Wyobrażacie sobie, ja i strach, ja, która byłam
podczas wojny w Kobiecej Służbie Pomocniczej Marynarki. Czego ja nie przeżyłam w Anglii -
bombardowania i różne rzeczy. Nie brakowało mi odwagi za młodych lat. Po czym wróciłam po skończonej
wojnie do Saskatchewanu i uszła ze mnie cała para. Pojawił się Jerry, zaczął mi wiercić dziurę w brzuchu,
żebym za niego wyszła. On, rodzice, siostry. Wszyscy. Mało mnie nie rozszarpali. Poszło migiem. Zabawna
rzecz, że z Jerryem w żaden sposób nie mogłam zająć w ciąży. Jakich myśmy się nie chwywali sztuczek! Ha, a po
jednym nocnym numerze z Leonardem Mazurkiewiczem, jedynym jedynym, byłam załatwiona. Niektóre
dziewczeta jak wdepną w taki pasztet, szukają wyjścia w samobójstwie, ale mnie to na minutę nie postalo w
głowie, może dlatego, że mogłam zamknąć oczy, kiedy chciałam, i przypomnieć sobie, jaka byłam w tej Anglii
pełna odwagi i fantazji - ten obraz błyskał mi przed oczami jak reklama świetlna czy film na ekranie - jaka ja

wtedy byłam bombowa, i myślałam sobie, że może uda mi się znowu stać taką, ale nie jak popełnię samobójstwo, wtedy już na pewno nie.

Przygarnęła mnie ciocia Daisy z Ottawy. Stałam się członkiem rodziny. Pozwoliła mi pomalować na białe i różowo składowiki na poddaszu, zawiesić firanki, i miałam swój własny pokój, nikt mi nie łąził po głowie, a potem, jak się urodziła Wiktoria, ciocia powiedziała: „Wyporządkuj dla małej słoneczny pokój na dole”, co też zrobiłam.

Wiktoria Luiza ważyła prawie cztery kilo po urodzeniu, co jest zdumiewające, jeśli wziąć pod uwagę, że ja ważę wszystkiego czterdzieści pięć, jestem chuda, jak wszyscy w rodzinie Flettów, i mała, jak krewni ze strony mamy. Wiktoria była niekłopotliwym dzieckiem, jak tylko się skończyły problemy z jej brzuszkiem. Urodziła się z bujnymi, miękkimi blond włoskami. Ma teraz dziewięć lat, a jaka z niej ładna panienka! Dzięki Bogu, nie oddałam jej do adopcji, jak planowałam. Dogłądałam jej, szyję jej sama sukieneczki, chodzę na wywiadówki do szkoły, rozmawiam z jej wychowawczynią, wszystko, co trzeba, a w domu pilnuję, żeby się zachowywała cicho i nie denerwowała cioci Daisy. Zajmuję się także gospodarstwem, gotuję zwykle dla całej rodziny i dorabiam sobie trochę na boku przepisami na maszynie polis ubezpieczeniowych. A ostatnio opiekuję się ciocią Daisy, która popadła w depresję.

Jeśli chodzi o moje zdanie, to uważam, że powodem jej załamania nie była ani ta zmiana życiowa, ani jej alergie. Myślę, że dobiły ją dzieci. Jako wdowa poczuwa się do szczególnej odpowiedzialności za nie, ja to rozumiem. A poza tym niektórzy ludzie mają wrodzone skłonności do martwienia się. Ciocia zamartwiała się stale o najstarszą córkę, Alice, która umiała pokazać rogi, oj, umiała. Potem przez pewien czas martwiła się o Warrena, który był miłym dzieckiem, ale okropną ofermą. Jako chłopiec miał ten naprawdę paskudny trądzik i przez to był taki nieśmiały i ofermowaty, ale jak wiadomo, w pewnym wieku człowiek przestaje być „ofermą”, robi się „słodkim” albo „indywidualistą”. To prawidłowość, którą zauważyłam. Warren wyrósł teraz na młodego mężczyznę - cera mu się znacznie poprawiła - i studiuje w Rochester w stanie Nowy Jork, zrobił magisterium z teorii muzyki, był pierwszy na swoim roku, dostał złoty medal. Ciocia Daisy miała zamiar pojechać na promocję, kupiła sobie nawet śliczny kapelusik, zielony toczek, ale teraz to nie wchodzi w rachubę. Ledwo może się zwlec z łóżka, leży po całych dniach w ciemności, ciągle płacze i miętosi tylko w palcach pościel, zwija ją, jakby chciała ukręcić komuś kark. Myślę, że trapi się teraz o Joan, małą Joanie, ulubienicę rodziny, rozpaskudzoną do obrzydliwości, ale bystrą jak skra. Tylko że ta mała królowna pali teraz marihuanę i wyczynia Bóg wie co, nie wiem, co tam wyprawiają hippisi. Pisze, że sprzedaje biżuterię w tym Nowym Meksyku, ale założyłabym się o ostatniego dolara, że sprzedaje coś więcej. Nie dziw, że łamie matce serce. Mnie też serce się kraje, jak na to patrzę. Ciocia Daisy uratowała mi życie, bez przesady, przyjmując mnie i Wiktoria do swego domu, i teraz ja bym chciała uratować jej życie, ale tego może dokonać tylko ona sama. Człowiek może się doprowadzić do choroby i może się z niej wydzwignąć siłą woli, takie jest moje osobiste zdanie.

Teoria Warrena

Mama jest kobietą wykształconą, ale nigdy byście się tego po niej nie domyślili. Ukończyła w 1926 roku filologię w College'u Longa dla Kobiet, lecz jeśli ją spytacie, gdzie ma dyplom, wrzuci ramionami. Naktąłem się kiedyś na poddaszu na karton pełen szpargałów - było to wtedy, kiedy wysprzątaaliśmy składzik, żeby mogła się tam urządzić kuzynka Bevery - i znalazłem w nim gruby plik prac napisanych przez mamę w trakcie studiów. Był wśród nich referat zatytułowany *Camillo Cavour: mąż stanu i wizjoner*. Nie chciało mi się wierzyć, że mama słyszała o kimś takim jak Camillo Cavour (ja tam nie słyszałem) i że mogła serio, a nawet z entuzjazmem pisać o jakimś zapomnianym epizodzie z dziewiętnastowiecznej historii Włoch. Atrament pozostał po tylu latach wyraźny i czytelny, charakter pisma cechował się tymi samymi co dzisiaj krągłościami i pauzami, jej był sposób akapitowania i górnolotne zakończenie. „Włosi na całym świecie mają olbrzymi dług wdzięczności wobec tego monolitycznego bohatera, który walczył o prawa swoich rodaków...”

Gdzie się podziała dawna swoboda i energia intelektualna mamy? Nigdy za naszej pamięci nie zająknęła się nawet do nikogo z rodziny o walce Włochów o niepodległość. Ani o dziewiętnastym wieku w ogóle. Ani o swojej teorii na temat śródziemnomorskich miast-państw, tak jasno wyłożonej w referacie z 1926 roku. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że może ją obchodzić ciężki los włoskich chłopów. Prawdę mówiąc, nie przypominam sobie, żebym ją widział kiedykolwiek czytającą książkę, może z wyjątkiem jakiegoś romansu wypożyczonego z biblioteki albo broszurki o tym, jak najlepiej hodować dalie. Kiedy pomyślę o tym jej referacie o Camillo Cavourze, czuję się oszukany, jakbym odkrył jakiś przewrotny spisek, szpetny sekret zamknięty w kartonie i zagrzebany wśród rupieci na strychu. A potem myślę: jeśli ja się czuję oszukany, o ileż bardziej oszukana musi się czuć ona. Nosi wieczną żalobę po takim roztrwonieniu siebie. Coś czy ktoś odciął jej głowę, wyrwał język. Mama jest osobą w średnim wieku, należy do klasy średniej, jest kobietą przeciętnej inteligencji i przeciętnego mniemania o sobie, umiarkowanie szczęśliwą, należałoby się więc spodziewać, że wyląduje gdzieś pośrodku świata. Tymczasem wylądowała na jego krawędzi. Najmniejszy wstrząs może ją strącić w przepaść.

Teoria Joan

Mamusia zachorowała w tym roku, wszyscy określają to jako załamanie nerwowe, więc Alice przysłała mi pieniądze, żebym pojechała do domu, odwiedziła ją. Napisała długi, długi list, w którym wywodzi, że przemyślała sprawę i doszła do wniosku, że ja jestem jedyną osobą, która może podnieść mamusię na duchu, że moja obecność podziela na nią jak „najlepszy lek”. Jest w tym cała Alice - ona zawsze wyznacza ludziom role.

Spodziewałam się, że zastanę mamusię w stanie otepienia, tymczasem zastałam ją w stanie furii. Okazuje się, że felieton ogrodniczy zabrał jej osobnik nazwiskiem Pinky Fulham, i godziny, które spędzała dotąd na pisaniu o rabatkach i flancach, mamusia poświęca teraz seansom nienawiści do tego Pinky'ego. Nie potrafi myśleć ani mówić o niczym innym. Zredukowała swoją perspektywę do tego jednego aktu niesprawiedliwości, bijąc pięściami, odgrywa w nieskończoność scenę ostatecznej rozprawy z nim, odpłaty za niewybaczalne rzeczy, jakie zrobił i napisał, szczególnie za jego końcową uwagę, która podobno brzmiała mniej więcej tak: „Mam nadzieję, że to nieporozumienie nie wpłynie na nasze przyjazne stosunki”. Facet powiedział to beztrąsko, bezmyślnie, tak jak ludzie wypowiadają podobne zdania, i nie zauważył w ogóle, jak

głęboko ugodzona została mamusia, jak zdruzgotana jest takim zdawkowym skwitowaniem sprawy, taką nieuczulością.

Mamusia nie może tego zapomnieć. Leży w łóżku i przeżywa wciąż na nowo końcową wymianę zdań - jak poszła do redakcji „Recordera” błagać go i jak on się do niej odwrócił i wypowiedział tę niemożliwą rzecz: „Mam nadzieję, że to nieporozumienie nie wpłynie na nasze przyjazne stosunki”. Mamusia odgrywa przede mną tę scenę raz po raz, głos ma przy tym piskliwy, płacze, trzęsie histerycznie głową, apelując do mnie o uczestnictwo w dramacie swego cierpienia.

Wystarczyło parę dni spędzonych w domu, żebym się zorientowała, że ona się tym upaja - czystą, nagą siłą swojej nienawiści do Pinky'ego Fulhama, rozkoszą bycia skrzywdzoną. Jest w tym coś majestatycznego. Nic w życiu nie wyniosło jej na takie wyżyny intensywności, więc czemuż nie miałyby się tym napawać, tą krzywdą doskonałą, tym kruszcem skamieniałego bólu?

Trzymałam ją za rękę i pozwalałam jej szaleć.

Teoria Jaya Dudleya

Oczywiście, że czuję się winny temu, co zaszło, chociaż nigdy nie mydliłem jej oczu, jak to się mówi. (Dość mi było jednego małżeństwa, przyznaję). Jednakże bardzo, bardzo ją lubiłem. Mieliśmy swoje momenty, szczególnie jeden na tym jej śmiesznym, staromodnym łożu z wyściełanym zagłówkiem, zupełnie jak w filmie z lat trzydziestych. Było to przyjemne, więcej niż przyjemne, ale spostrzegłem, że jej się roi bardziej trwałe związki. Nie znaczy, żeby coś takiego napomykała, w każdym razie nie wprost, jednakże uważałem za wskazane odsunąć się trochę. Do głowy mi nie przyszło, że weźmie to sobie tak do serca, że nasza „przyjaźń” - bo nie było to nic więcej - dla niej oznacza coś innego.

Teoria Labiny Anthony Greene Dukes

Wychodząc w 1927 roku za Dicka Greene'a, myślałam, że biorę za męża kogoś silnego. Trzymał się prosto, koszulę nosił równo wetkniętą w spodnie, buty miał wypucowane do glansu. Grał w tenisa, pływał w reprezentacji uniwersyteckiej. Lubiłam patrzeć na jego opaloną, rasową twarz, uwielbiałam sposób, w jaki opadała mu czasem szczęka, kiedy się intensywnie przysłuchiwał, co ktoś mówi. Ta miękkość szczęki utrzymywała mnie przez lata w upojnej, bacznej, skupionej naiwności. Miał ostrożny, niemal pokorny sposób trzymania ramion, jakby były mu pożyczone, jakby mogły się załamać.

Ale załamać to ja się załamałam. Tymi, co się załamują, zawsze są kobiety. Tyle że nie za sprawą jednego wielkiego zawodu. Jest to raczej tysiąc drobnych zawodów, spływających na głowę jeden po drugim. Robi się z tego w końcu powódź i ani się spostrzeżesz, jak toniesz.

Teoria Kory-Mae Milltown

Biedne stworzenie bez matki! Pamiętam, jakby to było dziś, pierwszy raz, kiedy ją zobaczyłam na oczy. Miała jedenaście lat, zajechała z ojcem taksówką przed dom na Vinegar Hill, a ja tu jeszcze po łokcie w mydlinach, niegotowa na ich przyjazd, nawet nie zaczęłam sprzątać kuchni. Już miałam zapytać: „A gdzie twoja mamusia?” - ale dzięki Bogu zasznurowałam usta, bo nie było żadnej mamusi, wzięła i umarła wiele lat temu, życie z niej uszło, kiedy rodziła tę gałgankową dziewczynkę. Opowiedział mi to sam pan Goodwill. Tragedia. Ale to było dopiero, kiedyśmy się bliżej poznali.

Przyjechał z Kanady, więc nie był nawykły do kolorowych i rozmawiał ze mną o tym i o tamtym, o wszystkim.

- Koro-Mae - mówi - mała potrzebuje kobiety w domu, musi się uczyć różnych rzeczy, musi mieć towarzystwo, kiedy ja wychodzę. Widzisz, najpierw umarła jej matka, a potem stara ciotka, która się nią opiekowała w Kanadzie, i teraz biedaczka nie ma na świecie nikogo prócz mnie.

Tak zostałam przychodnią u pana Goodwilla przez cały tydzień zamiast tylko w środy, jak mnie najęło towarzystwo. Mówię o Towarzystwie Eksploatacji Wapienia Stanu Indiana, które ściągnęło pana Goodwilla taki szmat świata do Bloomingtonu. Wdowca z dziewczynką. To było jakoś w 1916, kiedy Orren służył za morzem, nogę mu strzaskąło na miazgę, tylko że wtedy o tym jeszcze nie wiedziałam. Tego roku na jesieni nasza własna Lucille kończyła sześć lat i szła do szkoły, więc mówię do pana Goodwilla, dobrze, będę przychodziła wcześniej, ugotuję śniadanie, dopatrzę, żeby mała była ubrana czysto i ładnie do szkoły, posprzątam w domu, popiore, będę robić wszystko. Dwa dolary dziennie mi płacił, trzy, jak się przeprowadzili do tego wielkiego domu, to była wtedy przyzwoita płaca dla kolorowej pomocy.

Traktowali mnie dobrze. Pan Goodwill to lubił pożartować. Czasami zaglądał i podrzucał na kuchennym stole torebkę pączków. „Co to?” - pytałam, a on mówił: „Ktoś widać to dla ciebie zostawił, Koro-Mae, taki mały gościniec do kawy”.

Brałam się do odkurzania, siania łóżek, woskowania mebli, jak było trzeba, a potem przysiadalam z filiżanką kawy i pączkiem, żeby odsapnąć. Jak mała była z jakiegoś powodu w domu, nie w szkole, to siadała razem ze mną, zjadała także pączka, wypijała szklankę mleka. Raz obróciła się do mnie i pyta:

- Dlaczego ty jesz pączka widelcem, Koro-Mae?

- Nie wiem - mówię, bo i nie wiedziałam.

- Nigdy nie widziałam, żeby ktoś tak jadł pączka - powiedziała, cała zdziwiona.

Nie umiałam rozgryźć, czy uważa, że jestem źle wychowana, bezczelność to czy tylko ciekawość jak zawsze u mojej Lucille. Trzymałam język za zębami, starałam się nie gderać i nie łąjać za bardzo, jak co zrobiła. „Pamiętaj, biedny dzieciak nie ma matki - mówiłam sobie - a nie ma gorszej rzeczy na świecie jak wychowywać się bez matki”.

Dalej tak w duszy myślę. Moja Lucille mieszka teraz w dalekiej Kalifornii, ma własną rodzinę, piękny dom w stylu ranczerskim, a ja nie widziałam jej od... ilu to? - sześciu, siedmiu lat. Rzadko kiedy usiądzie, żeby napisać list do domu, i nie mam jej tego wcale za złe, musi teraz chodzić koło swojej rodziny. Jej mamcia jest dla niej tylko poźółkłą kartką, czymś z zamierzchłej przeszłości, tak jak moja mamcia dla mnie. Można

mrugnąć okiem i zniknie. Ale nie można jej całkiem wymazać. Matka zawsze w tobie pozostanie. Czujesz, jak się porusza, jak oddycha, czasami słyszysz, jak do ciebie mówi, powtarza wciąż to samo: „Pilnuj się, uważaj, bądź grzeczna, nie zrób sobie krzywdy”.

No, i dlatego przywiązałam się do dziewczynki pana Goodwilla tak, jak się przywiązałam. Prasowałam jej sukieneczkę albo szciotkowałam włosy i myślałam: „Ma mnie jedną. Nie jestem dla niej nawet w połowie mamcią, ale jestem jedyną mamcią, jaką będzie kiedykolwiek miała. Jak odnajdzie swoją drogę? Jak znajdzie w życiu szczęście?” Wpatrywałam się i wpatrywałam w przyszłość, i wszystko, co przed nią widziałam, to ciemna pustka, czarniejsza niż najczarniejsza noc.

Teoria Skoota Skutariego

Mój dziadek urodził się na wsi w północnej Albanii w rodzinie ubogich Żydów. Mając osiemnaście lat, opuścił dom, powiedział rodzicom, że powędruje do Jerozolimy. Zamiast tego pojechał do Skutari (którego nazwę dodał do swego nazwiska), a potem wsiadł na statek płynący na Malte. Stamtąd dostał się do Lizbony, skąd popłynął do Montrealu. W 1897 roku mieszkał w Manitobie, gdzie zarabiał na życie, jeżdżąc od osady do osady jako domokrażny handlarz artykułów pierwszej potrzeby. Jego pełne nazwisko brzmiało Abram Gozhde Skutari. Wybił się o własnych siłach, został milionerem, założycielem i właścicielem sieci sklepów.

W tamtych wczesnych latach był jednak załóżnie biedny, a życie wiejskiego handlarza, jakie prowadził, obfitowało w upokorzenia. Pomiatali nim farmerzy i mieszkańcy małych miasteczek, którzy skądinąd polegali na nim jako dostawcy najniezbędniejszych towarów. Nazywali go starym Żydem. Nikt z nich nie miał na tyle przyzwoitości, żeby go choćby spytać, jak się nazywa, gdzie mieszka, czy ma rodzinę. Mężczyźni odmawiali mu podania ręki, zupełnie jakby był zawszony. Bolało go to okropnie, nigdy nie zapomniał tej obrazy.

Po czym nagle pojawił się Dom Sprzedaży Wysyłkowej Eatona i wędrowni handlarze przestali być ludziom potrzebni. Okazało się, że łatwiej i taniej jest wysłać pocztą do Winnipegu zamówienie na pastę do butów i wstążki do włosów. Z czego odtąd Abram Skutari miał utrzymywać żonę Elenę (moją babkę Lenę) i małego synka (mojego stryja Jacoba)?

Przyszło mu do głowy, żeby wystąpić o pożyczkę do banku i założyć sklep, zacząć sprzedawać ubrania robocze, różne urządzenia zabezpieczające, sprzęt pożarniczy i wiertniczy, w ogóle wszystko, co pomijał katalog wysyłkowy Eatona w tamtym 1905 roku. No, i rowery. Mój dziadek był przekonany, że rowery to artykuł przyszłości. Nastawała era samochodów, prawda, ale rozglądając się dokoła, dziadek widział, że każdy młody człowiek w Winnipegu będzie wkrótce chciał mieć jeden z tych nowych, masowo produkowanych rowerów, które wchodziły na rynek.

Nie miał jednak odwagi wystąpić o pożyczkę, jego noga nigdy dotąd nie postąpiła w banku, a już na pewno nie w Royal Banku, imponującej świątyni z kamienia i marmuru w samym sercu Winnipegu, na rogu ulicy Głównej i Portage. Był człowiekiem, który nigdy nie posiadał krawata. Mówił łamanym językiem. Niewykluczone, iż rzeczywiście miał wszy, wielu ludzi je miało w owej epoce. Zaszło jednak coś, co natchnęło mego dziadka odwagą. Było to zdarzenie, którego stał się świadkiem, incydent, który odmienił jego życie.

Wydarzyło się to latem 1905, w trakcie jednego z jego objazdów handlowych konnym wozem, wyładowanym towarami. Było wczesne popołudnie. Zajechał do małego miasteczka w Manitobie, osady równie smętnej jak każdy *shtetl* we wschodniej Europie. Miasteczko należało w tym czasie do towarzystwa eksploatującego pobliski kamieniołom, gdzie wydobywano wyjątkowej jakości wapień. Los chciał, że przejeżdżając owego dnia koło jednego z domków robotniczych, dziadek usłyszał jęki, jakby osoby cierpiącej wielkie bóle. Nie zastanawiając się, nie stukając, wszedł tylnym wejściem.

Zastał tam kobietę, która leżała bez opieki w kuchni, z rozłożonymi nogami, i rodziła dziecko. Zobaczył wychodzącą już główkę. Nie wiedział, co robić. Rodzenie to była sprawa kobieca - tak ludzie uważali w owych czasach, a już szczególnie Żyd wychowany w starym kraju, tak jak mój dziadek.

W sąsiednim domku kobieta wieszała na sznurze pranie, więc dziadek wezwał ją na pomoc. Potem pobiegł na drugi koniec miasteczka, gdzie mieszkał doktor. Dzień był gorący, do końca życia pamiętał kurz i upał. Kiedy dotarli z powrotem do domu, kobieta umierała. I to na moim dziadku, Abramie Skutarim, starym Żydzie, spoczęło jej ostatnie spojrzenie - kuchnia była pełna ludzi, ale na nim kobieta zatrzymała wzrok. Przysięgał później, że widział, jak jej twarz wypełnia się jego przerażeniem; wchłonęła je i umarła.

Dziecko ciągle żyło i oddychało. Trwało minutę, nim dziadek to pojął. W kuchni była okropna duchota, panował zgiełk i zamieszanie, wszyscy pochylali się nad zmarłą. A na kuchennym stole leżało niemowlę zawinięte w prześcieradło. Wargi mu się poruszały, drżały, i po tym dziadek poznał, że żyje. Nikt na nie nie zwracał uwagi. Zupełnie jakby go nie było. Jakby na stole leżała buła ciasta, pozostawiona przez zapomnienie.

Wyciągnął rękę, dotknął policzka dziecka i doznał nagłej, nieprzeparłej potrzeby ofiarowania mu czegoś, jakiegoś błogosławieństwa. Nigdy nie rozumiał, skąd mu się wzięła ta potrzeba, ale wyznał kiedyś mojemu ojcu, który lubił tę historię powtarzać, że przejęła go do głębi samotność dziecka. Była to samotność skrajnego, nieuleczalnego gatunku, samotność taka, na jaką sam cierpiał, odkąd, mając osiemnaście lat, opuścił dom rodzinny.

W kieszeni nosił wiekową monetę ze starego kraju. Umieścił ją na czole niemowlęcia i przez chwilę się przypatrywał, jak prześcieradło podnosi się lekko i opada pod jego oddechem. „Na szczęście” - powiedział po albańsku, po turecku, po żydowsku czy może po angielsku. Powtórzył to jeszcze raz, na szczęście, ale miał wrażenie, jakby błogosławił kamień, jakby nic dobrego nie mogło wyjść z jego ust. Czuł się słaby, jak człowiek z papieru i słomy. Czuł się, jakby w ogóle nie był człowiekiem, jakby już był martwy.

Nie zdawał sobie sprawy, że płacze, dopóki nie poczuł na ramieniu ciężaru czyjejś ręki. Był to doktor, który również płakał. Stali tak razem. Ich łzy się mieszały.

Mieszały - było to słowo, którego dziadek używał, opowiadając tę historię. „Nasze łzy się mieszały”. Ręka drugiego mężczyzny na jego ramieniu była jak ręka brata, pod jej dotknięciem dziadek szlochał coraz głośniejsze.

Potem wszyscy po kolei podpisywali akt zgonu i akt urodzenia, nawet mój dziadek. Obecni nie posiadali się ze zdumienia, że umie pisać. Kaligrafując: „Abram Gozdhe Skutari” - poczuł, jak w jego ciało wstępuje siła. Słyszał muzykę swego serca. Czuł, że od tej chwili będzie zdolny do wszystkiego, zdolny nawet wmaszerować do Royal Banku na rogu ulicy Głównej i Portage i poprosić o pożyczkę.

Ale smutek osieroconego niemowlęcia nigdy go nie opuścił. Przysięgał, że nigdy w życiu nie widział tak smutnej istoty. Żył długo, dorobił się miliona dolarów, kochał żonę i był dobrym ojcem dla swoich synów. Lecz do końca swoich dni bolał nad tym niemowlęciem, nad przekleństwem, które nad nim wisiało, nad jego straszliwą udręką.

Teoria pani Flett

Z pewnością nikt by nie przypuścił, że z teorią na temat swojego cierpienia wystąpi sama pani Flett. Biedaczka ma umysł tak wyjałowiony i pusty, że nie może zebrać sił, by wyszczotkować włosy, a cóż dopiero wysnuć teorię. Teoretyzowanie dokonuje się w spokojnej, jasnej głowie, a głowa pani Flett jest zacadzona zawodem i gniewem. Pani Flett się załamała. Jest w straszliwym stanie, nadaje się do domu wariatów. W świetle poranka jej poczucie krzywdy wydaje się przejściowe, ale w nocy słyszy głosy, które być może są echem miotania się jej własnej duszy. Ślizga się ona po szwach dawnych krzywd, szczególnie starej, niczym nie mitygowanej trwogi opuszczenia. Gdzieś po drodze pani Flett podjęła decyzję egzystowania poza wydarzeniami; albo też podjęto tę decyzję za nią. Napisz książkę ogrodniczą, radzi córka Alice. Wybierz się w podróż dookoła świata, mówi Fraidy Hoyt. Zapisz się na jakieś kursy uniwersyteckie. Naucz się tkactwa. Zainteresuj się zastrzykami przeciwuczuleniowymi i witaminą B complex. Słuchaj kojącej muzyki, prowadź dziennik, jak Virginia Woolf, chodź na długie spacery, wylegaj się w ciepłej wannie. Podawaj w wątpliwość swoje przesłanki, bądź dla siebie łaskawa, żyj chwilą, rozluźnij się, módl, krzycz, przeklinaj świat, licz dobrodziejstwa losu, zdaj się na żywioł, po prostu bądź.

Wszystkie te rady bombardują panią Flett, lecz ona jest zbyt rozkojarzona, by słuchać.

Myślicie może, że stan, w jakim się znajduje, napelnia ją śmiertelnym przerażeniem, ale tak nie jest. Włosy jej zmatowiały, paznokcie się rozdwarzają, rośliny na parapetach wyschły, życie domowe się załamało, lecz wewnątrz niej, jak małe ziemne zwierzątko, drzemie pewność, że ona się z tego otrząśnie. Po pierwsze dlatego, że nie dowierza szczerości własnych słonych łez, a po drugie, że pamięta, jak przed laty lubiły razem z Fraidy cytować biednego starego Williama Blake'a: „Płacz, płacz, na nutę wszystkich plag” - i jak się zaśmiewały z tego słówka „plag”, takiego małego słownego robaczka.

Teraz przez komórki jej pięćdziesięciodziewięcioletniego ciała przepływa smutek, który jednakże dziwnie mało ją dotyka. Wie, jak wyglądzana przez czas jest pamięć, jak wszystko zostaje sprasowane walcem akceptacji lub negacji, co zresztą na jedno wychodzi, stwierdza. To jej pławienie się w rozpacz ma swoje granice, tak jak do pewnej granicy pozwoli się splątać włosom albo pokryć kurzem toaletce. Taka jest wasza Daisy. Jej rezygnacja należy do rzędu otepień, do problemów z przetrwaniem tysiąca powszednich dni. Albo, żeby być bardziej dokładnym, dziesięciu tysięcy takich dni. W pewnym sensie postrzegam ją jako jedną z życiowych szczęściarek, kobietę urodzoną z głosem, w którym brak tragicznych rejestrów. Jako osobę, która się nauczyła wykrawać luki w dziejach własnego życia.

Ale pani Flett jest zmęczona swoim smutkiem, zmęczona także nieprzejmowaniem się nim, w pewnym sensie niedostrzeganiem go nawet. W cienkiej kostnej szkatule swojej głowy pojmuje i akceptuje fakt, że jej bezkresna desperacja jest tak czy inaczej skazana na utratę jakiegokolwiek znaczenia. Już w tej chwili odnoszę

wrażenie, że jakaś część jej osobowości pragnie powrotu do rzeczy, które kiedyś lubiła, na przykład do przyjemności czucia na dziąsłach dotyku nowej szczoteczki do zębów. Takiej drobnej rzeczy. Miałyby ochotę zawiązać na biodrach czysty wykrochmalony fartuch, obrać funt ziemniaków w równe trzy minuty i wrzucić je do wody. Wypucować słój po galaretkę i ustawić go obok innych na najwyższej półce. Polizać nagumowaną kopertę, przylepić w rogu znaczek i wrzucić list do skrzynki. Oczyszczyć ciało zdrowym śmiechem i poddać się sile ciężenia. Wkrótce to nastąpi. Całe to cierpienie zostanie z niej zmyte. Teraz już lada dzień.

TLR

ROZDZIAŁ ÓSMY

Swoboda

1977

Wiktoria Luiza Flett ma dopiero dwadzieścia dwa lata i studiuje na Uniwersytecie Torontońskim. Jest wysoką tykowatą dziewczyną o wielkich dłoniach i stopach i niesfornych prostych blond włosach, które zakłada bezpretensjonalnie za uszy. Tyle co do jej koafiury. Chodzi w džinsach, swetrze i starej drelichowej kurtce - prawdę mówiąc, nie posiada innego stroju. Ubranie to jest ciemnego koloru i grubych splotów, tak jakby pragnęła się odgradzić od koszmarów współczesnego życia. Nosi okrągłe okulary w metalowej oprawce, aby skorygować krótkowzroczność, a jej oczy za nieco wytartymi szklami robią wrażenie poważnych i chłodnych. Jest rok 1977 i Wiktoria przestała być czule hołubionym beniaminkiem wielkiego domu. Jej głos, pełen zakłopotania, oscyluje między mentorstwem osoby dorosłej a niepewnością nastolatki. Rytmika jej uczuć bywa nierówna, jak można się łatwo domyślić, Wiktoria jest jednak zdolna do wielkodusznej przenikliwości.

Tak na przykład wyznała ciotce Daisy, że rozumie manię genealogiczną, która się ostatnio rozpętała. Wzrusza ją, kiedy widzi mężczyzn i kobiety - chociaż dziwnym trafem są to przeważnie kobiety - jak snują się po cmentarzach albo schylają przy stołach biblioteki uniwersyteckiej, wertują historie hrabstw, przepisują do spiralnych notesów nazwiska i daty, w nadziei, że ich bezinteresowny trud ułoży się w ważką, budującą całość. Wiktoria nie podejrzewa, że ci gorliwi amatorzy szukają ogniw łączących ich z domami panującymi czy twórczymi geniuszami; oni chcą jedynie dowieść, że ich przodkowie byli zwykłymi, uczciwymi, prawomysłnymi obywatelami, spokojnie wykonującymi swoje powinności, wiernymi swoim przysięgom, pogodnymi, wypłacalnymi, życzliwymi, a ich zdrowo zakreślone (choć mocno ograniczone) żywoty mogą stanowić przeciwwagę dla współczesnych plag wykorzenia i rozgoryczenia, a może i ekspiację za nie. Zdrowy rozum, ta cenna substancja, zdaje się zniknąć z tego świata - nawet Wiktoria to pojmuje.

Daisy, stryjeczną babkę Wiktorii, która wie gdzie obecnie życie rencistki na Florydzie, absorbują na stare lata żywoty dwu nieżyjących ojców - jej rodzzonego, Cuylera Goodwilla, i jej teścia, Magnusa Fletta. Jednakże babka Wiktorii zajmuje się dwoma nieobecnymi ojcami w duchu zupełnie odmiennym od poczynąń niedzielnych genealogów. Z jednej strony jest bardziej skoncentrowana, z drugiej bardziej marzycielska i nieporadna, tak jakby próbowała - zdaje się Wiktorii - wdrzeć się do skarbcza martwego języka, stać się tym językiem, móc wypowiedzieć niewypowiadalne słowo: ojciec. Faktem jest, że ciotka Daisy przeczytała pewną liczbę dzieł z zakresu historii społecznej, biografistyki, pamiętnikarstwa - w ostatnich latach znacznie pokaźniejszą, niż przypuszcza jej wnuczka - ciotka nie wypuszcza się jednak na wyprawy detektywistyczne do miejscowych bibliotek ani na cmentarze, ba, nie pofatygowała się nawet do miejsca swego urodzenia, miasteczka Tyndall w Manitobie, żeby obejrzeć słynną wieżę Goodwilla, wzniesioną na pamiątkę jej własnej matki. Jest przekonana, że budowla padła do tej pory godną politowania pastwą wandalów, zbieracze pamiątek poodłupywali z niej kamień po kamieniu, tak że pozostało tylko dzieżokształtne wgłębienie w ziemi.

Nie nawiązała dotąd kontaktu z Archiwum Mormońskim* w Salt Lake City i nie zamierza tego uczynić. W ogóle nie rozesłała żadnych listów z pytaniami.

*Archiwum Mormońskie (the Mormon Archive) w Salt Lake City w stanie Utah specjalizuje się w gromadzeniu genealogii rodzinnych. Wiąże się to z wiarą mormonów, że dusze zmarłych można odkupić modlitwą.

Siedzi sobie wygodnie, nawet bardzo wygodnie, na kwiecistej kanapce w swoim florydzkim pokoju (trzy ściany osłoniętego żaluzjami szkła) i rozmyśla o nieobecnych ojcach. To wszystko, do czego się posuwa - myśli o nich, medytuje, koncentruje wokół nich uwagę. Opisuje ich wnuczce Wiktorii, ale nigdy nie próbuje ożywić; uznaje ich dokonania, ale nie próbuje ich unaocznić. Ciotka Daisy duma nad ich żywotami. Rozważa, co się na nie złożyło i jak się one zakończyły - z hałasem, jak w filmie, czy w mroźnym paraliżu. Oczywiście nie zajmuje się tym bez przerwy, tylko w określonych chwilach - późnym popołudniem na przykład, kiedy dzień traci barwę i robi się płaski, kiedy ogarnia ją niepokój, kiedy w tkanę jej serca wgryza się jej własne przerażające niespełnienie, a w telewizji nie ma akurat nic interesującego, jedynie wiadomości lokalne z Tamy albo prognoza pogody.

Mając siedemdziesiąt dwa lata, prowadzi życie swobodne. Trzy razy do roku robi sobie specjalną trwałą (w odróżnieniu od zwykłej), po której wychodzi z włosami sprężynującymi jak wiklina do plecenia koszyków; poddała się (raz) bolesnemu zabiegowi kosmetycznemu, spróbowała (raz czy dwa razy) nowego odcienia szminki, myśli (codziennie), żeby zoperować sobie żylaki. Wyrwała się z depresji, w którą popadła przed dwunastoma laty. Jej zdrowie fizyczne jest dobre, jeśli nie doskonałe. W banku ma pieniądze, dużo pieniędzy, żyje jednak skromnie. Dziesięć lat temu sprzedała dom w Ottawie i przeprowadziła się na zachodnie wybrzeże Florydy, gdzie kupiła trzysypialniowy samodzielny apartament w nowo powstającym osiedlu w Sarasocie, blisko miejsca, w którym się osiedliła jej dawna przyjaciółka Fraidy Hoyt, a niedaleko Ptasiej Wyspy, na której mieszka z trzecim mężem, Budem, jej druga przyjaciółka, Labina Greene Dukes Kavanaugh.

Od przeprowadzki na Florydę ciotka Daisy nauczyła się grać w *shuffleboard** oraz dekorować naklejanymi muszelkami plastikowe przepaski na głowę i bransoletki, które wysyła na urodziny pół tuzinowi swoich wnuczek rozsianych po Anglii i Stanach Zjednoczonych.

**Shuffleboard* - gra polegająca na trafianiu w oznaczone cyframi pola drewnianymi lub plastikowymi krążkami, popychanymi za pomocą długich kijów.

Wnukom Benje i Tellerowi posyła skórzane portfele, które sama szyje w Kobięcym Klubie Robót Ręcznych w Bayside. Wątpi, czy przypadają im do gustu te jej rękodzieła i czy je doceniają, ale zawsze, a już szczególnie od swego załamania nerwowego w 1965 roku, uważała, że należy mieć ręce stale zajęte, i teraz coraz namiętniej zapelnia świat coraz to blahszą częścią siebie. Goście zwracają także uwagę na bujną zieleń wypielegnowanych kaktusów i roślin tropikalnych, które zapelniają balkon jej królestwa. Mając nadal, co widać, przysłowiową szczęśliwą rękę do hodowli roślin, Daisy pozostała sensualistką, jeśli chodzi o świat

ogrodnictwa, chociaż utyskuje dobrodusznie na przesycony wilgocią krajobraz Florydy i zaklina się, że nigdy nie będzie w stanie zaakceptować sękatokorowych, pudłogłowych palm jako czegoś więcej niż wybryku natury.

Młoda Wiktoria, jej wnuczka, broni palm. Też za nimi zbyt nie przepada, czuje jednak nieprzewartą potrzebę wciągania ciotki babci w dyskusje. Uważa, że przynajmniej tyle młodzi mogą zrobić dla starszych. Wyczytała gdzieś, że starzy ludzie uczą się cofać o krok, żeby więcej widzieć, żeby mrużyć oczy, żeby chłonać nowe możliwości.

W zimie, kiedy Wiktoria jest na północy, w Toronto, chodzi na wykłady, pisze referaty, zdaje egzaminy i gryzie się brakiem przygód miłosnych, jej myśl biegnie często ku starej ciotce, tak aksamitnie urządzonej w Sarasocie, obrywającej martwe pędy z roślin hodowanych na balkonie, grającej w brydża, pełniącej ochotnicze dyżury w Muzeum Ringlingów* i zabijającej czas szwendaniem się z Fraidy i Labiną po butikach koło Wyspy Świętego Armanda. Wiktoria myśli nie bez zazdrości, jak uładzone jest życie ciotki Daisy, ale także jak bliskie jest końca, i za żadne skarby nie może pojąć, po co starsza pani zaprzęta sobie głowę dwoma starcami rozkładającymi się w grobach: ekscentrycznym Cuylerem Goodwillem i zaginionym Magnusem Flettem. Podejrzewa, że tak naprawdę to ciotka poszukuje matki, że zaabsorbowanie dwoma ojcami jest tylko wybiegiem, chytrze postawionym znakiem równości.

* Muzeum Ringlingów (Ringling Museum) jest to właściwie cały zespół muzeów założonych przez Johna Ringlinga (1866-1936), który w 1927 roku wybrał Sarasotę na zimowe leże imperium cyrkowego zapoczątkowanego w 1884 przez pięciu braci Ringlingów, a w 1907 połączonego z cyrkami Barnuma i Baileya. Zespół obejmuje muzeum sztuki (ze wspaniałymi zbiorami dawnego malarstwa europejskiego, m. in. Rubensa), muzeum cyrku, osiemnastowieczny teatr przewieziony z Wenecji oraz rezydencję Ringlingów.

Jeśli już ktoś miałby poszukiwać ojca, winna to być ona sama - oto co czasami myśli Wiktoria. W rzeczywistości gówny ją obchodzi, kim był jej ojciec - ciotka Daisy posłyszała kiedyś przypadkiem te słowa z jej własnych ust. Wiktoria Luiza wie coś o swoim pochodzeniu, jest tego jednak niewiele, tyle co czasami wysnęło się jej matce. Jej ojciec był jakimś półgłówkiem w Saskatchewanie, żonatym, brzuchatym, prawdopodobnie dawno nieżyjącym, prawdopodobnie zapitym i tak tępym, że nigdy się nie połapał, iż matka jest w ciąży, na miłość boską! A Beverly Flett nie pofatygowała się, żeby mu powiedzieć, tylko wskoczyła do pociągu, pojechała na wschód i wmeldowała się do ciotki Daisy, a kiedy w jakimś ósmym czy dziewiątym miesiącu ludzie jej mówili: „Pewno oddasz dziecko do adopcji” - potrząsała głową i odpowiadała: „Na pewno nie!”

Było to w roku 1955 - rzadko która niezamężna matka zatrzymywała w owych czasach dziecko.

Teraz Beverly nie ma już od czterech lat, rak trzustki, a Wiktoria spędza wakacje na Florydzie u stryjecznej babki Daisy, która przysyła jej bilet lotniczy, wyjeżdża po nią klimatyzowaną limuzyną na lotnisko do Tamy, zaściela jej łóżko w pokoju gościnnym szeleszczącą bielizną pościelową, stawia na stoliku nocnym kwitnący fiołek afrykański, planuje, że się wysztafirują i zjedzą wspólnie lunch wielkanocny w hotelu Ringlinga, gdzie w menu figuruje ostatnio *quiche* z wędzonym łososiem i zieloną sałatą, a jeśli trafią na

rozmowną kelnerkę, która powie: „Robicie sobie, panie, dzisiaj bal, co?“, to ciotka odpowie, układając wargi w miękki owal spiskowczyni: „To jest moja wnuczka, przyjechała aż z Toronto, kończy właśnie magisterium z paleobotaniki i myśli serio o otwarciu przewodu doktorskiego we wrześniu“, a Wiktorcia, paląc się ze wstydu w swoich dżinsach i podartej koszulce - serce się kraje na widok tego, jak raz po raz podciąga i poprawia dekolt tej rozciągniętej sztuki swojej garderoby - będzie się kręcić, nieszczęśliwa, na swoim miejscu i myśleć, że dawniej ciotka tak nie paplała, zrobiła się z niej prawdziwa florydzka kwoka, z tymi swoimi muszelkami, sandałami na korku i białą plastikową torebką, a jednocześnie ona, to jest Wiktorcia, będzie się grzała w ciepłe dumy ciotki i zapewne, kiedy kelnerka poześle do kuchni, sięgnie przez stół i pogłaszcze kochaną, suchą, przezroczystą starczą dłoń. Dłoń, którą zna niemal tak samo dobrze jak własną.

*

Cuyler Goodwill umarł na wiosnę 1955 roku, tego samego, w którym urodziła się Wiktorcia Flett.

Pracował, siedemdziesięcioośmioletni mężczyzna, w ogrodzie za swoim domem nad Lake Lemon, kiedy poczuł w głowie nagłą lekkość. Prawdopodobnie nie powinien był przebywać w pełnym słońcu bez kapelusza - jego żona Maria zawsze mu to powtarzała.

Dziwny suchy zawrót głowy zdawał się z początku wcale przyjazny, z tym uporczywym bzyczeniem i dostrzeganymi kącikami oka pszczelimi skrzydełkami, jakby zamglonymi sferami niewidocznego dźwięku. Cuyler wyciągnął się na miękkiej murawie, płasko na wznak, ze sznurowanymi trzewikami wycelowanymi w niebo. Zerwał się chłodny wietrzyk, pogłaszał mu czoło, zwichrzył kosmyk rzadkich włosów - i Cuyler niemal natychmiast poczuł się silniejszy. Mimo to nie wstał.

„Nie ma pośpiechu - powiedział sobie - mogę tak leżeć całe rano, jak zechcę“.

Sporą chwilę temu Maria wzięła swoją wielką słomkową torbę na zakupy i poszła wokół cypla do sklepu spożywczego w Bridgeport - skończyło jej się masło, oznajmiła to już przy śniadaniu. Zawsze coś jej się kończyło, nigdy nie przywykła do amerykańskiego zwyczaju hurtowych zakupów. Jej mąż wiedział, że nie będzie jej co najmniej godzinę, lubiła przystawać na drodze nadbrzeżnej, szczególnie o tej porze roku, kiedy judaszowce zaczynały puszczać pąki, a młodzi sąsiedzi, MacGregorowie, Lydia i Bill, zaczęli wychodzić ze swoją pracą na nową cedrową werandę. Maria niewątpliwie podejdzie do ich domu i zmitręży tam jakiś czas, nie bacząc wcale, że im przeszkadza, że młodzi wywracają rozpaczliwie oczami, wymieniają ukradkowe spojrzenia i dyskretne wzruszenia ramion. Będzie mówić i mówić, wskazywać na drzewa, fale na jeziorze, bezchmurne niebo, dawać rady, jak wzmocnić podpory werandy i umocować luźne gonty na dachu, gdzie uprawiać rabarbar, żeby miał w sam raz słońca, a Bill i Lydia nie będą z tego rozumieli ani słowa.

Będzie mówić, mówić i mówić. A tymczasem on tu leży, stary człowiek wyciągnięty na plecach.

Nowość sytuacji bawiła go z początku. Powoli, stopniowo zaczynał czuć ciepło emanujące z ziemi, ogarniające zgniecioną trawę pod nim, przenikające przez gładką popelinę kraciastej koszuli. Zaskoczyło go, że jest zdolny odczuwać ogromną obfitość ciepła planety, rozlewającą się po całej powierzchni jego siedemdziesięcioośmioletnich pleców. Kiedy to leżał tak ostatni raz na gołej ziemi, wpasowując wypukłości głowy, mięśni, kości i ścięgien w spłacheć świeżo skoszonej trawy, oddając jej się cały? Tylko młodzi ludzie oddają się ziemi w taki beztroski sposób, ufnie pozwalają jej podtrzymywać swój cały ciężar.

Mijały minuty. Nie bardzo miał o czym myśleć, więc myślał o kącie padania słońca, które stało niemal pionowo nad głową, i o swoim ciele, swoim siedemdziesięcioośmioletnim ciele, poczętym w minionym stuleciu na północy, w Kanadzie, przez rodziców, o których pamięć doszczętnie się zatarła, tamże nabierającym sił w młodych latach, a teraz przeniesionym jak na czarodziejskim dywanie w to inne miejsce, leżącym na płask na polaci tutejszej trawy niby siatka ochronna, którą wyjęto z okna, żeby ją splukać węzłem ogrodowym.

Leżał na tyłach letniego domu nad jeziorem, który we dwoje z Marią obrali teraz za stałą siedzibę. Mieszkali tu od paru lat, odkąd wycofał się z interesów. Głęboka, opadająca ku jezioru parcela obsadzona była malowniczo krzewami bzu, forsycji i jaśminu, wskutek czego jego leżącej postaci nie mogli dostrzec przejeżdżający automobiliści, którzy zresztą trafiali się rzadko o tej porze dnia. Drogi nadbrzeżnej używali tylko ludzie miejscowi, bo na letników było jeszcze za wcześnie.

Cuyler uwielbiał tę porę roku, kwiecień. Przez koronkę drzew promieniowało życie, wszędzie dookoła iskrzyło się zmartwychwstające życie.

W trawie śpiewały drozdy. Cuyler obserwował je stężalym wzrokiem. Jakże ważne zrobiły się raptem owe drozdy ze swoją niestrudzoną, celową ruchliwością, z podskakującymi główkami przypominającymi piłeczki golfowe. W górze wisiało jaskrawoniebieskie niebo. Lada chwila wróci Maria, zacznie wyładowywać na kuchenny stół zakupy, cmokać nad cenami wiktuałów w wiejskim sklepie, utyskiwać głośno, że są o tyle droższe niż na targu w Bloomingtonie, co nie znaczy, że chciałaby kiedykolwiek wrócić do miasta, za żadne skarby. Będzie to wszystko mówiła dytyrambiczną mieszaniną włoskiego i angielskiego, którą on jeden w świecie zdaje się rozumieć.

Chciał się podnieść, ale chwycił go paraliżujący kurcz w udach i zmusił do powrotu jeszcze na chwilę do poprzedniej pozycji. „Odpuść trochę - powiedział sobie - poleż spokojnie”. Żeby otępić mózg, spróbował wyczarować przed oczami zalane słońcem ulice Stonewall w Manitobie, miasta lat chłopięcych, ale jak zawsze zniechęciła go mętność zepchniętych w niebyt wspomnień. Zewnętrzne ściany ojcowskiego domu pozostały nie związane z pokojami wewnątrz, z meblami i fajansami, słojem na półce w kredensie, gdzie przechowywano rodzinne pieniądze, lepkie, gnijące banknoty dolarowe. (Powietrza, potrzebuje haustu powietrza, tak być nie może). Zmusił się do przejścia przez ogród matki - parę nędznych rzędków kapusty, trochę wrzecionowatej fasoli szparagowej - i wyjścia w zamęt zalanej słońcem Jackson Avenue, takiej jaka była sześćdziesiąt lat temu, z farmerskimi wozami i ostrym zapachem uwiązanych koni, sklepem żelaznym na rogu, szkołą powszechną, sądem, wątlami magistrackimi rabatkami i w samym centrum miasteczka, w trapezoidalnej plamie światła, kościołem prezbiteriańskim z kanciastymi wapniowymi ornamentami, teraz nagle obróconymi w proch.

Musiał się chwilę zdrzemnąć, bo ocknął się raptem ogarnięty strachem, który zdawał się wypełzać z chłopięcych lat. Co to takiego? Zdrętwiały mu przez ten czas plecy.

Te jego plecy, zastanowił się, zrobiły się pewnie plamiste z wiekiem; skóra jest pocętkowana, pofałdowana, cienka jak bibułka, ale czy kto kiedy ogląda własne plecy? Trzeba by się giąć i skręcać przed trzyskrzydłowym lustrem, a nawet wówczas pozostałyby fragmenty ciała, których by się w żaden sposób nie dojrzało. Człowiek nosi przez całe życie cząstki siebie, które nie są nigdy naprawdę jego własnością.

Ta myśl, ta szarada, kazała mu się w duchu uśmiechnąć, choć sprowadziła zarazem ukłucie nostalgii. Przypomniawszy sobie czasy, gdy jako młody kamieniarz pracował w letnich miesiącach w Manitobie z gołym

torse - wszyscy tak pracowali w kamieniołomie - a potem, przez wzgląd na młodą żonę, wracając na kolację do domu, do swojej ukochanej, nie wciągał koszuli, dopóki słońce nie osuszyło mu potu na plecach.

Wracał wtedy nie do Marii, wtedy nie. Po dniu w kamieniołomie wracał do tamtej innej żony, żony wczesnych lat męskich.

Nawet na starość Cuyler myśli o tamtej żonie przynajmniej raz w ciągu dnia. Zawsze wyskoczy coś, co mu przypomni tamto krótkie małżeństwo, z perspektywy czasu wydające się bardziej poletkiem, na które przypadkiem zablądził, niż prawowitym związkiem, formalnie zawartym. We wspomnieniach tamta żona stoi zawsze we drzwiach, czekając na niego - żywa obecność, ból, wyrzut. W rzeczywistości nigdy, ani razu, nie czekała na niego we drzwiach, zawsze była w porze jego powrotu zajęta przygotowaniami do kolacji. On jednak musi, choćby tak nieudolnie, naprawić fakt, że nie był w ten sposób wyglądany.

Tylko jak ona miała na imię? Ta jego pierwsza żona. Jak miała na imię? Ekstaza zepchnięta w niepamięć. W takim zapomnieniu kryje się jakieś zaniedbanie, coś niewybaczalnego. Jego najdroższa, jego ukochana. Jej twarz zatarła się jak na starej fotografii, ale pamięta jej ciało, każdy cal jej ciała, pamięta, jak którejs nocy obudził się w szumie ulewy, z ręką na jej piersi. Tak, to było szczęście, ta jej miękka pierś.

Z głupim uczuciem zaczął przechodzić od początku cały alfabet - Amelia, Bessie, Charlotte (co za staroświeckie imię), Dorotea... Emma, Fanny.

Przesunął wzrok wzdłuż swego ciała, przez równo zapiętą sportową koszulę, przez pogniecione spodnie khaki, ku trzewikom tworzącym V - kształtne ujęcie dla kamiennej piramidy, przy której pracował, kiedy dopadł go ten zawrót głowy.

Jakżeż ją znienawidził!

Pracował nad tą budowlą, nad pomniejszoną kopią Wielkiej Piramidy, od blisko dziesięciu lat, zaczął niedługo po wojnie, a wykonane jest może ćwierć roboty. Inni mężczyźni po przejściu na emeryturę budują łodzie albo baseny, robią jakieś ozdoby do ogródka, królową Śnieżkę i siedmiu krasnoludków, wycinają to laubzegą w bukszpanie i ustawiają między petuniami. Inni mężczyźni kończą jedną pracę i zaczynają następną, a on nie wiadomo czemu pozwolił sobie utknąć przy tym urągającym zdrowemu rozsądkowi monumencie szaleństwa. („Jedna rzecz naraz” - jakże często powtarzał sobie te słowa, przekonując się o ich mądrości). Ale faktem jest, że piramida mu obmierzła, kole go w oczy. Obłąd! W ciemności często słyszy strofujący głos, który mówi: „To nigdy nie sprostą twojemu pierwszemu pomnikowi, utraciłeś dawny nerw”. W dodatku pomiary dokonane niespełna tydzień temu wykazały, że budowla odchyła się od pionu i będzie się odchylała coraz bardziej w miarę postępu pracy. Oczywiście, jeśli zdecyduje się ją kontynuować.

Fanny, Gladys...

Większość ludzi potrzebuje ramy skupiającej myśl, a Cuyler Goodwill uzyskał właśnie ową niepowtarzalną szansę skupienia dzięki perspektywie, którą narzuciło to, że złożył swój skurczony starczy grzbiet na własnym, świeżo skoszonym trawniku, a co za tym idzie, znacznie ostrzejszemu, radykalnie zmienionemu kątowni widzenia. Stało się coś fortunnego, cud optyki.

W rezultacie olśniła go nagle pewność decyzji. Nie będzie dalej ciągnął tej ohydnej ogrodowej budowli, bladego cienia owej dawnej, dawnej wieży, którą wznosił na pamiątkę tamtej pierwszej żony. (Jak ona miała na imię?). Tak, w tym momencie stawia tamę szaleństwu. W tej sekundzie. Jutro zadzwoni do Bloomingtonu, żeby

przysłali buldożer. A potem sprowadzi ciężarówkę do wywiezienia zwalonych kamieni. Zajmie to nie więcej niż dzień, dwa. Zadziwiające. Oczywiście pośrodku trawnika pozostanie ohydna szrama, ale na jesieni zasadzi w tym miejscu jedną z tych szybko rosnących ozdobnych wiśni. Piękne drzewo. Tak. A właściwie po co czekać do jesieni? Zasadzi ją zaraz teraz, nigdy nie mógł zrozumieć, dlaczego drzewa trzeba sadzić na jesieni. To nie ma najmniejszego sensu, na dobrą sprawę urąga wszelkiemu sensowi.

„Zwalę ją” - sformułował w ściśniętej krtani, tryumfalnie, uodporniony na jutrzejszy przypływ wątpliwości i odpływ odwagi, niepewny, czy sięga do istoty swojej egzystencji, czy też zaprzepaszcza jakąś cenną cząstkę samego siebie. Zaraz jednak, z dreszczem radości, pojął, że co może zostać zrobione, powinno zostać zrobione. Przepeliło go w tym momencie szczęście, słodka muzyka podjętej decyzji.

Wybór dokonany, kiedy człowiek leży powalony na wznak, pozostaje nadal wyborem. Siła tego zelektryzowała Cuylera Goodwilla ukłuciem energii, energii, która ugodziła w sam środek jego klatki piersiowej, przynosząc ze sobą w ten piękny kwietniowy dzień chłód zimowej nocy. Jego dłonie i stopy, skonstatował, zrobiły się raptem lodowate, oddzielone od doznań reszty ciała, przymocowane jedynie cienką nicią bólu. Gdzie on się właściwie znajduje? O czym to myślał...? Fanny, Gladys, Harriet, Isabel...

Pozwolił bólowi zawładnąć sobą - wydawało się, że to jedyna możliwość. Wypełnił go ten ból, wypełnił w sposób doskonały, pozostawiając tylko małą jego cząsteczkę próżną, fragment mózgu, w którym kołatało się pytanie. Nie, nie pytanie, raczej coś, co musi sobie przypomnieć. O jakimś buldożerze, zgarniającym ziemię i rozwalającym piramidę, tę jego hańbę, coś, o czym zapomniał w radosnej chwili decyzji - co to mogło być?

Co takiego? Szarpany konwulsjami myśli, uformował kuliście mięśnie ust, zacisnął powieki i zobaczył spowijającą mu mózg jakby chmurę pary, naigrawającą się z jego otepienia.

Rzecz, którą musi sobie przypomnieć, to prosty, konkretny szczegół. Przedmiot, namacalny przedmiot, umiejscowiony w czasie. Gdyby udało mu się podnieść rękę, mógłby go dotknąć i zidentyfikować, ale ręką, ten lodowaty ciężar, jest cała zdrętwiała.

Aż uniesiony spazmem koncentracji, przypomniał sobie: w fundamencie piramidy umieszczona jest szkatułka, ni mniej, ni więcej, tylko „kapsułka czasu”. Sam ją tam umieścił. Mała stalowa szkatułka, o kwadratowych, może trzydziestocentymetrowych bokach i jakichś dziesięciu centymetrach wysokości. Oczywiście. Przypomniał sobie, jak ją kupował w miejscowym sklepie żelaznym, rodzaj pojemnika na przybory wędkarskie, ale solidniejszej konstrukcji niż zazwyczaj cechująca takie pojemniki. Szkatułka miała ponadto lepiej dopasowane wieczko oraz zamek z kluczykiem. Zapłacił za nią piętnaście dolarów. Bez szemrania.

Isabel, Jeanette, Kate, Lillian...

Pamiętał, z jakim starannym namysłem wybierał rzeczy, które miały być umieszczone w szkatułce. Było to dawno temu. Wiele uleciało mu przez ten czas z pamięci. Te ostatnie dziesięć lat było okresem rozkładu - widział to teraz jasno. Uważał się za człowieka czynu, tymczasem przez cały ten czas uczestniczył w żalonym i niszczycielskim procesie wyczerpywania się energii. Tak czy inaczej, ciekawe będzie otworzyć szkatułkę i przekonać się, co tam ukrył. Musi tylko zadbać, żeby nie została uszkodzona. Musi jasno wytłumaczyć kierowcy buldożera, że pod fundamentem ukryta jest mała szkatułka. Przyplaci to straszliwym napięciem energii, ale to nieodzowne, jeśli skarb ma być uratowany.

Tylko co to za skarb?

Coś szarpało rąbek jego myśli. W szkatułce jest coś cennego, coś, co należało do jego młodej żony. (Jak ona miała na imię?). Tyle czasu minęło, odkąd zakopał w ziemi szkatułkę, odkąd jako młody człowiek wracał do domu z kamieniołomu, z koszulą przerzuconą przez ramię i wysychającym na plecach potem. Tyle się wydarzyło, tyle wypowiedzianych słów i zagubionych godzin, izby jego życia wypełniały się i opróżniały, i nigdy nie mogły odgadnąć kształtu swoich zewnętrznych ścian, belkowania swoich stropów, szorstkiej faktury swoich powierzchni.

Z pozycji słońca wywnioskował teraz, że musi być późne popołudnie. Właściwie wieczór. Po niebie płynęły gwiazdy, prosząca światłość, niosąc ze sobą doskonale zarysowany kształt obrączki ślubnej. Jej obrączki. Przebłysk chwili, kiedy zsuwał obrączkę z jej martwego palca. (Nie znaczy to, żeby ta scena przybrała widomą formę, żeby się choćby zmaterializowała w myśl; prawdę mówiąc, jest niewyjawialna w swojej bolesności; w najzwyczajniejszym życiu, on to wie, są zakamarki, do których się nigdy nie zagląda, a już na pewno nie rozgłasza ich istnienia, które jednak tkwią wtulone w świadomość, jak zasuszone liście w starej książce). Obrączka jego żony, jego żony Mercy. O Mercy, Mercy, weź mnie w swoje miękkie ramiona, nakryj mnie swoim ciałem, ogrzej mnie.

W ostatnich chwilach może mu przez głowę przemknęła, a może nie przemknęła myśl o córce jedynaczce, córce, która ma teraz siedemdziesiąt dwa lata i zamieszkuje luksusowy apartament w błogosławionym, słonecznym stanie Floryda.

*

Stryjeczna babka Wiktorii przemieniła się w osobę, która paraduje w turkusowych spodniach. Są wygodne, praktyczne, no i kryją pożyczowaną, spękaną skórę jej niegdyś nienagannych łydek. Jej umalowane usta - przywiedły kwiat - rozwierają się nieoczekiwanie, stają otworem, drgają i zaciskają się z powrotem. Oczy wklęsły w szczeliny marmurkowego atłasu. Babka Wiktorii, spoglądając w łazienkowe lustro, myśli, że różowawosiwe fioki dookoła jej twarzy nie mogą żadną miarą należeć do niej (choć to prawda, że przygląda je czasami z zadowoleniem). Tak samo żałośnie obwisłe podbródki i zwiotczałe ramiona, podrygujące, kiedy krąży przed wieczorem po plaży, rzucając mewom kawałki suchego chleba. Nikt jej nie uprzedził, że taki szmat życia przypada na starość. I że, paradoksalnie, te długie florydzkie lata nie będą jej zbyt ciężkie.

Wszystkiemu, co napotyka na swojej drodze, brak ważkości. Puste są drzwi wewnątrz jej mieszkania. Niematerialne są modelowane kontakty. Rozpaczliwie lekkie meble balkonowe. Rozklekotane, chybotliwe taksówki, którymi czasami jeździ z wizytami do Laby i jej męża na Ptasiej Wyspie. Nieważka jest nawet jej przewieszona przez ramię biała plastikowa torebka z minipaczuszką bibulek kosmetycznych, zgrabną tubką pastylek od kaszlu i płaskim futeralikiem na karty kredytowe, które zastąpiły ostatnio pieniądze.

W foyer jej wieżowca nad zatoką stoi sztuczne drzewko szczęścia i babka Wiktorii nie jest w stanie przejść koło tego szkaradzieństwa, żeby nie pomacać jego liści, często dosyć bezceremonialnie, pozostawiając na winylowej powierzchni rysy paznokci i znajdując przyjemność w tym akcie wzgardy. Późnym wieczorem przywykła oglądać w telewizji Johnny'ego Carsona*. Nie przestaje ją zadziwiać złośliwy wykrój jego warg, które wyglądają tak, jakby zostały namalowane na twarzy piórkiem i tuszem, podoba jej się jednak spieszna

galopada jego dowcipów, rzucanych z charakterystycznym golfowym rozmachem, a wiązanych stałym przeprzerwnikiem Johnny'ego: „Idąc dalej”.

*Johnny Carson (ur. 1925) - prowadził przez trzydzieści lat (1962-1992) nadawany po wieczornym dzienniku program stacji telewizyjnej NBC, *The Tonight Show*. Przetykany niekiedy muzyką i skeczami program polega głównie na swobodnej, dowcipnej, często złośliwej wymianie zdań między prowadzącym a zaproszonymi znakomitościami, najczęściej ze świata rozrywki.

Ostatnimi czasy mruczy często do siebie to „Idąc dalej” - w drodze do fryzjera na cotygodniowe mycie i czesanie włosów, w drodze na pocztę, do doktora czy też schodząc na dół, do klubu, na codzienną partyjkę brydża. Idąc dalej, dalej, coraz dalej. Jak przez całe życie. Bez czucia. Bez zastanowienia.

Powiedziałam, że pani Flett wydzwignęła się z zapaści nerwowej, jakiej doznała przed dwunastoma laty, jednakże jej egzystencja podszyta jest nadal goryczą rezygnacji - świadomością, że nie przynależy do nikogo. Nawet jej sny wydzielają odurzające czady nieprzynależności. Prawda, ma troje dorosłych dzieci, ale wątpi, czy ta trójka spogląda na nią z czymś więcej niż tkliwą pobłażliwością. A ósemka jej wnuków jest tak daleko, tak pomniejszona przez wiek i odległość, tak zapatrzona w lunę przyszłości. Może dlatego pani Flett wiecznie przeżuwa minione życie, rozmyśla o dwóch utraconych ojcach, zatapia się w pustce, którą została dotknięta w chwili narodzin. W próżni odnajduje punkt zaczepienia, a w punkcie zaczepienia następną próżnię - szlak nie kończącego się regresu, na myśl o nim kraje się serce - lecz mimo wszystko popycha ją to do przodu, pozwala jej egzystować. Karmi mewy, czyż nie? W każdą niedzielę bez wyjątku telefonuje do swoich dorosłych dzieci, Alice w Londynie, Joan gdzieś w guszy Oregonu i Warrena w Pittsburgu (skąd ma być wkrótce przeniesiony do Nowego Jorku). I mimo obłąkanych skoków i zawijasów tych elektronicznych konwersacji potrafi udawać niezmienną (głowa do góry) pogodę ducha i tłumić najmniejszy przebłysk rozpacz. Gotuje sobie przyzwoite obiady, nieprawdaż? Kotlety, pierś kurzą, zielone jarzyny. Nie bierze proszków, nie słyszy głosów.

Leży jednak często wczesnym rankiem w łóżku, wpatrując się w okno, w ostre florydzkie słońce wpełzające między poprzeczki żaluzji, obezwładniana jego bezlitosną jasnością. Czasami zaciska pięści, czasami oczy wzbierają jej łzami, kiedy tak leży, myśląc: „Jeszcze jeden dzień, jeszcze jeden dzień” - i próbując się odnaleźć w zmiennych sceneriach swego życia. Dotychczasowego życia, trzeba to wyraźnie powiedzieć, bo widzi przed sobą jeszcze długie, długie lata. To „dotychczasowe” życie oznaczało przyjmowanie, kropla po kropli, dawka po dawce, otepiających wydarzeń i odganianie ich skrzydłami tęsknoty - czyni to od tylu lat, że stało się to jej drugą naturą. Rzeczywistość i złuda wirują w ścianach jej sypialni w gładkopłynnym rytmie walca - raz, dwa, trzy; raz, dwa, trzy. Niesie, niesie ją ten rytm.

Zawodzą synapsy? A niech zawodzą. Ona improwizuje z dostępnego materiału, wyolbrzymia, pomniejsza, przetwarza to, co dane - ta mikstura jest jej życiem. Bełta ją w tę i w tamtą stronę zależnie od - kto wie, od czego? - od ogniskowej pragnienia, potrzeby. Może w nią wrzucić smakowity rodzynek z przeczytanej książki albo coś z serialu telewizyjnego czy ze snu. Nieczęsto, ale zdarza się, że coś ujmie, jak wówczas, kiedy Fraidy Hoyt doniosła, że prawie na pewno widziała idącą Ohio Street w Indianapolis pod rękę z jakimś

starszym panem Marię Goodwill, wdowę po Cuylerze Goodwillu. Jest to oczywiście niemożliwe, śmiechu warwarte, bo Maria dawno temu wróciła do swego włoskiego miasteczka i przeistoczyła się w żalobną wdowę w czerni, z koszykiem na robótki ręczne na kolanach.

Gdybyście zapytali stryjeczną babkę Wiktorii o historię jej życia, wydełaby na moment wargi, ten rubinowy wykwit, po czym zaczęłaby stękać jej ocenzurowaną, karłowatą wersję. Podawałaby ją trwożnie, ale nie tłumacząc się, bez dwuznaczności - wydarzyło się to, relacjonowałaby z głębin swoich siedemdziesięciu dwóch lat, a oto co się wydarzyło potem.

Trudno powiedzieć, czy nie uwiera jej ta mieszanina zniekształceń i opustek, ta dowolność, mówiąc wprost, ale przywykła do niej. I przychodzi jej do głowy, że na świecie żyją miliony, miliardy mężczyzn i kobiet, którzy budzą się wcześniej w swoich samotnych łóżkach z pragnieniem sięgnięcia do kwintesencji swego życia, a którzy są zmuszeni wymyślać samych siebie codziennie na nowo.

*

W czerwcu 1977, krótkie dwa miesiące po wspólnym lunchu wielkanocnym w hotelu Ringlinga, zadzwoniła z Toronto wnuczka, Wiktoria Flett, i powiedziała:

- Nigdy byś nie zgadła. Jadę na Orkady. Na badania. W przyszłym tygodniu. Nie pojechałabyś ze mną? Urządziłybyśmy sobie wspaniałe wakacje i - w głosie Wiktorii przewinęła się wstążeczka śmiechu - mogłybyśmy złożyć kwiaty na grobie Magnusa Fletta.

- Na Orkady? - zaprotestowała córka Joan w zwyczajowej niedzielnej rozmowie telefonicznej. - Mówiłaś, zdaje się, że przyjedziesz w tym roku do Portlandu. Obiecywałaś, że zostaniesz trochę z dziewczynkami, żebyśmy się mogli z Rossem na parę dni wyrwać. One się bardzo cieszyły na przyjazd babci. Ciągłe tylko słyszę: babcia to, babcia tamto, a ty teraz mówisz o Orkadach.

- Popatrzyłaś chociaż na mapę? - zapytał syn Warren. - Wiesz przynajmniej, gdzie są te Orkady?

- Czemuż by nie, u diabła? - oświadczyła Alice swoim nabytym angielskim akcentem. - Najwyższy czas, żebyś się wyprawiła za wielką wodę. Pod warunkiem, że jadąc tam i wracając, pobędziesz przez parę dni ze mną i dziećmi.

- Oczywiście jedź! - wykrzyknęła Fraidy. - Zastąpię cię na twoim dyżurze w muzeum, a spotkania brydżowe po prostu zawiesimy na jakiś czas.

- Paszport pozostaw mnie - powiedział mąż Labiny, Bud. - Zrób sobie tylko fotografie i wypełnij kwestionariusz, a już ja to zawiozę do biura federalnego w Tampie. Mam tam chody, faceta, który winien mi jest dług wdzięczności. Sprawa będzie załatwiona w dziesięć minut, możesz mi wierzyć na słowo.

- Co musisz sobie sprawić - orzekła Labina (Bina) - to kostium z czystej wełny. Florydzkie wełny z domieszką sztucznego włókna nie nadają się na tamtejszy niehumaniczny klimat. Ja mało sobie nie odmroziłam tyłka, kiedy byłam w Szkocji, i to tylko w Edynburgu, nie na dalekiej północy, gdzie ty się wybierasz. Wełniany kostium, niemnąca bluzka i kilka bardzo, ale to bardzo grubych swetrów, nic więcej ci nie trzeba.

- Wygodne buty - zapowiedziała przez telefon Wiktoria. - Wygląd nieważny, tylko wygoda.

- I parasolka - radziła Fraidy. - Z tych składanych.

- Zapomnij o parasolce - odradzała Wiktoria. - Postaraj się o plastikowe poncho z kapturem.

- Niestety, nie możemy pani opracować trasy wycieczkowej - sumitował się agent w biurze podróży w Bradentonie - potrzebowalibyśmy na to co najmniej trzech tygodni. Nie dysponujemy zbyt wieloma informacjami o Orkadach, rozumie pani.

- Szczerze mówiąc - oznajmiła Marian McHenry, która mieszka na tym samym piętrze co pani Flett - ja bym wolała najpierw obejrzeć własny kraj, zamiast objać się gdzieś po świecie. Widziałaś Waszyngton? Zwiedziłaś go tak naprawdę?

- Do Europy nie trzeba już robić szczepień - poinformował doktor Neary. - Ale zapiszę pani pigułki na biegunkę, częstą w podróży. I drugie na zaparcie. Musi pani także wziąć ze sobą swoje pastylki przeciwuczuleniowe, bo oni tam pewnie używają jeszcze poduszek z pierza albo ze słomy.

- Mam nadzieję, że porobiłyście rezerwacje w hotelach.

- My osobiście nie lubimy robić z góry rezerwacji, to psuje całą zabawę. Wolimy się zdać na los szczęścia, jeśli pani to rozumie. Lubimy być swobodni jak koniki polne.

- Ty naprawdę nie byłaś w Europie od tysiąc dziewięćset dwudziestego siódmego roku? No, to przeżyjesz szok.

- Nie wiedziałam, że byłaś kiedyś w Europie. - To Joan telefonująca we wtorek wieczorem z Portland. - Nigdy o tym nie wspominałaś.

- Tylko, na miłość boską, nie zatrzymujcie się w hotelach. Oni tam wszędzie mają takie urocze pensjonaciki ze śniadaniami. Są znacznie przytulniejsze i pozwalają zasmakować trochę prawdziwego, codziennego życia. Dowiedzieć się różnych różności.

- Posłuchajcie mojej rady i unikajcie dwóch rzeczy. Po pierwsze, tych ich pensjonatów. Niektóre zaszerwują wam okropną nylonową bieliznę pościelową, tak, tak, a na śniadanie uraczą was rozgotowanymi pomidorami na gorąco, nie żartuję. Po drugie, nie pijcie wody z kranu. Nie zastanawialiście się nigdy, dlaczego oni tam wiecznie piją herbatę? Bo herbata wymaga gotowanej wody, gotowanej, rozumiecie?

- Czeki podróżne.

- Pas na pieniądze.

- Dwie mniejsze walizki są poręczniejsze niż jedna duża. To najmądrzejsza rada, jakiej mi kiedykolwiek udzielono.

- Kiedy byliśmy w Canterbury...

- Zwiedzaliśmy krainę jezior...

- ...ryba z frytkami, zapakowana w gazetę...

- ...zawsze plastikową saszetkę z własnym mydłem, bo...

- Moja prababka pochodziła z wyspy Wight. Czy to blisko tego miejsca, do którego...?

- Gdybyś mogła mi kupić jedną z tych ślicznych popielniczek w stylu Wedgwooda, ale zieloną, nie niebieską.

- ...kosztowności trzymaj zawsze przy sobie...

- ...te małe interesiki do zatykania uszu, możesz je kupić w supermarkecie...

- Wyspy Orkady? Nigdy o nich nie słyszałem.

Witając stryjeczną babkę na lotnisku Mirabelle w Montrealu, młoda Wiktoria była cała w nerwach.

- Poznaj Lewisa, ciociu. Lewis Roy. Lew, to ciocia Daisy. Celebrowała każde słowo.

- Miło mi panią poznać.

- Lew leci z nami na Orkady.

Głos Wiktorii wyciął koguta. Wyraz twarzy miała niewyraźny, kiedy to mówiła. Jej włosy też były poniżej wszelkiej krytyki, strąkowate, nierówno obcięte.

- A!

- Będzie kierował naszymi badaniami. Wiesz, jest... - Wiktoria wykonała groteskowy, nonszalancki ruch ramionami - ...jest jakby moim profesorem.

- Och, prowadzę jedynie studia podoktoranckie, proszę pani. Opracowaliśmy projekt badań wspólnie z Wiktoria. Pomyśl był właściwie jej.

Jego twarz robiła wrażenie siły, usta były gorliwe, gotowe do śmiechu.

W samolocie posadzono ich obok siebie - Lewisa Roya przy przejściu, Wiktoria w środku, jej babkę przy oknie. Pili szampana, na kolację dostali kurczęta z marchewką krajaną w plasterki i w zamięcie i krzątaniu powietrznego rytuału oswoili się ze sobą. Po kolacji Lewis wdał się w długą, zawiłą relację o jakimś poprzednim locie do Europy, przy czym w miarę rozwoju opowieści przeszedł dramatycznie na czas terażniejszy.

- I wtedy pilot ogłasza to przez megafon. Halo, jeden z silników wysiadł. Tak po prostu. Zawracamy. Wszyscy jesteśmy oczywiście w szoku. Ale siedzimy, wpychamy najlepsze żarło, że niby wszystko pięknie, ładnie. Aż nagle się okazuje, żeśmy wylądowali gdzieś na Labradorze, w jakiejś bazie wojskowej, i utykamy tam na pełne dwanaście godzin, toaleta jest zapchana, a...

- Ciocia Daisy jest, zdaje się, zmęczona - zagruchała Wiktoria.

Lewis natychmiast zamilkł. Zagryzł kostki dłoni, ziewnął szeroko, rozejrzył się dokoła.

Wiktoria paliła się ze wstydu. Wiedziała, co babka musi myśleć o tym młodym człowieku z włosami opadającymi na ramiona jak futrzana pelerynka, który maskuje błyskotliwość chłopięcą gadatliwością, niepospolitą serdeczność obraca w męską beztroskę. Stewardesa przyniosła w końcu pledy i poduszki, przyćmiła światła i wszyscy troje zaczęli udawać, że śpią. Wiktoria słyszała urywany oddech babki, przypominający łkanie, i wiedziała, że starsza pani pragnęłaby teraz z całej duszy być w swoim domu na Florydzie, być gdziekolwiek, tylko nie tutaj, zawieszona w ciemności nad Atlantykiem, pod nocnym światelkiem padającym na ramę okienną i jej powieki.

Wiktoria swoim gorączkowo pracującym wewnętrznym radarem wyczuwała także fale smutku, zawodu emanujące ze sztywnego ciała Lewisa Roya. Pod sekretną osłoną pledu sięgnęła w bok, odnalazła jego drżącą dłoń i mocno ją ścisnęła. Nigdy dotąd tak go nie dotykała - był jej wykładowcą, ona jego studentką, nie byli jeszcze na intymnej stopie.

Po chwili wyciągnęła drugą dłoń i położyła ją na sztywnym nadgarstku starszej pani, sygnalizując uściskiem palców: „Wszystko będzie dobrze, zdaj się na mnie”.

Tak, złączeni bolesciwymi dłońmi Wiktorii Flett, zamienili jeden kontynent na drugi. Może zmrużyli na krótko oczy tej nocy. Każde z nich czuło, że żyje na kruchej planecie. Żadne nie wiedziało, ku czemu zmierza świat.

TLR

Orkady są nizinne, zielone, uprawne, pocięte wijącymi się drogami i upstrzone stadami owiec pasących się malowniczo na pochyłościach łąk - obrazki jakby malowane przez jakiegoś akwarelistę dwieście, trzysta lat temu. Za tymi i pod tymi sielankowymi pejzazami kryją się prehistoryczne ruiny - osady, twierdze, kopce, komory grzebalne i ustawione na sztorc kamienie, które może służyły, a może nie służyły do obserwacji astronomicznych. Są również pozostałości wieku żelaza, inna warstwa. I pomniki czasu wikingów, dziewiątego stulecia. A także średniowieczne - feudalne i monastyczne. I oczywiście twory współczesne - bo na to, co starożytne i bukoliczne, nakładają się szumiące fabryczki, skromnie produkujące orkadzkie specjały, takie jak wyroby cukiernicze (wyśmienite) i sery. Poza tym są zakłady rękodzielnicze, głównie dziewiarskie (te, niestety, w zaniku), przemysł turystyczny (kwitnący), no i zawsze obecny w tle gwar codziennej krzątanimy handlowej i zawodowej - kupcy spożywczy i przemysłowi, adwokaci, duchowni, co tam chcecie.

Daisy, stryjeczna babka Wiktorii, nie oczekiwała niczego podobnego. Bagna, torfowiska, wrzosowiska - raczej coś takiego widziała oczami wyobraźni. A tu tymczasem domy rozsypane w kilka borykających się ze światem osad i dwa główne miasta orkadzkie, Kirkwall i Stromness. Nawet Wiktorię zaskoczyły setki miejskopodobnych domostw, zbudowanych tak solidnie i tak bezpretensjonalnie. Patrząc na ich anonimowe fasady, wyobrażała sobie kobiety stojące wewnątrz przed lustrami, szacujące swój wygląd, i mężczyzn wciągających swetry przez głowę, przylizujących włosy. Na ulicy nie było prawie nikogo. Oczywiście to wczesny ranek. I od morza wieje gwałtowny wiatr. Zaczyna deszcz. Mimo to Wiktoria, jej babka i Lewis Roy stoją na przykościelnym cmentarzu w Stromness i odczytują nagrobki. To Wiktoria z okrzykiem odkryła następujący:

Żył iak swyenty,

W nyebo wzyenty,

U boku Iezusa

Żywyie iego dusza

Magnus Flett,

rodzony 1584, umyert 1616

Nie wiadomo czemu ta inskrypcja przyprawiła ich wszystkich o paroksyzm śmiechu. Okazało się, że Flett to pospolite orkadzkie nazwisko, pojawiające się raz po raz - nie tylko Magnus, lecz także Thomas Flett, Cecil Flett, Jamesina Flett, Donaldina Flett. Flettowie byli niezaprzeczalnymi królami i królowymi cmentarza.

Deszcz nie myślał ustawać, więc po chwili Lewis ujął obie kobiety pod ramię i poprowadził do herbaciarni po przeciwnej stronie ulicy, żeby przeczekać ulewę. Usiedli, wyraźnie skrępowani swoim towarzystwem.

- Jakim człowiekiem był pani teść?

Lewis, rozsmarowując masło na mączystym rogaliku, zadał to pytanie w tonie salonowej pogawędki.

- Cóż, nie jestem pewna.

- Ale musi pani jakoś go sobie wyobrażać.

- Był na pewno człowiekiem nieszczęśliwym. Rozgoryczonym. Żona go porzuciła, sam pan rozumie.

- A-a! - Żartobliwie. - Jedno z tych szczęśliwych niegdysiejszych stadel.

- Wszyscy trzej synowie opowiedzieli się po stronie matki. Nie chcieli go znać. Nie chcieli mieć z nim więcej do czynienia.

- I stąd jego gorycz?

- Skłoniło go to do powrotu na Orkady. - Pani Flett uczyniła szeroki gest w stronę okna, popatrzyła na zalaną, ciemną ulicę, na czarne deszczowe chmury. - A miał już sześćdziesiąt pięć lat. Musiał być rozgoryczony.

- Ale nie wie pani tego na pewno?

- Prawdę mówiąc...

- Tak?

- Prawdę mówiąc, ja nigdy nie poznałam teścia.

- R-rozumiem.

Lewis był wyraźnie zaskoczony.

- Nigdy się nie poznaliśmy, niestety. Zawsze żałowałam, że nasze drogi nigdy się nie zeszły. Zawsze myślałam, że...

- Że co?

- Że mielibyśmy sobie - zrobiła pauzę - dużo do powiedzenia.

- Niewiele kobiet myśli w ten sposób o swoich teściach.

- Pewnie nie.

- Magnus Flett był moim pradziadkiem - wtrąciła Wiktoria, chcąc, być może, wziąć na siebie część odpowiedzialności za rozkład życia rodzinnego.

Przez chwilę w milczeniu pili herbatę. Potem Lewis z udaną wesołością wzniosł filiżankę jak do toastu i powiedział:

- Za kości prawdziwego Magnusa! Niechaj żyje u boku Jezusa.

- Wyszedł ci rym - ucieszyła się Wiktoria, która ceniła u ludzi gorliwość.

- No, cóż - powiedziała babka Wiktorii, z uśmiechem na wargach, z piersią przepełnioną teraz trzepotem serca.

*

Następnego dnia wiatr ustał, wyszło zaskakująco ciepłe słońce. Z promu wysypali się turyści w krótkich spodenkach i podkoszulkach, turystki w letnich sukienkach, zapełnili wąskie uliczki Stromness, jedząc lody, kupując widokówki.

Był wieczór, ale jeszcze jasno. Dziobiąc zapiekankę z mielonego mięsa i ziemniaków w jadalni gospody Pod Szarymi Kamieniami, Lewis i Wiktoria wyjaśniali ciotce Daisy, co ich sprowadziło na Orkady. Lewis wyciągnął ołówek i na serwetce z bibułki narysował mały szkic, pośpieszny, ale pięknie wykonany - tak przynajmniej uważała Wiktoria, która starannie złożyła później serwetkę na dwoje i ukryła w kieszonce swojej walizki.

Wyspy, wyjaśniał Lewis, obfitują w skamieliny drobnych żyjątek morskich. Natomiast ślady dawnej roślinności uległy zagładzie. Nieodpowiednia była temperatura skorupy ziemskiej, struktury roślinne zbyt delikatne. Ale w Toronto, pracując z pomocą map komputerowych - najnowsza technika - badając we dwoje z

Wiktorią rozkład złóż ze skamielinami w północnej Szkocji, odkryli, że biegną one szerokim łukiem z zachod-zachodniego wybrzeża tego kraju do Skandynawii. Łuk ten, przy leciutkim odchyleniu, przechodzi przez skrajny cypel głównej wyspy, co nasunęło im przypuszczenie, że pewne formacje skalne w Yesanby, kilka mil na północ od Stromness, rokują nadzieję odkryć. Skala jest tam odmienna, twardsza, tak dalece, że wyspiarze wyprawiali się tradycyjnie do tego odległego zakątka po kamienie młyńskie, gdyż gdzie indziej na Orkadach kamień jest do tego celu zbyt miękki. Lewis wspomniał czert odkryty w Rhynie, wspomniał średnio stary czerwony piaskowiec. Opowiedział, jak wystąpił do Rady Naukowej Kanady o subwencję na wyprawę, jak skompletował sprzęt i zebrał ekipę badawczą, ekipę złożoną z niego i Wiktorii Flett. Mają trzy tygodnie na poszukiwania i opisy, na tyle starczy im funduszków. Oboje kipieli optymizmem. Biologia, dowodził Lewis, zawsze będzie się opierała wysiłkom systematyzowania i regulowania, za wiele jest zmiennych. Ziemia często zachowuje swoje tajemnice, prawda, lecz częściej bywa wspaniałomyślna.

Wiktorcia zerkała przez stół, przyglądając się babce, która wydawała się wypoczęta i pogodna, zaróżowiona od upału długiego dnia. Była piękna pogoda, zostawiła więc żakiet na górze, w pokoju, który dzieliły, i zastanawiała się teraz, czy nie powinna rozejrzeć się następnego dnia w miejscowych sklepach za lżejszą sukienką. Spała w nocy zdrowo, twardo, co było dobrym znakiem.

Patrząc na nią, Wiktorcia poczuła przypływ miłości i przypisała sobie część zasługi za obecne zadowolenie i swobodę babki. Niemal pragnęła, by się pojawiły trudności, przed którymi mogłaby ją uchronić, dar, który mogłaby jej ofiarować. W tej chwili, w tej minutce, piękne wydały jej się pędy przyjaźni wykwitające między Lewisem a babką, załączki czegoś trwalszego.

Lewis opowiadał o rowerach i plecakach, które wypożyczył, bo następnego dnia mieli jechać z Wiktorią do Yesanby i rozpocząć badania.

- My się zabierzemy do wygrzebywania naszych cudniek, a pani pozostawimy poszukiwania Magnusa Fletta.

- Czy zdawało mi się, że wspomnieli państwo Magnusa Fletta? - zapytał właściciel gospody, przystając przy stoliku, żeby im dolać kawy.

Nazywał się pan Sinclair. Był dużym mężczyzną arystokratycznej postury, przysięgłym starym kawalerem o inteligentnej twarzy i pięknej grzywie srebrnych włosów, które wciąż odgarniał z czoła. Jak, u Boga, taki człowiek wsiąkł w przemysł hotelarski, zastanawiała się Wiktorcia - powinien być aktorem filmowym, z tym swoim wytwornym, niemal namaszczonym sposobem stawiania talerzy na stole i słodkim komicznym wiejskim głosem. Jego gospoda, skromne sześć pokoi, ogłaszała się jako wyposażona we „wszystkie nowoczesne wygody”, co w praktyce oznaczało, że w niektórych pokojach są piecyki elektryczne. Pan Sinclair, kursujący w swoim schludnym szarym kombinezonie po wyłożonych dywanem schodach, był recepcjonistą, pokojówką, kucharzem i kelnerem.

- Czy się nie przesłyszałem, że państwo poszukują Magnusa Fletta? - zapytał uprzejmie, pochylając srebrną głowę nad stolikiem. - Proszę mi wybaczyć, że się wtrącam, ale mimo woli usłyszałem, że państwo mówią o Magnusie Fletcie. Stary Magnus Flett! On mieszka tuż obok, proszę państwa.

- Obok?

- Pod Jaworami. Musieli państwo tamtędy przechodzić. To dom dla starych ludzi, nie mających rodziny, która by się nimi opiekowała. Jak byłem chłopcem, z tyłu rosły jawory, ale oczywiście dawno ich nie ma. Dom był prywatną własnością, dopóki go nie przejęło miasto. Tam mieszka pan Flett. Sławny pan Flett, powinienem powiedzieć.

Wiktoria potrząsnęła głową. Wyglądała dziś powabniej, niż mogła się domyślać.

- Nasz Magnus Flett nie żyje - powiedziała z dozą namaszczenia. - Urodził się w tysiąc osiemset sześćdziesiątym drugim roku. Nie wiemy, kiedy zmarł, ale jesteśmy pewni daty urodzenia, bo zachowała się w dokumentach, które są w posiadaniu cioci.

- To Jego Wysokość, zgadza się. - Pan Sinclair pokiwał z uśmiechem głową. - To znaczy, jeśli nieborak ma tyle lat, do ilu się przyznaje, ale ja osobiście należę do ludzi skłonnych mu wierzyć na słowo. Co roku w dniu jego urodzin „Orkadyjczyk” publikuje jego zdjęcie. W tym roku przyjechali także z gazet londyńskich. Ten człowiek skończył sto piętnaście lat, wyobrażają sobie państwo? Nie dalej niż miesiąc temu czy coś koło tego urządzili mu urodziny, jakich państwo w życiu nie widzieli. Tort był jak ten stolik, na nim morze świeczek, wyglądało to jak ognisko. On, ma się rozumieć, wszystko to przespał. Cóż, pan Flett jest najstarszym człowiekiem żyjącym na wyspach brytyjskich.

*

Tym, co uczyniło Magnusa Fletta sławnym, był nie tylko wiek. Rozsławiła go jego fantastyczna pamięć.

Latem roku 1977, roku, w którym Wiktoria, jej kolega Lewis Roy i jej stryjeczna babka Daisy odwiedzili legendarne Orkady w ramach swoich odrębnych wypraw badawczych, sława Magnusa Fletta zasadzała się już rzeczywiście tylko na tych jego stu piętnastu latach. Jest to bardzo sędziwy wiek. Na Ukrainie żyje podobno kobieta, która ma sto dwadzieścia jeden lat, a Armenia może się pochwalić dwoma braćmi, których wiek podaje się na sto osiemnaście i sto szesnaście lat (na potwierdzenie tego są dokumenty). Eskimoska żyjąca w przytułku kościoła anglikańskiego w osiedlu Rankin Inlet złożyła przysięgę na Pismo Święte, że ma sto dwanaście lat (zaczęła palić w wieku osiemdziesięciu pięciu lat, pić w wieku dziewięćdziesięciu). Jest wreszcie niekwestionowany rekordzista ludzkiej długowieczności, pan Gee z Singapuru, który porusza się o własnych siłach w wieku stu dwudziestu trzech lat, jakkolwiek w ostatnich paru latach oglądała go na oczy jedynie jego żona (lat dziewięćdziesiąt sześć). Udokumentowany czy nie, tak podeszły wiek jest rzeczą podnoszącą na duchu, a Magnus Flett i jego matuzalowe lata słusznie zasługują na sławę. Jego sylwetkę przedstawiano w brytyjskich tygodnikach (patrz: „Dni życia Magnusa Fletta”, niedzielny dodatek do „Timesa” z 16 marca 1962, s. 54). A raz, przed dziesięcioma laty, wystąpił on przed kamerami telewizji BBC, patrząc prosto w oczy widowni i prezentując „swój numer”.

Znacznie bardziej niż wiek rozsławił go ten jego popisowy „numer” - umiejętność wyrecytowania z pamięci całej *Jane Eyre*, rozdziału po rozdziale, każdziutkiego zdania, każdziutkiego słowa. Pan Sinclair opisuje ten wyczyn swoim gościom głosem, który robi się jeszcze bardziej miódopłynny z podziwu.

Rzecz niemożliwa - powiedzą niektórzy ludzie, ludzie nieświadomi pojemności ludzkiego umysłu. Ludzie ci nie słyszeli zapewne nigdy o nabożnych osobnikach w dawno minionych stuleciach, którzy umieli na pamięć cały Nowy Testament. Jeszcze na początku naszego własnego stulecia można było nierzadko spotkać zwykłych śmiertelników, którzy znali na pamięć wszystkie cztery Ewangelie, jakkolwiek niewiele lat później w

szkółkach niedzielnych dawano już nagrody za wyrecytowanie takich drobiazgów jak błogosławieństwa czy psalm setny. Uczni od dawna dowodzą, że anglosaski poemat *Beowulf* był wygłaszany na ucztach przez jednego recytatora, który nie miał przed sobą tekstu pisanego. Daisy Goodwill Flett słyszała o tym niezwykłym wyczynie już w latach dwudziestych, jako studentka w College'u Longa dla Panien. W tym też czasie nauczyła się sama na pamięć całego *Opactwa Tintern*, i to wcale nie dlatego, że polecił jej to profesor, tylko dlatego, że czuła potrzebę wchłonięcia w siebie rytmicznych proroczych wersów Williama Wordswortha.

Stupiętnastoletniego Magnusa Fletta pamięć oczywiście zawodzi, pan Sinclair to przyznaje. W czasie wywiadu telewizyjnego przed dziesięcioma laty potrafił wyrecytować już tylko pierwszy rozdział *Jane Eyre*, jednak bez najmniejszego potknięcia ani zająknięcia. Przed rokiem pamiętał już tylko pierwszą stronę. A teraz ostrzega swoich amerykańskich gości pan Sinclair, biedak jest w stanie powtórzyć jedynie początkowe zdania pierwszego akapitu.

*

Największa samotność naszego życia wynika z naszej niechęci do ruchu, do wysiłku. Studzimy naszą wewnętrzną aurę, pozwalając sobie na luksus odkładania, przymierzania się. Czemu młoda Wiktoria tak się biedzi, żeby wypchnąć z pamięci starego Magnusa Fletta? I czemu jej stryjeczna babka Daisy odwleka z dnia na dzień wizytę w domu Pod Jaworami? Co wieczór częstuje wnuczkę nowymi wymówkami, wyjaśnia, że zwiedzała miejscowe osobliwości albo że cały dzień zajęło jej szukanie letniej sukienki na swoją miarę. Ciepłe dni trwają, jest to orkadzki rekord temperatur dla ostatniego tygodnia czerwca, i babka tłumaczy, że chce jak najlepiej wykorzystać bezprecedensową pogodę. W nowej bawełnianej spódnicy i bluzce (barwy czerwonego wina) i nowo nabytych sportowych butach wspina się na zbocza nad Stromness, znajdując po drodze wrzosa, ostrężyny, różne gatunki turzycy i piękne małe pierwiosnki szkockie (*Primula scotica*) w ich całym różowym przepychu.

- Miłość! Czułość! Odwaga! - szepcze do pochylego krajobrazu, nie wiedząc, skąd jej te słowa przyszły do głowy.

W niektórych wycieczkach towarzyszy jej pan Sinclair, rozmiłowany w sielskości. Gdy wyda południowy posiłek i pozmywa, wyprawia się z nią swoim zręcznym fordzikiem fiestą i odwiedzają kościoły, cmentarze, okoliczne miasteczka. Pewnego dnia natrafili na nagrobek, na którym zatarte było nazwisko, ale wyraźnie widoczna pozostała data (1675) oraz inskrypcja: „Patrz kresu życia!” Lakoniczna, wymowna przestroga. (Myślelibyście, że taki krzyk z krainy zmarłych przygnębi panią Flett, lecz nic podobnego, wprawia ją w zachwyt, jakby doznała widzenia czy usłyszała głos przemawiający zza tego wykrzyknika, zwiastujący fontannę jasności na skraju życia).

- Odwiedziłaś Magnusa Fletta? - pyta co wieczór Wiktoria, gdy wraca opalona i zakurzona ze zwalisk skalnych w Yesanby.

- Jutro - obiecuje babka. - Jutro zaaranżuję wizytę. Obie wiedzą - wie to nawet Lewis Roy, obserwujący ją milkliwą i cierpliwą za uniesioną filiżanką herbaty - że starsza pani uzbraja się na ewentualność rozczarowania.

*

Pani Flett odkrywa, że zieloność Orkadów jest zwodnicza. Co wygląda jak połączenie żyznego czarnoziemu, jest w rzeczywistości tylko cienkim pokryciem warstw skalnych. Kamień, oto z czego zbudowane są te wyspy. Z lekkiego szelfowego wapienia, łupiącego się w płyty i płyty, łatwego w obróbce - pełno go wszędzie. Każda farma, zdaje się, ma swój własny minikamieniołom, a narzędzia kamieniarskie - młotek, dłuto i świder - należą do wyposażenia każdego farmera. Ponieważ na wyspach dotkliwie daje się we znaki brak drzewa, płyt kamiennych używa się na dachy, ogrodzenia, stoły i ławy piknikowe, kamienie milowe i drogowskazy, co przywodzi uśmiech na wargi pani Flett, przypomina jej bowiem ulubiony serial wnuków, *Flintstonowie**. Wyobraża sobie, że farmy, koło których wiezie ją pan Sinclair, umeblowane są kamiennymi stołami i krzesłami, że nawet łóżka i szafy mają z kamienia. Przypomina sobie, że jej teść, Magnus Flett, kiedy przybył do Kanady, mając osiemnaście lat, był już mistrzem w kamieniarskim fachu.

Pracował w tyndalskim kamieniołomie, dopóki nie ukończył sześćdziesięciu pięciu lat. Mężczyzna muskularnych ramion i zręcznych rąk, robociarz. Według zgodnych przekazów nie było w nim odrobiny miękkości. Prawie się nie odzywał, według relacji synów. Pozostawił po sobie reputację nieustępliwości. Twardości. Kamień.

Nie był analfabeta; umiał przeczytać Biblię i katalog wysyłkowy Eatona, ale z pewnością nie należał do ludzi, którzy by zasiadali i czytali książki. Pani Flett to wie, nie trzeba jej tego mówić. Nie, nie przyszłoby mu do głowy czytać książkę. A już na pewno nie powieść. Powieść Angielki nazwiskiem Charlotte Brontë. Klejnot literatury angielskiej, *Jane Eyre*.

Niemożliwe!

- Chcesz, żebym z tobą poszła, jak się będziesz wybierała w odwiedziny do Magnusa Fletta? - pyta nie bez ociągania wnuczka.

- Jeśli pani chce - mówi pan Sinclair - mogę pani towarzyszyć, jak pani będzie szła do Magnusa Fletta.

- Jutro - odpowiada pani Flett. - Jutro.

*

Jednakże następnego dnia pojechali we dwoje z panem Sinclairem do Yesanby, gdzie pracowali Lewis i Wiktoria.

Koniec drogi okazał się nieprzejezdny, więc musieli zostawić auto przy skrzyżowaniu na East Bigging i dojść do poszarpanego wzgórzka pół mili przez wrzosowisko. Na ich widok Wiktoria jęła machać rękami i wykrzykiwać entuzjastyczne powitania, które mieszały się ze skrzeczeniem ptactwa morskiego i dochodzącym z dołu hukiem fal.

Na skałach oślepiało słońce. Nad skrajem błyszczących, śliskich kamiennych tarasów wznosiła się sławna Boża Brama, którą Wiktoria opisywała babce, ogromny naturalny łuk skalny, przez który przewala się co siódma, ósma fala. (Pięćdziesiąt lat temu wspięli się podobno do jej otworu dwaj amatorzy fotografowie i na oczach żon i dzieci zostali zmcy do morza).

Pani Flett, mrużąc oczy w słońcu późnego popołudnia, poczuła się przytłoczona otaczającym ją ogromem - niebosiężną formacją skalną, bezmiarem i gwałtownością morza w dole i wyniosłym, rozległym, bezludnym wrzosowiskiem. Na skraju jej pola widzenia, z dala od szumu i plusku porywów morskich, stało

zaparkowane auto pana Sinclaira, niewielka plamka na widnokregu. Sam pan Sinclair zatrzymał się o parę metrów od niej, barczyste ramiona splótł w spoczynku na piersi jak skrzydła, stateczny w swoim patrycjuszowskim ciele. Ta lekkość, która ją przepelnia - jej osoba zawieszona między grzmotem a ogromem świata - cóż to jest? Przez minutę pani Flett nie umiała znaleźć nazwy dla porywistego powiewu przelatującego przez nią, układającego jej twarz w uśmiech, aż w końcu trafiła na nią: szczęście. Jest szczęśliwa.

Wiktoria, ukochana wnuczka pani Flett, i Lewis Roy, człowiek, o którego istnieniu nie wiedziała dwa tygodnie temu, krzątał się jak insekty po wystęпах skalnych, skrobiąc swoimi małymi narzędziami po powierzchni widomego świata, licząc na co? Że znajdą mikroskopijny ślad zaginionego życia. Życia obróconego w kamień. W gorzki minerał. Odkrycie takie, powiedzieli jej, miałyby olbrzymie implikacje - podniecała ich sama myśl o czymś tak ogromnym. A przy tym odkryty okaz mógłby się łatwo zmieścić w jednej dłoni, mały odłamek skalny z zarysem liścia. Albo pierwotnego kwiatu. Ślad choćby bakterii, delikatna nitka, zakodowane punkciki życia.

Jak dotąd jednak - a pozostał im niecały tydzień - na nic nie natrafili.

*

W ciemne noce, w gospodzie Pod Szarymi Kamieniami, Wiktoria leży w ramionach Lewisa Roya.

Czeka, aż babka twardo zaśnie, po czym wstaje, wymacuje w ciemności ranne pantofle i bezszelestnie przemyka się wąskim korytarzem do pokoju numer 5, gdzie leży, czuwając, Lewis. W jej nocnych wyprawach jest coś z francuskiej farsy i Wiktoria ceni sobie ten teatralny dreszczyk, dorzucając go do bezmiaru swego obecnego szczęścia. Przyćmiony korytarz - światłocienie, staroświecka komódka, lustro, stojący zegar - pokryty jest miękkim dywanem. Jego topografia nie kryje się całkowicie w mroku, gdyż pan Sinclair pomyślał o różowym światełku nocnym dla wygody gości. Wystarcza go akurat, żeby Wiktoria mogła dojrzeć słowa na ładnym wiktoriańskim talerzu, wiszącym na ścianie koło łazienki.

Szczęście kwitnie przy naszym własnym kominku

i nie należy go szukać w ogrodach obcych ludzi.

Kominki! Ogrody! Idąc na palcach korytarzem o drugiej w nocy, przystając, żeby odczytać te słowa, Wiktoria ma ochotę parsknąć śmiechem.

Oboje z Lewisem rozumieją ten napis jako ostrzeżenie przed takim właśnie upojeniem, jakie odkrywają w ostatnich dniach. Noc po nocy, zasypiając i budząc się w szeleszczącej białej pościeli zacnego zakładu pana Sinclaira, zanurzają się coraz głębiej w ową tajemnicę, przywołując w sobie siły, które uważali za odzegnane, zduszone. Przed rokiem, przed miesiącem nawet, każde z nich przeszłoby do porządku dziennego nad taką konwergencją morskiego powietrza, ciepłego słońca, długich dni - a także możliwości błędu naukowego, wręcz badawczego fiaska - i obstawaliby przy tym, że rozkosze miłości erotycznej dają jedynie przelotną satysfakcję, są pociechą dla ubogich duchem.

Wiktoria nic nie powiedziała ciotce Daisy o swoim odkryciu ani o swoich planach na przyszłość, wie bowiem, jak ta się gryzie z powodu syna Warrena, jego dwóch rozwodów, a ostatnio także gorzkiej separacji córki Alice z mężem Benem. Wiktoria podejrzewa - choć jakim cudem miałyby być tego pewna? - że ciotka Daisy mogłaby się podpisać pod ostrzeżeniem sformułowanym na wiktoriańskim talerzu ściennym, przekonana, że w sumie ogrody obcych ludzi przynoszą więcej bólu niż szczęścia.

*

- Muszę panią ostrzec - powiedziała pani Betty Holloway - że jest całkowicie przykuty do łóżka. I nie panuje nad funkcjami fizjologicznymi.

- Tak, rozumiem.

- Następna rzecz, proszę pani, to że prawie nie widzi. Zaćma, nieoperowalna w jego wieku.

- To zrozumiałe.

- Zaskakujące, ale słyszy trochę jednym uchem.

- O!

- Natomiast jest kompletnie głuchy na drugie. Tak jest od dawna.

- Rozumiem.

- Męczy się bardzo szybko.

- Nie będę siedziała długo.

- Mówi pani, że jest jego krewną.

- Nie jestem pewna. Być może. Przez męża.

- Nie ma żadnej rodziny. Przynajmniej tutaj. Czy to nie smutne?

- Bardzo.

- Człowiek, który dożywa takiego wieku, rzadko kiedy ma rodzinę. I oczywiście niewiele osób go odwiedza.

- Nie wie pani przypadkiem, czy pan Flett mieszkał kiedyś w Kanadzie?

- W Kanadzie? Nie wiem. Ale to prawda, że wielu młodych ludzi wyjeżdżało kiedyś na pewien czas do Kanady. Żeby się dorobić. Tutaj nie było zbyt wielu możliwości w dawnych latach.

- Ale jeśli chodzi o pana Fletta... Muszą być jakieś dane. Dokumenty.

- Wiemy tylko, że zanim się przeniósł tutaj, mieszkał w Sandwick. Żył samotnie, sam sobie wszystko robił. Hodował własne jarzyny, kopał własny torf. Ludzie, którzy go tam znali, mówią, że żył jak pustelnik. Trzymał się z dala od wszystkich. Bardzo lubił czytać.

- *Jane Eyre*.

- Tak, to szczególnie.

- Kiedy się tutaj przeniósł, musiał mieć jakieś papiery, może stare listy.

- Nic mi o tym nie wiadomo. Nie było żadnych listów, żadnych papierów osobistych, metryki urodzenia, jeśli pani ma to na myśli. Nie, nic takiego nie było.

- Może miał obrączkę ślubną.

- Nie przypuszczam, nie. Oczywiście mężczyźni nie mieli wówczas zwyczaju nosić obrączek, o ile wiem. Teraz wszystko się zmieniło.

- To prawda.

- Nosił pod ubraniem jedną starą fotografię, złożoną na pół. Przechowujemy ją.

- Mogłabym ją zobaczyć?

- No, skoro pani jest krewną...

- Nie jestem tego absolutnie pewna...

- Mam tę fotografię gdzieś tutaj w jego teczce. To rodzaj portretu grupowego, kilka kobiet, jeśli dobrze pamiętam... O, jest.

- Jaka szkoda, że została złożona, wszystkie twarze nie do rozpoznania. Ale śliczne jest to, co widać. O!

- Była złożona, kiedy go tu przywieźli. Sam ją widać złożył. Przechowujemy bardzo starannie rzeczy osobiste naszych pensjonariuszy.

- Och, nie to miałam na myśli...

- Na odwrocie jest jakiś napis.

- A, tak. Napisane... napisane jest: „Klub Rytmiki i Gimnastyki Pań”. Ale nie ma daty.

- Pierwsze lata naszego stulecia, na mój rozum. Sądząc po sukniach.

- W każdym razie dawno temu.

- Na pewno. Zaprowadzę panią teraz do pokoju pana Fletta.

- Bardzo będę wdzięczna.

*

Pierwszą rzeczą, jaką zauważyła, była mleczna błona na jego źrenicach. I biała pościel, biała kołdra, pod którą wyglądał jak spowity bandażami.

Magnus wędrowiec, Magnus cierpiący człowiek naszych czasów - oto jak o nim myślała przez te wszystkie lata. Romantycznie. Uważając się sama za wędrowczynię, z sercem sieroty, melancholijnie tęskniącym do przystani, do drzwi z własnym nazwiskiem. A tutaj leży przed nią ledwo oddychające truchło, naznaczone całym rozkładem starości, napiętnowane. Warstewka skóry, rusztowanie kości. Bardziej porcelana niż kość.

- Jestem Daisy - powiedziała mu do ucha, bo nic innego nie przychodziło jej do głowy. - Żona Barkera.

Szelest kokonu pościeli.

- Pańskiego syna Barkera. Nic.

- Miał pan żonę, proszę pana. Nazywała się Clarentine. Clarentine Barker Flett. Niech pan skinie głową, jeśli to prawda.

Żadnej reakcji.

- Proszę pana! - Czekala, czując się idiotycznie, wystraszona, że może swoją natarczywością porazić mu serce. - Niech pan mrugnie tylko okiem. Niech pan mrugnie okiem, jeśli Clarentine Barker Flett była pańską żoną.

Minęło kilka sekund - pozwoliła im mijać - po czym otworzył usta, które nie były wcale ustami, tylko pofałdowaną jamą bez warg i zębów. Musiała się pochylić, żeby dosłyszeć, co mówi:

- Nie można było - tu zrobił pauzę - wyjść tego dnia na spacer. - Nowa pauza. - Przechadzaliśmy się zwykle wśród bezlistnych krzewów...

Urwał.

- Cudownie, proszę pana - powiedziała, jakby chwaliła małe dziecko. - Ale czy może pan sobie przypomnieć... powiedzieć mi... czy mieszkał pan kiedyś w Kanadzie? I miał pan żonę imieniem Clarentine? - Powtórzyła głośniej: - Clarentine.

Powieki mu opadły.

- Nie można było wyjść na spacer.
- Pańska żona, proszę pana. Clarentine.
- Cla-ren-tine - powtórzył.

To słowo, imię, wydobyło się z jego ust jak tchnienie, świszczące, kwaśne.

- Tak - powiedziała zachęcona. - I pański syn Barker. Straszliwa jama ust poruszyła się znowu.
- Bark.

Słowo wyszeptało mu się mozolnie, ślizgając się na krawędzi dźwięku.

- A ja jestem Daisy - powiedziała.

Zdawało się, że przestał oddychać. Zaległa przeraźliwa cisza.

- Daisy Goodwill - powtórzyła głośno do jego słyszającego ucha.
- Day-zee.

Był to szmer, który się ześlizgnął z grzbietu spółgłosek w tchnienie samogłosek. Magnus wypowiedział to, czuła pani Flett, posłusznie, mechanicznie. Echo - bo czymże innym mogłoby być? - ale w jakiś sposób ją to zadowoliło. Wzruszona miała ochotę sięgnąć pod przykrycie i uścisnąć jego dłoń, lecz przeraziła się, co tam może znaleźć, jaki niewyobrażalny rozkład ciała. Więc tylko przycisnęła lekko koldrę - i poczuła materialność spętanych kości i zwiędłej skóry. I lekkie drżenie. Emanujący zapach gnicia.

- Przyszłam pana odwiedzić - powiedziała, wstydząc się wesołego, towarzyskiego tonu, jaki przybrała. - Wreszcie pana odnalazłam.

Chciała użyć słowa „ojciec”, wypróbować je, lecz przeszkodził jej paralizujący przyptyw onieśmienia.

Wierzy jednak temu, co ma przed sobą. Wierzy świadectwu własnych oczu, uszu, własnej intuicji, tego mitycznego zmysłu kobiecego. Naturalnie będzie potrzebowała czasu, żeby przetrwać wszystko, co odkryła. Będzie to od niej wymagało świadomej rewizji - przedstawienia, przystosowania. Pewne luźne elementy, które stanowią w naturze anomalię, może są nawet irracjonalne, trzeba będzie ostukać jubilerskim młoteczką. Przerobić. Podeprzeć domysłem. Zrównoważyć. Obronić. Ale ona jest gotowa, a czyż nie to się liczy? Gotowość przez długi czas wzbierała w Daisy Goodwill Flett.

Starzec zapada w sen, a ona wymyka się z pokoju, wyczerpana, wydrążona, lekka jak duch. Przez parę minut zdaje jej się, że tuli w ramionach tę nieważkość, tę woń, która jest jej życiem. Och, czuje się znowu młoda i silna. Popatrzcie, jak swobodnie wychodzi i kroczy wąską kamienną uliczką Stromness, podrzucając włosy w delikatnym świetle.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Choroba i utrata sił 1985

Osiemdziesięcioletnia babcia Flett z Sarasoty na Florydzie jest chora; każddziuteńka komórka w jej ciele zdaje się wpędzona w chorobę.

Kiedy przed miesiącem zasłabła - dopadł ją atak serca przy podlewaniu miniaturowych pelargonii po południowej stronie balkonu - padła całym ciężarem na betonową podłogę i złamała obydwie kolana. Szczęściem usłyszała jej krzyk i wezwała pogotowie Marian McHenry, której balkon oddziela od balkonu pani Flett jedynie kawałek drewnianej kratownicy.

Dwa dni później zrobiono jej podwójny bypass w Memorial Hospital w Sarasocie (o takiej możliwości mówił już więcej niż rok przedtem kardiolog pani Flett, ale z różnych powodów sprawa uległa zwłóce). Tydzień po operacji, kiedy babcia Flett zaczynała wracać do sił, doznała czegoś, co wyglądało na zapaść nerkową; w rezultacie usunięto jej jedną z nerek, lewą, i stwierdzono, że była zrakowaciała.

- Szczęśliwie udało nam się czysto i ładnie usunąć to świństwo - oznajmił jej urolog z rozlewnym południowym zaśpiewem, który tak denerwuje panią Flett.

Nagle ciało zrobiło się jedyną rzeczą, która się liczy. Jakież sprawiło jej zawód! Jak z gruntu jest się samotnym, żyjąc rok po roku w swoim ciele, popychając je wciąż do przodu, jak nie ma się chwili wytchnienia od jego ciężaru, nawet gdy się śpi, nawet gdy się jest na krótko zespolonym z drugim ciałem. Prześwietlenie lewego kolana uzmysławia jej, jak jest niematerialna, zawsze taka była, w otoczce ciała, przezroczystej. Żyje teraz na otwartej arenie bólu, otoczona przez całe rzędy widzów, rząd za rzędem. Noce są bezkresne, światło poranka kłujące. Te szpitalne ranki! Wsadzają jej w usta termometr, mierzą szorstko ciśnienie, wtaczają do pokoju monitor EKG, ciężki, toporny, przypominający męską twarz, gotów potępić jej niewydolność naczyniową. Jej wiekowe stopy, wyglądające spod przykrycia, mają przezroczystość ostrygi i są stale zimne, czego, o dziwo, nikt nie zauważa, nikt nie pyta: „Czemu ma pani takie zimne nogi, proszę pani?” Mocz spływa z niej przez cewnik, wetknięty między uda, i znika gdzieś wraz z innymi mętnymi płynami. Gdzieś we wszechświecie. Pani Flett pluje do miseczki, myjąc silne starcze zęby wydaje nieprzyzwoite bulgotliwe dźwięki - i usiłuje sobie przypomnieć czasy, gdy jej ciało było jej prywatną, zapieczętowaną własnością.

Po paru dniach usunięta zostaje z jej nosa rurka, a z ręki igła kroplówki, i pani Flett przyjmuje wraz z gratulacjami obwieszczenie, że zasłużyła sobie ponownie na prawo przyjmowania pokarmów stałych i płynnych.

- Lemoniada dobrze pani robi, kochana - oznajmia dziewczyna z napojami. - Nigdy, ale to nigdy nie może być za dużo płynów.

Dziewczyna, która rozwozi na wózku sok jabłkowy, mleko, mrożoną herbatę i letnie kakao, ma osiemnaście lat, czarną twarz, fioletowe wargi i wysoki, nerwowy, jednostrunny śmiech. Drażniący.

We wczesnych godzinach rannych pani Flett doświadcza koszmarów, które są wyjątkowo natrętne, targają wnętrzem jej serca i mają zawsze gwałtowną treść, której nigdy potem nie pamięta.

- To wpływ leków - mówią doktorzy. - Zwykły objaw.

W łagodniejszych snach dziennych dryfuje w scenerii starych podwórek, pełnych kurzu i śmieci walających się na grządkach, i wśród stosów ściętych gałęzi, ulicami, przy których bladolicy mężczyźni i kobiety podlewają trawniki zarośnięte babką, mleczem i płożącą się tojeścią, skazane przez niewiedzę i brak pieniędzy na wieczne zaniedbanie.

W fałdzie świadomości między snem a jawą pani Flett jest w stanie wkroczyć prosto w mechanikę inwencji. Malować barwne sceny. Układać rozmowy, dyskusje. W jej skołatany mózgu tłuką się pewne zdania, zapamiętane czy zmyślane, nękające ją swymi kadencjami i stępionym znaczeniem.

- Przyszedł panią odwiedzić kapelan, kochana.

- C-co? - Ze spirali cienko barwionego snu.

- Kapelan. Miałaby pani ochotę porozmawiać z kapelanem?

- Z kim?

- Z kapelanem. - Tym razem głośniej. - Wielebnym Rickiem. Pamięta pani wielebnego Ricka.

- Nie.

- Ejże, oczywiście, że pani pamięta. Nie dalej niż wczoraj modliła się pani pięknie wraz z nim. Czytał pani wersety z Biblii.

- Nie.

- Ejże, niech pani nie mówi takich rzeczy, kochana. Musi pani pamiętać kapelana, na pewno pani pamięta.

- Nie.

- Co nie?

- Nie chcę z nim rozmawiać. Nie dzisiaj.

*

Pani Flett ma separatkę z dużym, nie zasłoniętym oknem. W dniach po operacji leży, nieszczęśliwa, w łóżku i w krótkich chwilach czuwania ślepi na pastelową betonową zabudowę Florydy, różową, seledynową, lawendową jak ptifurki lepiące pulchną dłonią i pozostawione, żeby wyschły i stwardniały. Słońce świeci na pogięte karoserie rodzinnych aut, lśni na włosach młodych matek gruchających do swoich pociech, rozpraża do białości cementowy płot parkingu. Lekarze parkują swoje mercedesy i lincolny na zarezerwowanych miejscach w pobliżu wejścia, dachy ich limuzyn połyskują ostrym blaskiem opakowań tanich cukierków, tęczą barw.

- Nie, nie mam dziś ochoty rozmawiać z kapelanem - mówi pani Flett z godnością; stara się, żeby to brzmiało godnie.

- Skoro tak pani sobie życzy... - Ze wzruszeniem ramion.

- Tak sobie życzę.

- Decyzja należy do pani.

- Wiem.

- Ale to bardzo dobrze robi, posłuchać słów Chrystusa, najśodszych słów, jakie można usłyszeć na tym naszym pomyłonym świecie.

- Jestem dziś zbyt zmęczona.

- Podniosłoby to panią na duchu. Codziennie jestem tego świadkiem, słowo daję. „Pan jest moim pasterzem, więc nie brak mi niczego”*. To najlepsze lekarstwo pod słońcem. I nic nie kosztuje.

* „Księga psalmów”, 23:1, przełożyli o. Augustyn Jankowski i ks. Lech Stachowiak.

- Nie, naprawdę dziękuję...

- O, widzi pani, jest wielebny Rick. Dzień dobry, pastorze. Proszę wejść na minutkę. Pocieszyć trochę naszą chorą, bo jest coś okropnie markotna.

- Proszę, ja nie...

- Ma pani ochotę trochę porozmawiać, proszę pani?

- Ja nie...

- Mogę zawsze przyjść jutro.

- No...

- Posiedzę tylko minutkę. Nie chciałbym pani męczyć.

- Ależ nie...

- Przepraszam? Co pani powiedziała?

- Niech pastor siada. Proszę się czuć...

- Przepraszam, ale nie dosłyszałem...

- Proszę się, proszę się - tu babcia Flett utyka, przykłada silniej język do ścianki dolnych zębów, wpada na moment w panikę, po czym, dzięki Bogu, odnajduje właściwe słowa - czuć jak w domu.

- Przynę sobie krzesło, jeśli pani pozwoli.

- Ładnie, że pastor przyszedł.

Bóg, Syn Boży i Duch Święty nagle pojawiają się tu, w pokoju szpitalnym babci Flett, rządkiem na ścianie, trójca malowideł na aksamicie, ciemnych, złoto oprawnych, z rozumiejącymi wargami wypranymi z uśmiechu, lecz gotowymi głosić wieczną miłość. Wróbel nie spadnie, żeby oni - co oni właściwie robią, ta trójca? Co oni takiego robią? Wiedziałam, ale teraz, w wieku osiemdziesięciu lat, nie pamiętam. Pewnie za późno pytać, zresztą mało prawdopodobne, żeby wielebny Rick potrafił wyjaśnić. Oczyszczenie grzechów, odkupienie. I gdzieś, w dalekiej przeszłości, krew baranka. Coś barbarzyńskiego. Zalesione wzgórze. Skażone.

- Obawiam się, że nie bardzo dosłyszałem, co pani powiedziała.

- Powiedziałam: ładnie, że pastor przyszedł. Czy pani Flett krzyczy?

Nie, tylko tak się zdaje, w rzeczywistości biedaczka szepce. Z czeluści swego łóżka. Z głębi swego bólu i zagubienia. Zdławionym osiemdziesięcioletnim gardłem. Cała w rurkach i drucikach. Po proszkach. Snach. Jej stopy są takie zimne i wilgotne, obnażone, zapomniane, skazane. Pastelowa sceneria za kosztownym oknem, na parkingu trzaskają drzwiczki aut, Chrystus, Bóg Ojciec i Duch Święty spoglądają na nią z góry, z

męską wyższością, wszystko wiedzą, wszystko widzą, tylko tak naprawdę nic ich nie obchodzi bóle i trwogi jej ciała, dzień dzisiejszy jej życia. Jej teraz. Ta chwila. Odejdźcie, proszę, odejdźcie.

- Ładnie, że pastor przyszedł.

Słyszeliście? Jakie wytworne maniery ma ta starsza pani! Nieczęsto spotyka się w naszych czasach taką staroświecką uprzejmość. I pomyśleć, że ledwie dwa tygodnie minęły od jej bypassów, sześć dni, odkąd wyrwano jej z ciała nerkę. A te jej kolana, jej biedne zmiażdżone kolana. Zdumiewające, biorąc wszystko pod uwagę, że pamięta właściwy frazes; zdumiewająca, a zarazem paraliżująca ta trwałość formułek dyskursu towarzyskiego.

Nieważne, to nie ma znaczenia. Pani Flett czyni jedynie wysiłki, żeby pozostać panią Flett.

*

Pokój pani Flett jest pełen bilecików i kwiatów. Dziewczyna od napojów - na imię ma, zdaje się, Jubilee - stroi gardłowe żarty z tego nadmiaru, piszczy z niedowierzaniem, odgrywa przerażenie.

- J-jeszcze j-jeden bukiet! Litości! Niech mi pani powie, kochana, jak ja zmieszczę jeszcze jeden bukiet w tej dżungli?

Syn pani Flett, Warren, i jego nowa żona, Peggy, przysłali półtorametrową nadymaną żyrafę z podkreconymi winylowymi rzęsami i pyskiem pełnym miękkich zębów - stoi ona pod oknem, chwiejąc się za każdym powiewem. Temat do rozmówek, myśli pani Flett nieco zakłopotana, zastanawiając się, czy żyrafy kojarzą się z czymś, co ma związek z osobami starszymi i złożonymi chorobą, czy też może jest to nawiązanie do jakiejś zapomnianej historyjki rodzinnej. Jej oregońskie wnuczki - Rain, Beth, Lissa i Jilly - złożyły się i z pieniędzy zarobionych pilnowaniem dzieci kupiły babci Daisy skomplikowaną grę na baterie, zwaną autobrydżem. Na wspomnienie ich wspaniałomyślności, ich poświęcenia gardło pani Flett wypełnia się łzami, chociaż, prawdę mówiąc, nigdy nie wyjęła gry z pudełka ani nie zdobyła się na tyle energii, żeby przeczytać ciasno drukowaną instrukcję.

Codziennie o piątej babcia Flett odbiera zaoceaniczny telefon od córki Alice w Hampstead w Anglii (to dziesiąta wieczór według czasu Greenwich). Alice lubiła kiedyś żartować, że jej matka, kiedy przyjdzie na nią czas, podniesie na odchodnym pogodnie dłoń, tak jak przejeżdżająca królowa Elżbieta, w kapeluszu, w rękawiczkach, machająca z samochodu na pożegnanie; tak pani Flett pożegna świat, życie - tę tajemnicę, tę przygodę. Teraz Alice rozumie, że będzie musiała zrewidować ten obraz. Matka jest chora, bezradna, więc Alice, rozmawiając przez Atlantyk, przyjmuje wyraźny, spokojny, niespieszny ton, tak jakby mówiła z budki po drugiej stronie ulicy, jakby odgrywała scenę z serialu telewizyjnego.

- Rozmawiałam z doktorem, mamusiu. Mówi, że robisz nadzwyczajne postępy. Uważa, że wykazujesz podziwu godną odporność i powinnaś tylko, wiesz, zdobyć się na trochę więcej cierpliwości. Jeśli rekonwalescencja będzie nadal postępowała w tym tempie, to za parę tygodni będziesz mogła wrócić do domu. Ale po co miałabyś się śpieszyć, skoro masz tam takie nadzwyczajne warunki i opiekę, zwłaszcza że to prawie w całości pokrywa Niebieski Krzyż.

Alice dzwoni także do swojej siostry Joan w Portlandzie, w Oregonie, i z miejsca oznajmia:

- Mamusia nie może żadną miarą wrócić do domu, doktor uważa, że to niemożliwe. Jak by sobie radziła? Jest inwalidką.

Do brata Warrena w Nowym Jorku mówi (a druty telefoniczne niosą jej napięcie):

- Rozmawiałam z ortopedą, twierdzi, że mamusia już nigdy nie będzie chodziła, chyba że z balkonikiem, ale i to niepewne. Boże święty, musimy spojrzeć prawdzie w oczy, to początek końca.

Cała trójka dzieci pani Flett ma wyrzuty sumienia, że nie czuwa przy łóżku matki. Alice zamierza przylecieć za miesiąc, kiedy skończy się semestr i przestanie wykładać. Nowa żona Warrena urodziła niedawno córeczkę z chorobą Downa (ochrzczoną imieniem Emma) i Warren uważa, nie bez słuszności, że nie może w takiej sytuacji zostawić rodziny, nawet na parę dni. Joan zrobiła wprawdzie krótki wypad - Portland, Chicago, Tampa - ale ma w końcu cztery nastoletnie córki, którymi musi się opiekować, i męża skłonnego do skoków w bok. Stryjeczna wnuczka pani Flett, Wiktoria, przysyła jej co drugi dzień dowcipne kartki, ale chwilowo trzymają ją w Toronto obowiązki zawodowe, jak również mąż Lewis i małe bliźnięta.

Kiedy babcia Flett myśli o swojej rozproszonej rodzinie, dzieciach, wnukach, stryjecznej wnuczce, nie potrafi przed oczami uformować obrazu ich własnych, osobnych twarzy. Bardziej realna jest dla niej obecnie młoda Jubilee. A także doktor Aaronfeld i doktor Scott w ich codziennych obchodach, z ich żarcikami i zdrowym, głośnym szpitalnym śmiechem. Na swój sposób również wielebny Rick. I wierna Marian McHenry, która nie opuściła ani jednej popołudniowej godziny odwiedzin - niech jej będzie odpuszczone, że jedyne, o czym potrafi mówić, to jej rodzina w Clevelandzie. I oczywiście trzy Kwiatki! Jakżeby pani Flett się czuła bez swoich trzech Kwiatków, które przyjeżdżają co dwa, trzy dni taksówką, no, i jaką mają uciechę z tych wspólnych chwil!

Nawet kiedy pani Flett miała jeszcze w nosie rurkę i ledwo mogła unieść głowę na poduszce, Kwiatki przyjeżdżały na partyjkę brydża u jej wezglowia. Krótkie parę rozdań pierwszego dnia, a potem stopniowo coraz więcej. Wydaje się prawie niemożliwe, żeby babcia Flett mogła się w swojej sytuacji skoncentrować na kierach i pikach, punktach i lewach, atu i bez atu, ale jakoś może i koncentruje się; wszystkie się koncentrują. Na imię mają Lily, Myrtle i Gład; Gład jest oczywiście skrótem od Gładys, nie od Gladiola, mimo to uważa się ona za pełnoprawnego członka Klubu Kwiatków*. Wszystkie cztery rezydują na różnych piętrach tego samego wieżowca, w którym od lat mieszka pani Flett, i tam, w sali klubowej w suterenie, utworzyły swoją czwórkę do brydża. (Było to jakoś pod koniec lat siedemdziesiątych, kiedy pani Flett utraciła swoje dwie najbliższe przyjaciółki, Binę, która zmarła nagle, i Fraidy Hoyt, która zupełnie zdziecinniała; był to straszny okres). Kwiatki rozrabiają jak szalone, prą do przodu jak pożar lasu. Mieszkańcy wieżowca zazdroszczą im swobodnej radości życia, beztrioskiej zabawy, a każda z Kwiatków doskonale zdaje sobie z tego sprawę, jest zaskoczona i wdzięczna, że coś takiego spotyka ją na starość. Nareszcie! Powodzenie nastolatek. Niezasłużone, ale czy nie tak jest zawsze z powodzeniem?

* Lily to oczywiście po angielsku lilia; Myrtle - to mirt; Gladiola - to żeńska forma od gladiolus, mieczyk. Imię samej pani Flett, Daisy, znaczy stokrotka. Dalej pojawia się jeszcze jedno „kwiatowe imię”, Iris, czyli irys, kosaciec.

Cztery Kwiatki są szczęśliwe ze swej przyjaźni, doceniają swoje szczęście. Lily pochodzi z Georgii, Gład z New Hampshire, szybko mówiąca Myrtle z Michigan - różne światy, powiecie, a przecież ich życie

rozbrzmiewa na podobną nutę. Przyjrzyjcie im się tylko - cztery białe kobiety. Jak pani Daisy Flett są wdowami; wszystkie są dobrze sytuowane; nie miały karier innych niż małżeństwo i macierzyństwo; lubią się zdrowo pośmiać; jest coś koronkowego i komicznego w sposobie, w jaki bezustannie balansują na krawędzi śmiechu. W każdą niedzielę idą na mszę do Pierwszego Kościoła Prezbiteriańskiego, a stamtąd na śniadaniolunch do restauracji Zbieracze Muszli, gdzie za stałą opłatą można jeść do woli (napis nad kasą głosi: „Pomóżcie wyplenić gotowanie w domu”). A od poniedziałku do soboty grają zawsze od drugiej do wpół do piątej w brydża w sali klubowej swego wieżowca, zajmując niezmiennie ten sam okrągły stolik w rogu, z dala od szumu i chłodu klimatyzacji. Jest to stolik Kwiatków, niczyj inny.

- Jak nam dzisiaj kwitną Kwiatki? - wołają współmieszkańcy w charakterze powitania.

- Mój mąż mawiał, że kobiety o kwiatowych imionach szybko więdną.

Powiedziała to któregoś dnia Myrtle, ni z tego, ni z owego, i wprawiło je to czemuś w taki paroksyzm śmiechu, że aż opadły z sił. Gdy je się teraz spyta, jak kwitną Kwiatki, na pewno któraś wesoło odpowie: „Więdną szybko”, a inna dorzuci, sunąc tanecznym krokiem: „Ale trzymają się twardo”. Należy to do ich stałego repertuaru, wśród paru innych rzeczy. Mają na przykład tradycyjny dowcip o beżowym swetrze, który Gład robi na drutach od dziesięciu lat. Inny żart odnosi się do pana Jellico z siódmego piętra, który ma zwyczaj trzymać się za krocze, kiedy myśli, że nikt go nie widzi. Jeszcze inny do pani Bolt, która opiekuje się kącikiem bibliotecznym i harapczy wszystkie książki dla słabo widzących, drukowane wielką czcionką. Innym przedmiotem żartów jest Marian McHenry ze swymi wiecznymi siostrzenicami i siostrzeńcami w Clevelandzie. Jeszcze innym - nieodparta, występna pokusa placka z orzechami pekanowymi u Zbieraczy Muszli. Kwiatki czczą urodziny każdej po kolei tortem z cukierni i kieliszkiem kalifornijskiego wina - i zawsze przy takiej okazji jedna czy druga z nich powie:

- No, do następnego roku, miejmy nadzieję, że nie w ziemi.

Jest to, prawdę powiedziawszy, żart, w którym się najbardziej rozsmakowały, żart, który szokuje odwiedzających członków rodzin, lecz z ich warg spływa z odświeżającą swobodą, z delikatnym trylem kpiny - żart, ściśle mówiąc, z ich własnej śmierci. Ich śmiech ścina się przy tym w rehot. Zostało już ustalone, że kiedy jedna z nich „się zawinie”, „wyzionie ducha”, „przeniesie się na łono Abrahama”, „wyciągnie nogi”, „odwali kitę”, „pójdzie do piachu” - że wówczas, po przyzwoitym tygodniu czy dwóch żałoby, pozostałe trzy zaproszą na opuszczone miejsce przy okrągłym stoliku niemożliwą Iris Jackman (czwarte piętro, zachodnie skrzydło), mimo że ta, ze względu na nadmierne pocenie się, stanowi w zamkniętym pomieszczeniu przykre towarzystwo i jest tak nierozgarnięta, że nie odróżnia licytacji jeden pik od wielkiego szlema.

*

W ciele babci Flett pulsuje tajemnica, promieniująca ciepłem od kości jej nadgarstka, gdzie światło załamuje się w plastikowej bransoletce szpitalnej z napisem: Daisy Goodwill.

Tylko tyle - Daisy Goodwill. Ktoś w rejestracji pokpił sprawę, okroił jej personalia, opuścił nazwisko Flett, wypisał tylko pierwotne nazwisko, panieńskie, zawieszony w próżni, nagie jak tulipan. Szczęściem błąd ten nie trafił na kartę jej choroby i nie został dotąd wykryty ani przez personel szpitalny, ani przez żadnego z licznych gości pani Flett. Tajemnica jest jej wyłączną własnością.

Pani Flett ją hołubi. Z dnia na dzień coraz bardziej upatruje w niej widome objawienie swojej duszy.

Nie znaczy to, by kiedykolwiek poświęcała wiele uwagi duszy. Za bardzo była przez całe swoje długie życie zaabsorbowana - mężem, dziećmi, innymi sprawami, które kobieta ma do zrobienia - by mieć czas na metafizykę. Ponadto osoba cieśli z Nazaretu wprawiała ją zawsze w kłopotliwe onieśmienie, nie miała ochoty spoglądać mu w oczy i zwracać się do niego po imieniu, wiedziała, że ponad jej siły byłoby wciągnięcie go w interesującą wymianę zdań, że po krótkich dwóch minutach zorientowałby się, jak żenująco ubogi jest jej umysł. Pani Flett, która uczęszczała do szkoły niedzielnej, a potem do kościoła, nigdy nie potrafiła się wyzbyć uczucia, że jest to rodzaj teatru dla dzieci, który umoralnia i podnosi na duchu, ale którego nie można traktować poważnie. Prawda, trzeba było włożyć kapelusz i przybrać solenny wyraz twarzy na wymaganą godzinę czy ileś tam czasu, który się spędzało w kościele, czasu, kiedy się odpływało w rozważania, czy resztek rozbefu starczy, żeby upitrasić na obiad przyzwoity gulasz, który można by podać z tą pastą paprykową, zrobioną zeszłej jesieni, było jej jeszcze dwa czy trzy słoiki na półce w spiżarni, kiedy ostatni raz tam zaglądała. Komitety i kiermasze, śluby i chrzciny, to owszem, tak, dla pani Flett, ale nie zawrotne góry i doliny grzechu i odkupienia. Trzeźwa pani Flett nie zastanawiała się nigdy głębiej nad takimi sprawami, bo i czemu miałyby się zastanawiać? Czechosłowacka stajenka, którą wystawia na Boże Narodzenie, nie wyobraża w jej oczach Świętej Rodziny, ona jest Świętą Rodziną - miniaturowe drewniane figurki, ślicznie rzeźbione i malowane na sztywną ludową modłę, chociaż dzieciątko w żłobie nie jest niczym więcej jak polerowanym kołkiem na ubrania. Jezu, Radości Pragnień Człowieczych. Wszystko to dawało do myślenia, ale nie nękało.

Czy ludzie rozmawiają o takich sprawach? Pani Flett nie jest pewna.

W pierwszych dniach po jej operacji rozpoczął jednak swoje wizyty wielebny Rick i wkrótce jął napomykać, ostrożnie z początku, potem coraz bardziej intensywnie, o istnieniu jej duszy, stanie jej duszy, promienności jej duszy i tak dalej, i tak dalej, aż obecnie, w osiemdziesiątym pierwszym roku jej życia, mówi otwarcie o odrodzeniu jej duszy przez łaskę Jezusa Chrystusa, naszego Pana i Zbawcy. Nie trzeba wspominać, że pani Flett nie chwali się przed wielebnym Rickiem tym, iż skondensowana esencja jej duszy zawiera się w tych dwóch słowach na jej bransoletce szpitalnej: Daisy Goodwill.

A za tym nazwiskiem (lecz ściśle z nim związane) kryje się coś innego, coś nienazwanego. Coś, czego kształt pani Flett postrzega tylko, gdy szybko obróci w bok głowę, albo co czuje w rytmie swoich oddechów. Doznania te przychodzą zwykle we wczesnych godzinach rannych, zaskakując ją zawsze. Ze zdumieniem przypomina sobie drobną pierwotną cząstkę siebie, która zawitała, bezkształtna, na ten świat, nie skazona najbliższą myślą, a przynajmniej na której czółku nie zajaśniała nigdy myśl. Niemniej jednak (nic na to nie poradzimy) wszystko, co przychodzi później, nawet nasze najbogatsze doświadczenia, stawiamy pod osąd tej maleńkiej, płaczącej cząsteczki pierwotnej materii. A może to nie jest w ogóle materia. Tylko coś świętego. Wyrwanego z wielkiego czoła Boga.

„Jeszcze tutaj jestem - myśli pani Flett, wpasowując się w jawę samotnej, klimatyzowanej, pachnącej gumą nieprzytulności szpitala. - Jeszcze tutaj jestem”.

- Jest słodka - mówi Jubilee do każdego, kto chce tego słuchać. - Nie jak niektórzy na tym piętrze, których wolę nie wymieniać.

- Walczy o życie - zauważa przełożona pielęgniarek, pani Dorre. - Walczy, ale nie narzeka, dzięki Bogu.

- Jest kochana, wcielona słodycz - konstatuje doktor Scott.

- Prawdziwa dama - orzeka fizjoterapeuta Russell Latterby. - Kobieta starej szkoły.

Oto dlaczego pani Flett zapomina od czasu do czasu, zdarza się, że na parę dni, o istnieniu Daisy Goodwill, a także o tym wcześniejszym guzopodobnym stadium, poprzedzającym Daisy Goodwill. Przez cały czas pobytu w szpitalu absorbuje ją trud, żeby być osobą słodką, walczącą, ale nie narzekającą, prawdziwą damą, która dzielnie znosi prześladowane ją infekcje moczowe, stoicko rozmawia przez telefon z dziećmi, okazuje zainteresowanie życiem uczuciowym młodej Jubilee, uśmiecha się kokieteryjnie do pana Latterby'ego i jest heroicznie, niestrudzenie czujna na przewrażliwienie wielebnego Ricka, które, mówiąc wprost, ma zastanawiająco dwuznaczne aspekty.

- Jest cudowna - oświadcza jej córka Alice, przybywszy z Anglii w samą porę, żeby pomóc matce w przenosinach z Memorial Hospital do domu dla rekonwalescentów Żółte Palmy. - Jest natchnieniem dla nas wszystkich.

*

Jest natchnieniem, mówi Alice, ale wcale tak nie myśli. To, co naprawdę myśli, jest niemal odwrotnością natchnienia. Alice, silna, przystojna kobieta pod pięćdziesiątkę, do tej pory bardzo rzadko myślała o pomniejszeniu, jakie niesie życie. Ściśle mówiąc, nie myślała wcale do czasu, gdy przed chwilą otworzyła przypadkiem szufladkę szafki nocnej matki w Żółtych Palmach i znalazła w niej, rzucone luzem, szczoteczkę i pastę do zębów, grzebień, notes, pęk kluczy, krem do rąk, pudełko kleenexu i małą aksamitną saszetkę na biżuterię - cały doczesny majątek pani Flett, mieszczący się teraz w skromnej przestrzeni stalowej szufladki. Najpierw wypatroszony został trzykondygnacyjny dom w Ottawie, a teraz przestronne mieszkanie florydzkie. Jakże to możliwe, takie zubożenie? Alice, czując, jak serce ściska jej się na tę myśl, wydaje mimowolny jęk.

- Co się stało, Alice?

- Nic, mamusiu, nic.

- Zdawało mi się...

- Sz-sz. Odpoczywaj sobie.

- Nic innego nie robię, tylko odpoczywam.

- Na tym polega rekonwalescencja, na odpoczywaniu. Czyż nie to zalecił ci doktor?

- Też mi doktor!

- Cieszy się bardzo dobrą opinią. Doktor Scott mówi, że jest najlepszy w swojej specjalności.

- Powiedziałaś siostrze o soku jabłkowym?

- Powiedziałam. Uważasz, że był sfermentowany, ale ona twierdzi, że jest dobry. To po prostu inny gatunek, niż dawano ci w szpitalu.

- Smakuje jak z koncentratu.

- Pewnie jest z koncentratu.

- Nie jest nawet chłodny. Nie trzymają go w lodówce.

- Powiem jej jeszcze raz.

- I sos.

- Jaki znowu sos?

- Nie dają w ogóle sosu. Mięso na talerzu jest suche jak wiór.
- Nie robi się teraz takich sosów jak dawniej. To się skończyło w siedemdziesiątym czwartym roku.
- Co powiedziałaś?
- Nic ważnego. Taki żarcik.
- „Żółtko, żółtko” mówiłyście we dwie, ty i Joanie. I gdałyście jak kury.
- Robiłyśmy coś takiego?
- Przez to okno nic nie widać.
- A te drzewa? Ten śliczny ogród?
- Wolałam szpital.
- Wiem.
- Brak mi Jubilee.
- O Boże, tak.
- I Kwiatków. Gład, Lily...
- Za daleko, żeby tu przyjeżdżały.
- Nie jestem tu sobą.
- Będiesz znowu sobą. Przyzwyczaisz się za parę dni.
- Nie jestem sobą.
- Obie nie jesteście.
- C-co takiego? Nic nie słyszę przez ten hałas na korytarzu. Przez tę wrzeszczącą babę.
- Mówię, że ja też nie jestem sobą.

*

Alice przybrała oficjalnie nazwisko panięskie matki, które figuruje teraz w jej paszporcie - Alice Goodwill. Nazwisko jej byłego męża, Downing, zostało pogrzebane przed kilkoma laty w kancelarii adwokackiej w Londynie, chociaż zachowała je trójka ich dorosłych dzieci, Benjamin, Judith i Rachel. A nazwisko Flett zostało dla Alice pogrzebane symbolicznie przed dwoma laty wraz z publikacją jej piątej książki, która się spotkała z jednolicie miażdżącymi recenzjami. „Pierwsza powieść Alice Flett powinna się stać dla wszystkich akademików przestrogą przed aspiracjami do twórczości literackiej”. „Pretensjonalna”. „Szkolarska”. „Dydaktyczna”. „Zimny kleik na papierowym talerzu”.

Co miała robić? Czy mogła zrobić coś innego? Wniosła sprawę do sądu i zmieniła nazwisko. Już jako młoda dziewczyna Alice narzekała na nazwisko Flett, które, uważała, razi swoją surową krótkością. Flett to drobinka pyłu, plamka na ścianie, podczas gdy Goodwill brzmi dźwięcznie w uchu i niesie miłe metaforyczne wibracje, chociaż jej matka się zaklina, że nigdy nie myślała o aluzyjności swego nazwiska*. Alice jest w tej chwili przybita (ta cholerna powieść), ale pełna nadziei na przyszłość. Czy też była pełna nadziei, dopóki nie przyjechała na Florydę i nie zobaczyła, jak bardzo zmieniona jest jej matka. Chuda, blada. Wyżęta.

* Goodwill znaczy po angielsku „dobra wola”.

W samolocie układała ważkie, błyskotliwe dialogi z nią.

„Czy byłaś w życiu szczęśliwa?” - miała zamiar spytać matkę. Widziała siebie, jak siedzi przy jej łóżku, nad równo zasłaną pościelą, dłoń matki w jej dłoniach, w przyćmionym, kościelnym świetle proszącym z okna. „Czy zaznałaś spełnienia?” Czymkolwiek jest, u diabła, to spełnienie. „Czy przeżyłaś chwile prawdziwej ekstazy? Czy warte były swojej ceny? Czy zdarzyło ci się popatrzeć, powiedzmy, na obraz albo na jakąś wspaniałą budowlę, albo przeczytać w książce jakiś passus i poczuć, że raptem poszerza się przed tobą świat, a jednocześnie zwiera się i twardnieje w rdzeń doskonałej czystości? Wiesz, o czym mówię? Wszystko zaczyna raptem pasować, zaskakuje na swoje miejsce. Jak w naszym ottawskim ogrodzie, coś w tym rodzaju. Czy to twoje życie przyniosło ci zadowolenie? Czy jesteś gotowa na...? Nie boisz się? Nadażasz za mną? Jak mogę ci pomóc?”

Zamiast tego rozmawiają o soku jabłkowym, sosie, hałasach na korytarzu, lekarzu, który jest Jamajczykiem - o tej jego jamajskości zresztą nie wspominają.

Kiedy Alice sięga po dłoń matki, jest przerażona jej przezroczyością. Nie może od niej oderwać wzroku. Perłowe knykcie. Już martwe. Zmineralizowane. Alice przypomina sobie, że cokolwiek się przydarza w życiu ludzkim, krystalizuje się w wyobrażenie o własnym obowiązku - być dobrym, zachować wierność idei bycia dobrym. Dobra córka. Dobra matka. Nieskończenie, heroicznie cierpliwa. To rozdymanie się własnego ja bywa przerażające.

- Powiedz mi, jak mam przeżyć swoje życie.

- Co mówisz, Alice?

- Nic. Śpij.

- Jest dopiero dziewiąta.

- Robi się ciemno.

- To zasłony, ściągnęłaś zasłony.

- Nie, patrz. Nie są ściągnięte. Popatrz.

*

Babcia Flett ma oczywiście swoje dobre dni. Dni, kiedy wkłada okulary i czyta gazetę od deski do deski. Dni, kiedy personel chwali niezwykłą jasność jej umysłu. Jedna z pielęgniarek nazwała ją w jej obecności „krzepką” - słowo obce pani Flett.

- To znaczy silna, twarda - tłumaczy Alice. - Tak ja to rozumiem.

- Nigdy nie uważałam się za twardą.

- To było powiedziane jako komplement.

- Nie jestem wcale twarda.

- Jesteś miękka?

- Nie.

- Nie?

- Nie nazywaj mnie miękka. Przypomina mi to te miękkie, nadziewane słodczyce, które tatuś zawsze przywoził ze swoich podróży. Nie znosiłam ich. Ugryzłaś to i natrafiałaś w środku na miękkie nadzienie.

- Przepraszam.

Alice słyszała już o miękkich nadziewanych słodyczach. Słyszała wiele razy.

- Nugaty, pomadki, różne takie.

- Rachatlukum.

- Niedobrze mi się robiło na samą myśl o nich.

- Więc myśl o czym innym.

Alice przymyka oczy, sama bliska mdłości - słodkie „żyli długo, szczęśliwie”, finał szaleńczego zakochania.

- Tatuś dużo podróżował. Ty może tego nie pamiętasz, byłaś taka mała. Ciągłe gdzieś wyjeżdżał. Do Montrealu, do Toronto.

- Wiem. Pamiętam doskonale.

- Nigdy nie mogłam zrozumieć, po co te wszystkie podróże.

- Spotkania służbowe.

- Nigdy nie rozumiałam, komu one potrzebne. Pytałam, oczywiście, interesowałam się, a przynajmniej udawałam, że się interesuję. W tamtych czasach zachęcano kobiety do interesowania się pracą mężów. Ale nigdy nie było to dla mnie jasne. Nigdy. Po co te wszystkie spotkania, po co, na co?

- Prawdopodobnie takie biurokratyczne ple-ple.

- Zastanawiało mnie to. Nie dawało mi spokoju, powinnam chyba powiedzieć..

- Nie myśl o tym teraz.

- Tatuś czasami przywoził dwufuntowe bombonierki. O Boże! Oczywiście nie pokazywałam po sobie, że tego nie lubię. Dawałam je panu Mannerly'emu. Pamiętasz pana Mannerly'ego, Alice? Pomagał w ogrodzie. Przy cięższych pracach.

- Oczywiście, że pamiętam.

Alice wie, że matka przypomni teraz żonę pana Mannerly'ego, która umarła na cukrzycę, i ich syna, Angusa, który zrobił karierę polityczną.

- Jego żona umarła młodo. Chorowała na cukrzycę, nie bardzo umieli to wtedy leczyć. - Szeptem: - Chyba nie jadła tych moich czekoladek, mam nadzieję, że nie jadła. Ich syn, Angus, nie miał więcej jak piętnaście, szesnaście lat, kiedy stracił matkę. Chyba szesnaście. Wybił się! Został wybrany już na trzecią kadencję, o ile się nie mylę. Często natrafiałam na wzmianki o nim w gazetach. Angus Mannerly, wymarzone nazwisko dla polityka, nie uważasz*?

- Urocze.

*Mannerly znaczy po angielsku „grzeczny, gładki, obyczajny”.

Długie zamieszkiwanie w Anglii upoważnia Alice do używania - i nadużywania - słowa „uroczy”.

- Cieszę się, że tu jesteś, Alice. Doceniam to, że przyjechałaś. Postaram się nie być taka kapryśna.

- Nie jesteś kapryśna. Jesteś...

- Nie mów nic, Alice. Nie musisz.

- Chciałam powiedzieć...
- Naprawdę, kochanie, nie musisz nic mówić.
- Dobrze.
- Co to było za słowo? To, którego użyła ta pielęgniarka?
- Krzepka.
- Brzmi jak z powieści historycznej. Myślisz, że jest w słowniku?
- Nie wiem. Pewnie jest.
- To brzmi jakoś tak... Nie mogę znaleźć odpowiedniego określenia... Mam je na końcu języka. Brzmi...
- Pogardliwie?
- Nie. Raczej jakby wyniośle.
- Protekcyjnie?
- Tak. Właśnie tak. Protekcyjnie.
- Wiesz, masz rację. Jest w tym coś protekcyjnego. Pomniejszającego. Bezczelnego na dobrą sprawę.
- Tak.
- Udajemy, że podziwiamy krzepę u innych - zastanawia się Alice - ale cholernie nie chcielibyśmy sami być krzepcy. Nie życzylibyśmy sobie, żeby ktoś nas tak określał.
- To brzydko pachnie.
- Brzydko co?
- Pachnie. Jak przejrzałe truskawki.
- Właśnie.
- Wiesz, on miał bardzo długi tors, twój ojciec. Myślę, że dlatego nie nauczył się nigdy tańczyć.
- Taniec nie jest dla każdego.
- Cieszę się, że tu jesteś, Alice.
- Ja też się cieszę.
- Co powiedziałaś?
- Też się cieszę, że tu jestem.
- Nie gniewaj się, kochanie, jeśli ci nie uwierzę.

(Czy babcia Flett faktycznie wypowiedziała ostatnie zdanie na głos? Sama nie jest pewna. Traci poczucie, co jest rzeczywistością, a co nie. Ja zresztą, w moim wieku, też tracę).

*

Kiedy słyszymy, że coś stało się naprawdę, przyjmujemy to do wiadomości, choćby rzecz brzmiała najbardziej wątpliwie. A kiedy jakaś rzecz jest zmyślona - choćby wyglądała na najbardziej prawdziwą i uzasadnioną - kręcimy nosem. W takich czasach żyjemy. W wieku dokumentacji. Wydaje się, że nigdy, nigdy nie dość nam faktów. Włączamy telewizor i słyszymy o cyklach rozrodczych ptaków. Oglądamy powtórkę wojen. Wywiady z masowymi mordercami. Gazety nic innego nie wiedzą.

Kanadyjski dziennikarz Pinky Fulham zginął zmiażdżony przez przewróconą maszynę z napojami. Prawdopodobnie rozbujał ją, próbując wytrząsnąć ukradzioną dwudziestopięciocentówkę. Pinky Fulham

wyrządził pani Flett przed laty wielką krzywdę, więc usłyszawszy o jego śmierci, nie potrafi ona udawać zbyt-zbytniego żalu.

- Wielki Boże - mówi jej córka, Alice - skąd się o tym dowiedziałas?

- Ktoś mi powiedział - odpowiada tajemniczo babcia Flett. - A może wyczytałam to w gazecie.

- Naprawdę? Nie do wiary.

- Według statystyki w Ameryce Północnej jedenaście osób ginie rocznie pod maszynami do sprzedaży różnych towarów.

- I jedną z nich był Pinky Fulham?

- Na to wychodzi.

- Nieprawdopodobne.

- Pewnie tak.

*

Od czasu ataku serca wszystko zaskakuje panią Flett, ale nic bardziej niż fakt, że jest gotowa z tym się pogodzić, tak jakby nowo odkryte poczucie własnego wyrażenia przemieniło ją w dobrowolną kandydatkę do spisania na straty. Martwa planeta jej ciała, ze swymi atomami, molekułami i drobinami materii, rozkwita nagle nagłówkami gazetowymi, sennymi koszmarami, bilecikami z życzeniami zdrowia, goryczą lekarstw, nocnymi łomotami, krokami na korytarzu, zapachem jej własnego oddechu i krwi, czymś nuceniem pod drzwiami melodii, którą niemalże rozpoznaje.

*

Nadeszła paczka dla babci Flett. Lizeska od wnuczki Judy z Anglii.

O, o! Kobieta musi być naprawdę ciężko chora, jeśli dostaje lizeskę zamiast soli do kąpieli czy ciekawej książki podróżniczej. Lizeska świadczy o desperacji, mówi: cześć. Mimo to pani Flett rozumie, że wnuczka zadała sobie niemało trudu, żeby znaleźć tę lizeskę. W naszej epoce niełatwo kupić lizeskę. Wielkie domy towarowe mają ich może skromne pół tuzina na składzie, jeśli w ogóle, a sprzedawczynie, kobiety po czterdziestce czy po pięćdziesiątce, robią głupią minę, kiedy się przechylić przez kontuar i spytać: „Przepraszam, nie widzę, gdzie państwo trzymają lizeski”.

Gdzie się je szyje? W Nowym Jorku? W San Francisco? A może produkcję zmonopolizowało jakieś miasteczko w stanie Iowa - lizeskowa stolica kraju. Albo nawet świata. I kto projektuje ten dziwny ubiór? Koronkowe lamówki, pikowane rękawy trzy czwarte, ozdobne tasiemki wiązane pod szyją. Może nikt ich nie projektuje. Może się rozmnażają jak kłaczki bawełny na tylnych półkach fabryki konfekcji. Osobne pytanie - po co i kiedy wkłada się taką lizeskę? Czy lizeska jest strojem do pokazywania, czy do noszenia prywatnie? Czy śpi się w niej, czy zdejmuje ją przed spoczynkiem? Czy jest do niej załączona instrukcja użytkowania?

- Zdaje się, bujasz myślami gdzieś daleko, mamusiu?

- Myślałam, jak to słodko ze strony Judy, że o mnie pamięta.

- Uwielbia cię, przecież wiesz.

- Nigdy dotąd nie miałam lizeski.

- Wyglądasz w niej uroczo. Poczekaj, aż cię zobaczy doktor Riccia. Rozpłynie się w komplementach.

- Och, ten człowiek.

- Nie jest taki zły. Przestań, mamó. Te jego rzęsy, nie powiesz mi, że nie zauważyłaś, jakie ma rzęsy. Jest właściwie uroczym mężczyzną. Musisz przyznać.

- Bo ja wiem.

- Żadne „bo ja wiem”. Ja osobiście uważam go za czarującego. Myślę, że ty w głębi ducha też.

- H-mm.

*

Natomiast wielebnego Ricka Alice nie uważa za czarującego - zna ten typ. Wita go chłodno, niemal niegrzecznie, kiedy pastor pojawia się pewnego dnia w Żółtych Palmach, po czym ostentacyjnie wychodzi z pokoju, zostawiając go sam na sam z matką.

Pani Flett rozumie bez słów, że Alice pragnie ją tylko chronić przed szantażem duchowym, przed tym domokrażnym sprzedawcą wyrzutów sumienia. Z perspektywy swego wieku średniego Alice uważa, że dusza pani Flett jest bez plamki - lub prawie bez plamki - i jest wzburzona tym, że przed oczy osoby tak starej, chorej i wrażliwej podsuwa się widmo grzechu.

Jednakże dzisiaj rozmowa pani Flett i wielebnego Ricka czyni gwałtowny skręt, ucieka od wiekowych dusz i snów o zbawieniu.

- Wie pani, ja jestem gejem - wyznaje chorej wielebny Rick. - Homoseksualistą. Nie zdawałem sobie z tego sprawy, kiedy się uczyłem na pastora, dopiero później odkryłem swoje prawdziwe skłonności. Przez długi czas dusiłem to w sobie, rozumie pani, utrzymywałem w tajemnicy. Potem dowiedziała się jedna osoba, druga, w końcu kilka. Teraz wiedzą prawie wszyscy, wszyscy z wyjątkiem mojej matki. To jest właśnie mój problem. Powiedzieć jej czy nie? Chciałem się pani poradzić, jest pani mniej więcej w wieku mojej matki. No, właściwie to ona ma dopiero sześćdziesiąt lat, ale jakoś pani mi ją przypomina. Nie wiem, co robić. Nagabuje mnie stale, kiedy sobie znajdę jakąś miłą dziewczynę i założę rodzinę. Doszło do tego, że boję się pojechać do domu, bo wiem, że mnie o to zapyta.

Jakąś część swego ciała pani Flett pragnęłaby w tej chwili zamknąć oczy i odpłynąć w sen. Wie doskonale, że byłoby to usprawiedliwione - wiek daje jej taki przywilej.

To zbyt kłopotliwe. Zbyt bolesne.

Czuje w głębi czaszki, za oczami, rozdzierający dźwięk - i zdaje sobie sprawę, że uczynione wyznanie pochlebia jej, a zarazem ją obraża. Po pierwsze, dotyka ją bezmyślne zaszufiadkowanie jej razem z matką wielebnego Ricka, która, pani Flett to czuje, byłaby jej niesympatyczna. Prawdę mówiąc, nie bardzo lubi samego wielebnego Ricka, nigdy go nie lubiła. W jego gorliwości jest coś natrętnego, a ponadto rażą ją jego przygarbione ramiona i kołnierzyki u koszuli, które robią wrażenie dziwnie nadgryzionych zębem czasu. Z drugiej strony ten młody człowiek przyjechał na koniec miasta, do Żółtych Palm, i to w takim morderczym upale, żeby zasięgnąć jej rady, wierząc w jej mądrość. Nieczęsto się to zdarzało w życiu pani Flett. "Właściwie nigdy. I prawie na pewno nie zdarzy się więcej.

- Próbował pastor - odzywa się w końcu pani Flett - żyć nie jak homoseksualista?

- C-co?

Wielebny Rick odgarnia z oczu opadający kosmyk włosów.

- No, wie pastor. Znaleźć sobie dziewczynę i przekonać się... Może pastor przeżyć niespodziankę, stwierdzić, że cieszy go posiadanie przyjaciółki... Co chcę powiedzieć, to że możliwa jest zmiana postawy.

- Homoseksualizm to nie jest, proszę pani, postawa. Obraziła go.

Nie obracając głowy i nie patrząc na niego, pani Flett wie, że cały zeszywniał. Tego nie może ścierpieć. Faktu, że kogoś uraziła. Jej największą słabością - wiedziała to zawsze - jest obawa przed urażeniem drugiego człowieka. Urażeniem jeszcze bardziej, niż to już zrobiła. Więc mimo całej irytacji, mimo wszystkiego, co czytała w gazetach o AIDS, wyciąga dłoń i czuje, że wielbny Rick ją ujmuje.

- Niech pastor nie mówi matce - oświadcza po chwili.

- Ale ja nie mogę tak żyć w kłamstwie.

- Czemu nie? - Robi pauzę. - Większość ludzi żyje.

- Nie człowiek, który traktuje serio wiarę chrześcijańską...

- Matka już to wie.

Pani Flett mówi to zniecierpliwionym tonem. Nagle doznaje wrażenia, że matka wielbnego Ricka jest wraz z nimi w tym pokoju i że - okazuje się - jest całkiem miłą kobietą. Pełną wigoru i życia. Całą w uśmiechach.

- Sformułuję to inaczej. Matka na pół wie. Wkrótce będzie wiedziała całkowicie. Jakoś to przeżyje. Ludzie godzą się z różnymi rzeczami. Nie jest to sprawa, o której będziecie musieli ze sobą rozmawiać, jeśli nie będziecie chcieli.

(Panią Flett ogarnia niejaka duma z tej wypowiedzi).

- Ale żyć z takim murem między nami!

Wielbny Rick mówi to komicznym, niemądrym szeptem. Płacze teraz. Płacze i siąka.

- Przepraszam, ale poczułam się nagle straszliwie zmęczona. To te proszki, którymi mnie karmią.

- W pani czasach było inaczej. Ludzie bali się z tym zdradzić. Żyli przez całe życie jakby w świecie fikcji.

- Straszliwie, straszliwie śpiąca. - W gardle czuje swędzenie, naprawdę czuje. - Niech pastor mi wybaczy.

- Niech Bóg panią błogosławi.

Jak się odpowiada na błogosławieństwo?

- Do widzenia - mówi wyraźnie pani Flett. Zamyka oczy, przyciska mocno głowę do poduszki, po czym dorzuca kobietą, siostrzaną, matczyną, babciną monetą błogosławieństwa: - Niech pastor ostrożnie prowadzi.

*

W trakcie wypisywania czeku babcia Flett zapomina, jaki to miesiąc, jaki rok. Zglupiała, odbiło jej, padło na mózg. Szare komórki wysypują jej się z głowy jak pakuły z futrowanej koperty, zaścielają całe meble. Czego jej potrzeba, mówi do córki, to operacji na otwartym mózgu. Jak na otwartym sercu.

- Hm! - odpowiada pokornie Alice.

Wszystko ją drażni, woń kwiatów więdnących w wazonie, zapach moczu, jej własnego moczu. Zmieniła się w złośliwą megierę, choć nie, może niezupełnie. Bo, uważacie, wewnątrz jest nadal faską drżącą

galaretki, mądrą Waszą Ogrodniczką, pamiętacie ją jeszcze? Osobą, na którą można zawsze liczyć, do której można się zawsze zwrócić, do której można zadzwonić w nagłej potrzebie. I tak dalej.

TLR

Babcię Flett zadziwia, że tyle humoru kryje się w szczelinach ziemi - jest wszędzie, jak tysiąc odmian mchu. Prawie codziennie przeczyta w gazecie lub usłyszy w *Dzień dobry, Ameryko* jakieś sformułowanie czy dwa, które sprowadzą na jej wargi uśmiech. Albo coś zabawnego wydarzy się na jej piętrze, paplanina pielęgniarek, jakiś powtarzany dowcip. Kto by to pomyślał, że komedia będzie trwała do słabości wieku starczego?

A także próżność. Próżność nie myśli umierać, odnajduje urodę życia w najmniejszych plisach, kieszonkach, gąłkach konfekcji elektrycznej. Pani Flett zerka w lusterko, tak przemyślnie ukryte w odwróconym dnie tacy, i mówi: „Jesteś, towarzyszko mego życia. Kiedyś rezydowałam w twoim sercu, teraz kulę się w kąciu twego oka”. Mimo to rano, przed obchodem doktora Ricci, nakłada na wargi trochę szminki, prószy na nos trochę pudru (była zmuszona zrezygnować ze swego ukochanego Woodbury). Skąd bierze energię, żeby unieść do twarzy puszek, skoro wie, co wie?

Ogląda również paznokcie. To Alice zamówiła w zeszłym tygodniu manikiurzystkę. Naturalnie pani Flett z początku protestowała - nigdy w życiu nie chodziła do manikiurzystki, taka ekstrawagancja! - lecz Alice nie ustąpiła. Nazwała to drobną przyjemnością. Tak więc dłonie pani Flett były kolejno zanurzone w różnych mydlanych roztworach, po czym wyjęte na kolana tej młodej kobiety i delikatnie osuszone. Potem z nasady paznokci zostały wycięte skórki, a same paznokcie opiłowane w doskonały owal. „W półksiężyc czy ostro?” - padło pytanie. „Co pani proponuje?” - spytała pani Flett. „No-o” - zaczęła manikiurzystka i było jasne, że sprawa wymaga poważnego namysłu, dojrzałej decyzji. Co do lakieru, wybrany został ostatecznie francuski. „Nadaje piękny, czysty połysk, świetny na lato”. Tak jakby pani Flett miała wkrótce wziąć udział w serii przyjęć ogrodowych albo zaszczycić swoją obecnością któryś z ekskluzywnych lokali sarasockich.

Pani Flett trzyma swoje wypolerowane piękności starannie okryte wierzchnim prześcieradłem, wyjmując je jednak co jakieś pół godziny, sprawdza, rozpościera pod światło. Ogląda je - pierwsza rzecz rano i ostatnia wieczorem - a pamięta o nich prawie nieprzerwanie. Trzepoczą lekko u jej boków, a lekkość promieniuje z nich ku jej nadgarstkom, spływa w jej ramiona i tułów. Wyglądają elegancko, naprawdę! Jak nowiuteńkie. Kiedy pomyśleć o dewastacji, jakiej uległo jej ciało, o jego rozkładzie, da się może łatwiej zrozumieć tę jej słabość.

Chociaż ta koncentracja na paznokciach zaczyna zakrawać na obsesję, jest anomalią w stosunku do zwykłej próżności szminki i pudru. Panią Flett ogarnia wstyd, gdy pomyśli, co oznacza. Jak szare i nieciekawe musiało być jej życie, skoro tyle przyjemności sprawia jej takie głupstwo. Jeśli się nie weźmie w garść, przemieni się w jedną z tych żalonych starych prukw, które stale przeliczają swoje szczęśliwe chwile.

Przez jej głowę przelatują obrazy o niebo jaśniejsze od tych, jakie ogląda na ekranie telewizora w salonie dla pensjonariuszy. Dywersyjne iskrzenie. Głosy brzmiące w uszach. Może je włączyć, kiedykolwiek zechce.

Ma siedem lat, jest w ogrodzie cioci Clarentine, pochyla się nad lwimi paszczami, ścisza je w palcach, tak że się otwierają i zamykają. Lwie paszcze mają małe ząbki i wargi. Czy inni ludzie też to wiedzą? Zrywa pęd szczypiorku, ssie go. „Daisy” - słyszy. Wołają ją na kolację. Ciocia Clarentine obiecała usmażyć dzisiaj naleśniki. Wszystko to - myśl o naleśnikach, ostry smak szczypiorku, ukryte gardziołka kwiatów, słońce, dźwięk jej imienia - przyprawia ją nagle o zawrót głowy, napęlnia strachem, że umrze z nadmiaru wrażeń.

Zaczął padać śnieg i z miejsca pokrył okoliczne domy i ich małe ogrodzone podwórka puszystym białym futerkiem; w domu mówiło się, że się rozpruła pierzyna. Daisy zebrała z parapetu garść śniegu i trzymała przytkniętą do czoła, jak długo mogła wytrzymać. Rodzaj próby. Próby wytrzymałości. Świecił zimny, jasny księżyc.

Odkryła coś cudownego. Opalizującą świetlistość na drodze. Tęczę odbitą w bruku. Nikt nie wiedział o jej istnieniu, istnieniu tego cudownego zjawiska, które odkryła. Ale była nieostrożna i pokazała je jednej ze starszych dziewczynek z sąsiedztwa, która powiedziała z całym spokojem:

- Też coś! To tylko ropa, plama ropy rozlanej na jezdni. I o to robić tyle krzyku?

Znowu lato. Zerwała źdźbło trawy, rozpołowiła paznokciem, ujęła w kciuki i dmuchnęła. Ktoś jej pokazał, jak to się robi; nie pamięta, kto. Nie było wcale trudno wydobyć zawodzący głos, jak krzyk nura. Wychodziło coraz to lepiej. Nauczyłaś się raz i umiałaś na zawsze. Byłaś równie dobra jak inni, potrafiłaś robić to, co oni.

Pozółkłe liście zostały zgrabione na kupę, przygotowane do spalenia, i ona ma nieprzepartą ochotę położyć się na nich choćby na małą chwilkę, płasko na wznak na szeleszczących liściach, wpatrzona w górę. Rzuciła się z rozpostartymi ramionami, ufnie, i natychmiast na czystą jedyność nieba, nagłą pierwotność błękitu, wyskoczyła z komiksowym plaśnięciem płatanina gałęzi, parkanów, szop i domów. Wszystko inne przestało istnieć. Ona jedna zawieszona w szklanej kuli. Mogła wracać i wracać do tego jasnego, wiernego obrazu, zachować go w głowie na resztę życia.

Jak się nazywasz?

Daisy.

Daisy i co dalej? Daisy Goodwill.

Wiesz, skąd się wzięło słowo „Daisy”? Z „Day's Eye”^{*}.

Faktycznie. Wiedziałam to. Zapomniałam.

Daisy to stokrotka, kwiatek, który jak się zastanowić, istotnie przypomina nieco oko, okrągłe, okolone rzęsami, patrzące w górę.

^{*} *Day's Eye* (ang.) - oko dnia.

Otwierające się i zamykające.

Rzeczą dziwną w scenach, które się przewijają przez głowę Daisy Goodwill, jest to, że zawsze znajduje się w nich sama. Są jakieś głosy dochodzące z oddali, są jakieś cienie i ślady - ale ona zawsze pozostaje sama. A w naszych chwilach odwagi i wstydu potrzebujemy, jak się zdaje, co najmniej jednego świadka. Lecz pani Flett nie doświadcza tej łaski. Łamie jej to serce. Nie potrafi się z tym pogodzić. Nawet teraz, gdy ma osiemdziesiąt lat.

*

Babcia Flett wie, że plecie bez ładu i składu, wie, że w kółko powtarza te same rzeczy, lecz Alice, niech ją Bóg błogosławi, nigdy jej nie przerywa, nigdy nie mówi: „Już o tym opowiadałaś, mamusiu”.

Wszystko, czego pani Flett pragnie, to zaprowadzić ład w głowie. Równo rozłożyć ciężar wspomnień. Uporządkować rozdziały swego życia. Czuje odradzającą się tkliwość dla niektórych jego chwil - są jak paciorki nanizane na sznur, na sznur, który się przeciera. Zarazem wie, że to, co leży przed nią, musi zostać podsumowane wysiłkiem wyobraźni, a nie beznamietną recytacją stłamszonych i nie oświetlonych zaszłości. Słowa stają się coraz niezbędniejsze. I rodzi się pytanie: co jest prawdziwą historią jej życia? Kronika jego wydarzeń czy misternie wypracowana impresja? Zestawienie rzeczy, których się lęka? Czy suma owych drobnych dostępnych jej, od niechcenia ujawnianych okruszków wiedzy? Potrzebuje spokojnego kąta do przemyślenia ogromu tego problemu. I potrzebuje kogoś - kogokolwiek - kto by jej słuchał.

Jest to słabość, ta potrzeba zamienienia na walutę wszystkiego, czego zaznała, co zgromadziła, co powołała wyobraźnią do życia. Nie powinna tak monologować, nadwerężyć ucha Alice, zanudzać na śmierć biednego doktora Ricci. Karci siebie - robi się tak samo nieznośna jak Marian McHenry, ciągle tokuje i tokuje o własnych sprawach. Zamiast myśleć o innych. Wysuwać innych przed siebie.

*

Mała Emma nie żyje. Albo też została oddana do jakiegoś domu opieki nad dziećmi z chorobą Downa. W bardziej okrutnych czasach nazywano to mongolizmem.

Nikt nie mówi do babci Flett o Emmie, żeby jej nie niepokoić, ale ona i tak wie. W jej polu widzenia, przy jej łóżku wyrastają jej syn Warren i jego nowa żona, której imienia babcia Flett nie może sobie w tej chwili przypomnieć. Pokój przekreślił się w bok. Okno pochyliło się pod skośnym kątem. Jej własny język związał się w supeł. Babcia prosi o szklankę wody, proste życzenie, proste słowa, ale nie może ich odnaleźć.

- Mongolizm - mówi zamiast tego.

Na twarzy Warrena maluje się popłoch, spływa sztywnością po elastycznej kolumnie jego szyi. Pani Flett chciałaby go pocieszyć spojrzeniem czy tklwym słowem, ale ciało przykuwa jej do łóżka własna niemoc. Nie zamierzała być niedelikatna. Zamyka oczy, wymazuje z pola widzenia syna i jego żonę, koncentruje się, wpatruje w coś nieskończenie złożonego, odbitego na cienkiej skórcie jej powiek, tajemnicę, sen. Coś jak film.

*

Alice nieoczekiwanie wychodzi za doktora Ricci. Wyjeżdża z nim na Jamajkę, gdzie mieszkają w pięknym domu nad oceanem. Mają dziecko, chłopczyka o długich zakręconych rzęsach i dwornych manierach.

Ejże, nic z tego nie jest prawdą. Starej pani Flett znowu coś się przywidziało.

Skąd się biorą te wszystkie niestworzone historie?

„Skup się, skup - mówi sobie. - Myśl rozsądnie”.

Doktor Ricci ma żonę i dwoje dzieci. Pani Flett oglądała fotografię rodziny Ricci na tle domu w stylu kolonialnym w Kensington Park.

Alice wraca do Anglii. Skończyło się lato, za tydzień rozpoczyna się nowy rok akademicki. Alice planuje już na weekend przyjęcie dla kilkanaściorga przyjaciół - marokańska muzyka, coś w sosie curry, zimne piwo, ona sama w wiszących klipsach, głośna, ironiczna. Otrzymałszy pełnomocnictwo od pani Flett, znalazła

kupca na jej florydzkie mieszkanie, uregulowała parę pomniejszych kwestii prawnych. Dokumenty zostały podpisane, tryb postępowania w przyszłości uzgodniony. Alice wiezie do zadeszczonego Hampstead wspaniałą florydzką opaleniznę, ostrzegana przez wszystkich, włącznie z matką, że florydzkie opalenizny utrzymują się krótko. Nieważne, i tak przyjedzie na Boże Narodzenie. Ustala się rytm jej życia, lata dostosowań i zmian. Będzie się przestawiała w miarę potrzeby. Nie tak sobie wyobrażała swój wiek średni, ale tak widać musi być.

Coś ją spotkało, coś przejrzyste oczywistego, co zawsze, zdaje się, wiedziała, ale czego nigdy sobie nie sformułowała. To mianowicie, że moment śmierci przychodzi, gdy jeszcze żyjemy. Życie toczy się aż do tej ściany ostatecznej ciemności, jeden zasadniczy stan bytu zderzający się z drugim. Nie dzieli ich nawet oddech. Nawet jedno mrugnięcie oka. Człowiek może egzystować nastrojony na powszednią melodię posiłków, pracy, pogody i mowy aż do ostatniej minuty, tak że nie gubi się żadna najmniejsza rzecz.

Ta myśl podnosi Alice zaskakująco na duchu, tak dalece, że nie może się oprzeć chęci, żeby powiedzieć matce, co czuje.

Jej matka, Daisy Goodwill, żyje jeszcze w powłoce swego słabnącego ciała. Huśtawka dobrych i złych dni. Trzyma się najlepiej, jak można oczekiwać - wszyscy jej to mówią. Może to trwać przez lata.

TLR

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Śmierć

DAISY (GOODWILL) FLETT zasnęła w pokoju, po długiej chorobie, cierpliwie znoszonej, dnia... miesiąca... 199... roku w domu opieki Żółte Palmy w Sarasocie na Florydzie.

Babcię Flett poprzedził jej mąż, Barker Flett, znany kanadyjski ekspert w dziedzinie hodowli nowych odmian zbóż. Pozostawiła pogrążonych w żałobie: córkę Alice Goodwill-Spanner z Hampstead w Anglii; córkę Joan z mężem Rossem Taylorem z Portlandu w Oregonie; syna Warrena z żoną Peggy z Nowego Jorku; oraz stryjeczną wnuczkę Wiktorię z mężem Lewisem Royem z Toronto. Była uwielbianą babcią Benjamina, Judith, Rachel, Rain, Teller, Beth, Lissy, Jilly i Emmy (?), jak również kochającą prababcią Madeleine, Andrew i Mordicaia oraz stryjeczną babcią bliźniąt Sophie i Hugh'a.

Msza żałobna odprawiona zostanie o godzinie 10:00 w kaplicy domu opieki Żółte Palmy. Kwiatów proszę łaskawie nie przynosić. Pogrzeb odbędzie się na cmentarzu Long Key.

*

*Kwiaty mile widziane na pamiątkę
DAISY GOODWILL FLETT,
która kochała, jak umiała, wszystko, co rośnie,
ogrody, dzieci, balony pamięci,
choć bardzo się lękała osaczającego cienia
samotności i ciszy,
z którymi zaczęła utożsamiać
swoje życie.*

*

*Daisy, ach, Daisy,
Całą prawdę powiedz mi,
Daisy, Dnia Oko,
Ta twarz w lustrze czy to ty?*

*

- To było w jej szafce nocnej. W tej aksamitnej saszetce.
- Co to takiego? Wygląda jak...
- To, na co wygląda. Obcinane paznokcie. Przypuszczalnie jej.
- Chryste Panie!

*

Flett, Daisy (z domu Goodwill), która z powodu okoliczności życiowych, z powodu opieszałości, z powodu niewiedzy, z powodu braku okazji i odwagi nigdy, przez długie lata swego życia, nie zaznała wyzwania i przygody malowania, jazdy na nartach, żeglowania, kąpieli nago, noszenia szmaragdów, palenia papierosów, seksu oralnego, przekłutych uszu, chodzenia w szwedzkich drewniakach, spania na wodnym materacu, literatury fantastycznonaukowej, filmów pornograficznych, ekstazy religijnej, smaku trufli, kirszu, meksykańskiej papryki i kaczki po pekińsku, zabytków Wiednia, Moskwy i Madrytu, terapii grupowej, masażu ciała, głodu, honorowych wyróżnień ani potępiającego oburzenia, która nigdy nie prowadziła auta, nigdy nie kupiła losu na loterię, która (z drugiej strony) nigdy, ani razu, nie została przez drugiego człowieka uderzona ani spoliczkowana, nigdy nie podsunęła (z westchnieniem) okularów na czubek głowy, nigdy (z obawy śmieszności) nie rozważała możliwości zrobienia sobie operacji kosmetycznej ani uprawiania jogi, nigdy nie uległa pokusom artykułów prasowych, które zachęcają, żeby sobie dogadzać, uwierzyć w siebie, być dla siebie dobrym. Nigdy również, chociaż wiedziała, że była w życiu kochana, nie słyszała wypowiedzianych na głos słów: „Kocham cię, Daisy” (takie proste zdanie) - i dopiero podczas długiego, płytkiego, nie zakłóconego snu, który poprzedził jej śmierć, miała przytomność (i spokojną głowę), żeby pojąć całą tego niesprawiedliwość.

*

- Łaska boska! - wykrzykuje na wieść o śmierci matki ceniona znawczyni twórczości Czechowa, Alice Goodwill-Spanner.

- Życie mamusi zastygło od dłuższego czasu w temperaturach minusowych - komentuje Warren Flett, muzykolog Szkół Publicznych Dolnego Manhattanu.

- Była wymęczona - oświadcza Joan Taylor, dobiegająca pięćdziesiątki, bezrobotna, najmłodsza córka rodziny Flettów. - Wymęczyło ją życie i wymęczyła śmierć.

- Powiedziała mi, że jest w każdej chwili gotowa odejść - szepcze Wiktoria Luiza Flett-Roy, nagradzany paleobotanik. - Ale czy ktokolwiek jest kiedykolwiek naprawdę gotów?

*

- Miała ten rodzaj nieobliczalnej inteligencji, która się potrafi dostosowywać. Umiała ją manifestować, kiedy chciała.

- Wierutny. Słyszałam od niej to słowo: wierutny. Spłynęło jej z języka jakby nigdy nic.

- I r-rany koguta. Miała zwyczaj mówić: r-rany koguta.

- Czasami była jakby nieobecna. Puk, puk, jest tam kto?

- A te jej stroje! Miała ten styl ubierania się, że nie wiadomo było, czy wydaje na stroje za dużo, czy za mało. I czy pozostaje w tyle za modą cztery, czy dwadzieścia cztery lata.

- Ha!

- Bywała niedostępna.

- Tak, ale niedostępność bywa formą agresji.

- Co takiego?

- Słyszałaś dobrze.

Skrzaty, Zuchy, Związek Harcerok Ameryki, Tudoretki, Koło Historyczne, Akcja Chrześcijańska, Żeńska Korporacja Alfa Zeta, Klub Kamieniólom, Kobiety Zjednoczonego Kościoła, Stowarzyszenie Młodych Matek, Stowarzyszenie Dom-Szkoła, Ottawskie Towarzystwo Ogrodnicze, Komitet Ochrony Gleby, Fundacja Chorób Serca Hrabstwa Carleton, Ottawskie Towarzystwo Odczytów Obiadowych, Kolektyw Nasienniczy Prowincji Ontario, Kobiety Klub Robót Ręcznych w Bayside, Kwiatki.

*

- Stanowczo nie. Nie zgadzam się na przeznaczenie żadnego jej organu dla celów medycznych.
- To była luźna propozycja.
- Zresztą wszystko było w niej doszczętnie wyniszczone.
- Tak mi tylko przyszło do głowy...

*

*Z serdeczną pamięcią o
Daisy Goodwill Flett 1905-199...*

*

*Z Serdeczną Pamięcią o Daisy Goodwill,
Która Będąc Zdrowa na Umyśle,
Wbrew Obiekcjom rodziny,
Lecz bez Złości,
Po Długim Zastanowieniu
I Głębokiej Rozterce, Z Trudnością i Niepewnością,
Z przeprosinami, Lecz z Determinacją,
Podjęła Decyzję, By Spocząć Samotnie po Śmierci.*

*

- Co ci zapisała? - krzyczy do telefonu Joan.
(Złe połączenie transkontynentalne).
- Swoją łubkę - odpowiada z przekąsem Alice.
- Na miłość boską, co to jest łubka?
- Nie pamiętasz? Tak nazywała swój koszyk ogrodniczy. Stary spleśniały kosz z rączką jak wielka obręcz.
- Coś sobie mętnie przypominam. Ale dlaczego?
- Bo ja wiem. Z tego samego powodu, dla którego tobie zapisała srebrne szczypce do szparagów.
- Boże!
- A wiesz, co zapisała Warrenowi?
- Nie. Co?
- Stare notatki z college'u. Referaty. Wszystko ręcznie pisane. Nie kończące się stronice. Cały wielki karton.
- Coś jej się na koniec przekręciło w głowie, nie sądzisz?
- Może to taki żart?

- Nie była zbyt skłonna do żartów.
- Czy ja wiem.
- Wiktoria dostała ten zbiór sabotków.
- Rany, co ona zrobi z tym zielskiem?
- Chciała je. Tak przynajmniej mówiła.
- Dobrze, że wszystko inne jest w porządku. Jej lokaty i w ogóle.
- Możemy podziękować temu księgowemu.
- I adwokatowi. Chociaż on, zdaje się, nieźle sobie z tego uszczknął.
- A Żółte Palmy to nie?
- Jeszcze jak!
- Przykro o tym mówić. Wstyd mi się robi na samą myśl.
- Mnie też.
- Wszyscy chyba tak uważają.
- Oczywiście.
- Ale co możemy zrobić?
- Absolutnie nic.

*

Siedemdziesiąt cztery procent amerykańskich gospodarstw domowych wydało w tym roku co najmniej po tysiącu dolarów na konserwacje lub inwestycje. Ogłosili to w radio, w dzienniku - czy też mi się przyśniło? Niech mi kto powie, po co mi taka wiadomość. Czy umysł się wzbogaca od takiej pigułki bezużytecznej wiedzy? Nie. A już na pewno nie wtedy, gdy człowiek jest u głuchego, stępnego krańca życia. Czy nic innego nie mają mi do powiedzenia?

*

Wyprawa ślubna Daisy Goodwill Hoad, 1927

2 trzyczęściowe kombinacje ślubne z krepdeszynu i walansjenek, z ręcznym haftem i mereżką, barwy różowawej muszli i kości słoniowej;

12 halek;

12 dwuczęściowych francuskich kombinacji, koszulka i majteczki, brzoskwiniowe, kremowe, niebieskie i herbaciane;

6 koszul nocnych;

6 peniuarów z żorzety i koronek chantilly;

2 szlafroki, 1 wełniany w szkocką kratę, 1 prążkowany bawełniany;

6 biustonoszy „Płomienna młodość”; 6 biustonoszy „Georginia” z dzerseju jedwabnego i merceryzowanej bawełny;

3 staniki z różowego jedwabiu japońskiego;

2 paski do podwiązek firmy Grossard Dancelette, z dżerseju jedwabnego z elastycznymi wstawkami z boku;

12 par pończoch jedwabnych; 12 par pończoch bawełnianych;

3 pidżamy plażowe, pomarańczowa satynowa, błękitna, beżowa;

6 kimon, czarne, niebieskie, czerwone, pąsowe, brzoskwiniowe i lilaróż;

2 kostiumy kąpielowe firmy Kellerman (czysta wełna), czarny i brązowy; 1 dziana narzutka plażowa; 1 czepek kąpielowy;

6 fartuszków w różnym stylu.

*

- Nie miałam pojęcia, że umie haftować.

- To śliczne.

- Pewna jesteś, że to ona haftowała?

- W prawym rogu wyszyta jest maciupka stokrotka.

- Rzeczywiście, masz rację.

- To jakby podpis.

- Coś takiego!

*

- Pielęgniarki zawsze podkreślały, jakie ma równe usposobienie. Dla każdego uśmiech.

- Z wyjątkiem tego razu, kiedy rozbiła radio. Zwaliła je na podłogę.

- To mógł być przypadek.

- Prawda.

*

- Nie rozumiem, dlaczego nigdy nam nie powiedziała o tym swoim pierwszym małżeństwie.

- Musiała mieć świadomość, że się dowiemy po jej śmierci. Zostawiła wszystkie papiery. Świadcstwo ślubu, raport policyjny.

- Hoad! Nazywał się Hoad.

- Harold Hoad.

- Rymuje się z „toad”*. Trzymajcie mnie.

* **To ad (ang.) - ropucha; przenośnie: kreatura.**

- Ale popatrz na tę fotografię. Był... wyglądał jak gwiazdor filmowy. Z epoki niemych filmów, rozumie się. Boski.

- Dlaczego nic nam nie powiedziała?

- Pomyśl tylko. Jak miała nam powiedzieć o czymś... o czymś tak potwornym?

- Jaki to musiał być wstrząs!

- Nie rozumiem. Wstydziła się tego, czy co?

- Taki piękny mężczyzna wypada z okna. Jej kochanek. Świeżo poślubiony mąż. Pomyśl tylko, że coś takiego przytrafia się tobie. Miałabyś ochotę o tym opowiadać?

- Pewno była, no wiesz, tak złamana, że nie mogła o tym nawet pomyśleć, a co dopiero mówić. Wyobraź sobie, że jesteś w podróży poślubnej i...

- I to w jej wieku.

- Zepchnęła to w niepamięć. Czasami to dobra rzecz. Jak inaczej miałaby ciągnąć...

- Wygląda na to, że był znacznie przystojniejszy od tatusia.

- I młodszy.

- O wiele.

- Tatus musiał... musiał chyba o nim wiedzieć.

- Chyba musiał. Mamusia może i była skryta, ale...

- Na myśl o tym...

- Co?

- Przechodzą mnie ciarki.

- Na myśl o czym? O tym, jak ten Hoad wypada na głowę z okna?

- Nie. Na myśl o niej. O mamusi. Przez te wszystkie lata...

- Przez te wszystkie lata... dusiła to w sobie.

- Musiała sobie przypominać co roku w rocznicę jego...

- Pamiętasz, jak czasami potrzebowała się nagle położyć w środku dnia? Nie spała, leżała i patrzyła w sufit.

- Nosiła to cały czas w sobie. Rozpamiętywała.

- Wiem.

- O Boże!

*

Lunch w Klubie Ogrodowym, 1951

Bułki z szynką / Sery

Pikle różne

Salatka z melona oraz winogron bez pestek

Ciastka z galaretką Kruche ciasteczka

Kawa / Herbata

*

Jeszcze tu jestem, w tych (łamliwych, porowatych) kościach, stawach, oczodołach, ramionach, biodrach, zębach, jeszcze, jeszcze jestem, ha, ha.

*

- Gdyby żyła w innej epoce, mogłaby jako Wasza Ogrodniczka mieć własny program telewizyjny.

- W porze największej oglądalności.

- Jakoś nie mogę sobie tego wyobrazić.
- Małostkowa, sentymentalna epoka. Dusila ją. Jak zasłona. Kurtyna, przez którą nic nie widać.
- Mogła się rozwieść z tatusiem.
- Na początek.
- Co? O czym ty mówisz?
- Co ci przychodzi do głowy? Biorąc wszystko pod uwagę, byli ze sobą stosunkowo szczęśliwi.
- Naprawdę tak myślisz?
- Szczęśliwi jak większość ludzi.
- Zależy, co się rozumie przez szczęście.
- No, powiedz, co.
- Wiem jedno: że przeszłość nie jest nigdy przeszłością.
- Czy to ma być głęboka mądrość?
- H-mm.

Pudding cytrynowy cioci Daisy

4 łyżeczki masła

Pół filiżanki cukru

2 rozdzielone jaja

1 filiżanka mleka

2 łyżeczki mąki

Sok i skórka z jednej cytryny

Roztopić masło i cukier, dodać żółtka zbełtane do gęstości i barwy cytrynowej, zmieszać z mąką i mlekiem, sokiem cytrynowym i startą skórką cytrynową. Ubić białka do gęstości, ale nie do wysuszenia. Uformować je z przygotowaną miksturą. Piec dwadzieścia pięć minut w wysmarowanej masłem formie, umieszczonej w brytfance z gorącą wodą, w umiarkowanej temperaturze 180 stopni.

*

- Czy myślisz, że jej życie potoczyłoby się inaczej, gdyby była mężczyzną?

- Co ty? Kpisz czy o drogę pytasz?

*

- Popatrz na tę lizeskę.

- Wygląda jak nowa. Chyba nigdy jej nie miała na sobie.

*

Na wtorek

puszka mleka skondensowanego

pęczek marchwi

seler

cebula

funt masła

funt smalcu

zapałki

płatki mydlane

2 puszki peklowanej wołowiny kotlety wieprzowe zadzwonić do p. M. nowa łypatka do miksera zęby
Warrena poczta

drogeria, syrop od kaszlu, pudełko kleenexu jałowiec

*

Oto kobieta, która robiła wspaniały klops, która umiała przesadzić marniejący fikus, która z wycuciem licytowała bez atutu, która stylowo nosiła kapelusze, która dbała o higienę osobistą, która pisała w porę bileciki z podziękowaniem, która nadażała, która podupadała, podupadała, coraz bardziej podupadała, która nie rozumiała istoty rzeczy, nie rozumiała istoty niczego, która jednakże, niemal niezmiennie, była dla wszystkich uprzejma.

*

- Pamiętasz Jaya Dudleya?

- Kogo?

- No, wiesz, tego faceta, który redagował ottawskiego „Recordera”. Jay Dudley się nazywał.

- Jasne, że pamiętam. Nosił wełniane krawaty. Miał ceramiczne spinki do rękawów.

- Czy myślisz, że oni, mamusia z nim, myślisz, że... oni kiedyś ze sobą...?

- N-nie!

- Szkoda.

*

Kary rumak, Ania z Zielonego Wzgórza, Piegus, Opowieści powtórzone, Piękny Joe, Młyn nad Flossą, Pocahontas, Dzieci Heleny, Nasz wspólny przyjaciel, Pamiętnik Nelly, Elizabeth i jej niemiecki ogród, Jane Eyre, Zjednoczenie Włoch, Beowulf, Poeci romantyczni, Za jego przykładem, Krzyk dzikich gęsi, Przeminęło z wiatrem, Pierwsze sześć lat, Grona gniewu, Zawsze Amber, Jajko i ja, Na tuziny taniej, Pasja życia, Pajęczyna i skała, Saga rodziny Skutarich, Krótka historia Orkadów, Córka Czechowa, Kobieta jadalna, Ziemia błogosławiona (wydanie dla słabo widzących), Tymczasem morderstwo (wydanie dla słabo widzących, doczytane do połowy).

*

- Dlaczego uważasz, że nikt nie jest nigdy gotowy?

- Ja tam jestem gotowa choćby w tej chwili.

- Mówisz tak, bo nie możesz znaleźć pracy i jesteś w dołku. Naprawdę nie jesteś wcale gotowa. I założę się, że ona też nie była gotowa.

- Czy ja wiem.

- Rozmawiałaś z nią kiedy o... no, wiesz?

- O śmierci? Nie można z nią było rozmawiać o takich sprawach.

- Zmieniała zaraz temat.

- Robiła minę zaskoczonej dziewczynki.
- Mrugała oczami.
- Układała usta w podkówkę.
- Unosiła brwi.
- Prawdę mówiąc, mnie też mrozi myśl, że umrę.
- Widać to rodzinne.
- Mamy granitowe geny.
- Małe kulki.
- Jak grad.
- Pamiętam, kiedyś powiedziała, że na grobach lubi bratki. Ale nie te pospolite, z buźkami jak u dzieci.

Lubiła te ciemne, fioletowe, o miękkich aksamitnych płatkach. To jedyna rzecz związana ze śmiercią, jaką kiedykolwiek od niej słyszałam.

- Brała życie, jak leci.
- A czemu by nie, u diabła?
- Ona tak jakby...
- Jakby co?
- Jakby wечно próbowała nanizać igłą na nitkę jakąś błąhą, ulotną myśl.
- Bała się spojrzeć w głąb siebie. Z obawy, że nic tam nie ma.
- Czy nie do tego właśnie dążą buddyści?
- Buddyści?
- Do osiągnięcia stanu nicości.
- Serio?
- Co za okropna myśl.
- Czemu?
- Nie wiem. Bo nic to bardzo niewiele.
- Nic to nic.
- Amen.

*

Koniecznle - na dłuższą metę

zasłony na lato futra na przechowanie podmalować tylne schodki,

parkan wypchać kapelusze zimowe

lawenda - zapas

wyszorować meble na werandzie Naciągnąć?

Za piecem, pod lodówką

czek dla p. M.

gaz

gałki na mole czasopisma do skupu piec ogrzewczy pianino trutka
wyłączniki do lamp

*

Kolka, wietrzna ospa, odra, zapalenie oskrzeli, alergię, influenza, bóle menstruacyjne, egzema, zapalenie pęcherza, połogi, ciśnienie krwi, klimakterium, depresja, angina, zwężenie żył, złamania, bypassy, niewydolność nerek, rak, infekcje moczowe, wylew, odleżyny, ropień na nodze, moczenie się, wylew, utrata pamięci, upośledzenie wzroku, zanik odruchów warunkowych, zaburzenia mowy, depresja, wylew, wylew.

*

Śmierć pozostała Daisy Goodwill jedyną rzeczą do kontemplowania w jej ostatniej chorobie, chorobie, którą znosiła ponoć z taką cierpliwością - wychodziła tej śmierci naprzeciw całą słabością i niewydolnością swego ciała. W pewnym punkcie owych końcowych sennych tygodni nastąpiło odwrócenie kierunku. Wydarzyło się to nagle w czasie jednego z jej częstych stadiów śpiączkowych. Weszła w sen jakby przez tunel, ciągle jeszcze błędząc w przeszłości, wchłaniając jak cienką namiastkę tlenu prawdziwe i wyimaginowane sceny ze swego życia, po czym ogarnęło ją raptowne znużenie czy może znudzenie - w każdym razie szybkie zacieranie się konturów i kolorów, załamania się mechanizmu, który przywoływał uprzednio owe sceny. Zamiast nich pod jej powieki zaczęła się cisnąć seria zmiennych obrazów, skierowanych nie w czas miniony, lecz w czas przyszły, ku jej śmierci. Można by powiedzieć, że tchnęła w nie życie, po czym się w nich rozkochała.

Jej pierwsza wizja była teatralna: zwykła pastelowa trumna, pomruk liturgii, dudniąca muzyka organowa - to całe konfetti żałoby, trzepoczące w rozedrganej życiem przestrzeni pełnej tandetnych płaczów i hołdów. Ale to było przedwczesne.

Świetlista przestrzeń się zapada, pozostawiając solidny blok ciemności. Żywe jest tylko jej ciało i problem, co z nim zrobić. Nie obróciło się w proch. Na myśl o własnych członkach i organach, obróconych w biblijny proch czy choćby w krematoryjny popiół, jawi jej się prosta, komiczna, olśniewająca prawda. Śmiechu warte.

Ostatecznie dostrzega siebie zamienioną w kamień, z żywymi komórkami zastąpionymi nieczułością mineralnej skamieliny. Łatwo dać się zaanektować kamieniowi. W swoich ostatnich snach leży na wznak na grubej marmurowej płycie, wspaniała jak biskupi i święci, których widziała przed laty w wielkiej różowej katedrze w Kirkwall. Nie oddawało im to w pełni sprawiedliwości - jej też nie oddaje - obraz jest jednak przynajmniej stabilny i, prawdę mówiąc, podoba jej się. Czuje teraz, jak jej ciało zespala się z ciałem nieżyjącej matki, jak w końcu nim się staje.

Wiele mil dzieli ją obecnie od jej obojczyków, jej tkanki tłuszczowej, jej organów płciowych, jej paznokci i dziąseł, jej nozdrzy i brwi, od bezimiennych wypukłości kostnych za jej uszami. Jej mózg jest z najczystszej miki, można go podsunąć do okna i światło będzie przez niego przebijało. Tyle że jest pusty, w tym szkopuł.

Z uprzejmym rozbawieniem kontempluje szczegół po szczególe swojej zastygłej postaci, dodaje i ujmuje, doskonali i cyzeluje. Fałdy jej sukni, toporne i sztywne, zostają złagodzone ornamentальnym detalem, wapieniową bordiurą z muszli morskich, taką jak się widzi czasem na tortach urodzinowych. W poprzek jej stóp obutych w cizemki wdzięcznie spływa kamienny zwój, data na nim jest zatarta, nieczytelna; jej głowa wspiera

się na kamiennej poduszce, włosy są wreszcie raz gładkie, nie kędzierzawe. Jej dłonie z zaokrąglonymi kłykami zbiegają się lekko u boków, mocno uproszczone, z palcami nie rozdzielonymi, bez pierścionków, nie napiętnowanymi przez wiek, wskazującymi (kciuki odgięte pod leciutkim kątem) na to wielkie, nieme, niezmiennie terytorium poza jej słuchem. Z jej beznamietnej twarzy ślepią oczy nieme jak lodowe kulki, szeroko rozwarte, lecz nic nie widzące, to znaczy nic poza ową bezbrzeżną, powszechną, wspólną rozpaczą mężczyzn i kobiet, że tak niewiele dane im jest w ostatecznym rozrachunku powiedzieć.

Jej finalna poza jest zatem grecka. Wyciszona. Pozaczasowa. Klasyczna. Zawsze podejrzewała, że nosi w sobie po temu potencjał.

Trzeba jedynie minimalnej energii, żeby przywołać i zatrzymać swoje kamienne ja. Głuche na wszystko prócz najgłośniejszych ech, zsuwa się ono zrećźnie po swojej krzywej - biel, nieprzenikniona gładź - i wypełnia półkulę jej widzenia tak całkowicie, że odrzucić można wszystkie uprzednie przygotowania i strategie. Nieskazitelne zęby, włosy i kości Daisy Goodwill przyjmują tę ostateczną formę - czy też to raczej owa forma ogarnia ją, otwiera przed nią wreszcie dostęp do transu samotności, przytwierdza swój ciężar do ustającego wahadła jej serca, do sztywniejącej rafy koralowej płuc. Forma, która twardnieje i ziębnie - i wkrótce obejmie wszystko. Za tydzień. Jutro. Dziś.

*

14 Grange Road, Tyndall, Manitoba (dom rozebrany w roku 1922);

166 Simcoe Street, Winnipeg, Manitoba (dom rozebrany w roku 1947);

144 East Avenue, mieszkania 12, Bloomington, Indiana;

6 Hawthorne Drive, Vinegar Hill, Bloomington, Indiana
(dom uznany za zabytkowy w roku 1975);

Dom Żeńskiej Korporacji Alfa Zeta, College Longa dla
Pani, Hanover, Indiana (przekształcony w roku 1957 na
siedzibę Biura do Spraw Absolwentek);

583 The Driveway, Ottawa, Ontario (teren rozparcelowany
w roku 1981 pod bloki mieszkalne);

419 East Bayside Towers, Tamiami Trail, Sarasota, Floryda
(budynek przeznaczony w roku 1986 do rozbiórki; nie
spełniał przepisów przeciwpożarowych);

dom dla rekonwalescentów Żółte Palmy, Marine Drive,
Colmann, Floryda (odkupiony w roku 1990 na Ośrodek
Studiów Medytacyjnych i Poznawczych Światowej Rady
Kobiet);

Dom opieki Żółte Palmy, 1267 Fauna Avenue, Colmann, Floryda.

*

- Nie odchodzę w pokoju.

Ostatnie (nie wypowiedziane) słowa Daisy Goodwill

*

„Daisy Goodwill Flett, żona, matka, kobieta dwudziestego wieku. Niechaj spoczywa w pokoju”.

Końcowe pożegnanie odczytane przez Warrena M. Fletta podczas mszy żałobnej w kaplicy domu opieki

Żółte Palmy

*

- Te bratki! Widziałaś kiedyś takie cudne bratki?

- Byłaby nimi zachwycona.

- Spodziewałam się zobaczyć wielki dywan stokrotek.

- Oczywiście. Stokrotek.

- Ktoś powinien był o tym pomyśleć.

- Tak.

- No cóż.

TLR